



DEBORAH
MOGGACH

*Hotel
Marigold*



DEBORAH
MOGGACH

*Hotel
Marigold*

Przełożyła
MAGDALENA HERMANOWSKA



DOM WYDAWNICZY REBIS

Tę książkę dedykuję Simonowi Bookerowi

Podziękowania

Dziękuję za pomoc Sathnamowi Sangherze, Razii Hamid, Ianowi Robertsonowi, Alanowi Haylingowi, Patricii Brent, Geraldine Wilson-Fraser, Alexandrze Hough oraz Tomowi i Lottie.

Ci, którzy znają Bangalur, znajdą zapewne jakieś różnice, ale w końcu pamięć nam wszystkim płata fi gle.



Część pierwsza



1

Prawda cię uwolni.

Swami Purna

Muriel Donnelly, pani po siedemdziesiątce, spędziła na szpitalnym korytarzu czterdzieści osiem godzin. Przewróciła się na Peckham High Street i została przyjęta na oddział z licznymi otarciami, siniakami i podejrzeniem wstrząśnienia mózgu. Przez dwa dni leżała na oddziale ratunkowym, pozbawiona opieki, w ubraniu sztywnym od zakrzepłej krwi.

Tak głośno nagłówki wszystkich tabloidów. DWA DNI! Dwie doby na szpitalnym korytarzu – stara, zaniedbana, samotna. Dziennikarze oblegali szpital St. Jude, zaczepiali pielęgniarki i oburzeni wykrzykiwali do swoich telefonów komórkowych, że takie rzeczy są niedopuszczalne. Fotografie ukazywały jej zwieszoną siwą głowę i podbite oko. Czy ta dzielna emerytka przetrwała niemieckie bombardowanie tylko po to, by doczekać takiego losu? Jej wizerunek poznał cały kraj: oto Muriel Donnelly, najświeższa ofiara upadającego systemu opieki zdrowotnej, najnowsza pozycja w szokującej statystyce będącej dowodem na to, że brytyjska służba zdrowia, niegdyś najlepsza na świecie, rozpada się w zamęcie braku funduszy, cięć kadrowych i podupadającego morale.

W „Daily Mail” ukazał się przepojony bólem i pytaniami bez odpowiedzi artykuł, w którym przeprowadzono swego rodzaju wewnętrzne śledztwo. Wywiadu udzielił doktor Ravi Kapoor, człowiek bardzo zmęczony, ale uprzejmy. Doktor powiedział, że pani Donnelly otrzymała należytą opiekę

i właśnie czeka na łóżko. Nie wspomniał, że mógłby zabić za jedną godzinę snu. Nie wspomniał też, że od kiedy zamknięto oddział ratunkowy w sąsiednim szpitalu, jego własna placówka – czyli szpital St. Jude – musi sobie radzić z podwójną liczbą pijaków, narkomanów po przedawkowaniu oraz ofiar bezsensownej przemocy; że St. Jude zostanie wkrótce zamknięty, ponieważ parcelę w centrum Lewisham, na której stoi, uznano za zbyt drogocenną dla chorych ludzi, i że prywatny koncern, który ją przejął, sprzedał ziemię sieci Safeways, a ta zamierza zbudować tu supermarket.

Wyczerpany Ravi dotarł do domu w Dulwich. Idąc ścieżką, przystawał co chwilę, by zaczerpnąć powietrza. Była siódma wieczór, gdzieś śpiewał ptak. Wzdłuż ścieżki rosły żonkile, które zdążyły już wyschnąć na wiór. Wiosna przyszła i odeszła, a on nawet tego nie zauważył.

Pauline czytała w kuchni „Evening Standard”. Historia Muriel Donnelly nabrała rozpędu i rozrosła się do monumentalnych rozmiarów; opisywano podobne przypadki i cytowano wypowiedzi oburzonych krewnych.

Ravi otworzył karton soku jabłkowego.

– Rzecz w tym, że nie powiedziałem całej prawdy i nie wyjawiałem, dlaczego nikt nie zbadał tej starej jędry.

Pauline podała mu szklankę.

– A dlaczego nikt tego nie zrobił?

– Bo nie pozwalała, żeby dotykały jej jakieś brudasy.

Pauline wybuchnęła śmiechem. W innym czasie, a może już nawet w innym życiu, Ravi śmiałby się razem z nią. Ale te stare, dobre czasy, kiedy odprężony i wypoczęty miał dość siły i energii, by się śmiać, bezpowrotnie minęły.

Na górze ktoś spuścił wodę w toalecie.

– Kto to? – Ravi podniósł głowę.

Zapadła cisza.

– Chciałam ci powiedzieć – odezwała się po chwili Pauline.

– Kto tam jest?

Nad ich głowami zaskrzypiały kroki.

– On długo nie zostanie, naprawdę, nie tym razem – zapewniła go. –
Powiedziałam mu, żeby się zachowywał...

– Kto to jest?

Oczywiście wiedział kto.

Pauline spojrzała mu w oczy.

– To mój ojciec.

Ravi był współczującym człowiekiem. Jako lekarz opiekował się chorymi i składał połamanych. Był wielkim oparciem dla poszkodowanych w wypadkach, ofiar przemocy, a nawet dla tych, którzy okaleczali się sami. Tamował krwotoki i opatrywał rany ludzi, którzy zeszli na złą drogę: niekochanych, odrażających, brudnych i złych. Nikomu nie odmawiał pomocy. Ale taka praca wymagała oczywiście dystansu. Już dawno temu Ravi nauczył się czegoś w rodzaju odrętwiałej empatii. Ludzkie ciało stanowiło problem, który należało rozwiązać. Aby je uleczyć, musiał naruszyć czyjąś prywatność i zbadać je swymi zręcznymi palcami. Chorzy ludzie byli przerażeni i totalnie samotni, bo choroba to stan największej samotności.

Praca odgradzała Ravięgo od świata, który zarzucał go swoimi ofiarami; kiedy drzwi szpitala otwierały się z cichym westchnieniem, ranni i chorzy trafiali prosto w jego ręce. On tymczasem trwał w zawieszeniu, oddzielony od życia, do którego wracał po dyżurze. A kiedy już znalazł się w domu, zmywał z siebie szpitalne zapachy i stawał się zwyczajnym człowiekiem. Nieprzewidywalnym, niepewnym, wymagającym i drobiazgowym, miłośnikiem muzyki chóralnej

i gier komputerowych, dość sympatycznym, chociaż odrobinę sztywnym. I oczywiście nadal był pełen współczucia, ale ni mniej, ni więcej niż inni ludzie. W końcu nigdzie nie było powiedziane, że przysięga Hipokratesa obowiązuje również w domu. A już szczególnie nie wtedy, gdy przebywał w nim taki stary i obrzydliwy sukinsyn jak Norman.

Już po tygodniu Ravi miał ochotę zamordować teścia. Norman był emerytowanym inżynierem i strasznym nudziarzem z obrzydliwymi nawykami. Z ostatniego domu seniora wyrzucono go za to, że wkładał pielęgniarce rękę pod spódnicę. Określono ten incydent jako „niestosowne zachowanie seksualne”, chociaż Ravi nie potrafił sobie wyobrazić, jakie zachowanie można by nazwać stosownym w odniesieniu do Normana, który niczym zdarta płyta powtarzał w kółko te same erotyczne anegdoty. W tym tygodniu Ravi już dwa razy słyszał opowieść o tym, jak Norman złapał rzeźniczkę w Bulawayo. Jako lekarz był narażony na wysłuchiwanie jego najbardziej pikantnych wspominek wygłaszanych chrapliwym szeptem.

– Daj mi trochę viagry, kolego – żądał Norman, gdy Pauline wychodziła z pokoju. – Załóżę się, że masz tam coś schowane na górze.

Facet obcinał sobie w salonie paznokcie u nóg! Ohydne, pożółkłe łuski. Ravi nigdy go nie lubił, a czas zmienił brak sympatii do tego starego kozła w poplamionych spodniach i lipnym wojskowym krawacie w głęboką odrazę. Będąc bezwzględny egoistą, Norman przez całe życie zaniedbywał córkę. Jednak gdy dziesięć lat temu rak trzustki uwolnił wreszcie od cierpień jego żonę, która z anielską cierpliwością znosiła swoje ciężkie życie, Norman zaczął żerować na Pauline. Pewnego razu podczas safari w Kenii Ravi obserwował guźca, który przedzierając się do wodopoju, odpychał każde zwierzę, jakie stanęło mu na drodze. I z jakiegoś powodu zachował w pamięci wyraźny obraz jego ubłoconego zadu.

– Dłużej tego nie zniosę – syknął.

On i Pauline musieli teraz szeptać do siebie jak dzieci, bo mimo ogólnego wyniszczenia Norman miał zadziwiająco dobry słuch.

– Robię wszystko, co w mojej mocy, Ravi. Jutro jadę w kolejne miejsce, ale ciężko będzie coś dla niego znaleźć. Wiesz przecież, że wieści szybko się rozchodzą.

– A nie możemy go po prostu odesłać?

– No tak, ale gdzie? – zapytała.

– Gdzieś bardzo, bardzo daleko.

– To nie było miłe, Ravi. On *jest* moim ojcem.

Ravi spojrział na żonę. Zmieniała się, gdy ojciec był w pobliżu. Stawała się bardziej potulna, nawet świętoszkowata; taka obowiązkowa i posłuszna córka, która pragnie, by dwaj mężczyźni jej życia się dogadali. Śmiała się piskliwie z jego okropnych dowcipów i chciała, żeby Ravi się do niej przyłączał. Była w tym jakaś przesłodzona sztuczność.

Co gorsza, gdy Norman przebywał w ich domu, Ravi zauważał między nimi wiele podobieństw. Pauline miała kwadratową, dużą szczękę swojego ojca i jego małe oczka. U niego wyglądały wprawdzie jak świńskie, ale mimo to podobieństwo nadal było widoczne.

W ciągu ostatniego roku Norman bywał u nich już kilkakrotnie – zdarzało się to zawsze wtedy, gdy wyrzucano go z kolejnego domu opieki. Te pobyty za każdym razem się przedłużały, ponieważ coraz trudniej było znaleźć ośrodek, w którym o nim nie słyszano. „Ten człowiek stanowi zagrożenie”, powiedział kierownik ostatniej placówki. „Zupełnie jak w *Bennym Hillu*. Straciliśmy przez niego wspaniałą dziewczynę z Nowej Szkocji”.

– Rzecz w tym, że on się boi kobiet – stwierdził Ravi. – Dlatego musi je cały czas posuwać.

– Przynajmniej *ktoś* to robi – odparła Pauline i wymownie spojrzała na męża.

W ciszy przygotowywali niedzielny lunch. Ravi szarpnął drzwiczki piecyka

i wyjął z niego blachę do pieczenia.

– Jestem taki zmęczony – powiedział.

To prawda. Był wykończony. Potrzebował czasu, żeby odżyć i dojść do siebie. Potrzebował zdrowego snu. Marzył, żeby się położyć na sofie i posłuchać *Requiem* Mozarta. Tylko pod tym warunkiem mógłby znowu stać się mężem, a nawet więcej – istotą ludzką. A dom, kiedy przebywał w nim Norman, wydawał się taki mały. Ravi żył w nieustającym napięciu i odczuwał je w całym ciele. Norman był w każdym pomieszczeniu, do którego on wchodził. Tak jak wówczas, gdy słuchał *Lacrimosy*, a teść wpadł do pokoju z zawieszonym na szyi radiem tranzystorowym, które transmitowało właśnie mecz krykieta ze Sri Lanki.

– Używa mojego komputera.

– Nie zmieniaj tematu – powiedziała Pauline.

Cały dom śmierdzał papierosami Normana. Kiedy wygonili go na zewnątrz, patio szybko pokryło się petami i wyglądało tak samo jak wejście do szpitala St. Jude.

– Wchodzi na strony pornograficzne. – Kiedy Ravi zajrzał do swojego gabinetu, fotel był odsunięty od biurka, a w powietrzu unosiła się atmosfera profanacji. Na talerzyku pod paprotką tonęły niedopałki.

Pauline otworzyła opakowanie fasolki. Oboje doskonale wiedzieli, o czym rozmawiają.

– Przepraszam. – Ravi pogłaskał ją po głowie. – Ja naprawdę chcę. Chodzi po prostu o to, że ściany są takie cienkie.

To była prawda. W nocy, kiedy leżeli w łóżku, Ravi niemal czuł Normana, który w odległości zaledwie kilkunastu centymetrów leżał w chlewie będącym niegdyś pokojem gościnnym.

– Ale on teraz śpi – powiedziała Pauline.

– Owszem, słyszę to nawet zbyt wyraźnie.

– On jest niesamowity – stwierdziła Pauline. – Nie znam nikogo, kto

potrafiłby jednocześnie chrapać i pierdzieć.

Ravi się roześmiał. W jednej chwili zostali konspiratorami. Pauline odłożyła fasolkę na blat i podeszła do męża. Ravi objął ją i pocałował, tak prawdziwie i gorąco, po raz pierwszy od wielu tygodni. Rozchyliła usta pod naciskiem jego warg; kiedy jej język splótł się z jego językiem, Ravi poczuł w sobie ogień.

Pchnął żonę na szafkę. Pauline była gorąca od kuchennego żaru. Położył rękę na jej spoconym dekolcie, a potem sięgnął dalej pod sztywny kuchenny fartuch i bluzkę. Dotknął sutka, a Pauline poczuła, jak uginają się jej nogi.

– Kochanie – powiedział.

Przywarła do niego, a on położył dłoń na jej plecach, by gałki szafki nie wbijały się boleśnie w jej plecy.

– Chodźmy na górę – szepnęła.

Wtedy usłyszeli jakiś hałas i szybko się od siebie oderwali. Do kuchni wkroczył Norman, zapinając rozporek.

– Ale miałem gigantyczne sranie. To pewnie po tym wczorajszym kurczaku z groszkiem – powiedział, zacierając ręce z zadowolenia. – Coś tu nieźle pachnie.

Norman Purse był mężczyzną pełnym wigoru. W *tej* sferze nie miał żadnych problemów. Budował mosty i dzięki swojej pracy był wszędzie. Zjechał całą Malezję i Nigerię; zwiedzał jaskinie rozkoszy w Bangkoku i Ibadanie i był dumny ze swoich zdolności językowych. Potrafił powiedzieć „Pokaż mi swoją cipkę” w sześciu afrykańskich narzeczach. O tak, Norman miał ptaszka ze stali.

Jego żona Rosemary nie robiła z tego afery. Kiedyś była śliczną dziewczyną, miała zgrabne kostki i różową cerę. Ale był jeden kłopot – była cholernie ładna, nawet za bardzo. A pewnych rzeczy facetowi nie wypadało robić z dobrze wychowaną angielską różą. Poza tym była przecież jego żoną. Po kilku latach przekwitła tak jak wszystkie róże i zamieniła się w bezbarwną kobietę w średnim

wieku, która przygotowywała dla niego posiłki, kręciła się po domu, robiąc to wszystko, co zazwyczaj robią kobiety, i prawie nie zwracała na niego uwagi. Trzeba przyznać, że nie była wulkanem dobrego humoru. Tylko raz słyszał, jak się śmiała; zza zamkniętych drzwi dobiegały rozbawione głosy żony i córki, ale gdy stanął w progu i zapytał, co je tak bawi, podskoczyły jak króliki. A potem, kiedy już odszedł, znowu zaczęły chichotać. Kobiety to naprawdę dziwne istoty.

Rosemary nie żyła już od wielu lat, a jego córka sama stała się matroną w średnim wieku. O ile dobrze pamiętał, dobiegała pięćdziesiątki. Robiła karierę, pracowała jako agentka w biurze podróży i nigdy nie znalazła czasu, żeby dać mu wnuki. Ale była cholernie dobrą kucharką, tak samo jak jej matka, a jej potrawy były o niebo smaczniejsze niż te pomyje, które serwowano Pod Bukami. Ravi też potrafił upichcić niezłe zarcie, bo – jak mówił – gotowanie pomagało mu się odprężyć. Norman lubił dokuczać zięciowi: „Chcesz coś na wynos?”, pytał, wchodząc do kuchni i gładząc się po brzuchu. „Mógłbym zamordować jakiegoś Hindusa”.

Norman mieszkał z nimi już od miesiąca i bardzo to sobie chwalił. Oczywiście nie mógł już wrócić do bungalowu, ponieważ domek się spalił. Wszystko przez tego przekłętą elektryka, co za pedał z niego. Wszyscy obwiniali o pożar Normana i twierdzili, że na pewno przysnął z papierosem, ale to było kłamstwo i oszczerstwo. Co chcieli przez to powiedzieć? Że zaczyna świrować? Może miał słabe serce i sporadyczne problemy z pęcherzem, ale przynajmniej zachował zdrowy rozsądek i bystry umysł w przeciwieństwie do niektórych osób z zakładów karnych zwanych domami opieki, gdzie był więziony. Większość tych staruchów to kompletni idioci, którzy włóczyli się w nocnych koszulach i gadali do siebie. A jego córka ma chyba serce z kamienia, skoro go tam wysłała. Korytarze śmierdzące środkiem odkażającym, stukot balkoników, rzędy krzeseł zwróconych ku smaganemu deszczem morzu i koszmarne strażniczki, które nie były w stanie poradzić sobie z krzepkim

mężczyzną. Żałosne stare wiedźmy, niechybnie same lesby.

I takie miejsca nazywali *domami*. Ktoś miał specyficzne poczucie humoru. Dom był tam, gdzie mieszkała jego córka, na Plender Street. Powinna się zaopiekować starym ojcem, to należało do jej obowiązków. I nie był to jednostronny układ. On również mógł się na coś przydać i na przykład zająć się domem, kiedy oni byli w pracy. Wszędzie kręciło się tylu włamywaczy, nawet w Dulwich.

Był słoneczny majowy poranek. Norman nalał wody do garnka, potem dodał trochę płynu do naczyń, a na koniec włożył swoje chusteczki do nosa, żeby je wygotować. Był w świetnym nastroju. Rano spędził przyjemnie czas na masturbacji, potem opróżnił jelita i wyczyścił nos. Zużył do tego mnóstwo chusteczek. Później zjadł obfite śniadanie złożone z płatków z błonnikiem i trzech tostów z tą pieprzoną niskocholesterolową margaryną, którą kupiła dla niego Pauline. Radio zawieszane na szyi – powiesił je tam, żeby mieć wolne ręce – podawało poranne wiadomości. *Czeka nas wybuch demograficznej bomby emerytalnej*. Na powierzchni wody ukazała się zielona piana. *W ciągu najbliższych trzydziestu lat populacja starszych ludzi zwiększy się o dwie trzecie*. Norman zmniejszył ogień i wyszedł z domu.

Plender Street była przyjemną ulicą, przy której wznosiły się wiktoriańskie rezydencje – ciche i pełne zieleni, z symbolami straży sąsiedzkiej w oknach. Ravi dobrze zarabiał, a Pauline też z pewnością dokładała swoje kilka groszy. O takich jak Ravi mawiało się, że są niczym ciasto biszkoptowe: z wierzchu żółci, w środku biali.

Chodnikiem szła jakaś urodziwa gospodyni domowa z wózkiem; Norman uchylił kapelusza, kiedy ją mijał. Wyglądała na zaskoczoną; cóż, dobre maniery były w tych czasach rzadkością. Przyspieszyła kroku, a on dalej jej się przyglądał; ładny tyłeczek. Miała małe dziecko, więc prawdopodobnie brakowało jej bzykanka. Norman zagwizdał wesoło; gwizdanie to kolejna rzecz,

której się już nie słyszało. To miejsce bardzo mu odpowiadało; na miłość boską, przecież to był jego dom. Ładny pokój i jedzenie pod ręką. Nie, tym razem na pewno się go tak łatwo nie pozbędą. Wiedział, że Pauline już się rozgląda za kolejnym więzieniem dla niego. Przeszukiwała Internet, ale do tej pory nie miała szczęścia.

Za to Norman doskonale się bawił. Ravi był strasznym marudą, a w ostatnich latach jeszcze mu się pogorszyło. Wszystko musiało być idealnie. Norman wiedział, jak go wkurzyć – wrzucał niedopałki do piecyka gazowego i wyjmował sztuczną szczękę w trakcie oglądania telewizji. Uwielbiał słuchać, jak zięć gwałtownie wciąga powietrze. Wiedział jednak, że dalej nie może się posunąć. Miał doskonale rozwinięty instynkt przetrwania.

Do tego Ravi był strasznie pruderyjny. To zabawne, wzięwszy pod uwagę, że był lekarzem i wkładał ręce Bóg wie gdzie. Norman opowiedział mu kiedyś dowcip o żonie ginekologa, która pyta męża, czy miał dobry dzień w dziurze. Nawet się nie uśmiechnął. Jakiś czas temu poprosił go o viagrę. „Obawiam się, że to niemożliwe”, odparł wówczas Ravi. Co za świętoszek! Kiedyś Norman widział, jak zięć czyta w pociągu instrukcję bezpieczeństwa. *W pociągu. Instrukcję bezpieczeństwa.* I nie pozwolił mu o tym zapomnieć.

Norman wszedł do sklepu Casablanca Food and Wine. Za ladą stała jakaś śniada panna, której nigdy wcześniej tu nie widział.

– Witaj, skarbie – powiedział i lekko uchylił kapelusza. – A cóż taka śliczna dziewczyna robi w takim miejscu?

– To sklep mojego taty.

– Aha. A jak masz na imię?

– Sultana.

– Sultana! – zachrypiął Norman. – Masz ochotę na randkę?

Dziewczyna obrzuciła go lodowatym spojrzeniem. Cóż, nie szkodzi, pomyślał. Kupił paczkę fajek i dwie puszki piwa. Sultana trzymała w ręce telefon

komórkowy i szybko przebierała po nim kciukiem; pewnie pisała te, jak im tam... esemesy. Co nie przeszkadzało jej go obserwować. Norman spojrzął z utęsknieniem na półkę z czasopismami. Przez chwilę doznał owego osobliwego uczucia, którego rzadko doświadczał: zakłopotania. Po prostu nie mógł, nie w obecności tej cudownej istoty, tak młodej i wilgotnej.

Nie pozostało zatem nic innego, jak pójść do sklepu na głównej ulicy. Zabrało mu to dobre dziesięć minut, bo ból pleców nie odpuszczał. W końcu zdołał jednak osiągnąć upragnioną anonimowość, którą zapewniały przejeżdżające z hukem samochody, i wszedł do jakiegoś kiosku.

– Dzień dobry – powiedział do mężczyzny za ladą. Przebiegł wzrokiem najwyższą półkę z czasopismami, a potem za pomocą laski strącił z niej egzemplarz „Azjatyckich Laseczek”.

Schylił się, żeby go podnieść, i nagle poczuł ostre ukłucie bólu w kręgosłupie. Zastygł w bezruchu i zgięty wpół czekał, aż ból minie.

– Tutaj, dziadku. – Sprzedawca podszedł do niego i podniósł „Azjatyckie Laseczki”.

– To dla mojego zięcia – mruknął Norman znad podłogi. – Jest Hindusem.

– Nie wątpię. – Mężczyzna uśmiechnął się szeroko. – Domyślam się też, że chciałby, żeby mu to zapakować.

Norman wykuśtykał na ulicę, ściskając kurczowo swoją paczkę. Podskoczył, bo w pobliżu zawyła syrena wozu strażackiego, który przemknął obok z ogromną prędkością. Nagle zapragnął się znaleźć w domu, bezpiecznie ulokowany na kanapie. Dzisiaj świat wydawał mu się bardziej nieprzyjazny niż zwykle: ruch uliczny, nieostrożni przechodnie, bezczelny sprzedawca. Ktoś rozładowywał skrzynkę z butelkami. Norman jeszcze raz podskoczył. Chciał, żeby jego córka była w domu, a nie w jakimś oddalonym o wiele mil biurze. Podałaby mu filiżankę herbaty, wtarła maść przeciwbólową w plecy i powiedziała, że wcale nie jest taki stary, że wszystko będzie dobrze i że jeszcze

nie umiera.

Norman przystanął i oparł się na lasce. Nagle zobaczył siebie takim, jakim widzieli go inni. Trwało to tylko krótką chwilę, jakby rozstały się chmury. A po chwili znów przesłoniły widok.

Tęsknię za żoną, pomyślał. Rosemary by zrozumiała.

Ta myśl tak go zdumiała, że nie zauważył, co się dzieje na końcu ulicy. A coś było nie tak. Coś, co wyglądało jak wóz strażacki, który zaparkował przed domem jego córki. A obok niego tłum gapiów.

Norman przykuśtykał trochę bliżej. Zatrzymał się i popatrzył. Z okna domu przy Plender Street 18 wydobywał się gęsty czarny dym.

2

Medytujmy nad światłem Boga, które unicestwia wszelką ciemność, niewiedzę i wszelkie wady.

mantra Gajatri

Ravi od lat nie widział swojego kuzyna Sonny'ego. Po pierwsze dlatego, że Sonny mieszkał w Bangalurze; dorastali więc rozdzieleni czterema tysiącami mil. A poza tym nie mieli ze sobą nic wspólnego. Kiedy się spotykali, nie potrafili się dogadać i kompletnie się nie rozumieli. Tym razem Sonny był w Londynie już od kilku dni, w drodze do tego czy innego miejsca, i nikt inny z rodziny nie mógł odebrać od niego rzeczy, które przywiózł z Indii.

Umówili się w holu hotelu Thistle Royal w Bayswater. Ravi od razu zauważył kuzyna – korpulentnego mężczyznę w koszuli z krótkim rękawem, który chodził w tę i z powrotem i krzyczał coś do komórki. Wyraźnie przybrał na wadze. Trudno było sobie wyobrazić, że ten facet kiedyś był playboyem, który spędzał upojne noce w towarzystwie bollywoodzkich gwiazdeczek w hotelu Oberoi w Bangalurze. Nie przerywając rozmowy, Sonny pstryknął palcami, żeby przywołać kelnera.

– Bacardi z colą i dużo lodu!

Ravi stracił nagle cały zapał. Sonny był kombinatorem i biznesmenem z niewyczerpanym zapasem energii. Ravi zdążył zapomnieć, jak bardzo takie cechy charakteru są w stanie podkopać siły delikatnej jednostki. Zaprzagnął wrócić do domu.

– Ravi, staruszkule! – zawołał Sonny, a potem warknął coś do słuchawki i się

rozłączył. – Chodź tutaj! Okropnie wyglądasz, biedaku. Przepracowany jak zwykle?

– Nie...

– Nie mam pojęcia, jak ty to wytrzymujesz. Zupełnie osiwiiałeś. Powinieneś wypróbować ten specyfik, który ja stosuję. Nazywa się Tru-Tone, podeślę ci butelkę i od razu poczujesz się jak nowy. – Sonny znowu pstryknął palcami i zamówił drinka dla Ravięgo.

– A ty powinieneś trochę schudnąć – powiedział Ravi. – Fundujesz sobie kłopoty.

– Jasne, doktorku. – Twarz Sonny'ęgo błyszczała od potu. Zawsze strasznie się pocił.

– Pomyśl o swoim sercu.

Kuzyn poklepał się po piersi.

– Mam serce jak dzwon. – Podniósł jakąś papierową torbę z napisem *Surinama Silk House* i postawił ją u stóp Ravięgo. – Mango dla ciebie i twojej żony. Przywiozłem je z farmy Lalit. Pamiętasz Lalit, kuzynkę twojego wujka? Ma najlepsze mango w Karnatace.

Ravi obserwował dwóch mężczyzn po drugiej stronie holu, którzy odbierali klucze z recepcji. Nagle myśl, by wynająć w hotelu czysty, pusty pokój, stała się tak kusząca, że przyprawiła go o zawrót głowy.

– Jutro lecę do Frankfurtu – powiedział Sonny. – Znasz firmę Meyer Systems? Właśnie się przenoszą do Bangaluru, do naszej własnej Doliny Krzemowej. Ci informatyczni guru mają głowy na karku i chcą mieć z tego zyski. Nie poznałbyś tego miejsca, *yaar*¹. Wiesz, ile oprogramowania teraz eksportujemy? Mamy łącza satelitarne, mamy know-how... – Sonny wyliczał wszystko na palcach. – Motorola, Texas Instruments... Świat się skurczył, przyjacielu...

Ravi poczuł pulsowanie w skroniach. Odgłos zawodzącej syreny oznaczał, że

gdzieś w pobliżu przejeżdżała karetka. Dzisiaj nie zdołał uratować człowieka, który trafił do szpitala z powodu zatrzymania akcji serca. Młody mężczyzna z silnym atakiem astmy, ojciec nowo narodzonych bliźniąt.

Podano drinki. Sonny dalej głądził. Ravi upił łyk soku pomarańczowego i odstawił szklanę.

– Sonny. Mam straszny problem – powiedział.

Fakt, że ze wszystkich ludzi na świecie wybrał sobie na powiernika akurat Sonny’ego, który się zbytnio nikim nie przejmował, ogromnie go zaskoczył. Ale skoro już zaczął, słowa same popłynęły strumieniem.

– Zamieszkał z nami ojciec Pauline i nie możemy się go pozbyć. Zaczynam już wariować. W zeszłym tygodniu podpalił kuchnię. Gotował te swoje stare ohydne chusteczki do nosa w moim rondlu Le Creuset i mało brakowało, a spaliłby cały dom. Jest tak obrzydliwy, że nawet nie jestem w stanie tego opisać. W toalecie cuchnie moczem, bo przez kłopoty z prostatą wszystko obsikuje. Gdy próbuję się skoncentrować, zaczyna pleść trzy po trzy, obrzydliwie siorbie, mlaszcze i robi to celowo, opowiada też wstrętne dowcipy, pierdzi i beka... – Ravi mówił coraz głośniej. – Odcedza herbatę przez paczkę na muchy, nigdy nie kiwnie nawet palcem, żeby w czymkolwiek pomóc, wszędzie kruszy. Nie mogę go ścierpieć, nie mogę spać, cały czas kłócimy się z Pauline, prędzej czy później się wyprowadzę, bo już dłużej tego nie zniosę. Mam wrażenie, że rozpadam się na kawałki.

Ravi zamilkł, żeby zaczerpnąć oddechu. To desperacja, pomyślał. Opowiadam wszystko temu nieokrzesanemu, złopięcemu bacardi małemu facecikowi, którego prawie nie znam. I którego nawet nie lubię.

– Rany boskie! – Sonny wypuścił powietrze z płuc.

Jadąc do domu, Ravi był już kompletnie załamany. I mógł za to winić wyłącznie siebie, co oczywiście jeszcze pogarszało jego samopoczucie.

Był bardzo skrytym człowiekiem. „Puk, puk, jest tam ktoś?”, pytała czasem Pauline. Kiedy poroniła, nigdy ani słowem nie wspomniał o swoim smutku. To było dwadzieścia lat temu i ich dziecko byłoby już dorosłe. Nawet w epoce dzieci kwiatów nigdy nie pozwolił sobie na luz, bo spędzał czas na nauce. Zwierzenia wzbudzały w nim niepokój, sprawiały, że czuł się nieswojo; to tak, jakby pozwolił, żeby ktoś rozpakował jego walizkę i gmerał w bieliźnie.

A teraz wypaplał wszystko bez zastanowienia i był pewien, że wkrótce cała rodzina będzie o wszystkim wiedziała. Ciotka Preethi, która mieszkała w Delhi na Chowdri Road, zadzwoni do swojej siostry, a matki Ravięgo, odwiedzającej akurat jego brata w Toronto (*Świat się skurczył, przyjacielu*). Będą omawiać jego problemy, kręcić ze smutkiem głowami i syczeć na wnuki, żeby ściszyły telewizor...

Ravi zaparkował przed domem i siedział w ciemności. Czuł do siebie obrzydzenie, bo zawiódł żonę, a jeszcze bardziej zawiódł staruszka. Uważał się zasadniczo za prawego człowieka. Gdyby Norman leżał w szpitalu, współczułby mu całym sercem. Wtedy wszystko byłoby łatwe. Przeróżająco i wycieńczająco trudne, ale zarazem łatwe.

Spojrzał w stronę domu. Nie miał ochoty tam wchodzić i strasznie go to przygnębiało. Okno na górze było zaparowane. Pewnie Pauline brała kąpiel. Na dole Norman rzecz jasna nie zaciągnął zasłon. Nie paliła się żadna lampa, tylko żarówka zawieszona pod sufitem rzucała ostre, bezlitosne światło jak na sali operacyjnej. Norman niczym kukułka w gnieździe siedział w kłębach papierosowego dymu i oglądał coś w telewizji.

Ravi wszedł do środka. Już powziął decyzję: zadzwoni do Sonny'ego i poprosi go, żeby nie wygadał się przed swoją matką. Drzwi salonu były szeroko otwarte; Raviemu mignęła para żylastych kostek w kapciach. Przemknął cicho na palcach i zaniósł torbę z mango do kuchni. W powietrzu nadal unosił się swąd spalenizny.

Potem zakradł się na schody i wszedł na górę. Nawet powietrze w gabinecie wydawało się zanieczyszczone; Ravi był pewien, że Norman się tu onanizował. Jego jedynym azylem była sypialnia.

Usiadł na łóżku. Hotel Thistle Royal. Nie znał numeru pokoju. Książka telefoniczna została w salonie.

Nienawidzę go, pomyślał. Dlaczego on nie może tak po prostu odejść? Albo dlaczego my nie możemy oddać go pod opiekę państwa, tak jak się to robi ze schizofrenikami i psychopatami? Moglibyśmy też zostawić go gdzieś na ulicy, żeby mógł się szwendać po Londynie i kraść ze sznurków damskie majtki. Może aresztowaliby go za lubieżne zachowanie. Czemu starzy ludzie nie wiedzą, kiedy zrezygnować z tych spraw i zawiesić wszystko na kołku? *Mam nadzieję, że umrę, zanim się zestarzeję.* Kto to śpiewał? The Kinks? Trzeba było się nie oszczędzać w młodości.

Ravi sięgnął po telefon, żeby wykręcić numer do informacji. W tym samym momencie rozległ się dzwonek.

To był Sonny.

– Słuchaj, człowieku – powiedział drżącym z podniecenia głosem. – Wpadłem na kapitalny pomysł.

Praca w biurze podróży ukształtowała teorię Pauline na temat miłości. To, co nieznane, wyzwala pociąg seksualny. Wycieczki zagraniczne przyprawiają o szybsze bicie serca. Nawet samo oczekiwanie wywoływało u jej klientów nerwowe podniecenie; kiedy sprawdzała w komputerze, czy w hotelu są wolne pokoje, patrzyli na nią błyszczącymi oczami. Wyobrażała sobie, jak przyjeżdżają do nieznanego miasta, czujni jak lisy węszące zdobycz.

Ale już po tygodniu entuzjazm opadał, pożądanie słabło i pojawiała się rutyna (*Dlaczego nie ma grejpfrutów? Wczoraj dostaliśmy*), a to, co jeszcze przed chwilą było ekscytujące, stawało się nudne i prozaiczne (*Już więcej*

żadnych ruin). Sama nieraz to przeżywała. To była przyspieszona wersja miłosnej euforii, która tak szybko gasła pod wpływem codziennych obowiązków domowych.

A Ravi był mężczyzną raczej udomowionym. To on zajmował się ogródkiem i częściej gotował, ponieważ w ten sposób relaksował się po pracy. Miał wycucie stylu, lubił łagodne światło i lniane serwetki, a przez ostatnie tygodnie jego dobry gust był wystawiony na ciężką próbę. Pauline wszystkiego się nauczyła od męża; gdyby nie on, byłaby tak samo nieokrzesana jak ojciec.

Problem w tym, że Ravi przestał ją zaskakiwać. Rzecz jasna wina leżała po obu stronach, ale on był zbyt dobrze wychowany, żeby o tym mówić. Plaża, po której kiedyś biegała, krzycząc z radości, zamieniła się w splachetek piasku. Wcale nie była znudzona; Ravi był inteligentnym mężczyzną, a jego uroda nadal ją pociągała – delikatny profil i nitki siwizny we włosach. To zrozumiałe, że w małżeństwie z długim stażem trudno było zachować wakacyjną mentalność.

Ravi nie był człowiekiem skłonny do przygód. Kładła to na karb jego zawodu. W pracy musiał sobie radzić z ofiarami ryzyka, z jego przypadkowym okrucieństwem. Wiele lat temu próbowała się do niego zbliżyć, czytając książki o hinduizmie. „To wszystko jest pewnie o przeznaczeniu?“, zapytała. „Że jeśli ktoś ma zostać potrącony przez ciężarówkę, to znaczy, że taka jest jego karma?“ Ravi spojrzał na nią zaintrygowany, jakby mówiła w obcym języku. Zdecydowanie nie był hinduskim Hindusem. Był lekarzem.

I dlatego następnego dnia była taka zdumiona. Prosto z pracy poszła do restauracji. Trochę się denerwowała, bo nie sprawdziła, co się dzieje w domu; jej ojciec – tak samo jak pies – nie powinien być cały dzień sam. Ale Ravi bardzo nalegał – punktualnie o dziewiętnastej trzydziści – a stosunki między nimi już i tak były napięte. Czują, że powinna się podporządkować.

Przy akwariu z bąbelkami siedział Sonny i rozmawiał przez komórkę. Jego pierś opinała zbyt ciasna koszula. *Każdy guzik spełnia tu swój obowiązek,*

powiedziała jej matka. Ze szpar pomiędzy guzikami wystawały czarne włosy.

– Siadaj tutaj! – zawołał Sonny i poklepał krzesło.

Ravi czytał jakiś faks. Spojrzał na nią przelotnie i uśmiechnął się lekko, jakby była kelnerką. O co w tym wszystkim chodzi? Obaj mężczyźni poluzowali krawaty, otaczała ich tajemnicza atmosfera konspiracji. Na stole leżało jeszcze więcej papierów przyciśniętych solniczką. Ich brzegi poruszała delikatna bryza, której źródłem był wentylator zawieszony na suficie.

Sonny wyłączył telefon.

– Rozmawiałem z moim księgowym – powiedział. – Jest naprawdę świetny.

– Pamiętasz mojego kuzyna Sonny’ego? – zapytał Ravi. – Spotkaliście się na weselu Saminy.

Pauline skinęła głową.

– Pyszne mango. Dziękuję.

Sonny machnął ręką.

– Pauline, zapamiętaj ten wieczór. Twój mąż i ja pracujemy nad pewnym planem. – Spojrzał na Ravięgo i zapytał: – Kto zacznie?

Ravi otworzył usta, ale Sonny pochylił się nad stołem i nie dał mu dojść do głosu.

– Jest interes do zrobienia. – Chwycił Pauline za rękę. – Kupa szmalu i korzyści dla ludzkości. Jak do tej pory brzmi nieźle, co? Ravi to świetny gość, chcemy zostać współnikami.

Pauline spojrzała na męża.

– Ale przecież ty się nie znasz na interesach.

– Posłuchaj Sonny’ego, skarbie. To superpomysł.

Super? Ravi nigdy tak nie mówił.

– Chodzi o biznes ze starszkami – ciągnął Sonny. – W moim kraju opiekujemy się starszymi ludźmi. Wiesz, jak się nazywa nasz program

emerytalny? Rodzina! A tutaj, w Wielkiej Brytanii, co się z nimi dzieje? Nikt się nie przejmuje tymi starymi biedakami, ich rodziny są rozproszone po całym świecie. Czy ludzie tacy jak ty dbają o swoich starych rodziców?

– Ja dbam o mojego ojca – powiedziała Pauline.

– A co się dzieje z pieniędzmi, które są dla nich przeznaczone? – zapytał Sonny. – Wasz system opieki zdrowotnej ledwo zipie...

– Jakbym o tym nie wiedział – wtrącił Ravi.

– ...dowodem jest historia tej Muriel. Widziałem w BBC Worldwide, jak leży w korytarzu, porzucona niczym śmieć...

– Bo nie pozwoliła, żeby... – zaczęła Pauline.

– Nie o to chodzi – odparł Ravi. – Wiem, że to rasistka i stara bigotka. Chodzi o to, że musimy się zmierzyć z problemem gwałtownie rosnącej liczby starszych ludzi...

– I co ich czeka? – przerwał mu Sonny. – Bieda! Ludzie żyją coraz dłużej, moja droga, i nie wystarcza pieniędzy na ich utrzymanie.

– Nas też to wkrótce czeka – zauważył Ravi.

– Nie tak szybko! – warknęła Pauline. Nie znosiła, jak ktoś prawił jej kazania. A poza tym nie była jeszcze taka stara.

– Emerytury to bomba z opóźnionym zapłonem! – Sonny rozłożył bezradnie ręce. – To katastrofa niewyobrażalnych rozmiarów, moja droga. To wszystko już się dzieje, a będzie jeszcze gorzej. Towarzystwa ubezpieczeniowe zaprzestaną finansowania systemów emerytalnych, najpierw Equitable Life, a potem kolejne...

– ...do tego dojdą niskie stopy procentowe i krach na giełdzie – dorzucił Ravi.

– ...i wszystkie ciężko zarobione pieniądze rozplyną się w powietrzu, o tak!
– Sonny pstryknął palcami. – Z każdym rokiem będzie coraz gorzej.

Przy stoliku pojawił się kelner i chrząknął.

– Czy są już państwo gotowi, by złożyć zamówienie?

– Nie! – warknął Sonny.

– Trzeba coś z tym zrobić! – Oczy Ravięgo płonęły gorączkowo.

Pauline nigdy wcześniej nie widziała u niego takiego spojrzenia. Poczowała niespodziewany dreszcz pożądania. Za plecami jej męża ryby pływały w akwarium w tę i z powrotem, zajęte swoimi tajemnicami.

– Przez cały dzień wiszę na telefonie – powiedział Sonny. – Powinienem być teraz we Frankfurcie, ale przełożyłem podróż. To genialna myśl, olśnienie, które się zdarza tylko raz w życiu, eureka!

– Chcemy założyć dom spokojnej starości – powiedział Ravi.

– A nawet sieć domów spokojnej starości! – krzyknął Sonny.

– Wszystko po kolei – uspokoił go Ravi.

– Dobra, dobra! – Sonny zwrócił się do Pauline: – Twój wspaniały mąż i ja zakładamy dom spokojnej starości.

– W Indiach – wyjaśnił Ravi.

Pauline zauważyła, że jedna z ryb nie żyje; unosila się tuż pod powierzchnią wody uderzana bąbelkami powietrza.

Ravi rzeczywiście był już innym człowiekiem. Zaskakiwał nie tylko żonę, ale nawet samego siebie. Plan był tak odważny, że czuł krążącą w żyłach adrenalinę. Zniknęła też jego dawna ostrożność, ponieważ była w tym wszystkim jakaś nieodparta i cudowna logika. Jedynie ktoś, kto był wizjonerem, mógł ją dostrzec. Sonny dostrzegł potencjał w Ravim i go wybrał.

Ravi wyszedł bocznymi drzwiami, żeby zaczerpnąć powietrza. Chodnik był zaśmiecony niedopałkami, a w rynnie zebrały się różne odpadki – brudny dziecięcy smoczek i zużyte rękawiczki chirurgiczne. Umowy serwisowe na obsługę szpitala wygasły i St. Jude nie miał funduszy, by wynająć inną firmę.

Warunki jak w krajach trzeciego świata, pomyślał. Ja im pokażę, jak wygląda trzeci świat. I tak jak powiedział Sonny: „Skoro nie możemy zabrać Mahometa do góry, to przyprawimy górę do Mahometa”.

To wszystko miało tak zdumiewająco oczywisty sens, że Ravi się dziwił, iż nikt inny nie wpadł na ten pomysł. A może wpadł. Może w tym momencie ktoś już budował domy spokojnej starości w krajach trzeciego świata. Słońce, tania siła robocza, niskie koszty. Tam można było się opiekować starszymi ludźmi za niewielkie pieniądze, a tym samym odciążyć opiekę społeczną. Ravi i Sonny mogli założyć firmę i dogadać się z lokalnymi władzami. Sonny już się rozglądał za odpowiednią parcelą w Bangalurze w pobliżu swojego biura, za jakimś domem w marnym stanie, który można by przysposobić.

– To wcale nie jest aż tak daleko – powiedział. – Popatrz na mnie, jednego dnia jestem w Stuttgarcie, a następnego w Houston. Ludzie wskakują do samolotu jak do rikszy, to bułka z masłem. – Sonny pstryknął palcami. – Podróżujemy po całym świecie, stary. Tanimi liniami można się dostać w każde miejsce – na Malediwy, Seszele, do naszej pięknej Kerali. Wychodzi taniej niż pociągiem do cholernego Worthing, a poza tym prawdopodobnie o wiele szybciej. Pojechałem tam w poniedziałek i zabrało mi to cały pieprzony dzień. A kto chciałby utkwic w Worthing w jakimś małym pokoju cuchnącym kapustą? Czy nasi emeryci mają gnuśnieć w starej, deszczowej i koszmarnej Anglii, kiedy mogą sobie posiedzieć pod palmą, poopalać zmarszczki i wkładać sztuczne szczęki do pysznego soku z mango? A co ty byś zrobił w takiej sytuacji, hę?

– Pewnie bym tam został – powiedział Ravi, który szczerze nienawidził Indii.

Ale *on* nie musiał tam jechać; miał być łącznikiem, londyńską częścią całej operacji. Chodziło tylko o to, by wykorzystał swoje medyczne kontakty. Sonny miał rację – w dzisiejszych czasach nawet emeryci byli wyrafinowanymi podróżnikami, odwiedzali swoje dzieci w Johannesburgu i grali w golfa na Florydzie. I w tym momencie do gry wchodziła Pauline. Blenheim Travel

Agency, biuro podróży, w którym pracowała, miało stworzyć siatkę tanich lotów do Bangaluru. Sonny, który właśnie wrócił na kontynent, też nad tym pracował.

– Szef Air India to mój znajomy. Kiedyś coś tam razem kombinowaliśmy i teraz chcemy wprowadzić specjalne loty ze zniżkami dla rodzin i pakiety dla zwiedzających... Zapamiętaj moje słowa, kuzynie, będzie więcej chętnych, by polecieć do Bangaluru niż do cholernego Worthing w jakiś deszczowy czwartek.

– Głos Sonny'ego w telefonie kipiał z podniecenia. – W przyszłym roku o tej porze będziemy mieć kupę zadowolonych klientów.

– To nie są klienci, Sonny, to ludzie.

– Daj spokój, Ravi, nie bądź takim pedantem.

Pauline miała wątpliwości.

– To ogromne ryzyko. Skąd weźmiecie pieniądze?

– Finansami zajmuje się Sonny.

– A ty mu ufasz?

– Pewnie – powiedział Ravi. – On jest grubą rybą w Bangalurze i wszystkiego dopilnuje.

– Czyli czego? – zapytała.

Irytowały go obawy Pauline. Taki brak wsparcia nie był w jej stylu.

– Nie zmusisz ludzi, żeby tam pojechali – stwierdziła. – Jakiś cywilizowany, ciepły kraj to co innego, ale *Indie*. Pomyśl o chorobach.

– Myślisz, że tam są tylko chaty z gliny? – Ravi poczuł niespodziewany przypływ patriotyzmu. – Gdybyś kiedyś tam była, wiedziałabyś, o czym mówię.

– Sam byłeś w Indiach tylko kilka razy.

– Bo nie lubię tam jeździć.

– Cóż, oni też mogą tego nie polubić.

– No to wrócą do domu – odparł Ravi. – To przecież nie dożywocie. Mogą

pojechać do Indii zimą i sprawdzić, czy im to pasuje.

– Starsi ludzie lepiej się czują w znajomym otoczeniu.

– A cóż jest takiego znajomego w świecie, w którym teraz żyją? Dla większości z nich Wielka Brytania to już obcy kraj, przerażający, nieprzyjazny...

– I pełen czarnuchów – dodała Pauline.

Ravi spojrział na nią ostro. Czyżby się z niego naśmiewała?

– Cóż, zatem poczują się w Indiach jak w domu.

Touché. Leżeli w łóżku i szeptali, a zza ściany dobiegało chrapanie Normana.

– Wiem, dlaczego chcesz to zrobić – syknęła Pauline.

– No, dlaczego?

– Bo chcesz się pozbyć mojego ojca. – Odwróciła się i naciągnęła na siebie kołdrę. – Chcesz go tam wysłać, prawda?

¹ Koleś (hindi) (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

3

Nie jesteś do niczego przywiązany tak samo jak Brahma. Nie smuć się więc, że wszystko przemija.

Swami Purna

Hotel Marigold przy Brigade Road był przestronnym parterowym domem zbudowanym w 1865 roku przez Henry’ego Fowlera, który zajmował się handlem obwoźnym. Nieźle sobie radził w branży bawełnianej, dorobił się dużej rodziny i znalazł w Indiach miły dom, w którym dobrze się mieszkało. Marigold rzeczywiście był bardzo przyjemnym miejscem z tarasami z trzech stron i dziedzińcem ocienionym drzewami, wymarżonym wprost na podwieczorki pod parasolami. W tamtych czasach Bangalur był miastem garnizonowym, szczególnie uwielbianym przez Brytyjczyków ze względu na łagodny klimat, szerokie ulice i parki. Brytyjczycy rzadko zapuszczali się na stare miasto z jego labiryntem bazarów; mieszkali na obszarze wyznaczonym przez trzy główne ulice – Cantonment, Cunningham Street i Defence Lines – który nazywali Garden City. Ich solidne wiktoriańskie rezydencje tworzyły atmosferę trwałości i władzy nawet wtedy, gdy oni sami, uformowani z bardziej kruchego i nietrwałego materiału, dawno już odeszli i zostali pochowani na anglikańskim cmentarzu przy kościele Świętego Patryka.

Fowler zmarł, umarli jego spadkobiercy, a dom został na jakiś czas przejęty przez inspektorat do spraw infrastruktury dróg wodnych, a później przez zakonnice, które prowadziły w nim szkołę podstawową. Kiedy Indie odzyskały niepodległość, a Brytyjczycy wyjechali, Marigold został zamieniony w pensjonat

i taką rolę odgrywał do dzisiaj. W latach sześćdziesiątych zrobiono dobudówkę, później zainstalowano również klimatyzację w najczęściej używanych pokojach i łazienkach z kapryśną instalacją, a wreszcie dodano pokój z łazienką. Jednak w zasadniczej mierze budynek pozostał niezmieniony: dwadzieścia pokoi z kwiecistymi narzutami na łóżkach i źle dobranymi kremowymi meblami. Był także hol z fotelami obitymi perkalem i ciężką biblioteczką z drewna tekowego, w której stały książki w miękkich oprawach pozostawione przez poprzednich gości, oraz ogromna ciemna jadalnia. Tak samo jak w wielu podobnych miejscach, meble wydawały się zbyt ciężkie lub za mało solidne, jakby ktoś umieścił je tam tymczasowo, dopóki nie znajdzie się coś lepszego. W hotelu panowała senna atmosfera: tykały zegary, szumiały wentylatory, a z kuchni dobiegał przytłumiony brzęk patelni i garnków. W ptaszarni ćwierkały papużki faliste, a w ogrodzie kwitły nagietki i róże. Naprawdę można było się poczuć jak w Turnbridge Wells.

Mały zakątek Wielkiej Brytanii, napisał Sonny. Oaza pełna staroświeckiego uroku w środku tętniącego życiem nowoczesnego Bangaluru. Przygotował też wstępną wersję promocyjnego materiału wideo.

Najlepszy egzotyczny hotel Marigold łączy spokój lat minionych z ekscytującymi rozrywkami współczesności – zakupami i turystyką. Ciesz się atmosferą przeszłości umiejętnie połączoną z walorami nowoczesności: wszystkie pokoje, zarówno te luksusowe, jak i standardowe, wyposażone są w bezpośrednie linie telefoniczne i telewizory. Wyborna kuchnia serwuje potrawy indyjskie i angielskie. Przyjedź i pozwól się rozpieszczać! Zasługujesz na to!

Hotel Marigold rzeczywiście był oazą. Wokół niego wyrosło nowe miasto, ceny działek podskoczyły horrendalnie, sąsiednie domy zburzono, a na ich miejscu postawiono biurowce. W ciągu ostatnich dwunastu lat wraz z rewolucją

technologiczną nastąpił gwałtowny rozwój przedsiębiorczości. Garden City zmieniło się w Corporate City, a hotel Marigold stracił klientów na rzecz nowych wielkich hoteli, które wyrastały na Brigade Road jak grzyby po deszczu: Oberoi, Taj Balmoral, Ramanashree Comfort Inn. Hotele oferowały sale konferencyjne i apartamenty, dwudziestoczterogodzinną obsługę oraz salony odnowy biologicznej i siłownie, w których biznesmeni próbowali wypocić z siebie nadmiar curry. Marigold nie był w stanie konkurować z czymś takim. Miał co prawda małą klientelę złożoną z uboższych turystów, ale nikt nie zatrzymywał się tu na dłużej, a poza tym wbrew temu, co twierdził Sonny, Bangalur nie miał zbyt wiele do zaoferowania turystom i był traktowany głównie jako przystanek w drodze do innego punktu przeznaczenia – do Mysuru lub – w przypadku tych odważniejszych i żądnych przygód – ruin Hampi. I nawet wtedy większość turystów miała w pakiecie pobyt w którymś z pięciogwiazdkowych hoteli.

Tak więc hotel Marigold powoli chylił się ku upadkowi. Jego właścicielem był spokojny pars o imieniu Mino. Dzięki kombinacji bezwładu i sentymentalizmu Mino skutecznie się opierał propozycjom deweloperów, którzy chcieli go wykupić. Odziedziczył hotel po rodzicach i nie chciał patrzeć, jak ktoś burzy dom jego dzieciństwa i stawia na jego miejscu biurowiec. Ale oferta Sonny'ego Rahima była o wiele bardziej atrakcyjna.

– Tylko pomyśl, przyjacielu – powiedział Sonny. – Sto procent obłożenia, żadnych pustych pokoi, żadnych odwołanych rezerwacji. To marzenie każdego hotelarza!

Siedzieli w pustej jadalni. Mino znał Sonny'ego, ponieważ ten był właścicielem sąsiedniego budynku – Karishma Plaza – betonowego gmaszyska, szkaradnego nawet jak na standardy Bangaluru, w którym mieściły się sklepy i biura. Nie było wątpliwości, że Sonny ma zapał i energię.

– Potrzebna będzie mała modernizacja – stwierdził Sonny. – Niewielkie zmiany, ale przecież nie mówimy tu o jakichś starych ramolach, którzy są jedną

nogą w grobie, nie trzymają moczu i są kompletnie zniedołężniali...

– A co będzie, jak się tacy staną? – zapytał Minoo. – W końcu wszystkich nas to czeka.

– Wtedy załatwię, żeby ich przenieśli do szpitala Wiktorii, albo odeślemy ich do domu, zresztą zgodnie z przepisami stosowanymi w takich przypadkach w brytyjskich placówkach. No i oczywiście będziemy mieć do dyspozycji wykwalifikowanego lekarza. Rozmawiałem już w tej sprawie z doktorem Sajitem Ramą. To mój dobry kolega, kieruje kliniką Meerhar w Elphinstone Chambers, no i zakładam, że będziemy mieć w naszej rezydencji wyszkoloną pielęgniarkę, czyli twoją wspaniałą żonę.

To prawda. Żona Minoo była pielęgniarką, zanim wyszła za niego za mąż. A właściwie kimś w rodzaju pielęgniarki. Wszystko pasowało.

– Mój kuzyn, doktor Ravi Kapoor, mieszka w Londynie – powiedział Sonny. – Będzie kierował brytyjską stroną operacji. Razem zakładamy firmę Ravison Residential Houses. Jego żona będzie naszą współniczką i zajmie się organizowaniem podróży. Rozmawiamy o wielkiej sprawie, przyjacielu. – Sonny wyciągnął rękę i potrząsnął butelką wody mineralnej. – Przyłącz się do nas, a zgarniesz główną nagrodę! Już widzę, jak nasze imperium się rozrasta: domy seniora w ciepłych krajach – południowa Afryka, Cypr – wszędzie tam, gdzie nie ma deszczu i przestępstw, gdzie życie jest tanie, a obsługa doskonała. Widzę sieć naszych domów, między którymi nasi klienci będą mogli swobodnie podróżować, jeśli przyjdzie im na to ochota. Taka własność wakacyjna dla aktywnych starszków. Tak właśnie funkcjonuje ten świat. Od małego żołędzia do wielkiego dębu, czyż nie?

Tego człowieka wprost rozpierała energia. Rozmowę co chwilę przerywał im pisk jego komórki. Sonny chodził w tę i z powrotem i krzyczał coś do słuchawki. Koszula na jego plecach była wilgotna od potu.

Minoo rozejrzał się po jadalni. Zasłony były zaciągnięte, ale przez szpary

przebijały się ostre promienie słońca i raziły go w oczy. Co się dzieje, kiedy umieramy? – zastanawiał się. Skąd tak naprawdę możemy to wiedzieć? Nagle jadalnia wypełniła się gośćmi, widział, jak rozmawiają, kiwając siwymi głowami. Wszyscy byli starsi od niego i zmierzali w stronę białego światła.

– A co się stanie, jak ktoś umrze? – zapytał.

– To samo, co w Anglii – odparł Sonny. – Kremacja, pogrzeb... Zostaw to mnie, ja się wszystkim zajmę.

Co się z nami wszystkimi stanie? – zastanawiał się dalej Manoo. Mnie sępy wydziobią oczy, bo zostanę wyekspediowany na tamten świat zgodnie z tradycją parsów. I co wtedy?

Krzesło zatrzeszczało pod ciężarem Sonny'ego. Mężczyzna czekał na odpowiedź, ale Minoo był zatopiony w myślach i walczył ze swoim strachem. Pewnie nie było powodu do obaw... Wystarczyło się poddać temu, co nieuniknione.

– Chciałbyś porozmawiać o tym z żoną? – zapytał Sonny.

– Poszła do kosmetyczki. – Myśl o Razii sprawiła, że odzyskała świadomość.

– Chcę być z tobą szczerzy, przyjacielu. Moja żona nie jest zbyt doświadczoną pielęgniarką. Pracowała tylko w klinice stóp.

– To bez znaczenia.

– Była asystentką podologa.

Sonny wzruszył ramionami i dodał wymijająco:

– Raz pielęgniarka, zawsze pielęgniarka.

Nagle Manoo zapłonął oburzeniem i poczuł rosnący bunt. Chociaż raz to *on* podejmie decyzję. Wyobraził sobie, jak Razia wraca do domu z krwistoczerwonymi paznokciami i otwiera usta ze zdumienia. Wyobraził też sobie swoją matkę, jak zamiera z filiżanką herbaty w dłoni.

– Porozmawiajmy o liczbach – powiedział, wprawiając w zdumienie samego siebie, bo nigdy przedtem nie wypowiadał takich słów.

Z kuchni dobiegł brzęk tłuczonego szkła. Kucharz Fernandez znowu był pijany.

Sonny otworzył teczkę i wyciągnął z niej plik papierów. Umowa została podpisana. Był czerwiec i minął zaledwie miesiąc od chwili, gdy Ravi zwierzył mu się w hotelu Royal Thistle w Bayswater.

Załatwił już lokal, więc teraz przyszła pora na marketing. Sonny zamierzał założyć stronę internetową, wydrukować kolorowe foldery i wydać promocyjne wideo, a potem rozesłać wszystko do odpowiednich agencji w Anglii. Z myślą o tym umówił się ze szwagrem swojego kuzyna, Vinodem.

Vinod chciał w młodości zostać reżyserem filmowym. Fotografował się w otoczeniu bollywoodzkich gwiazdeczek, podobnie jak Sonny, o którego wyczynach czytał w czasopiśmie „Calling Bangalore”. Niestety los napisał dla niego inny scenariusz i po wielu finansowych katastrofach Vinod znalazł swoje miejsce w życiu i jako mężczyzna w średnim wieku został właścicielem studia fotograficznego na Airport Road. Jego specjalnością były śluby i właśnie podczas filmowania uroczystości zaślubin siostrzeńca Sonny odciągnął Vinoda na bok w kępę bugenwilli i przedstawił mu swój plan.

W następnym tygodniu zastukał do studia Vinoda i pokazał mu folder. Miał już rozrysowane kadry całego filmu.

– Zaczynamy od pokazania ponadczasowego piękna naszego kraju. – Sonny wskazał plakat wiszący na ścianie. – Ujęcie Tadž Mahal w promieniach zachodzącego słońca.

– Zachód słońca to chyba nie jest najlepszy pomysł – zauważył Vinod.

– Co? Chodzi o to, że musimy umrzeć? – Sonny wzruszył ramionami. – W porządku, niech będzie wschód. A w tle jakaś raga¹...

– To zbyt obco brzmi – powiedział Vinod.

– ...a potem przegląd turystycznych atrakcji Bangaluru.

– Jakich atrakcji?

– Pałac Tipu, przyjacielu! Cubbon Park i nasz ogród botaniczny! Wspaniała oferta turystyczna dla koneserów. Chciałbym, żebyś się skoncentrował na okresie panowania Brytyjczyków – wieża zegarowa, pomnik królowej Wiktorii i te sprawy. Mój temat przewodni to: „mały zakątek, który na zawsze pozostanie angielski”.

Z zewnątrz dochodziło ogłuszające dudnienie ulicy, którą niezliczone tłumy podróżnych podążały w kierunku lotniska. W związku z przerwą w dostawie prądu nie działała klimatyzacja, więc Vinod otworzył okno. W studiu śmierdziało spalinami i musieli podnosić głos, żeby przekrzyczeć uliczny hałas.

Vinod musiał to przyznać: jego życie było porażką. Już od dawna to przeczuwał, ale dopiero teraz, gdy był już po pięćdziesiątkę, zdołał ubrać tę straszną myśl w słowa. Tysiące nagranych wesel bezpowrotnie zniszczyło jego kreatywność. Wszystkie próby artystyczne – fragment ujęcia zabłąkanego kota czy montaż sekwencji tańczących stóp – były przyjmowane z konsternacją, a czasami odmawiano mu nawet zapłaty. Dodatkowo Vinod był obarczony wyjątkowo irytującą żoną i lekkomyślnymi synami. Dokumentowanie sukcesów innych ludzi, podczas gdy on sam miał tak mało powodów do świętowania, było ogromnie frustrujące. Tak więc perspektywa nowej pracy przyprawiała go o żywsze bicie serca, i to pomimo apodyktyczności Sonny’ego i jego nalegań, by część filmu poświęcona tętniącemu życiem centrum Bangaluru zawierała ujęcia domów towarowych należących do jego partnerów biznesowych.

– Sklep z zabawkami? – zdziwił się Vinod. – Ci ludzie chyba mają dzieciństwo już dawno za sobą?

– Ale mają wnuki.

– Magazyn z zasłonami? – zapytał Vinod. – Myślisz, że będą ich potrzebować? Pokoje hotelowe na pewno są umeblowane i urządzone.

Sonny zbył to pytanie śmiechem. Ogarnięty biznesowym zapalem uważał, że wszystko jest możliwe. Był też posiadaczem połowy pakietu akcji Surinama Silk House.

– Sari to posmak ponadczasowej elegancji, szczególnie w przypadku dojrzałych kobiet.

– Ale to są Angielki – powiedział Vinod. – Nie zaczną nagle nosić sari.

– Nie bądź takim cholernym pesymistą. – Sonny zamilkł na chwilę. – Ach, to mi podsunęło pewien pomysł. Pokazy mody! Postawię na rozrywkę. Kiedy już zamieszkają w naszym kraju, będą mieć przecież dość pieniędzy, żeby je przepuszczać! To się nazywa fundusz emerytalny!

Vinod nagle zaczął się dobrze bawić. Większość jego zleceń polegała na tym, by upozować rodzinę do fotografii i upewnić się, że biżuteria jest odpowiednio wyeksponowana. Już od wielu lat nie prowadził z nikim tak twórczej rozmowy.

A kręceniu filmu o Marigold towarzyszyły różne ustalenia i paplanina Sonny'ego o obrotach i wpływach.

– I do tego brytyjska muzyka – powiedział Vinod. – Wariacje *Enigmy* to będzie dobry kawałek. Mam u siebie płytę.

– I szeroka perspektywa ogrodu – dorzucił Sonny. – Drzewa, kwiaty, spokój. I kolibry spijające nektar.

– Kto robi ten film? – zapytał Vinod. – Zostaw to wszystko mnie.

Sonny zupełnie się nie spieszył.

– I bufet w jadalni, przyjacielu. Tradycyjne potrawy kuchni indyjskiej i ciastka z kremem!

Walka, seks i jedzenie, pomyślał Vinod. W młodości chciał kręcić filmy o dzikiej przyrodzie. Aby widzowie chcieli je oglądać, musiały zostać spełnione wszystkie powyższe warunki. W tym szczególnym przypadku pierwsze dwa były niestosowne, ale jedzenie w dalszym ciągu pozostawało bardzo żywotną kwestią. W końcu tylko po to żyjemy, kiedy jesteśmy starzy.

Sonny chodził tam i z powrotem. Vinod wolałby, żeby tego nie robił, bo potykał się o składane krzesła, na których kiedyś, wiele lat temu, posadził swoich synów wystrojonych w szkolne mundurki i zrobił im zdjęcia. Siedzieli tam i promienieli nadzieją na przyszłość. A teraz, dwadzieścia lat później, Vinod był w tym samym miejscu. Nic się nie zmieniło oprócz tego, że on był starszy, synowie poszli swoją drogą, a szum ruchu ulicznego urósł do ryku.

– I nie zapomnij o lekarzu – powiedział Sonny. Vinod wrócił do rzeczywistości. – On jest pierwszorzędny, sam się u niego lecę. Zrób mu zdjęcia w gabinecie.

Doktor Sajit Rama prowadził klinikę leczącą choroby przenoszone drogą płciową. Następnego dnia Vinod załadował sprzęt do rikszy i polecił kierowcy, by zawiózł go na Elphinstone Chambers.

W poczekalni było gęsto od dymu z *bidi*. Wszyscy mężczyźni siedzieli ze wzrokiem wbitym w podłogę. *To się nie dzieje naprawdę, mnie tu nie ma*, mówiły ich ciała. Vinod rozpoznał mężczyznę, który sprzedawał płyty kompaktowe przed wejściem do siedziby Air India. Przywiodła go tu krótka chwila przyjemności? – zastanawiał się. Czy była warta takiej ceny?

Wprowadzono go do gabinetu lekarza. Doktor Rama wstał zza biurka i podał mu rękę. – Przyjaciele Sonny’ego są moimi przyjaciółmi. – Był przystojnym mężczyzną z burzą włosów. – Szczerze mówiąc, nie jestem geriatrą.

– A ja nie jestem Alfredem Hitchcockiem – przyznał Vinod. – Ale wszyscy musimy jakoś zarabiać na życie, prawda?

Vinod ustawił kamerę. Zamierzał sfilmować scenę konsultacji. Ponieważ w tej klinice leczono rzeżączkę, rozmowa z pacjentem miała zostać wyciszona. Vinod chciał nakręcić sześćdziesięciosekundową scenę, podczas której lekarz słucha pacjenta, i nałożyć na to muzykę.

Ustawił lekarza na tle oprawionego w ramkę dyplomu. Mężczyzna był

nieprzyzwoicie przystojny, wyglądał jak gwiazdor filmowy. Vinod już widział oczami wyobraźni, jak angielskie damy wymyślają różne dolegliwości, by umówić się do niego na wizytę. Taki gość zawsze się będzie cieszył uwielbieniem kobiet.

Ciekawe, kto się o mnie zatroszczy, gdy będę stary? – zastanawiał się. Na pewno nie synowie. Traktowali go bardzo niegodziwie, czyżby nie mieli poczucia odpowiedzialności za rodzinę? Ani odrobiny szacunku?

Pielęgniarka wprowadziła pacjenta. Był to szczupły mężczyzna, który wyglądał na przerażonego. Pacjent usiadł na brzegu krzesła i przeczesał włosy.

– W czym problem? – zapytał doktor Rama.

– Chodzi o wydzielinę stamtąd – powiedział mężczyzna i spojrzał na kamerę.

– Zapewniam pana, że wszystko zostanie między nami – zapewnił lekarz. – Mój kolega nagrywa to w zupełnie innym celu.

– To się zdarzyło tylko raz, sahib – wyjaśnił pacjent. Doktor Rama pokiwał głową ze współczuciem. Wszyscy mówili to samo. – I zostałem za to ukarany. – Mężczyzna zapalił *bidi*. Trzęsły mu się ręce. – Proszę nie mówić o tym mojej żonie! Wykopałyby mnie z domu!

– Proszę wejść za parawan i opuścić spodnie – polecił doktor Rama.

Kiedyś Vinod też zażywał cielesnych rozkoszy. Przez lata odwiedzał Chulę, czarującą młodą damę, która pracowała w pewnej instytucji w pobliżu Gandhi Market. Nawet jego żona wykazywała się większym entuzjazmem w pierwszych latach małżeństwa, zanim skumała się z synami i zaczęła go lekceważyć.

Zza parawanu dobiegł skowyt. Mam pięćdziesiąt lat i wszystko już za mną, pomyślał Vinod, gdy chował kamerę. A co będzie po siedemdziesiątce? Albo osiemdziesiątce? Jedyne wyjście to znieść swój los, próbować czynić dobro – proszę, oto pomaga swojemu przyjacielowi za niewielką opłatą – i modlić się o lepsze rzeczy w przyszłym życiu. Po południu pójdzie do świątyni i zmówi modlitwę; ona nigdy go nie zawodziła i ratowała jego duszę.

1 W muzyce indyjskiej rodzaj melodii i tonu o charakterystycznym wyrazie emocjonalnym.

4

O Panie, Ty, który jesteś boskim płomieniem i znasz drogi wszystkie, prowadź nas ścieżką dobrych uczynków ku wiecznej szczęśliwości.

Iśa Upaniszada

Pod koniec sierpnia wszystko było przygotowane. Hotel został zamknięty dla przypadkowych gości i zawieszono na nim nowy szyld: NAJLEPSZY EGZOTYCZNY HOTEL MARIGOLD – TYLKO DLA STAŁYCH MIESZKAŃCÓW. Ustalono nowe, korzystne ceny, dużo niższe w porównaniu z brytyjskimi. Zapał Sonny’ego porwał do działania ospałych robotników i w rezultacie wszystkie pokoje były gotowe, hol przemalowany, a rampa dla wózków inwalidzkich zainstalowana. Rozwiązano też kwestię wiz, a biuro podróży Blenheim Travel, w którym pracowała Pauline, wynegocjowało tańsze loty. Zgodnie z informacjami zawartymi w folderze Indie były krajem kontrastów. Zaskakującym i frustrującym, nurzającym się w biurokracji i korupcji, lecz jednocześnie pełnym magii, jeśli tylko się wiedziało, komu szepnąć słówko. Sonny wiedział.

– Przyzwyczaisz się do tego, moja droga – zapewnił Pauline przez telefon. – Nie chodzi o to, żeby komuś posmarować, chodzi o to, żeby trzymać go za rękę.

Jak dotąd obaj kuzyni jeszcze nigdy się nie poróżnili, ponieważ prawie się nie znali. Zostali rozdzieleni w dzieciństwie, jeden został pedantycznym lekarzem, a drugi bezczelnym biznesmenem i nie mieli ze sobą wiele wspólnego. Jednak teraz wdarła się między nich pewna oschłość dotycząca nazwy firmy:

zdaniem Sonny'ego nazwa Ravison przechylała szalę na korzyść Ravięgo. A kto wykonywał większość czarnej roboty? Z drugiej strony Sonnyrav brzmiało trochę nieskładnie. Poza tym Sonny musiał przyznać, że jego prawdziwe imię – Sunil – nie pasuje do żadnej kombinacji. Tak więc, chociaż oddaleni, byli zjednoczeni wspólnym przedsięwzięciem.

A w Dulwich napięcie ciągle rosło. Ravi był coraz bardziej zdeterminowany. Zamykał się w swoim gabinecie, jedynym pomieszczeniu, do którego Norman nie miał wstępu, i spędzał tam wszystkie wieczory pochylony nad klawiaturą komputera. Był jeszcze szczuplejszy, o ile to w ogóle możliwe, a w jego spojrzeniu czaiło się szaleństwo. Z jego ust wydobywały się obce słowa typu *wyznaczyć priorytety* i *ogólny rozrachunek*. Pauline podejrzewała, że w ogólnym rozrachunku nie chodziło o nowy interes, lecz o nienawiść do jej ojca.

To prawda, że życie pod jednym dachem ze starym człowiekiem nie było łatwe, a po długim lecie sprawy osiągnęły punkt krytyczny. Uczucia Pauline w stosunku do ojca były dość skomplikowane. Ale ona mogła sobie na nie pozwolić.

– Dlaczego jesteś miły dla swoich pacjentów, a jego traktujesz jak śmiecia? – zapytała.

– Bo pacjenci to moja praca.

– Więc udawaj, że on też jest twoim pacjentem.

– Ale nie jest – odparł Ravi. – Jest odrażającym, egoistycznym bydlakiem.

– Nie mów tak!

– Sama tak mówisz.

– Ale ja jestem jego córką. – Pauline rzuciła mu gniewne spojrzenie. – Tobie łatwo być dobrym synem, bo twoi rodzice mieszkają w Indiach.

– No właśnie. Dlatego twój ojciec też powinien tam pojechać.

Norman odmówił.

– Chcecie się mnie pozbyć – biadolił. – Całe życie byłem w podróży. Nie zasługuję na trochę odpoczynku? – Oczy Normana wypełniły się łzami. – Mam siedemdziesiąt sześć lat, drogi chłopcze, i chciałbym spędzić ostatnie chwile z moim jedynym dzieckiem.

– Ale ona cały dzień jest w pracy – zauważył Ravi. – Pomyśl o słońcu i miłym towarzystwie.

– Nie przejmuj się, już długo nie pociągnę – powiedział Norman. – Nie będziesz musiał się mną więcej przejmować.

Co za bzdury, przeżyjesz nas wszystkich, pomyślał Ravi. Jeśli tak dalej pójdzie, na pewno ci się uda. Poczł, że brakuje mu tchu. To prawdopodobnie wczesne objawy rozedmy płuc z powodu biernego palenia.

– Skoro Indie są tak cholernie cudowne, to dlaczego stamtąd wyjechałeś? – zapytał Norman.

– Ponieważ tutaj są lepsze warunki zdrowotne.

– Aha! – Norman parsknął śmiechem. – I tu cię mam!

– To znaczy *były* – powiedział Ravi. – Wszystko zmieniło się nie do poznania.

Pauline spojrzała na męża. Jej ojciec wzbudzał w Ravim wszystko, co najgorsze; sprawiał, że stawał się sztywny, obłudny i pyszałkowaty. Podejrzewała też, że już go nie pociąga; czasem dziwnie na nią patrzył, przyglądał się jej twarzy i badał podbródek.

I nagle sobie uświadomiła, że jej małżeństwo wisi na włosku. Wyobraziła sobie, jak Ravi przekracza próg innego domu i siada w innym fotelu. Widziała to bardzo wyraźnie. W ciągu kilku miesięcy znajdzie sobie inną kobietę, bo jest bardziej zdesperowany, niż sądziła. Położyła folder na kolanach ojca.

– Tato, obejrzyj to jeszcze raz. Polecę z tobą i urządzę cię tam. – Uśmiechnęła się do niego. – Będziesz naszym pionierem.

– Nie ma mowy – odparł Norman. – Masz na myśli to, że będę tam całkiem sam.

– Ależ skąd. Dopiero daliśmy ogłoszenie, a już dzisiaj odebraliśmy mnóstwo telefonów. – W sumie dwa, ale to dopiero początek. – A poza tym będę cię często odwiedzać. Tylko spójrz! – naciskała Pauline. – Mamy pakiety dla rodzin i możemy je łączyć z tygodniowym wypoczynkiem nad morzem. Bangalur leży tylko dwieście kilometrów od morza. Goa też jest niedaleko. Toby i Eunice spędzili tam całą zimę. Pamiętasz ich? Twoich starych sąsiadów?

– Pewnie, że pamiętam. Nie jestem kompletnie zramolały.

– I nie musisz się martwić o język – powiedział Ravi. – Wszyscy mówią po angielsku, a poza tym kiedyś tam rządiliście, więc wiesz, że w Indiach nadal szanują Brytyjczyków – to ta stara dobra kurtuazja.

Norman zmrużył oczy.

– Przestań mi się podlizywać. Wyślijcie mnie do jakiegoś domu opieki w Anglii. Pojadę tam i będę grzeczny...

– Nigdzie cię nie przyjmą...

– Byle nie do tych pieprzonych Indii. To mnie zabije. O ile najpierw nie zabije mnie ta operacja.

W poniedziałek Norman został przyjęty do szpitala St. Jude na operację prostaty. Ravi nie mógł już znieść odoru moczu w łazience ani obsikanego dywanika. Wykonał więc kilka telefonów i wpisał teścia na listę oczekujących na zabieg. Nie mówiąc już o tym, że dzięki temu miał sposobność, żeby pozbyć się go na kilka dni z domu.

W poniedziałkowy poranek Ravi wiozł teścia do szpitala. Norman był wyjątkowo spokojny. Ravi przez chwilę prawie współczuł staremu draniowi.

– To rutynowy zabieg – powiedział. – Nie ma się czego bać.

– Teraz jesteśmy sami... – Norman zniżył głos. – Facet z facetem...

– Wszystko będzie dobrze.

– Mój fiut jest już stary... – Norman wziął głęboki oddech. – I tak między nami muszę ci powiedzieć, że nie jest już tak, jak było kiedyś. Kolejny gwóźdź do trumny i tak dalej.

– Nic się nie zmieni poza tym, że będziesz miał wytrysk do wewnątrz, a nie na zewnątrz.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Ravi cieszył się efektem, jaki wywarły jego słowa. Posuwali się wolno w ulicznym korku.

– Czyli co? – zapytał Norman.

– Nasienie wróci do jąder, ale nie będziesz miał żadnych problemów z erekcją, wszystko będzie jak zwykle – odparł nerwowo Ravi, ponieważ niedawno dostał rachunek telefoniczny; dowód na to, że ten stary onanista korzysta z jego komputera.

Ale dzięki tej rozmowie wpadł na pewien pomysł.

Podczas przerwy na lunch wsiadł do windy i pojechał na oddział urologiczny. Szczerze pragnął, by Norman podpisał zgodę na pobyt w hotelu Marigold. Nie tylko z oczywistych powodów, lecz głównie w związku z perspektywami na przyszłość. Gdyby Norman pojechał do Indii, inni poszliby za nim. Ravi był rozsądnym człowiekiem, ale w głębi duszy czuł, że dopadają go przesady. W Indiach, w innym życiu, mógłby się targować z bogami, pójść do świątyni i prosić o łaskę.

Ale tutaj rządziły prawa ludzkie. Poszedł więc do dyżurki i odszukał swojego kolegę, doktora Amira Hussaina.

Norman nie miał nic przeciwko Hindusom jako takim. Na litość boską, przecież jego córka poślubiła jednego z nich. Na szczęście w tym przypadku początkowe

przerażenie zmieniło się w ulgę, bo Ravi okazał się bardziej brytyjski niż Brytyjczycy.

Norman był bardzo tolerancyjnym człowiekiem. Podczas swoich podróży spotykał wielu Hindusów. W Afryce prowadzili różne interesy, byli właścicielami sklepów i pieli się po szczeblach kariery. Tak samo w Anglii – można ich było znaleźć wszędzie; byli właścicielami sklepików i wielkich firm i rozprzestrzeniaли się jak wysypka. Nikt nie mógł go oskarżyć o bigoterię.

Ale gdy na oddział przyszedł lekarz, Norman już nie był tak pewny swego. To oczywiście nie było nic osobistego, tylko chwila słabości, chodzi przecież o delikatną sprawę, więc byłoby miło ujrzeć białą twarz.

Lekarz przysiadł na jego łóżku. Towarzyszyła mu urodziwa pielęgniarka, na oko Filipinka.

– Ma pan jakieś pytania, panie Purse? – zapytał lekarz. Identyfikator informował, że nazywa się Amir Hussain.

– Nikt mnie nie poinformował, co będzie z moim wytryskiem. To trochę krępujące, no nie? – Norman uśmiechnął się do pielęgniarki. – Nie będę wiedział, czy dochodzę, czy już doszedłem.

– Otóż to! Cieszę się, że nie stracił pan poczucia humoru. – Lekarz odesłał pielęgniarkę i zniżył głos. – W Bangalurze, skąd pochodzę, ten zabieg nosi miano Wielkiego Odrodzenia.

– Mówi pan, Bangalur?

Lekarz pokiwał głową.

– Prawdę powiedziawszy, wielu mężczyzn zgłasza się na ten zabieg, zanim zajdzie potrzeba. To bardzo działa na kobiety. – Doktor Hussain mrugnął okiem. – Wie pan, co mam na myśli? Ci mężczyźni są tak bardzo popularni, że muszą się opędać od kobiet. Nie ma ryzyka zajścia w ciążę i to niesamowicie je przyciąga. A kobiety w Bangalurze są niezwykle ponętne i zmysłowe.

– Serio?

– I słyną z pomysłowości. Wie pan, w Indiach seks jest podstawą kultury. Jestem pewien, że słyszał pan o naszej *Kamasutrze*.

Norman przytaknął z entuzjazmem.

– Fallus jest w Indiach obiektem uwielbienia, zwłaszcza w Bangalurze. Mamy tam najbardziej erotyczne rzeźby na świecie. – Doktor Hussain pochylił się nad Normanem. – Drogi panie, oczy wyjdą panu na wierzch.

Norman spojrział na doktora Hussaina. Ten facet jest lekarzem, chyba wie, co mówi, pomyślał.

– Proszę mi zaufać. Jeśli się uda panu tam pojechać, gwarantuję, że nie będzie pan chciał wrócić do domu. – Lekarz przysunął się tak blisko, że Norman poczuł zapach mięty w jego oddechu. Doktor Hussain mrugnął do niego i szepnął: – Tyle cipek, że będziesz kaszlał futerkiem.

Dzień po operacji Ravi pojechał na oddział urologii. Norman ubrany w piżamę siedział w sali telewizyjnej. Tuż przy nim zasiadł starszy mężczyzna z Jamajki i razem oglądali *Gildę*. Obok nich spoczywały woreczki z moczem, do których byli podłączeni za pomocą cewników.

Norman wskazał na Ritę Hayworth.

– Co za kobieta. Dzisiaj już takich nie ma.

– Co za kobieta – przytaknął facet z Jamajki.

– Jak się dzisiaj czujesz? – zapytał Ravi.

– Trochę sikałem – zachichotał Norman. – Rozumiesz to? Sikałem? Czuję się jak nowo narodzony. – Kiwnął głową w kierunku sąsiada. – Opowiedz mojemu kumpłowi o tym domu, który założyłeś.

Mężczyzna z Jamajki radośnie pokiwał głową. Ravi poczuł nagły przypływ czułości do obu starszków – siedzieli tam jak dwie stare ciotki z woreczkami pełnymi moczu. A gdy Norman znowu się odezwał, już wiedział, że jego plan

zadziałał.

– Chłopie, mogę jeszcze raz rzucić okiem na ten folder?

5

*Mów lub działaj z nieczystym umysłem,
a problemy będą podążać za tobą,
jak koło podąża za wołem, który ciągnie wóz...
Mów lub działaj z czystym umysłem,
a szczęście podąży za tobą,
jak twój cień, niezachwiane.*

Budda

Evelyn Greenslade była naprawdę wspaniałą osobą, ulubienicą wszystkich mieszkańców i pracowników Leaside. Trochę roztargnioną i żyjącą przeszłością, ale bardzo niezwykłą. W Leaside wyczuwało się przeszłość; wspomnienia młodości były tak bliskie, że czuło się ich oddech na twarzy. Te odległe lata pozostały niezachwiane i niezmiennie; kiedy starzy pensjonariusze zasiadali w holu lub oglądali w swoich pokojach telewizję, ściskając w dłoniach filiżanki ze stygnącą herbatą, powracały do nich złote popołudnia młodości. Evelyn dryfowała w samotności, bo czemuż by miała opierać się fali? Ale prąd znosił ją na brzeg. Tam czekali jej bracia i przyjaciółki ze szkoły; wszyscy trwali w bezruchu niczym figurki z wesołego miasteczka, czekając, aż naciśnie guzik, żeby mogli wrócić do życia. Niekiedy powracały do niej chwile z dzieciństwa, tak krystalicznie czyste i przejrzyste, jakby zdarzyły się wczoraj.

Evelyn zawsze była uległą marzycielką, która nikomu nie przysparzała zmartwień. Dlatego personel bardzo ją lubił. I dlatego przyjechała do Leaside, zgadzając się z opinią swoich dzieci, które uważały, że dłużej sobie sama nie

poradzi. „Nie chcę być dla was ciężarem”, powiedziała.

Jej syn i córka mieli własne życie, a poza tym mieszkali daleko. Christopher urządził się z żoną w Nowym Jorku; miał pracę, której nie rozumiała, i nową rodzinę. Podczas ostatniej wizyty kupił Evelyn komputer, żeby mogli pisać do siebie e-maile, ale miał tylko pół godziny, żeby nauczyć ją, jak to robić. Udawała, że wszystko rozumie, bo wiedziała, że syn się zdenerwuje, i w rezultacie przez ostatnie pół roku musiała się mierzyć z własną niekompetencją. Najpierw postawiła komputer na toalecie, ale tam zajmował cenną przestrzeń, więc zdegradowała go do poziomu podłogi.

To syn wpadł na pomysł, że powinna sprzedać dom. Christopher oczywiście miał rację. Od śmierci Hugh nie mogła sobie z niczym poradzić. Wszystko się psuło w tym samym czasie; wszystko to, co kiedyś naprawiał jej mąż. Była taka słaba! Wydawało się, że to się stało z dnia na dzień – schody były zbyt strome, a zakrętki butelek zbyt oporne. Nagle, nie wiadomo z jakiej przyczyny, wybuchała płaczem. A okolica, w której teraz samotnie mieszkała, wydawała się przerażająca. Budziła się w nocy i czuła, jak wali jej serce. Czy zaryglowała drzwi? Czasem budziła się półprzytomna. Przez chwilę wszystko było w porządku; Hugh był na dole w kuchni i sprawdzał korki w swoim obrzydliwym winie domowej roboty. Dziwna pora na sprawdzanie... I wtedy nagle odzyskiwała świadomość.

Kiedy Christopher powiedział, ile wart jest dom, Evelyn doznała szoku. Ceny nieruchomości w Sussex najwyraźniej poszły w górę. Tylko pomyśleć, ile ona i Hugh zapłacili za ten dom! To, w połączeniu z jej uszkodzonym stawem biodrowym, przesądziło sprawę. Posłuchała zatem syna i sprawiło jej to wielką ulgę. Znowu jakiś mężczyzna zajął się jej interesami. Ponadto Christopher był o wiele bardziej skuteczny finansowo niż jego ojciec. zaproponował jej miejsce, w którym miałyby opiekę i, jak twierdził, pewną dozę niezależności – własne meble i może nawet kawałek ogrodu. Uznał, że wpływy ze sprzedaży domu

powinny pokryć wszelkie koszty, po czym dodał złowieszczo:

– Przynajmniej do czasu, aż będzie potrzebna jakaś bardziej wszechstronna opieka.

Nawet po tej transakcji Evelyn pozostała pokaźna suma. Chciała podarować ją dzieciom, ale one oczywiście zaprotestowały. Zdawała sobie sprawę, że bardziej by się nimi cieszyły, gdyby ich naprawdę potrzebowały. W końcu jednak zgodziły się przyjąć pieniądze. Przecież lepiej wykorzystać je już teraz, zanim rząd położy na nich łapę. Podatki od spadku są rażąco niesprawiedliwe. Czy skarb państwa ma prawo konfiskować aż czterdzieści procent ludziom, którzy byli na tyle roztropni, by cokolwiek zaoszczędzić? Ten temat wzbudzał w Christopherze sporo emocji. Czyż nie zapłacił już podatku? Jakie wnioski mogą wyciągnąć uczciwi obywatele z takiego podwójnego ciosu?

W ten sposób wszystko zostało ustalone.

– W całunie do okrywania zwłok nie ma przecież kieszeni – podsumowała Evelyn.

– Och, mamo. Daj spokój! – powiedziała Theresa. Wdzięczność sprawiała, że córka robiła się uszczypliwa, a poza tym zawsze miała gwałtowne usposobienie.

Theresa mieszkała na północy w Durham i była kimś w rodzaju psychoterapeuty, chociaż Evelyn trudno było sobie wyobrazić, że ktoś mógłby potrzebować jej pomocy. Rzecz jasna córka ją odwiedzała, zazwyczaj po drodze na swoje holistyczne weekendy, cokolwiek to znaczyło. Evelyn bardzo wyczerpywały te wizyty. Theresa robiła wszystko całym sercem i duszą. Wypytywała na przykład personel, jak sprawuje się matka; kiedy Evelyn zaczęła delikatnie narzekać na jedzenie, wpadła do kuchni i zażądała rozmowy z kucharką.

Ale jeszcze gorsze były rozmowy w cztery oczy. Theresa cały czas analizowała przeszłość, mawiała, że przepracowuje w ten sposób poczucie odrzucenia. Czy uczucia Evelyn wobec wrogości, jaką jej mąż żywił do córki,

były ambiwalentne? Czy jako matka i żona czuła się przez to rozdarta? Takie rozmowy wprawiały ją w zakłopotanie. Przeszłość, którą ona pamiętała, w niczym nie przypominała wersji Theresy; wydarzenia najprawdopodobniej były te same, ale odnosiła wrażenie, że ogląda zagraniczny film – i to po serbsko-chorwacku – który tylko ogólnie był oparty na faktach, ale za to czarno-biały i przygnębiający. A potem Theresa zapisała się do grupy terapeutycznej „Przytul mnie” w Arundel. Evelyn się zastanawiała, dlaczego przytula obcych ludzi, a nigdy nie przytula jej.

Brakowało jej dotyku. Tęskniła za ramionami Hugh. Bez przelotnego i niewymuszonego kontaktu ze skórą drugiego człowieka czuła się krucha, słaba i niechciana; czuła się jak stary podręcznik szkolny, pełen nieistotnej wiedzy, który ktoś odłożył na półkę. Jedyne ręce, które jej dotykały, należały do profesjonalistów, w szczególności do pielęgniarki, która mierzyła ciśnienie lub smarowała siniaki pojawiające się na jej cienkiej jak papier skórze nawet po najslabszym uderzeniu. Nigdy nie uważała się za zmysłową kobietę, tego słowa nie było nawet w jej słowniku, i nie spodziewała się takiego pragnienia. Ani potrzeby, żeby być potrzebną. Ani samotności w domu pełnym ludzi. Miała dopiero siedemdziesiąt trzy lata, ale ci, których znała, powoli odchodzili, umierali – tak jak jej dwaj bracia i niektórzy przyjaciele; wszyscy, którzy ją rozumieli. Musiała zacząć wszystko od nowa z obcymi ludźmi – współmieszkańcami domu seniora, których pomarszczone twarze były odbiciem jej własnej śmiertelności – i wszystko im tłumaczyć. Jeśli w ogóle zadawali sobie trud, żeby jej słuchać. Większość rzecz jasna nie miała na to ochoty; starość sprawiała, że ludzie stawali się coraz bardziej skoncentrowani na sobie. Minął rok, a ona nadal się czuła jak w nowej szkole z internatem bez możliwości powrotu do domu.

Evelyn nie przewidziała takiego obrotu rzeczy. Spodziewała się różnych dolegliwości i bólu, słabnącego wzroku i zależności od innych. Wiedziała, że czasem będzie się czuła zakłopotana i zdezorientowana. Ale samotności w ogóle

się nie spodziewała. Przypomniała sobie, jak Hugh – podłączony już wówczas do różnych rurek – powiedział, że starość nie jest dla mięczaków. A potem odszedł i zostawił ją samą.

Właśnie dlatego pokochała Beverly, która raz w tygodniu odwiedzała Leaside, żeby poprowadzić ćwiczenia jogi i zrobić manicure. Była gadatliwą, serdeczną dziewczyną i od razu polubiła Evelyn. Całowała ją na powitanie, nazywała swoim słoneczkiem i wносиła powiew świeżości. Beverly wiodła emocjonujące, pełne przygód i erotyzmu życie; śmigała swoim małym samochodziem po całym Sussex i prowadziła zajęcia w najróżniejszych miejscach: pilates w hotelu Chichester Meridian (w poniedziałki), aerobik i taniec country w klubie Summerleaze Health (we wtorki), opalanie natryskowe w Cophorne (w środy wieczorem) i raz w miesiącu warsztaty dekorowania stołu na specjalne okazje w domu kultury w Billingshurst. Do tego dochodziła jeszcze akupunktura, której się uczyła z wideokasety, i domowy salon fryzjerski. W tym wszystkim znajdowała jeszcze czas na bujne i tragiczne życie miłosne. Nic dziwnego, że gdy tylko zajeżdżała swoją żółtą hondą z radiem ryczącym na cały głos, Evelyn od razu miała lepszy humor.

Po ćwiczeniach jogi – tylko tych najprostszych pozycji, które były doskonałą sposobnością dla staruszek, by uciąć sobie drzemkę – Beverly zasiadła w pokoju Evelyn i zajęła się paznokciami swojej starszej przyjaciółki; delikatnie trzymała jej dłoń, w popielniczce tlił się papieros, a ona opowiadała o kolejnym kochanku, który ją oszukał.

– Jak on mógł? – wtrąciła szybko Evelyn, gdy dziewczyna zamilkła na chwilę, by zaczerpnąć powietrza. – Coś takiego!

– Maureen widziała, jak tankował samochód na stacji, a z tyłu siedziała trójka dzieci, o których ten łajdak nic mi nie powiedział!

– Kochanie, a która to Maureen?

– To ta z alergią, pamiętasz? – wyjaśniła Beverly. – Twarz jej spuchła po

tym, jak dostała kota.

Evelyn ubolewała, że z większą niecierpliwością wypatruje wizyt Beverly niż własnej córki. I na pewno częściej ją widywała.

I to Beverly pewnego sierpniowego dnia przyniosła nowe wiadomości.

– Zamykają ośrodek! – szepnęła. – Słyszałam, jak ta czarownica z biura mówiła o tym przez telefon. Nie mają pieniędzy na jego utrzymanie, pazerne dranie. Chcą wszystko zburzyć i wybudować domy.

– Jesteś pewna?

– Wszędzie się to dzieje, kwiatuszku, piszą o tym w gazetach. Wprowadzili jakieś nowe przepisy i teraz nikogo nie stać na domy dla emerytów. Bardziej się opłaca opylić takie miejsce i spieprzyć na Barbados. – Beverly zanurzyła pędzelek w małym słoiczku.

– Ale przecież nie mogą nic zrobić, dopóki nas nie poinformują.

– Nie ruszaj się, skarbie. – Ręka Evelyn drżała. Beverly unieruchomiła ją delikatnie i zaczęła nakładać lakier. – Co z wami teraz będzie, biedactwa.

To była prawda. Leaside, duży budynek w stylu edwardiańskim, który stał w doskonałym miejscu oddalonym o trzy mile od Chichester, miał zostać sprzedany. Evelyn nie panikowała. Po prostu przeniesie się gdzieś indziej. Całe życie ktoś się nią opiekował.

Zadzwoiła do syna do Nowego Jorku. Christopher będzie wiedział, co robić.

– To nic takiego, mamó – powiedział. Rozpoznała w tych słowach ton z dzieciństwa, kiedy ukrywał przed nią złe oceny.

Christopher zaczął mówić coś o giełdzie, jedenastym wrześniu i spadających zyskach. Nic z tego nie rozumiała. Gdzieś w tle, na Upper East Side, rozległ się krzyk jednego z jego dzieci:

– Tato, to nie działa.

Prawdopodobnie chodziło o to, że miała mniej pieniędzy, niż myślała.

Usłyszała grający telewizor i płacz dziecka.

– Przepraszam, mamó. Marcia poszła na siłownię, a ja pilnuję dzieci. Muszę kończyć. Coś wymyślimy.

Zadzwoiła do córki. Theresa wpadła w furję; nigdy nie była w najlepszych stosunkach z bratem, a jeszcze bardziej nie lubiła jego żony.

– Ta suka doprowadzi go do ruiny. Wiesz, że wynajęła dekoratora, żeby urządził mieszkanie? Zdajesz sobie sprawę, ile to kosztuje? A prywatne szkoły dla dzieci, wyjazdy na narty i Bóg wie co.

Christopher przesłał Evelyn arkusz pełen niezrozumiałych cyfr. Och, Hugh, pomóż mi! Wynikało z niego, że jej emerytura niepokojąco się zmniejszyła. Christopher twierdził, że wszystkiemu winien jest kryzys ekonomiczny i spadek notowań akcji na światowych giełdach.

Theresa zaproponowała, żeby matka zamieszkała z nią w Durham, ale złożyła tę propozycję z wyraźnym brakiem entuzjazmu.

– Kłopot w tym, że często mnie nie ma. Kursy i tym podobne. W przyszłym miesiącu jadę na Skiros.

– A co z doradztwem? – zapytała Evelyn.

– Och, mam ruchomy czas pracy. Zazwyczaj pracuję tylko kilka dni w tygodniu i mogę przełożyć spotkania z klientami.

Jak możesz tak żyć? – pomyślała Evelyn i otworzyła usta, żeby powiedzieć to na głos, ale się nie odezwała. Doskonale wiedziała jak.

– Zostaje jeszcze opieka społeczna – powiedziała Theresa. – Jeśli zdasz się na nich... Chodzi o to, że będą musieli ci pomóc, prawda? Chyba mają jakieś domy albo mieszkania socjalne. Mogę popytać.

Evelyn nie uważała się za snobkę, przynajmniej nie za zbyt wielką, ale ta

rozmowa bardzo ją przygnębiła. Czy jej córka niczego nie rozumiała?

Nie było wątpliwości, że Theresa chciała być miła, lecz przekaz był jasny: matka jest niepotrzebna. Nie była już istotą ludzką, tylko problemem, którym miały się zająć lokalne władze, jak jakąś narkomanką albo bezdomną. Ale przecież była bezdomna i trzeba było się jej pozbyć. Jakże szybko po śmierci Hugh stała się niechciana i zbędna!

– Nie możesz iść do takiego domu! – zawołała Beverly, gdy pojawiła się w następnym tygodniu. – Ty tam nie pasujesz! – Beverly to rozumiała.

– W każdym razie nie jestem na to dość stara. – Kiedy Evelyn przypominała sobie, ile ma lat, za każdym razem była zaskoczona. Te siedemdziesiąt trzy lata nie należały do *niej*, krążyły gdzieś tam w oddali i były tak nieistotne jak cyfra zapisana na tablicy. Nie łączyła ich ze sobą. – Nie jestem też dość chora. Człowiek musi być w kiepskim stanie, żeby przyjęli go do takiego ośrodka.

– Trochę się rozejrzałam. – Beverly wyciągnęła egzemplarz „Pani”. – Buchnęłam to jednej z moich klientek. Nie dotykaj, masz mokre paznokcie. – Otworzyła czasopismo i mrużąc oczy w chmurze papierosowego dymu, wskazała na jedno z ogłoszeń. – A co myślisz o tym miejscu?

Evelyn założyła okulary i przeczytała:

– „Najlepszy egzotyczny hotel Marigold”. Mój wuj Edward mieszkał kiedyś w domu, który nazywał się Marigolds, ale to było w okolicach Pontefract.

– A to jest w Indiach.

Ten pomysł był absolutnie niedorzeczny. *Indie*. Było wystarczająco dużo zamieszania, gdy chciała się dostać do Chichester. Z wiekiem robiła się coraz bardziej strachliwa. Gazety opisywały różne straszne wydarzenia – napady, gwałty, rozboje. W tym tygodniu, według notatki zamieszczonej w „Sussex Mercury”, ktoś podpalił kosz na śmieci w pobliżu katedry.

Ale Beverly uważała, że to świetny pomysł, i poprosiła o przysłanie broszury. W następnym tygodniu przyszła do pokoju Evelyn i pokazała jej zdjęcia.

– Popatrz na ten dom, równie dobrze mógłby być w Anglii. Tyle że tam jest ciepło. – Znowu padał deszcz i bębnił głośno o szyby; był najbardziej deszczowy sierpień w historii, z wichurami i burzami. Administrator budynku musiał nawet włączyć ogrzewanie. – Nie ma sensu próchnieć w tym cholernym kraju. Od kiedy mieszkasz w Sussex?

– Całe życie.

– To niezbyt odważne. Nie przeżyłaś chyba zbyt wielu przygód. Nie sądzisz, że już czas na zmianę? Przecież nic cię tu nie trzyma.

Skąd Beverly o tym wiedziała? Evelyn nie opowiadała za wiele o swoich dzieciach i wnukach, bo było to dla niej zbyt bolesne. Poza tym i tak nigdy nie mogła dojść do słowa.

– Dobrze ci to zrobi, kwiatuszku – kontynuowała Beverly. – Nigdy nie jest za późno, a ty jesteś teraz w świetnej formie i z biodrem też już lepiej. A jeśli ci się nie spodoba, zawsze będziesz mogła wrócić do domu.

Całe życie. Brzmiało nieciekawie i mdło. Ale to były przecież udane i szczęśliwe lata. Evelyn była tego pewna pomimo mrocznej wersji Theresy. Jednak wraz z upływem czasu i odchodzeniem jego głównych bohaterów wydarzenia z przeszłości traciły zapach i smak; im więcej Evelyn o nich myślała, tym bardziej przypominały rozgotowane mięso pozbawione wartości odżywczych.

– Kiedyś robiłam pyszny gulasz – powiedziała.

– Słucham?

– Tak sobie przynajmniej mówię. Sekret polegał na tym, żeby do sosu dolać wina Hugh. – Evelyn zamilkła na chwilę. – Nigdy się o tym nie dowiedział. Używałam go też do tępienia ślimaków. Nalewałam trochę do naczynia

i zostawiałam je na noc w ogrodzie. Ślimaki wpadały do środka i topiły się w tym winie. Wspaniała śmierć. Najlepsza, jaką można sobie wyobrazić. – Evelyn znowu pogrążyła się w milczeniu.

– No już, przestań pleść bzdury i wypróbuj to. – Beverly spryskała ją perfumami. – To Arpège. – Dziewczyna zawsze miała przy sobie darmowe próbki, które razem testowały.

Evelyn otrząsnęła się z zadumy. Nie, ten pomysł jest szalony, pomyślała i oddała broszurę Beverly.

– Nie chcę umrzeć w obcym kraju.

– Hindusi nie umierają.

– Ależ tak, kochanie. Wszyscy umierają.

– Chodzi mi o to, że śmierć nie ma dla nich znaczenia. – Beverly dowiedziała się tego od swojej przyjaciółki Maureen, która miała nieco większe pojęcie o jodze. – Bo jak umrzesz, wracasz pod postacią czegoś innego. Na przykład dzięcioła.

– Dlaczego dzięcioła?

– A skąd mam wiedzieć!

Do niedawna Evelyn wierzyła w niebo. A teraz, gdy była coraz bliżej niego, nie była już taka pewna jego istnienia; tak jakby ktoś przesuwiał jej przed oczami kartkę – im bliżej się znajdowała, tym tekst był bardziej zamazany. Na świecie było tyle bezsensownego cierpienia. Co zrobił Hugh, żeby zasłużyć na taki koniec? Aby wierzyć w niebo, trzeba było wierzyć w Boga, a podczas ostatnich miesięcy, które Hugh spędził w szpitalu, Evelyn Go utraciła.

Beverly pokazała jej zdjęcie.

– W tym hotelu jest lekarz. Nazywa się Sajit Rama. Cudowny, prawda?

– Wygląda jak Omar Sharif.

– A czy Omar Sharif nie ma już stu lat?

– Nie zawsze tyle miał, kochanie.

Nagle Evelyn pomyślała, że jej życie wygląda tak, jakby już nie żyła.

Beverly spojrzała na zdjęcie i zapytała:

– Jak myślisz, w jakiej postaci powróci po śmierci Omar Sharif?

– Jako on sam, tylko młodszy – odparła Evelyn. – I zatrzyma się w sąsiednim pokoju.

Obie wybuchnęły śmiechem.

– Jest w tobie tyle życia – powiedziała Beverly. – Jesteś niegrzeczną dziewczynką.

Evelyn wprowadziła w zdumienie samą siebie.

– Może to przez te wielkie ciemne oczy? Kiedyś mieliśmy spaniela z takimi oczami. – Jak on się nazywał? Imię psa przypadło w niepamięci wraz z wieloma innymi. Dzisiaj rano – czy to faktycznie było dzisiaj? – zapomniała, jak ma na imię żona Christophera.

Mój Boże, co to za imię? Im bardziej próbowała sobie przypomnieć, tym bardziej się denerwowała. Czasem pomagało, gdy traktowała zapomniany wyraz od niechcenia, oszukując się, że to bez znaczenia. Innym razem miała wrażenie, że łapie płatki na mierzwi, a one szybko odpływają – maleńkie drobiny srebra, które nigdy nie dadzą się chwycić.

– Hindusi są o wiele sprawniejsi niż nasi mizerni Anglicy – stwierdziła z rozrzewnieniem Beverly. – Zobaczysz, że poczujesz się tam dziesięć lat młodsza.

Marcia. Wreszcie! Nie ma jednak kompletnej demencji.

Ucieszyła się, wzięła folder i przyjrzała się fotografii. Przedstawiała hotelowy ogród skąpany w złotym świetle; świetle długich popołudni w ogrodzie jej dzieciństwa, gdzie teraz wylano asfalt i zbudowano terminal towarowy lotniska Gatwick. *Ponadczasowe piękno Indii.* Czas rzeczywiście nie istniał, nie dotyczył rzeczy najważniejszych. Evelyn prowadziła w myślach rozmowy z Hugh; jego

głos żył nadal, chociaż on sam już nie. Pamiętała każdy centymetr tamtego ogrodu: zniszczoną ścieżkę wyłożoną cegłami i mech rosnący pod beczką na deszczówkę, gdzie znalazła traszkę.

– Teraz mi się przypomniało, że w Indiach trzeba spełniać dobre uczynki, bo tylko wtedy można powrócić w lepszej postaci – powiedziała Beverly.

A cóż takiego zrobiła traszka, żeby tak skończyć? Może była kiedyś okrutnym ojcem i biła swoje dzieci.

– Co w tym śmiesznego? – zapytała Beverly.

– Nic, skarbie. – Evelyn stwierdziła, że bardzo inspiruje ją ta rozmowa; nikt inny w Leaside nie rozmawiał z nią o takich sprawach. Słowo „Indie” wyostriżyło jej zmysły niczym wyciśnięta cytryna. Nawet gdyby nigdy nie miała tam pojechać, co było bardzo prawdopodobne, myśl o tym przedsięwzięciu działała bardzo orzeźwiająco. Hugh byłby zdumiony, że w ogóle rozważa taki pomysł.

Pomyślała o swoich dzieciach i się uśmiechnęła. Warto byłoby zrobić coś takiego, żeby zobaczyć ich miny.

Ale przecież nie mogła. Co z brudem i chorobami?

– A co z muzułmańskimi terrorystami? – zapytała. Terrorysty mnożyli się wszędzie i wypełniali swoje samobójcze misje. Evelyn bała się o wnuki mieszkające w Nowym Jorku i bała się o siebie.

– Mieszkańcy Indii są Hindusami, głuptasie – powiedziała Beverly. – Muzułmanie mieszkają w Pakistanie. Po to właśnie stworzono ten kraj. Żeby tam umieścić wszystkich muzułmanów. Nawet ja to wiem.

– Mało się na tym znam – stwierdziła Evelyn.

– Nigdy nie jest za późno, żeby się czegoś dowiedzieć.

Christopher, który uważał się za najmądrzejszego i miał skłonność do prawienia kazań, próbował zainteresować matkę szerszym aspektem spraw. Podczas ostatniej wizyty podarował jej komputer i powiedział, że mieści się w nim cały świat.

– To się nazywa globalizacja, mamó. Widzisz, mogę ściągnąć dzieci na twój komputer, żebyś mogła z nimi porozmawiać.

– Wolalabym je zobaczyć.

– Ale przecież je widzisz, jakby były w tym pokoju. Odległość już nie ma znaczenia. Mogę pracować gdziekolwiek, potrzebuję tylko laptopa. Czas i przestrzeń uległy transformacji. Spójrz, sałata pochodzi z Kenii, rowery z Korei, a adidas z Tajwanu...

– Nigdy nie miałam adidasów... – powiedziała Evelyn.

– To właśnie jest globalna ekonomia...

– Może powinnam sobie jakieś sprawić, podobno są wygodne...

– Pamiętam, jak rozmawiałem z gościem, który uprawiał sąsiednią działkę. Pamiętasz to wielkie pole na tyłach naszego ogrodu? Ten wielki kombajn? Facet mówił, że ma chatę w Ejlacie, bo tam nurkuje, a zbiera plony w Sussex, Izraelu i Arabii Saudyjskiej i podróżuje po całym świecie. A pochodził z Polski.

– O czym ty mówisz, kochanie?

Christopher westchnął i zamilkł. Podczas gdy Evelyn przycinała swoje forsycje, świat całkowicie się zmienił.

Beverly spojrzała na zdjęcie przystojnego lekarza.

– Szczerze mówiąc, gdybym była stara, pojechałabym tam.

Potem wyszła, a Evelyn obserwowała przez okno, jak ucieka przed deszczem. Dotarła do samochodu i otworzyła drzwi. Z wnętrza dobiegło ciche ujadanie jej teriera Mischief. Wrzuciła walizkę na tylne siedzenie, a potem samochód ruszył, głośno buchając spalinami z rury wydechowej.

Evelyn patrzyła, jak deszcz smaga rododendrony. To dziwne, pomyślała. Gdybym wyjechała do Indii, co jest mało prawdopodobne, najbardziej tęskniłabym za Beverly.

6

Jesteśmy tym, o czym myślimy; wszystko, czym jesteśmy, wynika z naszych myśli, naszymi myślami tworzymy świat.

Budda

Dorothy Miller mieszkała w bloku przy Muzeum Madame Tussaud na Marylebone Road, gdzie ruch uliczny nigdy nie zamierał. Od zawsze miała kłopoty ze snem i leżąc w łóżku, wsłuchiwała się w ryk samochodów, który wznosił się i opadał niczym fala.

Za to za ścianą panowała cisza. Figury woskowe stały nieme w swojej znakomitości. Dorothy od lat nie była w muzeum, ale czuła ich obecność – nocami czuwały wraz z nią. Królowe i mordercy, kochanki i prezydenci – wszyscy od dawna nie żyli, ale ich repliki pozostały; upozowane na wieki z uniesionymi ramionami i spojrzeniami skierowanymi w niebyt. Podczas wojny przechowywano je w sąsiednim budynku. Pewnej nocy w trakcie bombardowania dach został całkowicie zniszczony i gdy ratownicy przybyli na miejsce, oniemiałi ujrzeli stertę kończyn.

Dorothy mieszkała sama. Często myślała, że gdyby jej blok został zbombardowany, ludzie w pierwszej kolejności ratowaliby swoje zdjęcia, a dopiero na końcu ją. Przyzwyczała się już do tego uczucia. Czasami nawet odczuwała pewną satysfakcję. Przecież kiedyś prowadziła niezwykle interesujące życie, niemal tak zajmujące jak postaci zza ściany. Czasem w półśnie wyobrażała sobie, jak się poruszają i wyciągają ramiona; wyobrażała sobie, że się starzeją.

Niektórych poznała w trakcie pracy zawodowej i prezentowała w swoich programach. Pracowała w BBC, gdzie prowadziła wiadomości. Podróżowała po całym świecie i uczestniczyła w niektórych historycznych wydarzeniach po drugiej stronie muru. Ale to się działo wiele lat temu, a teraz była już na emeryturze. Artretyzm ograniczał ją do przestrzeni mieszkania, czasami na wiele dni. Mieszkała na parterze i każdego dnia za jej kuchennym oknem stała kolejka chętnych do zwiedzania galerii figur woskowych – głównie studentów i turystów z Japonii. Kiedy parzyła kawę, ludzie zaglądali jej w okno. Przyglądali się badawczo, wytrącając ją z równowagi, aż pewnego dnia zrozumiała, że to nie ona jest obiektem ich zainteresowania; po prostu przeglądali się w szybie.

Upływające lata czynią nas niewidzialnymi, jakby przygotowywały nas na ostateczną nieobecność. Dorothy nigdy nie przyciągała spojrzeń płci przeciwnej, ale zawsze elegancko się ubierała – wyrefinowana, obyta w świecie kobieta, która nigdy nie wyszła za mąż pomimo plotek o romansie z żonatym aktorem, który teraz już od dawna nie żył. Wszelkie pytania dotyczące jej prywatnego życia były niepożądane; prawdę mówiąc, nikt nawet nie próbował ich zadawać.

Chroniczny ból, który odczuwała w ostatnich latach, sprawił, że zrobiła się bardziej wybuchowa. Co się stało z tym światem? Czy coś ją ominęło? Miała wrażenie, że ludzie podnieśli most zwodzony i wycofali się tam, gdzie życie było nieskomplikowane i samolubne. Połowa z nich nawet nie zadawała sobie trudu, by pójść na wybory. W pewnym sensie Dorothy nie miała im tego za złe. Zgnilizna zaczęła się od pani Thatcher, *nie ma czegoś takiego jak społeczeństwo*, ale jeszcze większą zdradę popełniła jej własna partia, która zamieniła się w coś tak odrażającego, że Dorothy chciała wyjechać z kraju. Nawet BBC, kiedyś tak dobrze znane i bliskie, zmieniło się nie do poznania. Wyrażenie „siły rynkowe” przeżarło niczym rak wszystkie instytucje, które najbardziej kochała. Takie staromodne myślenie tylko jeszcze bardziej ją irytowało. Gazety publikowały wywiady z ludźmi, o których nigdy nie słyszała, znanych z tego, że

byli znani i zasłynęli jako celebryci; cóż takiego dokonali i jaki to miało sens? Gabinet Madame Tussaud był pełen takich postaci. Z biegiem czasu wszystko się zmieniło – pasażerowie pociągów stali się klientami, a zwykłe psiaki w jednej chwili zamieniły się w pitbulle. Miała wrażenie, że gra w jakimś przedstawieniu i nagle uświadamia sobie, że całą obsadę zastąpili aktorzy, których nigdy wcześniej nie widziała.

Dorothy zaczęła przygotowywać śniadanie. Musiała się obyć bez pomarańczy. Wczoraj pokuśtykała do miejscowego warzywniaka i okazało się, że otworzyli tam punkt usług fotograficznych. Twarz, którą ujrzała w lustrze, należała do starej kobiety.

Była godzina szczytu, samochody stały w korku i nawet w kuchni czuła duszący zapach spalin. Wiedziała, że walczy z wiatrakami. Sierpień był deszczowy i przygnębiający; w kolejce na chodniku przed jej domem stali zakapturzeni ludzie. Radio podawało, że władze zamykają kolejne domy opieki: *..zamknięte przez pomoc społeczną z powodu przeciążenia i braku funduszy...*

Dorothy usiłowała otworzyć dzbanek do parzenia kawy. Co się stanie ze mną, gdy nadejdzie mój czas? – pomyślała. Emerytura z BBC ledwie wystarczy na mieszkanie i to najwyżej na kilka lat, a dzierżawa wkrótce wygaśnie; firma z Hongkongu wykupiła blok, w którym mieszkała, i zamierzała go odrestaurować, a potem sprzedać z wielkim zyskiem.

Jeśli rząd natychmiast nie przekaże półtora miliarda funtów na służbę zdrowia, system opieki zdrowotnej upadnie obciążony długiem w wysokości piętnastu miliardów funtów, powiedział rzecznik prasowy.

Dorothy miała siedemnaście lat, kiedy utworzono brytyjski system opieki zdrowotnej. A teraz taniej było wysłać pacjentów na operację wszczepienia protezy biodrowej do Francji, skąd wracali pełni pochwał i apetytu na czerwone wino.

Zadzwoił telefon. To Adam, jeden z protegowanych Dorothy w BBC.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Nie bardzo. Potrzebuję kogoś, kto mi odkręci ekspres do kawy. Mogę się obyć bez wielu rzeczy, ale nie bez kawy. – Bolały ją wszystkie stawy. Potrzebuję nowych rąk, pomyślała. Może wszczepiliby mi je we Francji.

– Mam przyjść? – zapytał aż nazbyt radośnie.

– Nie bądź głuptasem. Nadal działasz w Fulham?

Potrzebuję służącego, pomyślała. Moi rodzice przecież mieli służących. Pieprzony socjalizm.

– Mogę ci przesłać wideo? – zapytał Adam. – To tylko wstępny kawałek, ale chciałbym poznać twoją opinię.

– A co to jest?

– Program o ludziach, którzy kiedyś wystąpili w talk-show. Badam, jak sobie teraz radzą. Wiesz, pięć minut sławy i co dalej.

Dorothy była rozczarowana i zmartwiona. Za oknem kolejka powoli posuwała się do przodu.

– Za wielcy, by sprzątać – powiedziała.

– Że co?

Chyba powiedziała to na głos. Kiedyś w Nowym Jorku – wiele lat temu, kiedy to było? – oglądała program Jerry’ego Springera. Tacy byli jego goście: „Zbyt wielcy, by sprzątać”.

– Dziękuję, że mi pomagasz – powiedział Adam. – Wiele ci zawdzięczam. Inni też.

Oczywiście, że jej schlebiał. Ale to właśnie ona pierwsza zatrudniła Adama, a on był lojalny wobec niej. Obejrzy więc ten jego okropny film i spróbuje być miła.

Otwarcie tej choleryjnej koperty zabrało Dorothy ponad pół godziny. Adam zabezpieczył ją taśmą, którą w filmach krępuje się więźniów. Zdierała ją paznokciami. W popołudniowych wiadomościach nadawali program o lasach. Najwyraźniej były zbyt gęste i ciemne. Rząd zdecydował, że wieś to teraz centrum rekreacji, a z kolei lasy są zbyt niebezpieczne dla jego mieszkańców – przepraszam, klientów – szczególnie dla mniejszości etnicznych, które nie są do nich zbyt przywiązane. Tak więc po konsultacjach z lokalną społecznością zdecydowano, że lasy zostaną przekształcone w bardziej przyjazne miejsce. Zamierzano wykarczować drzewa, by stworzyć otwartą przestrzeń, polany z ławkami z dostępem dla niepełnosprawnych i centra rekreacji.

– Mam siedemdziesiąt cztery lata, Laszlo – powiedziała Dorothy. – I nic już mnie nie zdziwi. Może ci, którzy cierpią z powodu stresu wywołanego przytłaczającą wegetacją, domagają się pomocy. Możliwe też, że kiedy wytną te drzewa, to ci zbyt wielcy, żeby sprzątać, zaskarżą odpowiednie instytucje, że zbudowały zbyt małe siedzenia dla ich wielkich tyłków.

Często rozmawiała na głos ze zmarłymi, którzy byli drodzy jej sercu. W ten sposób się pocieszała, kojąc swoją samotność. Jej związek już nie istniał, ale w wyobraźni Dorothy Laszlo na wieki należał do niej i pomagał jej na swój delikatny i miły węgierski sposób.

– Pomóż mi rozerwać tę cholerną taśmę – powiedziała. – Pomóż mi przetrwać.

Życie było pełne niezrozumiałych poleceń. Na przykład instrukcja obsługi odtwarzacza wideo liczyła dwadzieścia stron zapisanych tak drobnym drukiem, że odczytać go mogła tylko mrówka. To bez wątpienia zaspokajało jakieś zwyrodniałe potrzeby, nie do pomyślenia dla tych, którzy do tej pory byli zadowoleni ze swojego życia. Zabawne, że im większy wybór, tym mniej siły pozostawało, by się z nim zmierzyć.

– Laszlo, czy jestem już starą babą? Czy dając mi wybór, nie byłś już mną

zmęczony?

Dorothy wyciągnęła wreszcie kasetę z koperty. Włożyła ją do odtwarzacza, nalala sobie whisky i zasiadła przed telewizorem. Adam, jej zastępczy syn, był czarującym młodym człowiekiem. Była mu winna szczerą opinię.

Na ekranie pojawił się obraz: mauzoleum Tadź Mahal.

Dorothy gapiała się na ekran. Nie widziała co prawda związku z programami talk-show, ale ostatnio była na bakier z różnymi nowinkami. Oglądała reklamy w kinie i nie miała pojęcia, o co w nich chodzi.

Słońce na ekranie zachodziło; nie, raczej wschodziło. To zamglone, perliste światło było oznaką świtu. W jego promieniach połyskiwała marmurowa świątynia. Kamera pokazywała teraz rzekę Jamunę i zanurzone w niej aż po szyję bawoły. W tle rozbrzmiewały dźwięki sitara.

Witajcie w Indiach, powiedział jakiś głos. W krainie ponadczasowego piękna.

– Czy to żart? – zapytała Dorothy przez telefon. – Jeśli tak, to w bardzo złym guście.

– Wybacz – powiedział Adam. – Pomyliłem kasety. Ta była dla moich rodziców.

Dorothy wydawała się niezmiernie zdenerwowana. Rozumiał, że wysłanie starszej pani reklamy ośrodka dla seniorów nie było zbyt taktowne, ale gdzie się podziało jej poczucie humoru? Wprawdzie nigdy nie miała łatwego charakteru, a wiek dodatkowo źle wpływał na jej usposobienie.

Adam stał przy oknie gotowy do akcji. Na ulicy brakowało miejsc parkingowych i jego samochód, podobnie jak kilka innych, był zaparkowany „na drugiego”. W każdej chwili któryś z sąsiadów mógł wyjść z domu i odjechać, a wtedy on musiał być gotowy, żeby natychmiast wyskoczyć i zająć

wolne miejsce, zanim zrobi to ktoś inny. Niektórzy – żeby nie tracić miejsca – nigdy nie uruchamiali swoich wozów i ratowali się komunikacją miejską.

– Odeślij mi tę kasetę – powiedział. – A ja prześlę ci tę właściwą.

– A może wpadniesz na kolację? – zapytała Dorothy. – Dawno cię nie widziałam. Załatwimy to osobiście.

– Z przyjemnością. A niech to! Muszę lecieć! – Jakiś samochód akurat wyjeżdżał z parkingu, więc Adam rzucił słuchawkę i wybiegł z domu.

Zamierzał później oddzwonić do Dorothy, naprawdę chciał to zrobić. Ale później Sergio wrócił do domu z kalmarami na kolację i zaczęli szukać przepisu, który kiedyś wyrwali z „Independent”.

Adam lubił Dorothy; w jej twarzy i chropowatym głosie było coś nieustępliwego. Kiedy pracował w BBC, była inspirującą szefową i wiele jej zawdzięczał. Ale ogólnie rzecz biorąc, nie była lubiana przez współpracowników – zbyt despotyczna i wymagająca, wysoko stawiała poprzeczkę sobie i innym. Traktowano ją bardziej z szacunkiem niż miłością, a kiedy powiedział koledze stażystce, że jest przyjacielem Dorothy, chłopak uznał go za geja i zaprosił na drinka. Adam rzecz jasna *był* gejem, ale nie o to chodziło. Dorothy dobrze sobie radziła z homoseksualistami, ale być może dlatego, że – podobnie jak inne kobiety przyjażniące się z gejami – nie miała udanego życia osobistego i rekompensowała te niepowodzenia pracą zawodową.

Adam w dalszym ciągu cenił sobie zdanie Dorothy. Właśnie dlatego wysłał jej kasetę. Zrobił to również z życzliwości, ponieważ chciał, żeby się czuła potrzebna. Przez lata ich związek ewoluował i uległ subtelnej zmianie. Kiedyś ona była jego mentorką; schlebiało mu, że zapraszała go na przyjęcia do pełnego książek mieszkania z wiszącym nad kominkiem obrazem Howarda Hodgkina. Kiedyś poznał u niej nawet ministra z Partii Pracy. Ale teraz Dorothy była na emeryturze, od dawna nie urządziła przyjęć i Adam odwiedzał ją z poczucia obowiązku. Zaczął jej nawet ustępować, ponieważ jej niegdyś bystry umysł

trochę szwankował. Co ona przed chwilą palnęła? Coś, że zbyt wielcy, by sprzątać? Nie powinna mieszkać sama, nie miała z kim rozmawiać i mąciło jej się w głowie. Wiek zakłócił równowagę, która kiedyś panowała między nimi. Dorothy była dumną kobietą; gdyby zaczęła podejrzewać, że traktuje ją protekcjonalnie, byłaby przerażona.

Na kolacji mieli się pojawić brazylijscy znajomi Sergia – nudni, ale przystojni, jak większość kumpli jego chłopaka. Adam zaczął błędzić myślami gdzie indziej i nagle przypomniał sobie o kasecie. Obiecał, że zadzwoni do Dorothy. *Cholera!* Obiecał też, że wyśle taśmę rodzicom, którzy rozglądali się za domem spokojnej starości. Ojciec i matka mieszkali w Devon. Byli dziarskimi starszymi ludźmi, zawsze w drodze. Ubrani w beżowe wiatrówki obserwowali ptaki na Hebrydach albo jechali kamperem do Portugalii. Ale ostatnio życie zaserwowało im kilka ciosów. Zamknięto im miejscowy sklep i musieli jeździć na zakupy aż do Okehampton – nie kursowały tam oczywiście żadne cholerne autobusy – i ojciec w końcu rozbił vana. „Wzrok już nie ten”, powiedział. Prawdę powiedziawszy, żadne z nich nie było na tyle sprawne, by prowadzić samochód. W ten sposób zostali odcięci od świata na kompletnym odludziu, nagle zależni od innych. Ich sąsiad, farmer, który stracił inwentarz w wyniku pryszczycy, postanowił wszystko sprzedać. Ludzie pozbywali się swoich zobowiązań i uciekali do ciepłych krajów, gdzie życie było łatwiejsze. Żadnych przeciekających dachów! Żadnej pańszczyzny! Adam usłyszał o domu seniora w Indiach, z którymi jego rodziców wiązały szczęśliwe wspomnienia, i poprosił o więcej szczegółów.

Rozmyślał o tym wszystkim, przeżuując kałamarnicę (nieco gumowatą). Zastanawiał się, jak długo jeszcze potrwa jego związek z Sergiem. Te seksowne kości policzkowe zaczynały powoli tracić swój urok. Zabawne, że nagle zaczynasz zauważać przyjaciół swojego kochanka. Siostra Adama, która często kroczyła wyboistą drogą miłości, twierdziła, że związek oparty na seksie trwa

dokładnie dwa lata.

Ten dom starców w Indiach wypuścił całkiem niezły film reklamowy, pomyślał. Kiedy tak oddawał się tym wszystkim rozważaniom, wypił mnóstwo chilijskiego merlota. Zapomniał o filmie, a zanim zdobył się na odwagę, by porzucić swojego kochanka, minęły trzy lata. Pamiętał natomiast, by odzyskać kasetę i wysłać ją rodzicom.

A oni wystawili swój dom na sprzedaż i przygotowali się do przeprowadzki oraz zmiany swojego życia. Tacy właśnie byli.

Dorothy znowu śniła swój sen. Była zanurzona po szyję w kanale ściekowym, który biegł za jej domem. Tym razem zderzyła się z cielskiem ogromnego indyjskiego bawołu; chwyciła się go, wspięła na jego grzbiet, a potem usiadła okrakiem na głowie. Bawół wyszedł na brzeg, unosząc ją ze sobą ociekającą wodą. A potem zrzucił ją z grzbietu i zaczęła się topić.

Obudziła się zlaną potem. Była trzecia nad ranem. Oczekała, aż obrazy się rozplyną i znowu poczuje się bezpiecznie. *Wszystko wyjdzie w praniu*, mawiała jej matka, chociaż wcale tak nie było, nieprawdaż? Matka kłamała. Dorothy zapragnęła pomyśleć o czymś zwyczajnym i nudnym; o podwieczorku w Patisserie Valerie na Marylebone High Street; o programie *Today* z Jimem Naughtiem, który miał kojący głos ze szkockim akcentem. Te myśli uspokajały jej trzepoczące serce.

Poczuła pragnienie, więc odrzuciła kołdrę i z trudem wstała z łóżka. Jej kości były jak kreda – suche i skrzypiące; kiedyś na pewno je połamie. Nawet krótki spacer do kuchni pozbawił ją tchu. Oparła się o lodówkę. Za oknem zatrzymała się taksówka; Dorothy dostrzegła palącą się tabliczkę. Powinnam powiedzieć Adamowi o Indiach, pomyślała. Jest mi bliższy niż ktokolwiek inny.

Ta myśl trochę ją przygnębiła. Adam był bardzo zajęтым młodym człowiekiem; czasem nie odzywał się do niej całymi tygodniami. Och, nieraz

wpadał na filiżankę herbaty, kiedy akurat montował coś w Soho, ale w głębi duszy wiedziała, że jest bardzo samotna.

W kuchni panował mrok. Dorothy nie zapaliła światła, bo byłby to zbyt wielki wstrząs dla jej oczu. Stała więc w ciemnościach i piła wodę. Po przeciwnej stronie Marylebone Road stał biurowiec z oświetlonym holem. W nocy zawsze siedział w nim strażnik, młody Hindus. Godzinami rozmawiał przez telefon i kręcił się na obrotowym krześle. Kiedy założyła okulary, widziała go bardzo wyraźnie. Był tam każdej nocy, mimowolny towarzysz jej bezsenności. Ale ona kryła się w ciemności i pozostawała niewidoczna.

Pauline paraliżowały straszliwe bóle menstruacyjne. Przechodziła menopauzę i tej podróży nie mógł z nią dzielić żaden z mężczyzn jej życia. A była to naprawdę burzliwa podróż. Krwawiła obficie i nieregularnie. Cierpiała na ostre skurcze, jakby natura w ramach ostatniej kary kopała ją prosto w brzuch: *nawet jeśli kiedyś mogłaś mieć dzieci, to teraz już wszystko za tobą*. Miała uderzenia gorąca, a jej twarz robiła się ceglastoczerwona jak twarz ojca. W pracy, kiedy pociągała za kołnierzyk bluzki, żeby się powachlować, ludzie patrzyli na nią z zainteresowaniem. Ale najgorsze były noce. Budziła się zlaną potem z sercem walącym ze strachu, którego źródła nie potrafiła zidentyfikować. Bała się chyba własnej śmiertelności. *Zapnij pasy, to będzie ostra jazda*. Cel tej podróży budził w niej najgorsze przecucia: starość, jakiś obcy kraj, z którego nikt nie wrócił.

Nie mogła się zwierzyć Raviemu. Podobnie jak wielu innych lekarzy, bezceremonialnie lekceważył wszelkie dolegliwości najbliższych, dopóki nie zaczynały zagrażać ich życiu. Oddalili się od siebie, i to dosłownie, bo jej nocne poty zmusiły Ravięgo do opuszczenia wspólnej sypialni i przeniesienia się do gabinetu. Pauline podejrzewała, że mąż pracuje, bo czasem, gdy wstawiała w nocy, żeby napić się wody, widziała pod drzwiami smugę światła. Była

wyrzutkiem, ona i jej trzepoczące serce, samotna wśród innych bezsennych w tym ogromnym mieście.

Był początek września. Gabinet Ravięgo całkowicie zdominowała jego nowa firma: szafa na dokumenty, sterty folderów, kartki samoprzylepne przyklejone do ramki fotografii ze szkoły dla chłopców St. Ignatius w Delhi. Było mnóstwo zapytań, nie tylko o hotel Marigold, lecz również o inne domy na całym świecie wymienione w materiałach reklamowych, na przykład w Republice Południowej Afryki albo na Cyprze.

– Widzisz? – powiedział Ravi. – Ludzie chcą się jak najszybciej wynieść z tego kraju.

– Nie mów tak! – Wielka Brytania była jak jej ojciec. Tylko *jej* wolno było ich opluwać. A poza tym w głębi duszy Ravi pozostał cudzoziemcem.

Ravi przeglądał zaświadczenia lekarskie upoważniające pensjonariuszy do podróży samolotem. Do Marigold zgłosiło się już osiemnastu klientów i prawie wszystkie pokoje były zajęte. Pauline znała ich nazwiska, ponieważ załatwiała sprawy związane z podróżą: pani Evelyn Greenslade, dama z Chichester, która przysłała odręczne zgłoszenie, oraz państwo Ainslie z Beaworthy w Devon. Wyglądali na dystyngowanych, a sądząc po adresie, również nadzianych. Było to całkowicie prywatne przedsięwzięcie, gdyż musieli na dobre porzucić nadzieje związane ze wsparciem finansowym ze strony państwa i uznać je za niewykonalne. Jedna z klientek poinformowała ich nawet, że zabiera ze sobą swoje zabytkowe meble; właśnie takie osoby przyciągali. Zanim Pauline pod koniec miesiąca poleciała z ojcem do Bangaluru, niektórzy pensjonariusze zdążyli się już tam zainstalować.

Dlaczego Norman zmienił zdanie? Pauline nigdy się tego nie dowiedziała. Całkowicie doszedł do siebie po zabiegu i sprawiał wrażenie, że już nie może się doczekać nowego życia. „Palę się do działania”, powiedział. Zaszczepił się, uporządkował nawet swoje lekkie ubrania, które kiedyś zabierał w tropiki, i piał

z zachwytu, że ciągle na niego pasują. Zbliżający się wyjazd Normana zmienił nastawienie Raviego; był bardziej tolerancyjny w stosunku do teścia, nawet go polubił. Dzień przed jego wyjazdem zdobył się na delikatny żart o zakupie nowego rondla.

Natomiast Pauline miała mieszane uczucia. W obecnym stanie sam lot napawał ją przerażeniem. Co będzie, jeśli nagle dostanie ten swój obfity okres? Wyobraziła sobie jatkę w toalecie British Airways. Czy w Indiach mają tampaxy? Zawsze była ciekawa, jaki jest ojczysty kraj Raviego, ale takiego powrotu do jego korzeni nie przewidziała. Miała zostawić ojca w tym obcym kraju, w towarzystwie ludzi, których nie znał i nigdy wcześniej nie spotkał. Miała wrażenie, że oddaje dziecko do szkoły z internatem – w tym przypadku gdzieś na końcu świata – i zostawia je tam, nowego chłopca w klasie. A potem odchodzi z oczami pełnymi łez. Wyobraziła sobie, jak ojciec stoi i macha laską na pożegnanie... mała figurka, malejąca z każdym krokiem.

Pauline ostrożnie zeszła na dół. Między nogami miała podpaszkę, która przesuwiała się przy chodzeniu. Ojciec siedział w salonie i czytał nekrologi w „Daily Telegraph”. Lubił tam siedzieć, popijać poranną kawę i liczyć, ile osób odeszło *nagle*, a ile *spokojnie*.

Pauline przystanęła na chwilę i popatrzyła na plamy na jego głowie.

– Dobry dzień? – zapytała, wskazując na gazetę.

– Niezły. – Norman postukał ołówkiem. – Ośmiu starszych ode mnie. Siedemdziesiąt dziewięć... osiemdziesiąt dwa. Tylko dwójka młodszych i obaj *nagle*. Prawdopodobnie AIDS.

– Tato! – Norman liczył tylko mężczyzn. Kiedy chodziło o umieralność, kobiety go nie interesowały. – Może zginęli w wypadku – powiedziała. – To mogło być cokolwiek.

Była sobota. Pauline powinna pójść na zakupy do supermarketu, ale nie miała siły się ruszyć. Zapadła cisza. Tyle chciała powiedzieć ojcu, ale nie

wiedziała, od czego zacząć. A on nie zamierzał ułatwiać jej zadania, nie po pięćdziesięciu jeden latach.

– Mam w krzyżówce słowo *punkawallah* – odezwał się. – To w Indiach goście od wachlarza.

– Nie miałabym nic przeciwko jednemu takiemu. – Nie dodała, że z powodu uderzeń gorąca. Chociaż Norman bez ogródek mówił o seksie, intymne sprawy kobiet wprawiały go w zakłopotanie. – Pamiętaj, że zawsze możesz wrócić do domu – powiedziała.

– Nigdy w życiu.

– Inni goście sprawiają sympatyczne wrażenie. Jest jeden urzędnik państwowy i jakaś kobieta z BBC. Dorothy Miller. Rzecz jasna w większości to kobiety. – W końcu żyją dłużej niż mężczyźni, pomyślała.

Nagle łzy napłynęły jej do oczu. Te przeklęte zmiany nastroju. Ojciec jeszcze nie wyjechał, a jego rzeczy, szczególnie kapcie, już ją wzruszały do głębi. Będzie musiała wyrzucić kartkę, którą przylepiła na drzwiach: LISTA: ZĘBY. ROZPOREK. BILET AUTOBUSOWY. KLUCZE.

– Następną staruchę zostawili na oddziale ratunkowym – powiedział Norman, wskazując na gazetę. – O tu, na pierwszej stronie – zarechotał. – Pamiętasz tę... jak jej tam... co narobiła kłopotów twojemu mężusiowi?

– Murriel Donnelly.

– I nie pozwalala, żeby czarnuchy jej dotykały. – Norman zaniósł się kaszlem. – Ha! Wyobraź sobie, że *ona* jedzie do Indii.

Pauline wybuchnęła śmiechem.

– Chyba możemy być spokojni, że się z tobą nie zaprzyjaźni.

Do pokoju wszedł Ravi.

– Z czego się tak śmiejecie? – zapytał.

Pauline opowiedziała mu o wszystkim.

– Nie ma nic zabawnego w rasizmie – stwierdził.

– Och, przestań moralizować – odparła. – Przyznaj lepiej, że to śmieszne. Ta stara jędza, która nie znosi czarnych, nagle znajdzie się w kraju, gdzie jest ich ponad miliard.

7

Kiedy zburzysz własną ignorancję, zaleje cię światło, pojawi się mądrość, narodzi się mediator – w pełni ukształtowany i wolny od wiecznego cyklu narodzin, reinkarnacji, rozkładu i śmierci... Na tym polega jedyny cel medytacji.

czcigodny Rastrapal Mahathera

Kiedy umarła królowa matka, Muriel wystawiła trzy flagi; włożyła je do wazonu i postawiła na oknie. Wzięła je z kapliczki Diany, którą kiedyś zbudowała w swoim salonie. Diana była księżniczką z bajki – piękną i naznaczoną fatalnym przeznaczeniem łanią uciekającą przed psami gończymi, jak twierdził hrabia Spencer. Ale królowa matka była prawdziwa, królewska do szpiku kości, a nie żadna tam zdrajczyni o zniewalającym uroku. Była wyjątkową, najbardziej wyjątkową mamą na świecie. Syn Muriel, Keith, sprawiał, że czuła się tak samo. Dzięki niemu czuła się jak królowa.

Podczas ostatniej wizyty Keith podziwiał jej brytyjskie flagi.

– To przykład dla nich – powiedziała Muriel, wskazując na mieszkania po drugiej stronie. – Dla tych z tamtego domu.

Muriel całe życie mieszkała w Peckham, nie licząc krótkiego, lecz bardzo traumatycznego okresu podczas wojny. A kiedy już z powrotem była na miejscu, wszystko wokół niej zaczęło się zmieniać. Po niemieckich nalotach przysłała pora na równie bezlitosną zagładę, kiedy to w latach sześćdziesiątych buldożery równały z ziemią całe ulice, by zrobić miejsce dla wieżowców. Z biegiem czasu coraz więcej znajomych rodzin wyprowadzało się z Peckham, a ich miejsce

zajmowali czarni. Dilerzy cracku jeździli kabrioletami w tę i z powrotem, puszczali głośną muzykę, a ogłuszający łomot wprawiał w drzenie ozdoby porozstawiane w mieszkaniu. Do małego sklepiku z gazetami wpadały wielkie hałaśliwe dziewczuszyska i wrzeszcząc do swoich komórek, popychały ją brutalnie, kiedy próbowała kupić Whiskas. Ostatnio w sąsiedztwie pojawili się nielegalni imigranci, mężczyźni o brunatnych twarzach pochodzący Bóg wie skąd. Wystawali przy stacji metra i czekali, aż zgarną ich stamtąd jacyś budowlańcy, by dać im pracę na czarno. Statystyki kryminalne gwałtownie rosły, a w nocy Muriel budził brzęk rozbijanego szkła.

Keith nalegał, żeby jak najszybciej się stamtąd wyprowadziła.

– To straszna nora, mamó. Przenieś się do Chigwell.

Keith mieszkał tam w niezłym stylu i dobrze sobie radził. Ale Muriel była uparta. Zgodziła się, żeby kupić jej mieszkanie na parterze w ładnym nowym bloku, w pobliżu miejsca, gdzie dorastała. Pozwoliła, aby je urządził, kupił pralkę i telewizję satelitarną. Kiedy Keith ją odwiedzał, brała nawet od niego pieniądze, które wyjmował z portfela tak grubego, że nie mógł go dopiąć. Ale nie chciała się wyprowadzać. Była samodzielną kobietą i nie zamierzała być od nikogo zależna. I przede wszystkim nie chciała mieszkać w pobliżu tej jego złośliwej żony.

Ta nienawiść była wzajemna. Gdy w maju Muriel utknęła na oddziale ratunkowym, Sandra nie zadała sobie nawet trudu, żeby do niej zadzwonić. Dopiero kiedy Keith wrócił z Hiszpanii, rozpętało się piekło – gazety, telewizja – i Muriel zaczęła się naprawdę dobrze bawić. Sąsiedzi zrobili wielką aferę wokół niej, oczywiście tylko ci, którzy mówili po angielsku, i nagle została celebrytką.

Muriel kochała syna. Zawsze była przy nim. Narzeczone i żony przychodziły i odchodziły – „Raz jeszcze zebraliśmy się tu wszyscy”, powiedział drużba na jego ostatnim ślubie – i były jak drewno wyrzucone na brzeg, a potem z powrotem zabierane przez fale w morską toń, podczas gdy Muriel trwała

niezłomna niczym skała. Takie właśnie są matki. Keith był wszystkim, co miała; Keith i jej kot Leonard. Prawdę mówiąc, obaj mieli ze sobą wiele wspólnego. Byli eleganckimi, przystojnymi drapieżnikami polującymi na przedstawicielki płci przeciwnej; obaj znikali na całe dni w jakichś tajemniczych interesach, a potem wracali – w przypadku kota z naderwanym uchem.

Skąd Keith miał pieniądze? Muriel nie pytała. Mówił, że zajmuje się handlem nieruchomościami, i to jej wystarczało. Był w stanie finansować swój wystawny styl życia: dom w Chigwell, posiadłość w Hiszpanii, wielkiego srebrnego jeepa, którym przyjeżdżał, żeby zabierać ją na niedzielne lunche do miejsc, w których z takim szacunkiem odbierano od niej płaszcz, jakby przybyła z pałacu Buckingham. W obecności Keitha Muriel przenosiła się do innego świata. Ojciec byłby z niego dumny. W końcu po to byli synowie: by radzić sobie lepiej niż my. W przeciwnym razie to wszystko nie miałoby sensu.

A życie musiało mieć sens. Muriel była przesadna. Wróżyła z fusów; od chwili pojawienia się herbaty ekspresowej była to już zapomniana sztuka. Wpatrywała się uważnie w niebo nad miejską dżunglą, szukając nadnaturalnych znaków, i czytała horoskopy w „Daily Express”. Miała swoje smutki i chociaż jej mąż i cały klan Donnellych, do którego należał, znajdował pocieszenie w wierze katolickiej, ona nie ufała zorganizowanej religii i kroczyła własną duchową ścieżką. Koty to rozumiały. Leonard wyczuwał różne rzeczy, dlatego byli sobie tak bliscy. Na swój koci sposób był niezależnym duchem tak samo jak ona.

Dała mu imię po jednym z nieżyjących braci męża. Leonard zginął podczas nalotu bombowego; był na przepustce i wracał do domu z torbą pasztecików. Muriel była wtedy młodą dziewczyną, a państwo Donnelly mieszkali w sąsiedztwie i to właśnie Leonarda kochała najbardziej ze wszystkich braci. *Kiedy dorosnę, wyjdę za Lenny’ego*, myślała. Teraz dusza Leonarda żyła w jej kocie. Rozmawiała z nim w taki sposób, w jaki nigdy nie rozmawiała ze swoim mężem Patrickiem, z którym przez czterdzieści dwa lata dzieliła łóżę, aż w końcu

zabiły go papierosy.

Rozmawiała z Leonardem też tego dnia, kiedy stała się kolejną pozycją w kryminalnej statystyce. Fusy jej nie ostrzegły.

– Mam ochotę na rybę – powiedziała. – Dzisiaj jest piątek, więc ty dostaniesz to samo. – Muriel sprawdziła, czy ma w torebce portmonetkę i klucze. – Ale głupkowate zdjęcie Karola w gazecie. Pamiętasz, że Paddy nazywał go „dzbankiem z uszami”? Byliśmy tego samego zdania, Paddy i ja, mieliśmy ze sobą wiele wspólnego.

Leonard ułożył się na oparciu fotela. Materiał był wytarty w miejscu, gdzie Patrick opierał głowę, gdy oglądał telewizję. Ten fotel należał wyłącznie do jej męża, teraz używał go tylko kot. Muriel pogłaskała go; podniósł się, żeby dotknąć jej dłoni. Właśnie dlatego lubiła koty. Tak łatwo można było je zadowolić: fotel, ciepły piec, czuły dotyk. Ludzie potrzebowali o wiele więcej rzeczy, żeby poczuć szczęście.

Muriel wyszła z mieszkania. Ciągnąc wózek na zakupy, minęła szkołę i plac zabaw, z którego dobiegał ogłuszający ryk. Kiedyś na głównej ulicy były dwa sklepy rybne. Jeden z nich prowadził Ron Whiting¹. Kiedy Keith był mały i jeszcze pozwalał się trzymać za rękę, tłumaczyła mu, na czym polega dowcip. Teraz musiała iść aż do supermarketu, który znajdował się o wiele dalej: musiała przejść przez główną ulicę, potem wejść w zaułek – to był jej skrót – i minąć to, co kiedyś było szeregiem domów jednorodzinnych. W jednym z nich mieszkała jej przyjaciółka Maisie. Razem karmiły konia mleczarza kostkami cukru. Kiedyś do stajni przyszedł jakiś mężczyzna i pokazał im penisa. Kiedy Muriel miała szesnaście lat, Maisie uciekła z amerykańskim żołnierzem.

Zza chmur wyszło słońce i błysnęło w rozbitej szybie. Jej sąsiadka, Winnie, wybierała zawsze dłuższą drogę, ale Muriel się z tego śmiała. Winnie była taką małą, płochliwą istotą, która wiecznie kuliała się ze strachu i nigdy nie wychodziła z domu po zmierzchu.

Minęła rampę załadunkową Dixona. Była pusta. Dlaczego Keith nie dzwoni? Minęły już trzy dni od jego ostatniego telefonu i to nie było do niego podobne. Podarował jej telefon komórkowy i kiedy siedziała w autobusie, torebka podskakiwała jej na kolanach. Ale i tak nie była w stanie dostrzec małych cyferek i nigdy nie pamiętała, żeby podłączyć telefon do prądu. Ciężko było jej pojąć, do czego służą te wszystkie przyciski na klawiaturze.

Muriel nie usłyszała, że ktoś za nią idzie. Rozmyślała o synu, gdy ktoś nagle chwycił ją za ramię i szarpnął do tyłu.

Nie poczuła bólu, przynajmniej nie od razu. Wszystko działo się tak szybko – szarpnięcie, a potem kopnięcie.

– Odwal się! – wrzasnęła, ściskając mocniej torebkę.

Jakaś ręka zacisnęła się na jej ustach. Poczowała zapach skóry, poczuła zapach potu i strachu. Ktoś znowu ją kopnął, z całej siły.

Muriel upadła i uderzyła się dotkliwie o chodnik. Ujrzała czarną twarz przesłoniętą częściowo kapturem. Mężczyzna wyszarpnął jej torebkę i potknął się o wózek na zakupy.

– Kurwa!

A potem napastnicy uciekli. Leżąc na chodniku, widziała, jak biegną ulicą – dwójka dzieciaków – by w końcu zniknąć za rogiem.

Nie mogła złapać oddechu. Leżała z rozrzuconymi ramionami i nogami, z majtkami na wierzchu. Przez chwilę była zbyt wstrząśnięta, żeby się poruszyć.

Prawdopodobnie zemdląca i przez moment była nieprzytomna, bo teraz pochylał się nad nią jakiś mężczyzna, zasłaniając słońce.

– Wszystko w porządku, moja droga?

Mężczyzna włożył dłoń pod jej ramię i pomógł wstać. Muriel się zachwiała i wpadła na niego. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa.

Później nie mogła sobie przypomnieć, jak się tam znalazła, ale nagle stała w sklepie z gazetami i tak kurczowo trzymała się wózka na zakupy, jakby miała

utonąć.

– Zostałam napadnięta – wysapała, ale miała wrażenie, że ktoś inny wypowiada te słowa. Trzęsły się jej nogi. Potem znalazła się na zapleczu, a jakiś Pakistańczyk pomógł jej usiąść na krześle. Kobieta, która spoglądała na nią z zaciekawieniem, miała na czole czerwoną kropkę. Muriel poczuła, że jej twarz od czegoś się klei. Dotknęła jej palcami i zobaczyła krew. – Zabrali mi torebkę – powiedziała.

Właściciel sklepu podał jej szklankę wody, ale Muriel tak się trzęsły ręce, że wylała ją sobie na brodę. Nigdy przedtem nie była w tym sklepie; kiosk, do którego chodziła, znajdował się bliżej domu.

– Byli czarni – dodała. – Ale nie tacy jak wy. Czarni czarni.

– Zadzwoń na policję – powiedział mężczyzna.

Potem odezwał się do żony w jakimś obcym języku. Kobieta nosiła sari i trzymała je tuż przy ustach, jakby przez nie oddychała. Muriel przypomniała sobie koleżankę ze szkoły, która nazywała się Annie Jones i miała zajęczą wargę. Kiedy mówiła, jej dłoń zawsze wędrowała w kierunku ust. Nikt nie chciał się z nią przyjaźnić.

Muriel kręciło się w głowie. Właściciel kiosku chyba zdążył już zadzwonić na policję, bo ponownie podniósł słuchawkę.

– Wezwę pogotowie – poinformował.

– Nie! Nie chcę iść do szpitala!

– Ma pani paskudnie rozciętą głowę.

– Tylko nie na oddział ratunkowy! – Muriel czuła pulsujący ból w twarzy. Bolała ją też noga i gdy spojrzała w dół, zobaczyła, że ma podarte pończochy. – A co z moim kotem? – zapytała. – Oni mają klucze do mojego domu, co z jego jedzeniem?

– Zostaliśmy obrabowani już piętnaście razy – powiedział mężczyzna. – Piętnaście razy w ciągu dwóch lat. Te dzieciaki zrujnowały nasz interes.

– Mają moją torebkę – powtórzyła Muriel. – W środku jest tylko dwadzieścia funtów.

– Mam już tego dosyć – ciągnął mężczyzna. – Zabieram się stąd i wracam do swojego kraju.

– Niech pan nie idzie! – krzyknęła i złapała go za rękę.

– Ależ nie teraz, moja droga. Dopiero gdy sprzedam sklep. Zabiorę wszystkich do Indii. Tam jest bezpiecznie.

– Bezpiecznie?

– Indie mają bardzo niski wskaźnik przestępczości. W Hajdarabadzie, moim rodzinnym mieście, można bez strachu chodzić po ulicach. Chciałem urządzić swojej rodzinie życie tutaj w Anglii, ale co to za życie?

– Nie pojedę do szpitala – zapowiedziała Muriel, ale już słyszała syrenę nadjeżdżającej karetki.

Gdzie jest Keith?, zawodziła Muriel cichym głosem. *Gdzie jest mój chłopiec?* Z rozpaczy zapomniała jego numeru. Miała go oczywiście w torebce, ale ona przecież przepadła. A bez niej jej ręce były równie bezużyteczne jak pletwy.

Policjant wyglądał zupełnie jak młody Keith. Miała ochotę pogłaskać go po policzku. Ale policjant już odszedł, a ona znowu leżała w izbie przyjęć, może nawet na tym samym łóżku. Wszędzie kręcili się jacyś ludzie, a po drugiej stronie zasłony ktoś jęczał. *Tylko skażone igły*, głosił napis na kubie.

Muriel oddałaby wszystko za filiżankę herbaty, ale chociaż prosiła o nią już dwa razy, nikt nie reagował. Z powodu ostatniego razu wszyscy ją ignorowali. Wielka czarna pielęgniarka, która mierzyła jej ciśnienie, wyglądała identycznie jak poprzednia, ale przecież i tak nikt nie był w stanie ich rozróżnić. Tak mocno zacisnęła opaskę, że bolało ją całe ramię.

Muriel miała ochotę krzyzczeć, że została napadnięta. Jak oni śmieli? Dlaczego

upatrzeli sobie właśnie ją? Przecież to uderzenie, przez które miała zawroty głowy, mogło rozłupać jej czaszkę. Czym sobie na to zasłużyła? I to straszne upokorzenie! Miała mokre majtki, bo ze strachu się posiusiała, a dziura w podartej pończosze odsłaniała żyłki i zmieniała ją w nędzarkę, starą babę z torbami, pomijając oczywiście fakt, że nie miała tej cholernej torby.

Rzecz jasna już wcześniej czuła się zagrożona – przez gangi przepychające się w kolejce do autobusu i przez tę szaloną starszą panią w ponczo, która kiedyś opluła ją na ulicy. Widziała, jak rozbijają szyby w samochodach i uciekają przed policją. W szpitalu też nie było lepiej – sami obcokrajowcy, którzy dźgają cię igłami i przekrzykują się nad twoją głową w obcych językach. Masz wrażenie, że znowu ktoś na ciebie napada. Czy nikt nie zdaje sobie sprawy, że przerażony człowiek potrzebuje dobroci i życzliwości?

Muriel nienawidziła szpitali. A St. Jude pochłonął jej męża i już nie wypuścił ze swoich szponów. Paddy wjechał do szpitala na noszach i nigdy z niego nie wyszedł. Wróciła sama do pustego fotela i pojemnika z tlenem.

Nagle usłyszała jakieś głosy.

– To znowu ta pani Donnelly – powiedziała pielęgniarka.

– *Ta* pani Donnelly? – Muriel rozpoznała głos lekarza. – Cóż, musimy tu leczyć wszystkich bez wyjątku.

Muriel aż się najeżyła. Jak on śmie tak mówić?

Ktoś odsunął zasłonę i zajrzał do środka. Był to wysoki, siwowłosy hinduski lekarz.

– No proszę, pani Donnelly – powiedział. – Znowu się spotykamy.

Odwieźli ją do domu szpitalnym ambulansiem. Było już ciemno.

Czy to tego ranka wyruszyła z domu do supermarketu? W porównaniu z poprzednim pobytem w szpitalu tym razem lekarz szybko się nią zajął.

Prawdopodobnie chciał się jej pozbyć. Miała tylko rozcięcia, siniaki i paskudnie podbite oko. Żadnych prześwietleń i pobytu na obserwacji. Nogę opatrzyła jej nowa pielęgniarka: miła dziewczyna z Australii.

– Nie jestem rasistką – powiedziała do niej Muriel. – Ale kiedy byłam tu ostatnio, pielęgniarka zachowywała się bardzo niegrzecznie. Oni mają inne manieri niż my. Ludzie udają, że to nieprawda, ale nie żyją z nimi na co dzień. Nie wiedzą, jak to jest, bo mieszkają w tych swoich eleganckich domach w Wembley czy gdzie tam jeszcze.

W ambulansie był jeszcze jeden pasażer: starszy mężczyzna z balkonikiem. Wysadzili go przy domu spokojnej starości na Peckham Rye. Muriel wyjrzała przez okno i zobaczyła starych ludzi. Telewizor był włączony, ale oni w niego nie patrzyli. Niektórzy spali w fotelach ze zwieszonymi głowami. Fotele stały pod ścianami, a na środku pokoju było puste miejsce, jakby w oczekiwaniu na jakieś ważne wydarzenie, które ma lada chwila nastąpić.

Przycisnęła twarz do szyby i poczuła chłód na policzku. Niedługo zjawi się Keith, pomyślała. Kiedy usłyszy, co się stało, natychmiast wszystko rzuci i przyjedzie. Będzie wiedział, że trzęsę się jak osika. Przyjedzie tym swoim wielkim srebrnym jeepem, żeby wszyscy sąsiedzi widzieli, i położy mnie do łóżka. To taki dobry chłopiec.

Ubranie Muriel cuchnęło moczem. Dzisiaj poczuła swój wiek; te zbiry zrobiły z niej starą kobietę. Pomyślała, że nadszedł czas, żeby ktoś się nią zaopiekował. Ten doktor też tak uważał. Wzbraniała się przed dotykiem jego brązowych palców, którymi ugniatał i badał jej ciało, podnosił powieki i świecił latarką prosto w oczy. Ale był dla niej miły, wręcz zadziwiająco uprzejmy. Może zapomniał, co się wydarzyło ostatnim razem. W końcu wiele osób się awanturuje w takich okolicznościach.

Lekarz usiadł obok niej – on, taki zapracowany i zajęty człowiek – i powiedział:

– W tym wieku nie powinna pani sama mieszkać. – Plakietka na jego fartuchu informowała, że nazywa się Ravi Kapoor. – Zastanawiała się pani może nad jakimś domem seniora?

– Syn się mną zaopiekuje.

– Znam pewne bardzo dobre miejsce. – Doktor Ravi Kapoor uśmiechnął się do Muriel, jakby powierzał jej jakąś tajemnicę.

– Żebym utknęła przed telewizorem z bandą starych durni.

– Widzę, że jest pani młoda duchem, pani Donnelly. – Kiedy lekarz się uśmiechał, jego twarz nabierała innego wyrazu. Jak większość Hindusów był przystojnym mężczyzną. – W każdym razie, gdyby zmieniła pani zdanie... Wezmę pani adres z izby przyjęć i prześlę folder.

W tej rozmowie było coś zagadkowego, ale musiała przyznać, że w zasadzie cały dzień był dość zagadkowy i kłopotliwy. Nie dam się pokonać, pomyślała Muriel. Dwójka dzieciaków nie pozbawi mnie pewności siebie. *Widzę, że jest pani młoda duchem.* Nie po to przeżyła wojnę, żeby dać sobą pomiatać.

Wojna. Pewnego dnia opowie o wszystkim synowi, opowie mu całą swoją historię, a nie tylko te fragmenty, którymi dzieliła się z nim do tej pory. Ciągłe odkładała to na później – jutro, za tydzień... Żadna chwila nie wydawała się odpowiednia. Nagle może się okazać, że jest już za późno; udowodniły to dzisiejsze wydarzenia.

Samochód zatrzymał się przed jej domem. Okna w mieszkaniu oczywiście były ciemne. Podobnie jak okna mieszkania Winnie; pewnie była u swojej córki w Bromley.

– Jest pani pewna, że wszystko w porządku? – zapytał kierowca.

Muriel pokiwała głową.

– Wejdę do środka. – Nie chciała, żeby zobaczył, gdzie chowa zapasowe klucze.

Poczuła się dziwnie, oszołomiona i otepiała. Później uświadomiła sobie, że to

była zapowiedź nieszczęścia. Przeszła przez dziedziniec do frontowych drzwi. Klucze były tam gdzie zawsze; leżały owinięte folią pod donicą z geranium. Pomyślała o prawdziwym Leonardzie. Tak samo jak ten hinduski doktor, Leonard miał uśmiech, który nadawał jego twarzy inny wyraz. Powiedzmy, że nie spóźniłby się na pociąg i nie pojechał późniejszym; powiedzmy, że bomba spadłaby na kogoś innego. Wtedy to Lenny czekałby na nią z herbatą i tostami i całował namiętnie.

Ale wtedy rzecz jasna nie urodziłby się jej syn. Ta myśl sprawiła, że poczuła się lekka jak piórko.

Nagle drzwi się otworzyły, chociaż nie zdążyła nawet włożyć klucza do zamka. Po prostu się otworzyły.

Muriel weszła do mieszkania i zapaliła światło.

Coś się nie zgadzało. Była pewna, że wychodząc na zakupy, zamknęła drzwi na klucz. Kiedy to było? Chyba ze sto lat temu...

Stała bez ruchu. Poczowała przeciąg, powiew zimnego powietrza płynącego z kuchni. Pawie pióra w wazonie delikatnie drżały.

Tylne drzwi musiały być otwarte, stąd ten przewiew. Ktoś wszedł do mieszkania, może nadal w nim był. Muriel stała w przedpokoju i czuła, jak wali jej serce. *Keith, gdzie jesteś?*

Wiedziała, że powinna natychmiast wyjść z domu, ale dalej stała, nie mogąc się ruszyć. Ci chłopcy mają moje klucze, pomyślała, i wiedzą, gdzie mieszkam.

Nagle znalazła się w salonie. Zapaliła światło i zobaczyła poprzewracane regały z książkami. Wszystkie ozdoby leżały na podłodze – jej kubki z królewską rodziną i szklane zwierzątka – a sofa stała przekrzywiona. Lecz mimo tego całego bałaganu pokój wydawał się pusty. Nie było telewizora, wielkiego szerokoekranowego odbiornika, który kiedyś dostała od Keitha.

– Leonard? – szepnęła.

Ani śladu kota. Musi być przerażony. Muriel poszła do sypialni i zajrzała do

szafy. Nie było go tam. Pochyliła się, czując chrupanie w kościach, i wyciągnęła pudełko po butach. Nie ukradli gotówki, nadal tam była, całe dwieście funtów, które odłożyła na czarną godzinę.

Poczuła krótki przypływ triumfu, a potem się rozplakała.

Ravi wrócił do pustego domu. Żona i teść wyjechali rano i teraz byli już pewnie ponad dziewięć tysięcy metrów nad Bahrajnem. Chodził z pokoju do pokoju i czuł się niewiarygodnie lekko. Inwazja dobiegła końca, dom znowu należał do niego. Zniknęły wszystkie ślady obecności Normana, nie licząc kilku prześcieradeł w pralce, którą Pauline włączyła przed wyjazdem. W kuchni znalazł kartkę z informacją na ten temat. Wyjął więc mokre prześcieradła, włożył je do suszarki i zatrasnął drzwiczki. Można było odnieść wrażenie, że Norman nigdy nie istniał. Ravi włożył do odtwarzacza kompakt z *Così fan tutte*. Jakże ulotny jest ślad, który zostawiamy po sobie na ziemi. Jak odcisk stopy na piasku, który zmiecie wiatr. Głos Ferranda nabierał mocy: *Una aura amorosa...*, czuła bryza, która koi moją duszę.

Ravi zaciągnął zasłony. Opadł na sofę i spojrzał na fotel, ten, który przez ostatnie cztery miesiące był okupowany przez Normana. Niedługo znowu się zamieni w zwykły fotel. Jak niewiele pozostawiamy za sobą, pomyślał. Wyobraził sobie plastikowe worki z dobytkiem pacjentów z ostrego dyżuru: okulary, zegarek. Dzisiaj stracił jednego z nich – ofiarę wypadku motocyklowego. Oprócz tego były dwa bandyckie napady (w tym pani Donnelly), zraniony palec, oparzenie pierwszego stopnia, którego winowajcą była patelnia do smażenia frytek. Tyle różnych bliskich spotkań – noże ześlizgujące się z desek do krojenia i ciężarówka wpadające w poślizg. To cud, że ludzie dożywają późnego wieku. „A co z karmą?”, pytała Pauline. Pociągał ją kontynentalny bełkot, podobnie jak wielu innych Anglików. Nienawidził, gdy używała takich terminów. Odczuwał to jako zdradę tego wszystkiego, dla czego

porzucił swoje dawne życie, by dać kolejną szansę ofiarom wypadków i naprawiać uszkodzone arterie. Czy ona nie rozumiała, co było dla niego najważniejsze?

Dziwnie się czuł, wysyłając Pauline do swojego ojczystego kraju. Powinien polecić tam z nią i zobaczyć jej reakcję. Cierpiała na zmienność nastrojów i w obecnym stanie mogła zboczyć w jakąkolwiek stronę. Poza tym Indie wywierały na ludzi nieoczekiwany wpływ; nie można było przewidzieć, kto się podda ich urokowi, a kto będzie skonsternowany i zestresowany. On sam był tam kilkakrotnie, żeby odwiedzić rodzinę, ale nigdy nie zabierał ze sobą żony. Kiedy pierwszy raz pojechał do Indii, przechodzili akurat ciężki okres i Pauline wyprowadziła się z domu. Za drugim razem jej matka była umierająca i Pauline musiała zostać w Anglii. Z pewnych powodów, których nie miał ochoty analizować, nie czuł się winny.

A tym razem to on był zwyczajnie zbyt zajęty i nie mógł pojechać. Nie mógł wziąć urlopu, a poza tym miał jeszcze na głowie Ravison Ltd. Odczuwał dreszczyk emocji, odkrywając w sobie zdolności biznesowe. Samo słowo „biznes” sprawiało, że szybciej biło mu serce. Całe życie tkwił w biurokracji, którą rządził jej własny system kastowy, tłamszonej ograniczeniami budżetowymi i nieudolnością władz. A teraz czuł się jak koń pracujący pod ziemią, którego wypuszczono na słońce. Wszystko było możliwe – wielkie pieniądze i moc dokonywania zmian dzięki własnym decyzjom. Firma świetnie funkcjonowała, więc mógł zacząć się zastanawiać, czy nie zrezygnować z pracy w szpitalu. Mógłby wstawać, kiedy by chciał, i pracować w dogodnych dla siebie godzinach. Mógłby podróżować po świecie i współpracować z architektami, leżąc pod palmą kokosową. Ravi czuł, że nawet jego ciało się zmieniło, jakby nagle wyrosły mu nieznane dotąd mięśnie. Naprawdę powinien być wdzięczny temu staremu draniowi Normanowi za to, że dzięki niemu wpadli na tak wspaniały pomysł.

Dorabella i Fiordiligi śpiewali o przebaczeniu. *Fortunato c' uom che prende...* Ravi otarł łzę. Poszedł do kuchni. Pauline, niech ją Bóg błogosławi, zostawiła dobrze zaopatrzoną lodówkę. Wyobraził sobie jej ciało – postawne, z szerokimi ramionami – i poczuł przypływ pożądania. Teraz, kiedy jej nie było, stała się dla niego znowu sobą: energiczną, pełną werwy, zabawną kobietą, której nie trapiły zaburzenia hormonalne i obecność ojca. Nawet Norman wydawał się bardziej poczciwy; ot, radosny stary rozpustnik, a nie uporczywy prześladowca.

Ravi wstawił do mikrofalówki rybną zapiekankę. Znowu był kawalerem pełnym sił i optymizmu. Po kolacji mógł pójść na górę, by nadrobić zaległości w pracy. Wszystko szło zgodnie z planem. Pierwsi pensjonariusze zostali zakwaterowani bez większych problemów. Sonny by go nie okłamał, tkwili przecież w tym razem.

Ravi rozerwał opakowanie z sałatą i wrzucił ją do miski. Przedtem wracał ze szpitala kompletnie wykończony. Teraz, mimo podwójnych obowiązków, przepełniała go energia. Praca na własny rachunek była o wiele bardziej podniecająca niż praca dla innych ludzi! Przyrządził sos winegret: olej z orzecha włoskiego i sok z limonki. Żywił ciepłe uczucia nawet dla pani Donnelly. „Znowu tu jestem”, powiedziała, „wracam jak zły szeląg”. Próbowwała zachować pogodę ducha, mimo że była w szoku. Ravi nie uważał jej już za rasistowską bigotkę, raczej za hardą staruszkę. Przecież świat tak bardzo się zmienił i osoba w jej wieku musiała się czuć w tym wszystkim bezradna i zdezorientowana. Wysłałby jej folder domu seniora w Bangalurze, chociaż – zgodnie z tym, co twierdziła Pauline – nie było żadnej szansy, żeby tam pojechała. Ze wszystkich ludzi na pewno nie Muriel Donnelly!

Chociażby dlatego, że nie miała pieniędzy. Poza tym były jeszcze inne powody.

Ravi się uśmiechnął, mieszając sałatkę. Starsza pani naturalnie miała rację. Wszędzie było ich pełno, nie dało się przed nimi uciec. Zwłaszcza w służbie

zdrowia i bez względu na kraj, w którym akurat się znalazłeś, gdy przyszła na ciebie pora. Bez względu na to, czy byłeś w Watford czy w Wisconsin, ostatnią twarzą, którą ujrzysz na tej ziemi, będzie najprawdopodobniej twarz czarnego człowieka.

Muriel została napadnięta. Została obrabowana. Jej kot zniknął. Leonard pewnie uciekł, kiedy włamywacze wdarli się do domu, a ona nie miała odwagi, by szukać go w ciemnościach. Była sama, a jej syn nie odbierał telefonu. Odzywała się tylko automatyczna sekretarka.

– Keith! Proszę, przyjedź i zabierz mnie stąd. Gdziekolwiek jesteś, przyjedź szybko. Oni na pewno wrócą, bo mają moje klucze...

A potem sygnał i telefon się wyłączył.

Jej sąsiadka Winnie wyjechała. Piętro wyżej nikt nie mieszkał. Cała drżąc, usiadła w płaszczu na łóżku. Straciła poczucie czasu. Czuła się słaba, otumaniona, odłączona od ciała; to pewnie te środki przeciwbólowe. Czuła, że jej ciało siedzi na łóżku, a ona wisi w powietrzu pod sufitem i spogląda z góry na starą kobietę z podbitym okiem i zabandażowaną nogą. Jej dusza uleciała, pozostawiając ją pustą niczym skorupa. Czuła, że ma zimne nogi – w szpitalu zdjęli jej pończochy – ale ten chłód należał do kogoś, kto nie miał z nią nic wspólnego.

Muriel siedziała i czekała na telefon od Keitha; czekała na stukot klapki, przez którą wchodził Leonard. Zdawała sobie sprawę, że powinna zadzwonić na policję, ale wolała poczekać na Keitha i Leonarda, a to mogło przecież chwilę potrwać. Kiedy przyjedzie jej syn, szybko zabierze ją z tego mieszkania, które już do niej nie należało, które zostało zbezczeszczone przez obcych ludzi zamierzających ją zabić. W powietrzu czuło się zło, które ulatniało się niczym trujący gaz.

A potem usłyszała trzask. To klapka dla kota.

– Lenny!

Muriel poderwała się na równe nogi. Jej Lenny wrócił do domu. Włożył go do koszyka i zabierze do Chigwell. Keith na pewno się za nią ujmie, zrobi awanturę, a potem ulokuje ją w pokoju dla gości z łazienką i złotymi kranami. Nawet ta jego złośliwa żona będzie jej współczuć.

Muriel przeszła do korytarza.

– Lenny, jestem tutaj. – Może to, co się dzisiaj wydarzyło, było znakiem, ostrzeżeniem, że musi na dobre opuścić Peckham. Może jej syn miał rację. Pozwoli, żeby zlikwidował to mieszkanie, i przeniesie się do Chigwell; może spokojnie dożyć swoich dni na wsi w otoczeniu krów, a nie bandytów.

Weszła do kuchni. Zobaczyła rudego kocura, który pochłaniał karmę Lenny’ego. Miał tupet, bo nawet się nie odwrócił.

– Wynoś się! – Muriel kopnęła go zdrową nogą. – Spieprzaj!

Kocur syknął złowieszczo. Jego oczy były zasnuwane mleczną kataraktą. Potem odszedł z podniesionym ogonem, prezentując odbyty w całej okazałości, i z trudem przecisnął się przez klapkę.

Muriel odryglowała drzwi. Kot przystanął na podjeździe i spojrzał na nią.

– Spierdalaj! – wrzasnęła, utykając po betonie.

Przystanąła, próbując złapać oddech. Świszczało jej w płucach. Parking skąpany w sodowym świetle wyglądał tajemniczo i upiornie. Gdzieś śpiewał ptak; w dzisiejszych czasach ptaki śpiewały całymi nocami i to nie było w porządku. Z powodu świateł palących się na ulicach myślały, że jest dzień. A gdzieś daleko, w sąsiednim blokowisku, wył jakiś człowiek.

Muriel oparła się o ścianę i czekała, aż jej serce powróci do normalnego rytmu. Potem poszła w kierunku domu.

Po drodze minęła szereg wielkich pojemników na śmieci. Coś przyciągnęło jej wzrok.

Najpierw pomyślała, że to kawałek futerka, które ktoś rzucił niedbale na stertę worków.

Podeszła bliżej. Nie, to nie była wypchana dziecięca zabawka. Czarne futro, białe łapki.

Podeszła jeszcze bliżej. A potem stanęła oniemiała.

Pauline przysnęła w trakcie filmu. Śniło jej się, że jest małą dziewczynką i klęczy przy matce na porośniętym trawą pagórku. Matka była już chora, chociaż nikt o tym nie mówił. Miała poszarzałą i wilgotną twarz. Siedziały w miejscu zwanym Indiami, chociaż Pauline wiedziała, że to park w High Wycombe, gdzie dorastała; rozpoznała pomnik poległych. Matka podała jej uroczyście talerz z jedzeniem. Pauline spojrzała na niego i zobaczyła, że to małpie głowy.

Te zasuszone twarze zanurzone w pieczeniowym sosie sprawiały absolutnie zwyczajne wrażenie. Wyglądały na szczęśliwe i uśmiechały się do niej jak mali starszankowie. Bez obaw, nie zamierzała ich jeść.

Nagle padł jakiś cień. To był jej ojciec. Usiadł na trawie i wziął małpią głowę. Włożył ją sobie do ust i zaczął przeżuwać. *Bądź grzeczną dziewczynką i podaj mi następną.*

Pauline się obudziła. Norman trzymał w dłoniach pustą małpkę po whisky.

– Bądź grzeczną dziewczynką – powiedział do stewardesy – i podaj mi następną.

Stewardesa spojrzała na Pauline i się uśmiechnęła. Na pewno jej współczuła, bo Norman przez cały lot był jednym wielkim utrapieniem. Wtedy Pauline uświadomiła sobie, że jej twarz jest mokra od potu. Kolejne uderzenie gorąca.

– Niedługo będziemy lądować – odezwała się stewardesa.

Pauline podniosła żaluzję. Za oknem świt buchnął feerią świateł; ujrzała obręcz ognia nad zakrzywionym horyzontem. Lecąc przez strefy czasowe ku nowemu dniowi, stracili pięć godzin. Czuła przyspieszone bicie serca, a może tylko zwykłe palpacje. To właśnie robiła dla innych ludzi: wysyłała ich

w przestrzeń, by dotarli do miejsc położonych na krańcach świata. Naturalnie ona również podróżowała. Ale dzisiaj nie była na wakacjach; jej ojciec miał rozpocząć nowe życie. Otarła serwetką spoconą twarz. Księżyc oddziaływał na ziemską grawitację; przyływy i odpływy oddziaływały na kobiece łona, oczywiście pomijając stewardesy, które przemierzając kulę ziemską tam i z powrotem, nie miały już okresu. A ją to też wkrótce czekało.

Jaki dziwny sen... Może w Indiach są małpy. A z pewnością są tam dzieci. To straszne, że jej matka tak wcześnie ją opuściła. Pauline nagle tak strasznie za nią zatęskniła i ta tęsknota przyprawiła ją o mdłości. Dlaczego mama tak wcześnie odeszła? Nagle uświadomiła sobie, że ten stary mężczyzna, który siedzi obok, wysysa z niej całe życie. Nie było sprawiedliwości na tym świecie. Jej matka, która była dobrą kobietą, umarła, a ojciec wydawał się niezniszczalny. Egoizm to potężna siła życiowa, więc pewnie przeżyje ich wszystkich, mimo że przez całe życie nadużywał alkoholu i nikotyny; podpalił nawet flagę w toalecie i został z niej wyciągnięty przez stewarda.

– Za chwilę rozpoczniemy procedurę lądowania na międzynarodowym lotnisku imienia Indiry Gandhi... Proszę zapiąć pasy, złożyć tace i ustawić siedzenia w pozycji pionowej...

Norman był w swoim żywiole. Otworzył butelkę i nalał whisky do szklanki.

– Jadę do Bangaluru – zwrócił się do swojego sąsiada, tęgiego Hindusa, który przespał prawie cały lot. – Moja córka chce się mnie pozbyć i wysyła mnie do jakiegoś domu dla staruchów.

– Bangalur to urocze miasto – powiedział mężczyzna. – Przyjemny klimat, nowoczesne obiekty.

– Widzisz, tato? – powiedziała Pauline.

– Jest znane jako raj dla emerytów – dodał pasażer. – Moi rodacy są rozrzućeni po całym świecie. Czasami nie mają już w Indiach żadnej rodziny, więc na stare lata kupują sobie mieszkania na nowych osiedlach.

– Widzisz, tato? Nie tylko ciebie to dotyczy.

– Bangalur bardzo przypomina Anglię – dodał mężczyzna. – Niech pan poczeka do Bożego Narodzenia. Wszyscy idą na pasterkę do kościoła Świętego Patryka, jest pieczony indyk i ozdoby choinkowe na rynku. – Poklepał Normana po kolanie. – A dla faceta, który lubi się napić, Bangalur jest rajem na ziemi, ojczyzną Kingfishera z pubami na każdym rogu!

Norman podrapał się po nosie.

– No i jeszcze kilka innych ekscytujących rzeczy.

Samolot wpadł w turbulencje. Pasażerowie podskoczyli w fotelach, a Norman polał się whisky.

– Może zawieźć panią do szpitala? – zapytał taksówkarz.

– Już *byłam* w szpitalu – odparła Muriel. – Proszę wrzucić gaz i zawieźć mnie do Chigwell.

– Też tu nie mieszkam – powiedział kierowca – tylko w Ongar, bo w dzisiejszych czasach nie da się żyć w Londynie. Widzę, co z panią zrobili. Jak mogli potraktować w ten sposób bezbronną kobietę? Prawo już nie istnieje. Pytam, gdzie jest policja? Gdzie stróże prawa? Nikt nie kontroluje tych dzieciaków. Przyjechali do tego kraju – rozumie pani, o czym mówię – korzystają z różnych świadczeń i przywilejów, ich ojcowie pieprzą, co popadnie – przepraszam za język – a dzieciaki handlują heroiną i szaleją, nawet dwunastolatki. Widzi pani, oni wiedzą, jak działa ten system, i śmieją się z policji. W razie czego podają im numer swojego adwokata. Zatwardziali dwunastoletni kryminaliści! Moim zdaniem trzeba ich pozamykać! Pozamykać i wyrzucić klucze!

Muriel siedziała z zamkniętymi oczami, a taksówka przemierzała ulice miasta. Wcześniej wypłała pół szklanki likieru, który Keith przywiózł z Hiszpanii.

– Czytała pani w gazetach o tej starszej kobiecie, która przez dwa dni leżała na izbie przyjęć? To się nazywa cywilizowane społeczeństwo? Trzeba przywrócić karę śmierci i tyle.

Na siedzeniu obok Muriel leżała torba podróżna. Nie pamiętała, jak ją spakowała. Zazwyczaj była bardzo gadatliwa, ale teraz straciła zdolność mowy. Pragnęła tylko, żeby taksówkarz zawiózł ją do domu Keitha, zanim ona całkowicie się załamie. Kiedy spadały bomby, można było robić tylko jedno: czekać w ciszy, aż wybuchną, i liczyć... piętnaście... szesnaście... siedemnaście...

Leonard.

Muriel musiała przysnąć, bo nagle zatrzymali się przed domem Keitha. Zaczęła szukać w portmonetce pieniędzy, które wyjęła z pudełka po butach.

– To tutaj? – Taksówkarz wyjął z samochodu jej torbę.

Dom był ciemny. Keith i Sandra pewnie wyszli i miło spędzają wieczór. Nawet telefon komórkowy był wyłączony.

– Mój syn niedługo wróci – powiedziała. – Mam klucze.

Znalazła je w kuchennej szufladzie. Poruszała się jak robot, jakby wysiadł system i działał tylko na zasilaniu awaryjnym. W taki sposób funkcjonowały rozruszniki serca.

Taksówkarz pomógł Muriel dojść na podjazd, podtrzymując ją za łokieć.

– Ładne miejsce. Musiało sporo kosztować.

– Z tyłu jest basen. – Muriel nawet w takiej chwili potrafiła przywołać swoją materialną dumę, tak głęboko była w niej zakorzeniona.

Nagle zapaliło się światło i ujrzeli dom w całej okazałości – ogromny, murowany, z nalepkami na oknach dziecięcej sypialni. Dzieci przebywały w szkole z internatem.

– To nie są dzieci mojego syna – powiedziała Muriel. – Tylko Sandry.

Światła sprawiły, że dom nie wyglądał solidnie, przypominał raczej teatralną dekorację. Dotarli do werandy.

– A niech mnie, ale to ciężkie. – Taksówkarz postawił torbę na ziemi.

– Proszę mnie nie zostawiać! – Muriel złapała go za rękę.

– Oczywiście, że nie. Nie zostawię pani.

Wziął od niej klucze i po kolei otwierał wszystkie zamki.

Musiał pchnąć drzwi, żeby się otworzyły; okazało się, że na podłodze leży sterta listów. Weszli do środka. Powietrze w domu było chłodne. Nagle coś zaczęło piszczeć.

– O rany – powiedział taksówkarz. – Gdzie jest alarm, złotko?

Muriel zapaliła światło. Była zbyt skołowana, żeby myśleć. W domu wyczuwało się jakiś dziwny zapach; stół był zasłany zwiędłymi płatkami lili.

– Gdzieś musi być – dodał kierowca, szukając drogi.

I wtedy rozległo się wycie alarmu.

Muriel znajdowała się w jakimś obcym salonie. Kierowca taksówki już poszedł. Jak przez mgłę przypominała sobie mężczyznę i kobietę, którzy siedzieli naprzeciwko niej. Mały york obwąchiwał jej nogi.

– Coco, przestań – powiedział mężczyzna. – Przepraszam, moja droga, to przez ten bandaż.

Muriel ścisnęła w dłoniach kubek z herbatą, trochę wylała na dywan.

– Może pani pozwoli, potrzymam. – Kobieta wzięła od niej kubek.

Jak długo tu siedziała? Ich twarze powoli nabierały znajomych rysów. To byli sąsiedzi Keitha, Muriel poznała ich kiedyś na grillu. Mężczyzna miał na imię Carl i był budowlańcem.

– Pani biedne oko – powiedziała jego żona, kto-wie-jak-jej-tam. – Biedactwo. – Miała tlenione włosy i była dość niechlujnie ubrana.

Pokój był pełen różnych srebrnych pucharów. Muriel dostrzegła kubek z Dianą.

– Gdzie jest Keith? – zapytała.

Carl spojrzął na żonę.

– Przygotuję pani łóżko, pani Donnelly – zaproponowała kobieta. – Porozmawiamy jutro.

– Dokąd pojechał?

– Za granicę.

– Do Hiszpanii?

Carl pokręcił głową. Był potężnym, muskularnym, opalonym na brąz mężczyzną.

– Nie do Hiszpanii, moja droga. Musi pani wiedzieć, że go szukają.

– Ale kto? – spytała Muriel.

– Policja.

– Policja? – Muriel utkwiała w nim zdziwione spojrzenie.

– Keith jest w trudnej sytuacji – dopowiedział Carl.

Żona zwróciła się do niego:

– Chyba bardziej niż w trudnej, słonko.

Zapadła cisza. Pies zaczął skomleć i obwąchiwać torbę Muriel.

– Coco! – Carl złapał psa za obrozę i odciągnął. Pazury zaszurały o parkiet.

– Co się stało? – zapytała Muriel. – Co się stało z moim synem?

Rita! Tak miała na imię. Rita odchrząknęła.

– Carl próbuje powiedzieć, że pani syn ma kłopoty. Chodzi o interesy. Nie znamy szczegółów, ale rozpętało się coś niedobrego i Keith musiał wyjechać z kraju. Powiedział nam, żeby nic nikomu nie mówić z wyjątkiem pani. Nie wiem, co się stało z Sandrą. Dzieci też nie ma, prawda? Nie mam pojęcia, czy pojechała z nim. Ale jego nie ma. Bardzo mi przykro.

Pies wyrwał się z ramion Carla i znowu pobiegł do torby Muriel.

– Coco!

– W środku jest kot, dlatego tak się zachowuje – wyjaśniła Muriel. Nie była w stanie dodać słowa „martwy”, więc zaczęła pochlipywać. – Nie mogłam go zostawić samego.

Zapadła cisza i wszyscy spojrzeli na torbę.

– Keith nie zostawiłby mnie samej – dodała.

– Trochę się spieszył – tłumaczył Carl.

– Jestem pewna, że wszystko by pani wyjaśnił – powiedziała Rita. – Gdyby tylko miał czas.

– Nie wypuści pani kota? – zapytał Carl i spojrzał na torbę.

– Nie – odparła Muriel. – On już nigdzie nie wyjdzie.

Gdzieś w oddali zegar wybił godzinę. Ten dom był jeszcze większy niż dom Keitha.

– Pani syn wyjechał we wtorek – powiedziała Rita. – I tego samego dnia przyszła policja. Minęli się z nim. – Spojrzała na torbę. – Czy coś z nim nie w porządku? Z pani kotem?

– Mój Keith nie zrobił nic złego – upierała się Muriel. – Dlaczego tracą czas i ścigają jego, zamiast łapać przestępców! Powinni złapać tych chłopców. – Muriel zwiesiła głowę. Czy to właśnie tego ranka została napadnięta? – Na pewno nie wyjechał za granicę, tylko się ukrywa. Tak samo jak wtedy, gdy był dzieckiem. Jest w tym naprawdę dobry. Ukrywa się i nikt go nie znajdzie.

Jej słowa popłynęły i zniknęły. Były jak strumień szmerzący wśród kamieni... delikatnie szumiący, gdy wymawiała s. Muriel czuła, że się zapada; była niczym pusta butelka po wodzie. A potem pochłonęła ją ciemność.

1 *Whiting* z ang. witlinek, ryba morska z gatunku dorszowatych.



Część druga



1

Zdejmij zasłonę z serca swego, a ujrzysz Ukochaną Istotę, która kryje się w tobie. Zamknij uszy na to, co płynie z zewnątrz, i usłysz dźwięk Kosmosu, który rozbrzmiewa w tobie.

Mira, poetka z Radżastanu

– Zapamiętaj, Evelyn, kiedy kręcą głowami, to nie zaprzeczają, tylko mają na myśli *tak*.

– No niezupełnie – powiedział jej mąż. – Mają na myśli *tak*, jeśli jest to akurat to, czego pragniesz.

– Nie komplikuj, Duggy. Mącisz jej w głowie. – Jean obróciła się do Evelyn, przechylając się nad przejściem między siedzeniami. – Oczywiście można się z tym spotkać w angielskich sklepach, ale w Indiach to coś w rodzaju symbolu charakterystycznego dla całego subkontynentu, dla ich filozofii i hinduskości. – Jean opadła na fotel, żeby przepuścić przechodzącego pasażera. Było już po obiedzie i ludzie zmierzali w stronę toalety. Stali w kolejce, niechcący ujawniając swoje potrzeby. Jean Ainslie znowu się nachyliła ku Evelyn. – Chodzi o to, by akceptować karmę.

– I o gościnność – dodał Douglas. – By zadowalać gości, którzy odwiedzają ich kraj...

– Nie możesz zadawać pytań wprost, na przykład o to, jak długo coś potrwa – powiedziała Jean. – Potrwa tak długo, jak będziesz chciała.

– A jeśli zaczniesz się denerwować, to tylko pogorszysz sprawę – krzyknął Douglas ponad głową żony. Siedział w rzędzie za nią. – Musisz po prostu iść

z prądem...

– My już się tego nauczyliśmy, prawda, kochanie?

– Tak, podczas naszej pierwszej podróży.

– Byliśmy na wyprawie trekkingowej w Himalajach. Wspaniałe przeżycie, prawda, Douggy?

– Cudowne.

– Nadzwyczajne.

Towarzystwo emerytalne postanowiło skojarzyć Evelyn z Jean i Douglasem; najwidoczniej prowadzili taką politykę, by – o ile to możliwe – organizować swoim klientom wspólne przeloty. Evelyn poczuła prawdziwą ulgę, że tak szybko udało jej się znaleźć przyjaciół, i to tak sympatyczną parę. Państwo Ainslie ewidentnie byli wytrawnymi podróżnikami, odnosiło się wrażenie, że byli już wszędzie. Jaka nieustraszona para! Nawet po sześćdziesiątce nadal podróżowali kamperem po Europie. W porównaniu z ich życiem żywot, jaki wiodła Evelyn, wydawał się nijaki, płochliwy, pozbawiony wrażeń.

– Podczas kolejnego pobytu w Indiach zwiedziliśmy Złoty Trójkąt – powiedział Douglas. – Delhi, Agrę i Dżajpur.

– Byliśmy nawet w Jaisalmerze – dodała jego żona.

– To miasto na pustyni Thar.

– W dzisiejszych czasach kursują tam autokary, ale wtedy była to dość niezwykła wyprawa, prawda, Doug?

– Fascynująca. – Douglas nachylił się ku Evelyn. – W końcu mamy tylko jedno życie, czyż nie?

Evelyn już zamierzała mu powiedzieć, że w Indiach jest chyba wprost przeciwnie, ale nie mogła przypomnieć sobie, co mówiła jej na ten temat Beverly. Brzmiało to tak absurdalnie, że mogła się co najwyżej ośmieszyć.

– Taka z nas para wędrowców – powiedziała Jean.

Nagle Evelyn tak rozpaczliwie zatęskniła za Hugh, że zabrakło jej tchu. Jego uśmiechnięta twarz i ten okropny stary sweter, którego nie chciał się pozbyć, ogorzała od wiatru skóra, gdy pływali po Zatoce Chichester. „Jesteś gotowa, staruszko?”, pytał Hugh, a Evelyn robiła unik, żeby nie zderzyć się z bomem. Do obu mówił „staruszko” – do Evelyn i do swojej łodzi (*Mary-Louise*) – z takim samym zniecierpliwieniem. Ona i Hugh też na swój sposób byli wędrowcami, trzymali się razem w świecie, w którym tak łatwo było stracić orientację i w którym dzieci zmieniały się w obcych ludzi.

– Potrzebujesz jedynie otwartego umysłu – kontynuowała Jean.

– I jelit z żelaza – dodał Douglas.

To było właśnie jedno z największych zmartwień Evelyn. A jeśli zapadnie na czerwonkę albo żółtaczkę? A może nawet na tyfus? W folderze były pewne wskazówki dotyczące higieny – jeść tylko obrane owoce, pić wyłącznie przegotowaną wodę – ale już na samą wzmiankę o zatruciach pokarmowych czuła ściskanie w żołądku. I miała mdłości, chociaż zjadła tylko obiad zaserwowany przez British Airways, złożony z kurczaka po prowansalsku i szarlotki z kruszonką.

Kiedy niepewnym głosem wyraziła swoje obawy, Douglas pospieszył z wyjaśnieniem:

– Nie przejmuj się, Evelyn. Wszyscy zapadają na klątwę Delhi.

– To nieodzowna część przeżyć w Indiach – powiedziała Jean.

– Powinnaś zobaczyć ich toalety! Pomówmy o „czarnej dziurze” Kalkuty...

– Przestań, Doug! Nie strasz jej! – Jean zwróciła się do Evelyn: – Nie przejmuj się nim. On zawsze ma takie głupie poczucie humoru. – Na palcach zaczęła wyliczać rzeczy, które ze sobą zabrali: – Tabletki oczyszczające wodę, siatka na Moskity, środek na zaparcia...

Evelyn odpłynęła. Myślała o starej bezpiecznej Anglii, którą zostawiali za sobą, przemierzając nocne niebo. Zdawała sobie sprawę, że w gruncie rzeczy nic

nie było bezpieczne: mąż, dom, pieniądze – to wszystko mogło w każdej chwili zniknąć. Ale żeby zaraz lecieć na koniec świata! Brawura, z jaką podpisała formularz zgłoszeniowy – ten niewiarygodny wybuch buntu i odwagi – już dawno się ulotniła.

– Rzecz w tym, że nie podróżowałam sama zbyt wiele – odezwała się. – Od kiedy mąż umarł...

– Ha! Uważaj się za szczęściarę – rzuciła Jean. – Szczerze mówiąc, Doug potrafi przysporzyć więcej kłopotów, niż jest wart. Zawsze pogania ludzi, mówi do nich łamaną angielszczyzną i wiecznie mnie ciągnie, żebym oglądała jakieś ruiny. A czasami chciałoby się po prostu odpocząć. Mam rację?

– Oczywiście, ale...

– Nigdy nie lubiłam wylegiwać się na plaży, prawda, Doug? Ludzie pytają, dlaczego nie wybraliśmy na emeryturę Hiszpanii, Portugalii albo czegoś w tym rodzaju. Ale przecież tam nie ma *nic* do roboty. Wyobraź sobie stado starych bab, które tylko siedzą i robią na drutach. Zanudzilibyśmy się tam na śmierć, prawda, kochanie?

Evelyn siedziała w milczeniu. W słowach Jean kryło się zakamuflowane stwierdzenie, że to właśnie ona jest taką starą babą. „Ja taka nie jestem!”, cisnął jej się na usta okrzyk. Pomyślała o dłoniach Hugh. Tęskniła też za jego twarzą, głosem, za wszystkim, co było nim – zapachem jego skóry, śmiechem – ale to właśnie jego dłoni najbardziej jej teraz brakowało. Palcem wskazującym wycierał kurz z jej twarzy, gdy wracała z ogrodu; w nocy, kiedy przewracała się w łóżku, splatał jej dłonie ze swoimi. Czasami trzymali się za ręce jak nastolatki. Pragnęła, żeby był przy niej, by – taki wysoki i silny – siedział na sąsiednim fotelu. Tak bardzo za nim tęskniła, że czuła ból w piersiach.

– Jak się dowiedziałaś o tym miejscu? – zapytała Jean. – Nam zaproponował je syn, robi filmy dokumentalne dla BBC.

– To wspaniale – przyznała Evelyn. Zamierzała powiedzieć, że źródłem jej

informacji była manikiurzystka, ale się nie odezwała, bo gdy tylko usłyszała w głowie słowa Beverly – „Ale jazda” – bardzo za nią zatęskniła.

– Adam nas tak dobrze zna...

– To nasz syn...

– Od razu się zorientował, że to miejsce dla nas. Zawsze lubiliśmy przygody, prawda, Doug?

Douglas skinął głową.

– Chociaż ze skakaniem na bungee już daliśmy sobie spokój.

– Masz tyle lat, na ile się czujesz – wtrąciła Jean.

– Młodych ludzi też ciągnie do Indii – powiedziała Evelyn. – Theresa, moja córka – pewnie widzieliście ją w hali odlotów – jeździ do aśramów. – Rzecz jasna Theresa nie była już młoda. Miała czterdzieści dziewięć lat. Gdyby miała dzieci, one też byłyby już dorosłe. Ta myśl wywołała ból. – Czy wasz syn ma dzieci?

Jean pokręciła głową.

– Kręci się wokół niego mnóstwo chętnych dziewcząt, ale on jeszcze nie znalazł tej jedynej.

Zapadła cisza. Jean przymknęła oczy i usiadła wygodnie.

Evelyn usiłowała zasnąć, ale jej zmęczone stare serce biło jak oszalałe. Czy będzie w stanie poradzić sobie z zagrożeniami, które na nią czyhały, skoro nawet myśl o zarezerwowaniu lotu z przesiadką napawała ją przerażeniem? Gdzieś tam czekało na nią nieznane – złowroga próżnia.

Prowadź nas, Ojcze niebieski, prowadź nas

Przez oceany pokus ciemną nocą;

Strzeż nas, chroń nas, nakarm nas,

Tylko Tyś jest naszą pomocą.

Evelyn spędziła całe życie w kościelnej ławce i umocniona pewnością, jaką

daje modlitwa, powtarzała te słowa najpierw z rodzicami, a potem z mężem. Ale wszyscy już ją opuścili, pozostawiając na łasce obcych ludzi.

Trzeciego dnia zmartwychwstał...

Gdzie oni teraz są? Światła w samolocie przygasły; tą nocną porą wraz z pozostałymi pasażerami znajdowała się pod opieką anonimowego pilota, który informował właśnie o zbliżających się turbulencjach. Evelyn siedziała bezpiecznie zapięta w fotelu. Pod kocem jedna dłoń poszukała drugiej, palce się splotły. Bez przerwy przekręcała ślubną obrączkę; łatwo się poruszała na palcu.

Jean Ainslie spała po drugiej stronie przejścia z otwartymi ustami. Sen dodał jej lat; tylko unoszący się i opadający koc dowodził, że jeszcze nie jest trupem. Ci ludzie zostaną jej ostatnimi nowymi przyjaciółmi – ta para i ci, którzy już czekają w hotelu. Czy mam na to odwagę i siłę?

Wiedziała oczywiście, że nie ma wyboru. Dokądkolwiek pojedzie, będzie przecież musiała robić to samo. Nawet gdyby wróciła do domu, a mogłaby, musiałaby stawić czoło takiej samej sytuacji.

Po jej lewej stronie pochrapywał hinduski dżentelmen, z którym do tej pory nie rozmawiała. Jego głowa kiwała się tuż nad jej ramieniem. Poprawiła się w fotelu, próbując znaleźć wygodną pozycję. Czuła, że zeszywniały jej wszystkie stawy.

– Weź to. – Douglas pochylił się nad śpiącą żoną i podał Evelyn jakiś przedmiot. – To poduszka pod szyję – powiedział. – Nadmuchałem ją dla ciebie.

– Ależ nie musisz...

– Dalej, weź ją. Od razu poczujesz różnicę. – Douglas się uśmiechnął, jego twarz jaśniała w świetle lampki do czytania. Widziała jego gęste siwe włosy; snop światła przypominał przedzierającą się przez chmury niebiańską poświatę, którą widziała na ilustracji w Biblii dla dzieci. – Słodkich snów – dodał. – Do zobaczenia w Indiach.

2

*Przełam granice, które krepują twój umysł i ciało. Doświadczaj radości w sobie i wokół siebie.
Odnajdź się w Ostateczności.*

Swami Purna

Razia nadal była obrażona. Jej dąsy mogły trwać całymi tygodniami i tym razem tak właśnie było. Był już początek października i Minoo – zazwyczaj uprzejmy i miły – zaczynał tracić cierpliwość.

– Słoneczko, proszę, mój kwiecie lotosu... – Próbował ją objąć, ale go odtrąciła.

– Cóż ja takiego uczyniłam, że trafił mi się mąż idiota? Ty i ten drugi facet jesteście w zмовie, kręcicie i coś kombinujecie za moimi plecami. A ja głupia myślałam, że sprzedamy tę budę i będziemy się cieszyć spokojną starością.

– Proszę, mów trochę ciszej.

– Przecież oni są głusi.

– Nie uważasz, że wszystko idzie jak z płotka? – zapytał Minoo.

– Jak z płotka? – Razia przełożyła sari przez ramię. – Ciągłe narzekają: na gorąco, moskity, jedzenie...

– Nie ma więcej skarg niż zazwyczaj...

– Ale tamci goście wyjechali! A teraz tkwimy tu z nimi, dzień po dniu. Nie obchodzi cię, że jestem wykończona. Spójrz tylko na mnie. Och, powinnam posłuchać swojej rodziny!

A ja powinienem posłuchać swojej, prawie wyrwało się Minoo. Ale nie

powiedział tego, bo nie chciał zaognić sytuacji. Poczuł ból w żołądku i mdłości, kłótnie z żoną zdecydowanie źle wpływały na jego układ pokarmowy.

– *Dostatnia* starość! – warknęła Razia.

– Nie uważasz, że mamy całkiem niezłe zyski? Spójrz tylko na cyfry. Sonny mówi, że w ciągu trzech lat...

– Sonny! Ten twój nowy przyjaciel! Sonny to, Sonny tamto! Naprawdę sądzisz, że można ufać takiemu człowiekowi?

Zadzwieczał dzwonek. Minoo wstał i opuścił małe, pozbawione okien biuro oraz gotującą się ze złości żonę. Wkroczenie do holu było niczym wejście na scenę: porzucał swoje prywatne życie i stawał się profesjonalistą, który musi stawić czoło różnym żądaniom, nieskażony poczuciem winy i gniewem. Z biegiem lat coraz bardziej dawało mu się to we znaki.

Przy kontuarze stała pani Evelyn Greenslade.

– Bardzo przepraszam, że przeszkadzam – powiedziała. – Nie chcę sprawiać kłopotu.

– Madam, jestem do pani usług.

Pani Greenslade przyjechała zaledwie dwa dni temu, ale Minoo już ją polubił. Mała, krucha kobieta – lada sięgała jej aż do piersi – roztaczała wyraźną aurę wyrafinowania, które tak podziwiał u Brytyjczyków. Była prawdziwą damą; drobnokoścista, falujące siwe włosy i piękny strój – kremowa bluzka i naszyjnik z pereł.

– Wygodnie się pani urządziła? – zapytał.

– Tak, chociaż to wszystko jest dla mnie trochę dziwne. Naturalnie upał i ci ludzie... Chodzi mi o to, że są tacy biedni, tak straszliwie biedni. To wstrząsające. Rozumie pan, ja pochodzę z Sussex.

– Słyszałem, że to bardzo przyjemne miejsce – powiedział Minoo. – Kilkoro naszych gości miało domy w Sussex. – Sięgnął pod ladę i zaczął szperać w pudełku. – Mam tutaj listy z podziękowaniami. Jeden jest od pułkownika

Penrose'a i jego żony. Mieszkają w Pulborough w Sussex. Może ich pani zna?

– Spotkałam żebraka bez nóg – ciągnęła Evelyn. – Widział go pan? Siedzi tu niedaleko na skrzyżowaniu. Ktoś zrobił mu mały wózek i siedzi na nim przez cały dzień. Prosi kierowców o jałmużnę, gdy się zatrzymują. To jeszcze młody człowiek i nie ma nóg. – Evelyn zaśmiała się krótko. – Nabieram przez to dystansu do mojego stawu biodrowego.

– To Indie, proszę pani, wkrótce się pani przyzwyczai.

Evelyn Greenslade musiała być w młodości olśniewającą kobietą. Prawdę mówiąc, nadal była ładna; jej uroda trochę przywiedła, ale ona też prawdopodobnie zbyt jej nie doceniała. Minoo, który był wrażliwy na piękno, czuł, że przy niej robi się bardziej szarmancki.

– W sprawie żebraków jestem bezradny i nie rozwiążę ich problemów, ale jeśli mógłbym cokolwiek zrobić, by umilić pobyt tak czarującej damie, to proszę się nie krępować i natychmiast mi powiedzieć.

– Cóż, szczerze mówiąc, jest taka jedna sprawa...

Zapadła cisza. Z holu dobiegał szum głosów. Właśnie się rozpoczynała poranna partia madżonga organizowana przez panią Rheinart. Czy w barku była odpowiednia ilość napojów chłodzących? Ci starsi ludzie na pewno już wszystko wypili. Jeszcze do niedawna goście przyjeżdżali i wyjeżdżali, ale teraz przez cały dzień byli na miejscu i Minoo musiał pamiętać, by zwiększyć zamówienia. Zazwyczaj sprawdzaniem zapasów zajmowała się Razia, ale teraz była nadąsana i nie mógł na nią liczyć. W tej chwili rozmawiała przez telefon ze swoją siostrą, słyszał przez ścianę jej urażony głos.

– Chodzi o Normana, wie pan, o pana Purse'a. – Pani Greenslade chrząknęła znacząco.

– Aha.

– Wie pan, że jego pokój sąsiaduje z moim? – Evelyn dotknęła naszyjnika z pereł. – No i zastanawiam się, czy nie sprawiłabym panu wielkiego kłopotu,

gdybym poprosiła o jakiś inny pokój. O ile jest coś wolnego oczywiście. Tylko trochę dalej...

– A w czym problem, madam?

– Rzecz w tym, że mam bardzo lekki sen, a on... cóż, jest taki głośny. Robi dużo hałasu, tłucze się po nocach, słucha radia i tak dalej... – Evelyn zawiesiła głos. – A poza tym mamy wspólną łazienkę...

Spłonęła rumieńcem. Usłyszała, że na zewnątrz ktoś zamiata werandę.

– W sumie mamy jeden wolny pokój – odpowiedział Minoo. – Ale jest dużo mniejszy, a pani syn zadzwonił z Nowego Jorku i nalegał, żeby miała pani pokój z widokiem na ogród.

– Proszę się mną nie przejmować – odparła Evelyn.

Minoo sięgnął po klucz.

– Może chciałaby go pani najpierw obejrzeć...

– Jestem pewna, że będzie cudowny.

– Zatem w porządku, pani Evelyn – powiedział Minoo. – Powiem służącemu, żeby przeniósł pani rzeczy.

Evelyn podziękowała i odeszła, przemierzając korytarz w swoich miękkich beżowych butach, które nie wydawały żadnego dźwięku. Jaka skromna kobieta, wydawało się, że już jest duchem.

Hotel pogrzyżył się w letargu późnego poranka. Na zewnątrz *mali*¹ chrząkał i spluwał. Nirula był Tamilem w starszym wieku, pracował właściwie nago, tylko wokół pasa miał przewiązany przybrudzony kawałek materiału będący częścią tradycyjnego hinduskiego stroju *dhoti*. Nirula pracował w hotelu Marigold już wtedy, gdy Minoo był małym chłopcem, i pewnie będzie dalej tu pracował, gdy jego już nie będzie. Minoo bardzo go lubił. Kto zadba o starego ogrodnika, gdy hotel zostanie sprzedany?

Gdzieś w oddali Norman Purse siedział w cieniu palmy z długopisem i gazetą. Siadywał tam codziennie i rozwiązywał krzyżówki; dzięki temu był

spokojny chociaż przez godzinę. Czasami przysypiał, ale nawet wtedy mocno trzymał swój egzemplarz „Daily Telegraph”, żeby przypadkiem nikt mu go nie wyrwał. Brytyjskie gazety, nawet te z zeszłego tygodnia, były bezcenne.

Pensjonariusze trochę narzekali na pana Purse’a, ale Mino w pewnym stopniu się z nim solidaryzował. Zmęczony humorami żony i nieco przytłoczony atmosferą kobiecości, odnajdywał w Normanii pokrzepiającą męskość: kogut w kurniku, z wulgarnymi żartami i komentarzami typu „zabroń mi palić przy posiłkach, jeśli się odważysz”. Poza tym Norman był ojcem jednego z szefów firmy i z tego powodu był uprzywilejowany, co wykorzystywał, jak tylko mógł. Jego córka już wróciła do Anglii, ale często słała e-maile, żeby się dowiedzieć, jak sprawuje się ojciec, i źle reagowała na wszelkie wiadomości o jego nieodpowiednim zachowaniu. Mino, jako menedżer i właściciel, odpowiadał za sprawne działanie placówki i do tej pory nie odnotował żadnych większych katastrof.

Wszystko składał na karb wieku i narodowości swoich nowych gości. Bardzo szanował Brytyjczyków – nie tych młodych turystów wędrujących z plecakami, którzy często się zatrzymywali w jego hotelu, ale tych, którzy byli już na wymarciu. Miał zaledwie rok, gdy Indie odzyskały niepodległość; minęło ponad pół wieku, od kiedy Brytyjczycy nie rządili w jego kraju, ale dla niego ci starzy Anglicy mieli wrodzoną wyższość i emanowali liryczną atmosferą, która zwiastowała ich nieuchronny upadek. To wielki zaszczyt, że chcieli spędzić ostatnie lata swojego życia pod jego dachem, w kraju, któremu ich przodkowie tak wiele ofiarowali, czasem nawet własne życie! Wystarczyło spojrzeć na nagrobki na cmentarzu kościoła Świętego Patryka.

„Co za bzdury!”, rozbrzmiewał mu w głowie głos Razii. „Jesteś głupim starym bufonem!”

Mino podniósł wzrok. Przez hol przechodzili właśnie państwo Ainslie. Pan Ainslie, ubrany w krótkie spodenki, niósł butelkę z wodą. Z opaloną twarzą

i gęstymi siwymi włosami wyglądał na mężczyznę w świetnej formie.

– Wybieramy się do pałacu Tipu! – zawołał.

– Zamówię państwu taksówkę – powiedział Minoo.

– Nie, nie, pójdziemy na piechotę! – odparł pan Ainslie.

– Kochanie – odezwała się jego żona. – On nie ma pojęcia, o czym mówisz.

– Przejdziemy się – odrzekł pan Ainslie. – Albo weźmiemy rikszę. Proszę się o nas nie martwić, w mig się dowiemy, jak tam trafić!

Ramię w ramię wyszli z hotelu. Minoo obserwował, jak przechodzą przez frontowe drzwi. Przywitali się z ogrodnikiem, kiwając z uznaniem głowami, gdy pokazywał im kwiaty. Minoo poczuł żal. Jakże byli zadowoleni! Państwo Ainslie byli jedynym małżeństwem pośród wszystkich gości: w głównej mierze wdów i starych panien. Przy obiedzie pan Ainslie powiedział mu, że są czterdzieści osiem lat po ślubie. Ich szczęście pozbawiało innych energii. Przy nich wszystkie starsze panie wydawały się anemiczne i blade.

Minoo stał za kontuarem, zatopiony w marzeniach, i wyobrażał sobie, co „by mogło być”. Ujrzał twarz Babsi, taką, jaka była ćwierć wieku temu: uśmiechnięta, pogodna, na zawsze dwudziestoletnia. Jakże inne byłoby jego życie, gdyby ją poślubił – tak jak planowali jego rodzice. Skromną dziewczynę z parsów, która by go wspierała i podnosiła na duchu i która najprawdopodobniej dałaby mu synów. Kochali się, teraz był tego pewien, a ich miłość opierała się na wzajemnym szacunku. Minoo był świadom ironii sytuacji: to nie była tęsknota za utraconą miłością, lecz za odpowiednio dobraną partnerką, co nie miało zbyt wiele wspólnego z namiętnością. A jak jego dopadła namiętność?

To wszystko przez te cholerne buty. Minoo zawsze zwracał uwagę na swój wygląd. *Próżność, próżność i jeszcze raz próżność*. Gdyby tylko nie kupił wtedy tych butów – szwajcarskich butów firmy Bata, z cudownej, lśniącej brązowej skóry, starannie wykończonych, z wąskimi noskami i o pół numeru za małych. Gdyby wtedy ich nie kupił, nie miałby odcisków i nie trafił do gabinetu

podiatry na Chundrigar Road, gdzie pociągająca pielęgniarzka rzuciła na niego urok, przewróciła jego życie do góry nogami i upokorzyła jego rodzinę i niewinną narzeczoną.

Za ścianą głos Razii wznosił się i opadał. Minoo zbierało się na mdłości. Razia przez cały ranek warczała na kucharza; z kuchni nie unosiły się żadne zapachy, więc Fernandez również był obrażony. Minoo był zmuszony przeprowadzić śledztwo.

Westchnął głęboko. Jakże dobrze wychowani byli ci Anglicy w porównaniu z jego żoną! Tego wieczoru miał przybyć kolejny gość: pani Muriel Donnelly z Londynu. Ona bez wątpienia również miała nienaganne maniery. „Maniery świadczą o człowieku”, to było jego ulubione przysłowie. Spójrzcie tylko na panią Greenslade: cała w beżach, dobrze wychowana, jakby w ogóle nie istniała. „Proszę się mną nie przejmować”, powiedziała. *Tak naprawdę wcale mnie tu nie ma.*

Minoo otworzył księgę gości i wymazał panią Evelyn Greenslade. Proszę bardzo! Zniknęła. Jakże ulotny i krótki jest pobyt w tym Hotelu Życia! (I jakimż szyderczym uśmiechem obdarzy go żona, gdy jej o tym powie).

W jej miejsce wpisał ołówkiem nazwisko pani Muriel Donnelly i przydzielił ją do pokoju numer piętnaście obok pana Purse’a.

– Jeśli chcesz rady, to dobrze trafiłaś – powiedział Norman. – Trochę się włóczyłem po tropikach, Afryka, Malezja...

– Jest piekielnie gorąco – odparła Muriel. – A kran jest zepsuty.

– Dostawy wody są trochę nieregularne, ale przyzwyczaisz się do tego. W Indiach musisz iść z prądem. – Norman zachichotał. – Przynajmniej tak mówią.

Muriel Donnelly rozpakowywała swoje królewskie kubki. Dopiero przyjechała i zajęła pokój zwolniony niespodziewanie przez Evelyn Greenslade.

Kubki były zawinięte w stare egzemplarze „South London Echo”, którymi nawet Norman nie był zainteresowany. Muriel była korpulentną kobietą. Rozstawiła szeroko nogi i zaczęła grzebać w walizce.

– Muszę przyznać, że jesteś ostatnią osobą, której się tutaj spodziewałem – powiedział Norman.

– A to dlaczego? – Muriel rozpakowała zdjęcie kota i postawiła je na komodzie.

– Bo mój zięć jest właśnie tym lekarzem. – Norman wyjaśnił całą sytuację: szpital, zamieszanie i jej obecność w mediach.

Muriel pokiwała głową.

– To on dał mi folder.

Norman popatrzył na nią ze zdziwieniem.

– Do licha, dlaczego to zrobił?

– Wierzysz w przeznaczenie? – zapytała.

– Ci goście w Indiach wierzą.

– Coś się wydarzyło, rozumiesz? – Nie chciała mu więcej niczego tłumaczyć.

– Mam whisky w pokoju – powiedział Norman. – Wypijesz drinka?

Muriel pokręciła głową. Norman poczuł się odrzucony. Większość tych starych bab jadła mu z ręki. Rozpaczliwie pragnęły mężczyzny – oczywiście tak zdrowego i dziarskiego jak on. Nie żeby panowała jakaś wielka konkurencja, tylko dwóch innych mężczyzn. Doug Ainslie, facet w dość dobrej formie, ale poza zasięgiem, ponieważ żonaty, i Graham Turner, zgrzybiały stary kawaler, który miał już wszystko za sobą, nawet jeśli przyszłaby mu na coś ochota. Mężczyźni z personelu wyglądali na jeszcze starszych niż pensjonariusze, o ile to w ogóle możliwe. Hindusi byli zasadniczo przystojną rasą, lecz nieco zniewieściałą; wystarczyło popatrzeć, jak chodzą po ulicach, trzymając się za ręce niczym cioty. Tak, Norman zdecydowanie dobrze się bawił, a babki ciągnęły do niego jak pszczoły do miodu.

Zastanawiał się, jak ta cała Muriel się tutaj dopasuje. Jakim cudem było ją stać na pobyt w takim miejscu? W porównaniu z Anglią było oczywiście tanio, ale ona pochodziła z innej klasy społecznej. To był dla niej prawdziwy szok kulturowy, i to pod wieloma względami.

– Wszyscy tutaj są w sumie bardzo mili – powiedział. – Nie ma żadnych wariatów, więc błyskawicznie poczujesz się jak w domu. Żarcie też jest niezłe. Zaczekaj, aż spróbujesz puddingu Fernandeza. Zupełnie jak za dawnych czasów. Poza tym dużo się tu dzieje: karty, konkursy, wycieczki. – Spojrzał na jej włosy. Stara kocica zaczęła już łysieć na czubku głowy. – I fryzjerka przychodzi od czasu do czasu, uroczą dziewczyną.

– Zawsze bardzo o siebie dbałam – powiedziała.

– Jak my wszyscy, moja droga, jak my wszyscy. Ale nadszedł taki czas, że musimy złożyć swój los w ręce obcych ludzi, a to miejsce jest dużo lepsze niż większość nor, w których bywałem. Tkwiałem tam pośród kompletnej pustki i gapiłem się na zaorane pole. Zaczekaj tylko do rana. Na ulicach są tłumy i przez cały czas coś się dzieje.

I tak rzeczywiście było. W biednych krajach ludzie żyli na oczach wszystkich. Nie było żadnej prywatności. Niektórzy nie mieli nawet domów i spali w betonowych przejściach między biurami.

Później Norman zapalił papierosa i poszedł w kierunku bramy. Była dziesiąta wieczorem, lecz na skrzyżowaniu nadal stały stragany. Z piecyka koksowego, w którym jakiś mężczyzna piekł orzechy, unosił się dym. Lampy spirytusowe oświetlały kramiki z papierosami, zimnymi napojami i plastikowymi gadżetami, których Norman nigdy w życiu by nie kupił. Mały bazar wydawał mu się tak znajomy, jakby spędził tu całe lata. Dalej stał dwupiętrowy podniszczony biurowiec z betonu. Nosił nieco pompatyczną nazwę – Karishma Plaza. Na poziomie ulicy znajdował się rząd małych sklepików wielkości więziennej celi. Większość była jeszcze otwarta: wypożyczalnia kaset wideo Khana, Gulshan

Crafts i punkt krawiecki, gdzie w świetle jarzeniówki stary mężczyzna pochylał się nad maszyną do szycia. Siedział tam całymi dniami i nocami. Kiedy samochody zatrzymywały się na skrzyżowaniu, natychmiast oblegali je żebracy i pukali w okna.

Norman popatrzył na brudny, zaśmiecony ryneczek. Dzięki pobytom w tropikach był przyzwyczajony do takich miejsc – do nędzy i ubóstwa, do życia w samym środku ruchu ulicznego i slumsów skupionych wokół pięciogwiazdkowych hoteli. Takie widoki sprawiały, że człowiek był zadowolony z własnego losu. A ponieważ pochodził z Anglii, traktowano go z szacunkiem, jakiego we własnym kraju już od dawna nie doświadczał. Tutaj był kimś, a to bardzo dobrze wpływało na jego samoocenę. Wszystkie jego największe pijackie ekscesy miały miejsce za granicą, w miejscach, które cuchnęły łajnem i tanimi perfumami. To był właśnie zapach przygody.

Norman skinął przyjaźnie głową portierowi, który siedział na stołku przy bramie i drzemał. Obok niego stała apatyczna suka z nabrzmiętymi od mleka sutkami. *Kobiety w Bangalurze są najbardziej zmysłowe i ponętne w całych Indiach.* Ale chyba nie w tym miejscu. Tutaj byli tylko żebracy, matki z dziećmi i zmiatacze. Oczywiście wszyscy dość urodziwi, ale żadne seksualne sztuczki zdecydowanie nie wchodziły w grę. Może niektóre z tych okrytych ciał leżących na chodniku należały do kobiet, ale przecież nie mógł ich budzić i zapraszać na kropelkę Johnny’ego Walkera. Leżeli tak spokojnie, jakby nie żyli.

Za to na Brigade Road, w wielkich hotelach i centrach handlowych, widywał atrakcyjne kobiety – kusicielki obwieszane biżuterią, sączące w kawiarniach café latte. Widywał je w drodze do hotelu Oberoi, gdzie kupował wczorajszy egzemplarz „Daily Telegraph”. Te, które nosiły sari, odsłaniały brzuchy, ukazując ponętne krągłości, czasami zroszone potem. Norman wyobrażał sobie, że chwyta rąbek szaty i ciągnie tak długo, aż kobieta staje się całkiem naga. Wyobrażał sobie ciemne sutki sterczące jak porzeczki i pocałunki zgodne ze

sztuką *Kamasutry*. Wyobrażał sobie, że ociera się nosem o wielkie piersi pachnące gardeniami. Zamykał oczy i widział cipki smakujące owocami mango i krewetkami, jak zadziwiająco wykwinny deser, który wczoraj podano podczas kolacji. Jego wiedza na temat zmysłowości hinduskich kobiet była ograniczona – a prawdę mówiąc, żadna – lecz wiedział, że we wczesnym wieku były szkolone w zakresie różnych seksualnych sztuczek, a słowa lekarza, który leczył jego prostatę, bardzo go rozpały. Czy w Indiach będzie w stanie rozbudzić swoje słabnące libido?

Były oczywiście pewne problemy. Dla młodego, odzianego w dżins pokolenia był niewidzialny. W ostatnich latach zdążył się do tego rzecz jasna przyzwyczaić; to była jedna z wielu kar za starość. Dojrzałe kobiety sprawiały zupełnie inne trudności, nigdy bowiem nie były same. W Indiach czy Afryce nie było czegoś takiego jak samotność. Dla uwodziciela było to wielkie wyzwanie; niczym lew musiał wybrać swoją ofiarę i oddzielić ją od stada. Do tej pory Norman nie odnotował w tej dziedzinie żadnych sukcesów.

Wyrzucił w krzaki niedopałek papierosa. W ptaszarni panowała cisza; papużki poszły już spać, tak samo jak staruszki w swoich sypialniach. Poczuł się bardzo zmęczony. Bolał go kręgosłup i czuł pulsowanie w żyłakach. Zdawał sobie sprawę, że jest za stary na takie figle, ale musiał się wykazać dobrymi chęciami. Postanowił przeprowadzić dyskretny wywiad. Sonny wydawał się odpowiednim gościem, na pewno znał nocne lokale w tym mieście. A może mógłby porozmawiać w cztery oczy z Minoo, który prowadził hotel. Z taką żoną – co za wiedźma! – bez wątpienia musiał szukać pociechy w ramionach innych kobiet.

Ach, te erotyczne uciechy! W końcu tylko dzięki nim mężczyzna mógł mieć pewność, że nadal żyje.

Pensjonariusze jedli śniadanie.

– Dziewczyny, posłuchajcie tego. – Madge Rheinart poprawiła okulary i zaczęła czytać fragment artykułu z „Daily Mail”. – „Próbując nadzorować walkę z plagą narkotyków w Londynie, uzbrojeni policjanci patrolują szkolne boiska”.

– Czytałam o tym już wczoraj – powiedziała któraś.

– Bo to wczorajsze wydanie.

– Dokładnie rzecz biorąc, sprzed trzech dni – stwierdziła inna kobieta, której imienia Evelyn nie pamiętała.

– Nie jesteście zadowolone, że mamy już to wszystko za sobą?

– O mój Boże, marmolada Coopera!

Ktoś postawił na stole słoik marmolady, spodek i łyżeczkę. Zapadła cisza.

– Gdzie to kupiłaś, moja droga?

– W sklepie na Lady Curzon Street, mają tam też zupę jarzynową. Kosztuje majątek.

– Zatem poszła na to prawie cała emerytura.

– A co mówiłaś o tych szkołach?

– Och, daj spokój, Stella.

Madge Rheinart przewróciła oczami. Była władczą kobietą o pogodnym usposobieniu. Jej mąż był chyba kiedyś właścicielem połowy Kensington. Dzisiaj Madge była ubrana w dres i T-shirt z nadrukiem STARLIGHT EXPRESS. Na jej szyi wisały okulary zawieszzone na łańcuszku zdobionym diamencikami. Evelyn postanowiła, że też sobie taki sprawi; jej okulary wisały na sznurowadle. Nie była próżną kobietą – jej jedyną słabością były paznokcie – ale podziwiała charakter i styl u innych.

Jean Ainslie wychyliła się znad sąsiedniego stołu.

– Doug i ja czytamy lokalne gazety, prawda, skarbie?

– Nudne jak flaki z olejem – stwierdził Douglas. – Pełno w nich kitu.

Evelyn się uśmiechnęła. Lubiała Douglasa, ponieważ w samolocie był dla niej

taki miły.

– No i nie ma krzyżówek – dodał.

Prasa była powodem pewnych niesnasek. Jediną osobą, która regularnie kupowała „Daily Telegraph”, był Norman Purse. Wiedział, gdzie go dostać, ale skrzętnie ukrywał swoje źródło i codziennie od razu po śniadaniu wyruszał dziarsko na łowy. Evelyn widziała, jak kiedyś spacerował Brigade Road, rozganiając laską żebraków. Nie tylko okupował przez cały dzień wszystkie gazety – niekiedy udawało mu się kupić nawet „Timesa” – ale i triumfalnie rozwiązywał wszystkie krzyżówki długopisem, żeby nikt nie mógł niczego wymazać. Co gorsza, zawsze pozostawiał jakieś nierozwiązane hasła; było to niezwykle denerwujące, zwłaszcza jeśli hasła były proste. Nawet Evelyn знаła „nazwę miasta w hrabstwie Kent słynącego z ostryg”.

Teraz Norman też wyszedł po gazetę. Śniadanie podawał służący o imieniu Jimmy, starszy mężczyzna w turbanie i poplamionej białej marynarce. Był bardzo powolny i przynosił tylko jedną rzecz naraz. Evelyn obserwowała, jak niesie na tacy butelkę ketchupu. Trzymał ją tak ostrożnie, jakby ketchup miał zaraz wybuchnąć. W końcu nie było pośpiechu. Płatki były już na stołach, podobnie omlety i jajka na twardo. Evelyn spróbowała kiedyś kiełbasek, ale nie było to doświadczenie, które chciałyby powtórzyć. Jadalnia była ogromna, budynki w Indiach tak konstruowano, żeby chronić przed słońcem, ale niektórzy się buntowali i wychodzili z kawą na werandę.

W hotelu było już piętnastu pensjonariuszy, a w kolejnych tygodniach oczekiwano kolejnych. Evelyn nie pamiętała imion wszystkich gości i trzymała się przede wszystkim tych, których poznała w pierwszych dniach pobytu: państwa Ainslie, Madge Rheinhart, którą znali wszyscy, ponieważ organizowała różne imprezy, oraz Stelli Englefield, która pochowała dwóch mężów i była trochę głucha. Kto miał z kim siedzieć przy posiłkach? Tworzyły się nowe przyjaźnie, wyznaczały nowe terytoria. Evelyn przypominało to trochę szkołę

z internatem. Wysiłkom Madge, by poprzesać ludzi w jadalni, twardo opierali się ci, którzy znaleźli sympatyczne towarzystwo i już nie zamierzali go zmieniać.

Tego ranka Evelyn było żal Muriel Donnelly, która jako ostatnia przybyła do Marigold. Przysiadła się więc do jej stolika stojącego w pobliżu toalety.

– Próbują przygotowywać angielskie śniadanie – powiedziała Evelyn – ale trzeba przyznać, że to nie to samo.

– Mleko dziwnie smakuje – odparła Muriel Donnelly.

– Bo jest gotowane. Myślę, że to mleko bawole. Państwo Ainslie są bardzo odważni. Proszę spojrzeć, jedzą te małe puchate kulki z curry. Byli w Rzymie i tak dalej.

– Ja jeżdżę na wakacje do Hiszpanii – powiedziała Muriel. – Mój syn ma tam piękny dom.

– To wspaniale.

– Tam nie jest tak gorąco jak tutaj.

– Wszystko zależy od wilgotności. – Evelyn lubiła odgrywać eksperta. – Przed porą monsunową jest tu po prostu nie do wytrzymania. Teraz jest o wiele lepiej, a zimą będzie jeszcze przyjemniej.

Wentylator na suficie skrzypiał i trzeszczał. Przy sąsiednim stole Madge przycisnęła list dzbankiem do herbaty.

– Podobno są plany, żeby w Ooty otworzyć kolejny dom seniora – ciągnęła Evelyn. – Stoi na wzgórzach, więc jest tam nieco chłodniej. Brytyjczycy przyjeżdżają do tego hotelu na lato. Klimat jak w East Grinstead.

W Marigold było podobnie. Pensjonariusze zamknięci w kompleksie budynków żyli w świecie, który wydawał im się bardziej znajomy niż ojczyzna, którą opuścili. To była Anglia z książek Catherine Cookson, Anglia robótek ręcznych, sera Dairylea i klimatu Marcela Prousta. Lato się skończyło i ogrodnicy sadzili angielskie rośliny jednoroczne – nagietki i onętki – które rosły w wilgotnych zagłębieniach terenu. Evelyn miała ochotę trochę popracować przy

rabatkach, bo tutejsi ogrodnicy nie mieli pojęcia o kolorach i zagęszczeniu.

Poza murami hotelu panował indyjski zgiełk. Tak wielu ludzi, tyle potrzeb, pragnień, rozpaczy. Evelyn tylko kilka razy odważyła się wyjść na zewnątrz; podczas tych eskapad czuła się bardzo zdezorientowana i zagubiona. Kiedy tylko przechodziła przez bramę, żebracy natychmiast ruszali się z miejsc. Wychudzone psy węszyły wśród stert śmieci. Nawet święte krowy spacerujące między samochodami były straszliwie wychudzone. A dalej w kłębach spalin siedział na wózku młody mężczyzna bez nóg.

– Możemy później pójść na spacer, jeśli ma pani ochotę – zagadnęła Evelyn.
– Muszę przyznać, że tutaj jest zupełnie inaczej. Chodzi mi o to, że w Anglii ludzie mają tak wiele, ale są dla siebie raczej nieuprzejmi, nie sądzi pani? A w Indiach nie mają niczego, a przy tym są niezwykle mili. „Jak się pani miewa?”, pytają. Narzucają się, ale robią to bardzo grzecznie i sympatycznie.

Muriel nie słuchała. Nie mogła się skupić, bo prawdopodobnie odczuwała skutki zmiany stref czasowych; dla niej teraz był pewnie środek nocy. Ktoś wspomniał, że przez dwa dni leżała na łóżku w korytarzu izby przyjęć. No cóż, przynajmniej ma nogi, pomyślała Evelyn. Odkryła, że w Indiach człowiek zaczyna odczuwać wdzięczność za drobne łaski.

– Spotkałam urocze dzieciaki w drodze do szkoły – powiedziała Evelyn. – W białych skarpetkach, takie czyste i schludne, i mówiły do mnie „ciociu”.

Muriel odsunęła talerz. Była blada jak ściana.

– Wszystko w porządku, kochanie? – zapytała Evelyn.

– Boli mnie brzuch.

– Biedactwo. – Jean Ainslie wychyliła się zza swojego stołu. – To pewnie klątwa Delhi. Wszyscy przez to przechodziliśmy.

Evelyn odsunęła czarne krzesło i wstała.

– Proszę za mną. Zaprowadzą panią do pielęgniarki – powiedziała i złapała Muriel pod ramię.

– Dam sobie radę. – Muriel była upartą starszą panią. Mówiła cockneyem i pochodziła ze wschodniej części Londynu, gdzie ludzie byli samodzielni i niezależni.

– Kiedy *ja* poszłam do pielęgniarki z problemami żołądkowymi, to musiałam pokazać jej stopy – odezwała się Jean Ainslie.

Evelyn zostawiła Muriel u pielęgniarki – zwanej panią Cowasjee lub inaczej żoną dyrektora – i wyszła do ogrodu. Już było gorąco. *Mali* z kapiącym węzłem ogrodowym kucał przy rabatkach. Wokół pasa miał przewiązane kraciaste *dhoti*. Kiedyś miała letnią sukienkę z tego samego materiału; o ile pamięć jej nie zawodziła, kupiła ją w DH Evans. Na drzewie krakały gawrony. Przy bramie stał jakiś człowiek.

– Memsahib! – zawołał ochrypłym głosem. Jego rower był obładowany tobołkami. – Memsahib! Kupi pani T-shirt? Spodnie? Dobra cena, madam!

Evelyn anemicznie podniosła rękę w geście powitania i odprawy. Może powinna kupić ten T-shirt i wyglądać jak Madge. Dopiero dziesiąta rano, a ona już nie ma energii. Upał ją wykańczał. Tak bardzo chciała wyjść na zewnątrz, pociągał ją bezmiar przestrzeni; to pragnienie ją obezwładniało. W chwili buntu, wstrząśnięta własną śmiałością, postanowiła rozpocząć nowe życie. Czy była to oznaka rozpacz, dowód na to, jak niewiele potrzebuje? Cegła po cegle budowała swoją rodzinę. I teraz rodzina, niczym mury tego ogrodu, powinna ją chronić przed zagrożeniami zewnętrznego świata. Ale wszystkie cegły zniknęły i została sama w tym obcym kraju.

Na drzewie, którego nazwy nie знаła, gawrony przeskakiwały z gałęzi na gałąź. Gdyby tylko była w stanie uwierzyć w to, co opowiadała Beverly: że te ptaki były kiedyś ludźmi i że śmierć nie jest końcem. W ostatnich latach zdała sobie sprawę, że w głębi serca nigdy nie wierzyła w chrześcijańskie historie. Nikt, kto nazywa siebie Bogiem, nie pozwoliłby na to, co się wydarzyło. Może

Hindusi, którym tragedie przytrafiły się w niewyobrażalnej skali, mieli poczucie, że nikt nie ponosi odpowiedzialności. W ich życiu – tak rozpaczliwym, dramatycznym i żałośnie krótkim – musiało istnieć pocieszenie, że to wszystko jest podróżą przez królestwo zwierząt. Nic dziwnego, że wyglądali na tak zrezygnowanych, spokojnych, pogodzonych z losem. Może beznogi żebrak, któremu poprzedniego dnia podarowała nieśmiało rupię, wierzył, że w następnym wcieleniu powróci jako gawron i będzie skakać po trawie na silnych, sprężystych nogach.

Evelyn stała na ścieżce i próbowała to wszystko zrozumieć. Może powinna posłuchać córki, która ciągle mówiła o swoim świętym człowieku. Kłopot polegał na tym, że Theresa miała skłonności do kazań, a Evelyn zawsze przy tym zasypiała. Przepajało ją też niejasne poczucie wstydu, że córka poszukuje emocjonalnego wsparcia, którego nie zaznała w rodzinnym domu. Evelyn nigdy nie rozmawiała z żadnym Hindusem. Jedynymi Hindusami, których do niedawna spotykała, byli urzędnicy na poczcie albo kontrolerzy w londyńskich pociągach. Pełnili służebną rolę. Kiedyś Brytyjczycy rządzą ich krajem. Ale brytyjski Radź, podobnie jak rzeczy, które kiedyś uważała za pewne, już dawno popadł w ruinę. Teraz ona była tu mniejszością etniczną. To wielkie skupisko miejskie zamieszkiwały miliony Hindusów i Evelyn nie miała najmniejszego pojęcia, co dzieje się w ich głowach. Może dzięki swoim wierzeniom religijnym dostrzegali sens w bezsensie; to był chyba jedyny sposób, żeby tu przetrwać. To było najbardziej pogmatwane ze wszystkiego.

Usłyszała w głowie tubalny śmiech Hugh. *Weź się w garść, staruszko!* Jakże zazdrościła Jean i Douglasowi, którzy spacerowali, trzymając się za ręce, i odkrywali nieznanne! Evelyn była sama w tej podróży, nie miała żadnego towarzystwa, nie licząc tych kilku niemal obcych ludzi, którzy uzbrojeni w silne okulary czytali na werandzie tanie powieści. Niektórzy przy tym przysypiali. Pnącza oplatały drewniane filary werandy i porastały dachówki. To wszystko

tworzyło scenerię jak z bajki o Śpiącej Królownie. Stary budynek powoli się rozpadał, wkrótce natura całkowicie go pochłonie i za kilka lat zostanie z niego sterta gruzów. Nie, nawet i to zostanie rozgrabione, tutaj nic zbyt długo się nie uchwyci. I będzie tak, jakby ona i jej współlokatorzy nigdy nie istnieli.

Norman też zasnął. Musiał już wrócić ze swojej codziennej wyprawy, bo na jego kolanach leżała gazeta. Evelyn przeszła przez trawnik. Na zewnątrz trąbiły samochody. Z kwatery służących dochodziły dźwięki radia – zawodzące, niesamowicie wysokie hinduskie zaśpiewy.

Podeszła do Normana. Ujrzała muchę, która krążyła nad nim zwabiona plamą ketchupu na marynarce. Przyprószony popiołem krawat zwisał krzywo i żałośnie.

Evelyn podeszła jeszcze bliżej. Czerwone dłonie Normana spoczywały na egzemplarzu „Daily Telegraph”. Gazeta była otwarta na stronie z nekrologami. Zobaczyła, że Norman podkreślił niektóre słowa, więc założyła okulary: „Odszedł spokojnie” i „Odszedł po długiej chorobie”, przeczytała.

Rozejrzała się dookoła, nikt nie patrzył. Bardzo ostrożnie wyciągnęła gazetę spod dłoni Normana. Poruszył się lekko, kaszląc gardłowo. Czekala.

Norman odchylił głowę i zaczął chrapać – głośne chrapanie wprawilo jego ciało w drżenie. Znała ten dźwięk aż nazbyt dobrze, bo spędziła kilka nocy za ścianą jego pokoju. Norman miał szeroko otwarte usta, więc dokładnie widziała jego sztuczną szczękę.

Serce Evelyn biło jak oszalałe; od lat nie zrobiła nic, co nie byłoby zgodne z prawem. Porwała gazetę i uciekła. Uspokoila się dopiero wtedy, gdy dotarla do holu, i tam zaczęła się śmiać.

Gabinet pielęgniarki nie był tym, czego się spodziewała. Wyobrażała sobie jakieś mało przytulne miejsce pachnące środkiem odkażającym. Szpitale z oczywistych przyczyn budziły jej lęk.

Ale tym razem tak nie było. Pani Cowasjee mieszkała wraz z mężem

w przybudówce, ceglanym budynku przylegającym do hotelu. Wprowadziła Muriel do pomieszczenia, w którym pachniało jak w kościele. W mosiężnym uchwycie dymiło kadzidełko, regały były pełne różnych ozdób: porcelanowych zwierząt i plastikowych kwiatów, a na stole leżała broszura „Horoskopy: Tylko Bóg wie lepiej”. W misie w kształcie muszli szumiała fontanna zwieńczona aniołkiem. Wszystko to w zabawny sposób przypominało Muriel jej własną bawialnię. Była nawet kapliczka; u niej poświęcona Maryi Dziewicy, a ta u pani Cowasjee jarzyła się światełkami choinkowymi. W środku stał gruby mały człowieczek z głową słonia, a przed nim paliła się świeczka.

– Co to? – zapytała.

– To Ganeśa, bóg powodzenia i sukcesu – odpowiedziała pani Cowasjee.

– A dlaczego ma głowę słonia?

Wzruszyła ramionami.

– Jest synem Śiwy i Parwati.

Ta odpowiedź wydawała się wszystko tłumaczyć.

– Modli się pani do niego?

Pani Cowasjee przytaknęła. Muriel stłumiła śmiech. Coś takiego, kult słonia!

– Mamy wielu bogów – wyjaśniła pani Cowasjee. – Miliony. W moim kraju wszystko może być święte. Bo widzi pani, Bóg jest wszędzie.

Pani Cowasjee była atrakcyjną kobietą w średnim wieku ubraną w jasnofioletowe sari. Nie nosiła fartucha pielęgniarskiego ani niczego w tym rodzaju. Muriel myślała, że wszyscy Hindusi mają skórę tego samego koloru, ale pani Cowasjee była bledsza niż jej mąż i miała cerę koloru kawy z mlekiem. Jej włosy miejscami przybierały odcień purpury. To przypominało Muriel o jej ranach i łańcuchu zdarzeń, który ją sprowadził na koniec świata do tego egzotycznego buduaru.

– Boli mnie żołądek – powiedziała. – I mam biegunkę.

– Usiądź, kochanie. I zdejmij buty.

Muriel zdziwiła się odrobinę, ale usiadła w fotelu. Ściągnęła buty, a potem pończochy. Pani Cowasjee usiadła naprzeciwko i spojrzała na stopy Muriel. Zapadła chwila ciszy, a potem pani Cowasjee zawołała:

– *Hai Raba!*² Pani stopy są w okropnym stanie.

Muriel pokiwała głową.

– To haluksy.

Pani Cowasjee przysunęła bliżej swoje krzesło, podniosła prawą stopę Muriel i położyła ją sobie na kolanach.

– Widzi pani te kości? O, tutaj i tutaj? Są całkowicie zdeformowane. I te odciski, gdzie obtarły panią buty. Pani Donnelly, naprawdę powinna pani bardziej o siebie dbać. Nigdy nie była pani u podologa?

Muriel pokręciła głową.

– Jeśli zatroszczy się pani o swoje stopy – ciągnęła pani Cowasjee – to one zatroszczą się o panią.

– Kiedyś byłam sprzątaczką – powiedziała Muriel. – Cały dzień na nogach. Wtedy nabawiłam się żylaków. Za to mój mąż miał piękne stopy. Jego brat Lenny też. To dlatego, że byli bardzo biedni i gdy byli mali, w ogóle nie mieli butów.

– Właśnie dlatego Hindusi mają piękne stopy – odparła pani Cowasjee.

Jej własne – brązowe i smukłe, w zdobionych klejnotami klapkach – wyglądały zalotnie spod rąbka sari. Przy nich stopy Muriel wydawały się spuchnięte, pokryte plamami, a nawet zdeformowane. Nigdy wcześniej nie porównywała się do żadnej Hinduski.

– Ja też pochodzę z biednej rodziny. Kiedy poznałam mojego męża, zakochałam się od pierwszego wejrzenia – powiedziała pani Cowasjee z cichym westchnieniem. W rogu pokoju szumiała fontanna. – Pochodzę z hinduskiej rodziny, ale z niezbyt wysokiej kasty. Prawo zabrania systemu kastowego, ale on jest tak samo silny jak zawsze.

– Tam, skąd ja pochodzę, jest zupełnie tak samo – przyznała Muriel. – A tu nie inaczej. Jestem rybą bez cholernej wody.

– Rodzina męża jest bardzo bogata. Należą do grupy parsów. Można ich porównać do waszych Żydów, też bardzo dobrze sobie radzą. – Pani Cowasjee westchnęła po raz drugi. W drugim rogu pokoju stała lampa lawowa; pomarańczowa kropla wewnątrz szklanego klosza płynęła ku górze. – Czekałam na spokojną starość, ale na razie się na to nie zanoszę.

– U mnie też nie – zgodziła się Muriel. Wszystko musiała zorganizować sama przy niewielkiej pomocy sąsiadki Winnie. Bilety. Pakowanie. Wynajęcie mieszkania siostrzenicy Winnie, która obiecała, że się wyprowadzi, jeśli Muriel postanowi wrócić do Peckham. I ani słowa od syna, od światła jej życia, jej Keitha. Ale jednak to zrobiła. W końcu poczuła nagłą potrzebę, by tu przyjechać.

Stopa Muriel, niczym kawałek surowego mięsa, nadal leżała na kolanach pani Cowasjee. Obie na nią popatrzyły.

– Och, to było małżeństwo z miłości – powiedziała pani Cowasjee. – Wtedy.

W kloszu pomarańczowy bąbel powoli opadał. Na ten widok Muriel poczuła skurcz żołądka.

– Widzi pani, mój mąż jest słabym człowiekiem – kontynuowała pani Cowasjee.

– Mój też taki był. Ludzie go wykorzystywali. A potem stracił pracę i całe dnie spędzał przed telewizorem. – Muriel zamilkła. Nie powinna opowiadać tego obcej osobie. – A jeśli chodzi o mój brzuch...

– Głównym problemem w tym kraju są oparzenia stóp.

– Dusz? Co takiego? Ma pani na myśli ogień? – Muriel wiedziała, że wdowy rzucają się na stosy pogrzebowe swoich mężów. Widziała takie sceny w jakimś programie i uważała, że to niemądry pomysł.

– Nie, moja droga, mówię o stopach – wyjaśniła pani Cowasjee. – W świątyniach trzeba zdejmować buty na znak szacunku, a podłoga jest bardzo

gorąca i parzy skórę.

Muriel spojrzała na półkę z ozdóbkami. Zauważyła kubek z Karolem i Dianą. Miała taki sam – z nadrukiem ślubnej fotografii. *W moim kraju wszystko może być święte.* Książę Karol... słoń... Pomyślała o swoim kocie pochowanym w ogrodzie syna w Chigwell. Może postawi świeczkę przed jego zdjęciem, tak jak zrobiła to pani Cowasjee. Przez chwilę czuła się jak w domu. Teraz to ta kobieta, którą poznała przy śniadaniu – ta Evelyn mówiąca językiem z wyższych sfer – wydała jej się obca.

– Mogę się teraz pozbyć tych nagniotków? – zapytała pani Cowasjee.

– A co z moim żołądkiem?

Pani Cowasjee postawiła stopę Muriel na podłodze.

– Proszę pić dużo herbaty – odparła szorstko. – Z imbirem i kardamonem. Powiem kucharce.

– To wszystko?

– Jeśli nie minie, wezwę doktora Rameę.

Pani Cowasjee straciła zainteresowanie Muriel. Była chyba dość kapryśną kobietą. Muriel słyszała, jak podczas śniadania krzyczała na męża.

Podciągnęła pończochy, przesuwając je ostrożnie po dopiero co zagojonych ranach. Pani Cowasjee zdawała się tego nie zauważać. Zabawna ta pielęgniarka, pomyślała Muriel. Jak mogła dobrze wykonywać swoją pracę, skoro była opatulona w szyfon?

Muriel wsunęła stopy w buty. Były to beżowe czółenka wykonane ze sztucznej skóry, która sprawiała, że pociły jej się stopy. Oprócz tego były za ciasne, co zdecydowanie nie służyło jej haluksom.

Bóg-słoń ze swojego miejsca obserwował jej wysiłki. Miał duży brzuch i zdziwioną minę, jakby ktoś go właśnie uszczypnął. Może powinnam go poprosić, żeby się zajął moim brzuchem, pomyślała Muriel. Pewnie robi to lepiej niż ta pielęgniarka. Czuła wzbierający śmiech.

Pani Cowasjee podążyła za jej spojrzeniem.

– Modlimy się do niego przed każdym ważnym przedsięwzięciem. Ganeśa usuwa przeszkody z naszej drogi.

– Pani naprawdę w to wierzy?

– Jeśli coś ma się wydarzyć, to się wydarzy. – Wzruszyła ramionami. – To jest nasza karma.

No cóż, jeśli dzięki temu czujesz się spokojniejsza, to powodzenia, pomyślała Muriel. Wstała powoli, przytrzymując się poręczy krzesła. Po raz ostatni spojrzała na słońca i pomyślała, że już wie, o co się będzie modlić.

Będzie się modlić, żeby odnaleźć syna.

Evelyn stała w holu i kurczowo ścisnęła „Daily Telegraph”. Czekwała, aż jej serce się uspokoi i powróci do normalnego rytmu. Była sama, nie licząc miotły zamiataacza i tykania zegara. Spóźniał się godzinę, ale nikt nie zwracał na to uwagi. Podejrzewała, że to zupełnie bez znaczenia. Na lotnisku w Delhi państwo Ainslie pokazali jej człowieka, który kuczał za zegarem i poruszał jego wskazówkami. Ludzie imali się różnych zajęć, żeby związać koniec z końcem. Ktoś przy obiedzie powiedział – chyba Madge, która była najbardziej bezwstydną – że kastraci dostają pieniądze za to, żeby nie podnosić sari i nie pokazywać intymnych części ciała. Nawet to, choć bez wątplenia odrażające, wydawało się poruszające w swej desperacji. Przynajmniej nie byli obibokami i nie żyli z zasiłków jak ich brytyjscy odpowiednicy, o czym informował „Daily Mail”, który Evelyn zazwyczaj pożyczała od sprzątacza.

Wpół do jedenastej. Anglia jeszcze spała. Pewnie tylko listonosze oraz ci, którzy musieli wcześniej wstać, żeby zdążyć na samolot, zaczynali się powoli rozkręcać. Ludzie krążyli po świecie z taką łatwością, jakby wybierali się do sklepu za rogiem. Wnuki Evelyn, które mieszkały w Nowym Jorku, lepiej znały Bali niż drogi Sussex. Jakże inaczej było w czasach jej młodości, kiedy raz

w roku jeździło się do domu towarowego Marshall & Snelgrove! W technikolorze można było zobaczyć przyćmione obrazy ukazujące jakże niewinne przyjemności sprowadzone do czarno-białych fotografii. Evelyn pomyślała o lotnisku Gatwick. Gdzieś tam pod asfaltowymi pasami startowymi zagubiło się jej dzieciństwo.

– Madam, napije się pani kawy?

Evelyn podskoczyła. Przed nią stał Jimmy, poważny i uroczysty w swoim turbanie.

– Nie. Dziękuję, Jimmy. – Nikt nie był w stanie prawidłowo wymówić jego prawdziwego imienia. – Szukam kserokopiarki. Czy pan Cowasjee ma jakąś u siebie w biurze?

Jimmy kiwnął głową. *Jeśli pani chce, żeby miał, to będzie miał.* Próbował być pomocny. Evelyn lubiła starego posługacza. Odnosiło się wrażenie, że przez cały czas jest na służbie, że istnieje tylko po to, by służyć gościom, i to w sposób, który w Anglii był nie do pomyślenia. Uprzedzał ich życzenia, przynosił wełniane koce i poduszki, zanim sami zdążyli o nich pomyśleć. Jego zaawansowany wiek sprawiał, że Evelyn czuła się młoda. W Anglii z pewnością już dawno temu wyrzucono by go z pracy. Ale w Indiach najwyraźniej tak długo nie pozbywano się ludzi, aż sami upadli.

Jimmy przeszedł z holu do salonu. Z wysiłkiem otworzył drzwi. W tym klimacie drewno łatwo się wypaczało z powodu dużej wilgotności. Bielizna Evelyn schowana w szufladzie też pokryła się pleśnią.

Weszła za kontuar i zapukała do drzwi biura. W środku pan Cowasjee rozmawiał przez telefon, trajkocząc w swoim języku. Hindi? A może w jakimś innym? Przez chwilę właściciel hotelu, ubrany dzisiaj w strój koloru khaki, wyglądał nieprzystępnie i obco. Był eleganckim pulchnym mężczyzną w średnim wieku. Miał zaczesane do tyłu włosy błyszczące od pomady, której zapach wyczuwała z daleka.

Odłożył słuchawkę i skoczył na równe nogi.

– W czym mogę pomóc, szanowna pani? – zapytał.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Pomyślałam, że mogłabym skserować u pana krzyżówkę.

Chciała jeszcze dodać, że w ten sposób przynajmniej na coś się przyda, bo ten kraj sprawia, iż czuje się całkowicie bezradna. Ale pan Cowasjee by tego nie zrozumiał. Pomimo swojej grzeczności i życzliwości nie przestawał być Hindusem.

– To wspaniały pomysł! – powiedział i klasnął w dłonie.

Evelyn się uspokoiła.

– Norman, to znaczy pan Purse, monopolizuje gazetę.

– Ile kopii pani potrzebuje?

Evelyn szybko policzyła.

– Powiedzmy piętnaście. Oczywiście za wszystko zapłacę.

– To wykluczone, madam.

Pan Cowasjee podniósł klapę maszyny i położył na szybie gazetę, którą Evelyn rozłożyła na odpowiedniej stronie. I wtedy przypomniała sobie o Muriel.

– Pani Donnelly kiepsko się czuła – powiedziała. – Mam nadzieję, że wszystko w porządku. Zaprowadziłam ją do pana żony.

– Jest pani bardzo uprzejmą i troskliwą damą, pani Greenslade. Zasługuje pani na miejsce w niebie.

– Chyba pan w to nie wierzy? – Evelyn szybko mu przerwała, co zabrzmiało dość zuchwale. – Myślałam, że... cóż... że zgodnie z waszymi wierzeniami nigdy nie umieracie, tylko wracacie pod inną postacią.

Nie dodała, że na przykład dzięcioła.

– Na tym polegają hinduskie wierzenia, szanowna pani. Dusza wędruje między różnymi ciałami.

– Również zwierząt?

Pan Cowasjee pokiwał głową.

– Tylko dzięki dobrym uczynom można przerwać ten cykl śmierci i powtórnych narodzin i osiągnąć stan nirwany.

– Mój Boże! – zawołała Evelyn.

– Ale ja należę do parsów, a my kierujemy się naukami Zaratusztry i tak jak pani wierzymy w dzień Sądu Ostatecznego. A także w to, że znajdziemy pociechę w niebie albo będziemy cierpieć katusze w piekle.

– Szczerze mówiąc, już nie jestem pewna, w co wierzę – powiedziała Evelyn.

Pan Cowasjee nie odpowiedział. Kserokopiarka zaszumiała i wypuściła kartkę.

– Za blade. – Pan Cowasjee sięgnął po kserokopię i podał ją Evelyn.

– Mam dość słaby wzrok – powiedziała i poszukała dłonią okularów, które się przyczepiły do bluzki. – Nawet z większej odległości wszystko jest zamazane.

Pan Cowasjee dotknął panelu maszyny, wyregulował i ponownie przycisnął guzik.

– Rzecz w tym, że umieramy.

– Proszę tak nie mówić. To *ja* umieram, pan jest w kwiecie wieku.

– Mam na myśli parsów, proszę pani. Jest za dużo mieszanych małżeństw.

– Byłam przekonana, że młodzi muszą słuchać rodziców.

– Nie zawsze, madam.

Zapadła cisza. Evelyn pomyślała o swoim synu, który w wieku czterdziestu lat oznajmił, że zaręczył się z Amerykanką, której Evelyn nigdy wcześniej nie spotkała. Nie przeszło mu przez myśl, by zapytać matkę o zdanie.

– Myślę, że rodzice wiedzą najlepiej – powiedziała. – Nie są otumanieni... – zamierzała powiedzieć „seksem” – ...pobudkami, które mogą szybko przestać istnieć. Mojego syna usidliła bardzo nieodpowiednia kobieta. Kiedy ją w końcu

z mężem poznaliśmy, byliśmy przerażeni na śmierć.

Pan Cowasjee nie odpowiedział. Evelyn się zastanawiała, czy przypadkiem nie posunęła się zbyt daleko. Z kserokopiarki wychodziły kolejne kartki i bezgłośnie spadały na plastikową tackę.

Nagle pan Cowasjee zakołysał się i przykucnął, a potem wyciągnął coś spod szafy.

– Szanowna pani, chciałbym pani pokazać coś, co widziało bardzo niewiele osób. Ale pani jest kobietą, która na pewno to zrozumie. – Odsunął jakieś papiery i położył na biurku tajemniczy pakunek zawinięty w haftowaną tkaninę. Pan Cowasjee pociągnął za sznurek – słaby indyjski sznurek, który rozerwał się tak łatwo jak wata – i rozłożył materiał. Oczom Evelyn ukazała się para butów. – Miałem na sobie te buty, gdy poznałem moją żonę.

Evelyn dotknęła skóry palcem.

– Są bardzo ładne.

– Zgadza się. To Bata, pięćset pięćdziesiąt rupii.

– Niezwykle eleganckie. – Evelyn nie wiedziała, co powiedzieć. – Poznał ją pan na przyjęciu?

Właściciel hotelu pokręcił głową. Dobry Boże, nawet się zarumienił! Nie sądziła, że Hindusi mogą się rumienić.

– Pani Evelyn, proszę mi wymienić wasze siedem grzechów głównych.

– O matko, nie pamiętam wszystkich. Oczywiście morderstwo i czczenie obcych bóstw.

– Jestem pewien, że nie popełniła pani żadnego z tych grzechów. Dlatego pamięć panią zawodzi. – Pan Cowasjee zawinął buty w materiał. Na tkaninę naszyte były maleńkie szkiełka, które migotały w świetle. – Pycha i chciwość, to chyba dwa z nich.

– O tak, i jeszcze pożądlivość. Nie pożądaj żony bliźniego swego ani żadnej rzeczy, która jego jest. I... cóż, oczywiście, cudzołóstwo... – Evelyn zamilkła.

– Pycha i chciwość – mruknął do siebie pan Cowasjee. Ukucnął i wepchnął pakunek z powrotem pod szafę. Mimo że miał włosy zaczesane do tyłu, zauważyła, że zaczyna łysieć na czubku głowy.

– Mój Boże, a co wy robicie? Zdajecie egzamin?

Norman stał na werandzie i patrzył na panie. Siedziały przy stołach, każda miała w ręku długopis, a przed sobą arkusz papieru.

– Bo to coś jakby egzamin, no nie? – zapytał.

Jean Ainslie udała, że chce go uderzyć.

– Nie bądź nieznośny, ty niesforny chłopcze.

Norman przyjrzał się dokładniej. Kobiety rozwiązywały krzyżówkę.

Madge Rheinhart wyjęła długopis z ust.

– Czy ktoś wie co to: „W architekturze sakralnej pomieszczenie na planie półkola nieprzeznaczone dla chóru”, na sześć liter?

Eithne Pomeroy, dobra dusza, która zaprzyjaźniła się ze wszystkimi miejscowymi kotami, uśmiechnęła się do Normana.

– Bardzo miło z twojej strony, Raymondzie.

– Normanie.

– Myślę, że jesteś niezwykle miłym człowiekiem bez względu na to, co o tobie mówią. – Eithne zwróciła się do pozostałych: – Wymyśliłam tylko jedno hasło.

Madge spojrzała na jej kartkę.

– Ale to jest źle, kochanie. Spróbuj wpisać „wiadukt”.

– Co powiedziałas, moja droga? – zapytała Stella, poprawiając sobie aparat słuchowy.

– Dajmy spokój z tymi żartami – powiedziała Madge i mrugnęła.

– To „absyda”, Madge!

Norman był zdezorientowany. Czy w końcu zwariował? Przecież nadal miał egzemplarz „Daily Telegraph” i nie wypuszczał go z ręki.

– Och, mam szczęście pionowo – zawołała Madge. – Dajcie mi rupię, dziewczyny, a powiem wam, co to jest.

Norman spojrział na nią. Z kasztanowymi włosami i brzęczącą biżuterią była tu jedną z niewielu niemal atrakcyjnych kobiet. Wskazał na jej arkusz i zapytał:

– Kto wam to dał?

– Evelyn, rzecz jasna. Powiedziała, że chciała się z nami podzielić.

– Aha. No tak, oczywiście. – Norman rozejrzał się dookoła. Nigdzie nie było śladu Evelyn. Typowe! Takie ciche, eleganckie kobiety zawsze są najgorsze. Pasywno-agresywne – tego sformułowania używała jego córka w stosunku do swojego męża odzianego w wykrochmaloną koszulę. Usiłował zmusić usta do uśmiechu. – Zawsze do usług, drogie panie.

– Co powiedział? – zapytała Stella, a jej aparat słuchowy cicho zaświszczał.

– Nic – odparła Madge.

Muriel Donnelly piła herbatę.

– Faj! – Ściągnęła wargi i odstawiła filiżankę na spodek. – Smakuje jak kocie siki.

– Lepiej się czujesz, złotko? – spytała Stella.

– Czuję się lepiej, dopóki nie wypijam tego świństwa. – Muriel spojrzała na Normana, jakby to on przygotował tę okropną miksturę. Było jasne, że przebywając wśród samych kobiet, Muriel nie uległa jego urokowi. Poza tym sama niewiele go miała. Siedziała tam – jedza z kiepskim akcentem, rozstawionymi szeroko nogami i pończochami pofałdowanymi wokół kostek.

Norman spojrział na kobiety pochylające się nad krzyżówkami niczym pilne uczennice. Niektóre miały farbowane włosy, ale i tak widział ich siwe odrosty. Innym, takim jak Muriel, wyraźnie prześwitywała łysina na czubku głowy. Panował niezwykle uciążliwy upał. Kilka kobiet zamierzało przejść do ponurego

holu. Normana potwornie przytłaczała ta atmosfera kobiecości. Gdzie się podzieli wszyscy mężczyźni? Co sprawiało, że kobiety tak kurczowo trzymały się życia?

Ku werandzie zmierzały dwie wiekowe siostry, których imion nie mógł sobie przypomnieć. Jedna z nich trzymała taśmę wideo.

– Spójrzcie! – powiedziała. – Pan Khan znalazł dla nas *Schodami w górę, schodami w dół*.

Na tym właśnie polegała ta cała babska paplanina.

– Chodnik jest w okropnym stanie – odezwała się druga siostra. – Wygląda, jakby kogoś tam napadnięto.

– Czyli co? – zapytała ostro Muriel.

– Wszędzie jest krew, wielkie plamy krwi.

– To tylko sok *paan*³ – powiedział Norman. Ty głupia krowo. – Oni to żują, a potem wypluwają. Hindusi często chrząkają i pluja.

Zapadła cisza. Siostry wpatrywały się w niego, Bóg wie dlaczego.

– To ich bardzo oczyszcza – powiedział.

– A więc jest, jak jest – zauważyła Madge.

Ktoś się roześmiał.

O co chodzi tym starym sukom? Norman poczuł, że ma przewagę. *Kobiety*. Pomyślał o swojej żonie i córce, które chichotały za zamkniętymi drzwiami.

Postanowił, że ucieknie. Odszedł chwiejnym krokiem i skierował się na tyły budynku w poszukiwaniu męskiego towarzystwa. Ta akcja z krzyżówkami wytrąciła go z równowagi. W jaki sposób Evelyn ukradła mu gazetę? Cały czas był czujny, co do tego nie miał wątpliwości. Znalazł się tutaj, na końcu świata, i wylądował w takim samym cuchnącym gnieździe kobiecych manipulacji. A myślał już, że pozostawił je za sobą w tych wszystkich domach starców, w których go kiedyś więziono. Hinduskie kobiety nie zachowywały się w ten sposób. Hinduskie kobiety wiedziały, jak zadowolić mężczyznę.

I nawet nie zadał sobie trudu, by rozwiązać tę pieprzoną krzyżówkę. Przeszedł przez wydeptany trawnik, minął rampę dla wózków inwalidzkich i skierował się do kuchni. Była to betonowa przybudówka na tyłach hotelu. Za kuchnią znajdowały się kwatery służących: kilka szalasów z dachami z blachy falistej przyklejonych do muru ogrodu. Norman poczuł strach, wstępując w to prymitywne wiejskie życie.

Kiedy doznawał uczucia ulgi przy skrzynkach z pustymi butelkami, patrzyło na niego jakieś nagie dziecko. Nie był to jednak powód, żeby się wyprawić do kibla. Poza tym przez cały czas okupowała go Muriel. A dzięki operacji mocz płynął teraz swobodniejszym strumieniem. Na nieużytkach za murem – aczkolwiek podejrzewał, że wkrótce będzie to działka budowlana – tubylcy załatwiali się każdego ranka. Norman obserwował ich przez szczelinę: mrowie Hindusów kucających w perłowym świetle świtu. Hindusi byli bardzo skromną rasą, ale wypróżniali się jawnie, zwracając się tyłem do drogi w żalostnej nadziei, że nikt ich nie zobaczy. Odpowiedni kraj dla ludzi, którzy nie trzymają moczu lub stolca, pomyślał Norman. Jeśli podczas jakiejś wyprawy panie poczują nagłą potrzebę pójścia do toalety, będą mogły po prostu ściągnąć gatki i wysikać się na ulicy.

Norman zaśmiał się, zapinając rozporek. Na ziemi leżał brudny, wyliniąły szczeniak. Tak samo jak reszta mieszkańców Indii, był pogrążony w letargu. Czy szczeniaki nie powinny hasać i być wolne od wszelkich trosk?

Z kuchni dobiegał apetyczny zapach. Norman wszedł do środka i zamrugał, by rozproszyć mrok. Kucharz Fernandez obierał pomidory. Kuchcik zdjął klapki i rzucał nimi w karalucha. Cud, że z tego miejsca wydawano mniej więcej na czas jakiegokolwiek posiłki dla piętnastu osób. Na dwóch palnikach stały patelnie wypełnione bulgoczącą zawartością. W misce tłoczyły się krążki obranej cebuli. Poza tym nic nie wskazywało na to, że lunch zostanie podany na czas.

Fernandez skinął głową na powitanie. Norman podał mu swoją piersiówkę,

a kucharz przyłożył ją do ust. Norman wpadał tu bardzo często; w tej małej zatłuszczonej ruderze było coś niewybrednego. Poza tym, że Fernandez kiepsko mówił po angielsku, był chętnym kompanem do pogawędek. Minoo często był zdenerwowany i nieobecny, a Sonny wpadał tylko od czasu do czasu. A zgięty wpół stary kucharz zawsze był na miejscu; chyba nigdy nie miał wolnego dnia.

Ale tego ranka Fernandez wydawał się zdenerwowany.

– Memsahib – powiedział, przewracając oczami. Norman wiedział, o co chodzi, znał to spojrzenie zwrócone w niebo. Ten gest funkcjonował na całym świecie. Kucharz pociągnął kolejny łyk whisky. Nie było wątpliwości, że pani Cowasjee znowu na niego krzyczała. Norman wiedział, że ubrana w sari wicherzycielka pozornie nie wzbudza żadnych podejrzeń, ale tak naprawdę sprawia, że życie jej służących jest jednym wielkim nieszczęściem, że dyryguje nimi i napuszcza ich na siebie nawzajem. – Zawsze mówi, że tyle pracuje – powiedział Fernandez. – Stopy, jedzenie... lunch, potem obiad, za dużo pracy.

– Stopy? – zapytał Norman.

– Stare memsahib, złe stopy.

Może mógłbym poprosić, żeby obcięła mi paznokcie u nóg, pomyślał Norman. Potrzebuję pieprzonej piłki do metalu.

Fernandez chyba nie miał ochoty na rozmowę. Chwiejąc się lekko, podszedł do pieca i zdjął garnek z gazu. Szkoda. Kucharz pochodził z Goa i Norman lubił słuchać opowieści o plażach topless, gdzie syn starego prowadził kawiarnię i podobno się cieszył względami ubranych w skąpe stroje nimfomanek z Holandii i Niemiec. Według tego, co mówił Fernandez, Goa to jedna niekończąca się orgia. Pauline obiecała, że zabierze go tam, gdy następnym razem przyjedzie do Indii.

Norman wyszedł z kuchni. Zobaczył *drobi*⁴, który przyjechał na rowerze obciążonym świeżo wypraną bielizną. Jego chusteczki wróciły tak wspaniale wykrochmalone i wyprasowane, że będzie wstyd ich używać. Poza tym od czasu

operacji nie były mu już tak potrzebne. *Nie będę wiedział, czy dochoǳę, czy już doszedłem.* Nadal śmieszył go ten żart. Zawsze mógł wrócić do swojego pokoju, włączyć telewizor i obejrzeć skąpo ubrane modelki z Bombaju hasające w takt filmowej muzyki. Jednak w świetle słonecznego dnia nawet dla niego było w tym coś przygnębiającego.

Norman przeprawił się przez ogród i wyszedł na ulicę. Upał go oszołomił, a blask słońca sprawił, że zachwiał się na nogach. Na skrzyżowaniu roilo się od ludzi – pracownicy biurowi, domokrażcy, żebracy. To ludzkie mrowisko przyprawiło go o mdłości. Na podwyższeniu stał policjant, dmuchał w gwizdek i usiłował kierować ruchem.

Poszedł ulicą w kierunku Oberoi, jednego z największych hoteli w Bangalurze, żeby wypić tam piwo. Dzień zapowiadał się obiecująco – wszyscy wierzyli w jakieś bzdury – więc może będzie miał szczęście i spotka miłą kobietę z upodobaniem do dojrzałych mężczyzn. Minął lodziarnię i wypożyczalnię kaset Khana, potem Hideaway Pub – „Gorące miejsce, w którym poczujesz się odjazdowo” – pulsującą życiem spelunę, do której kiedyś się niemądrze zapuścił, by stwierdzić, że klienci są w wieku przedszkolnym. Droga pięła się w niemrawym indyjskim stylu; jakiś człowiek załatwiał się do wiadra, podczas gdy inny, ściskając łopatę, bez entuzjazmu zbierał nieczystości. Strzałka na jednym znaku była skierowana w prawo, a informacja na drugim głosiła, że należy się trzymać lewej strony. Wydawało się, że to w żaden sposób nie wpływa na ruch uliczny. Różni młodzi ludzie jak zwykle próbowali go zaczepiać.

– Jak się pan miewa, sir?

– Skąd pan pochodzi, sir?

– Zapraszam do środka, może jakieś fajne cizie?

Norman stanął jak wryty.

– Fajne cizie?

– Fajne cycki, sir. Zapraszam do mojego sklepu.

– Skąd pan jest, sir?

– Z Londynu. I odpieprz się! – Norman zatęsknił nagle za Londynem – za deszczem, za obojętnymi na wszystko londyńczykami i córką, która mimo wszystko kochała swojego starego ojca. Dobrze się czuł, gdy Pauline była tu z nim: krzątała się, układała na półce jego czasopisma krykietowe i pomagała mu się zaaklimatyzować. Indie zrobiły na niej ogromne wrażenie. Każdego dnia zbierały się wokół niej dzieci i ciągnęły ją za nogi, a ona rozdawała im słodycze. A wszystko najprawdopodobniej dlatego, że sama nie miała dzieci. Ale Pauline wyjechała już dawno temu i tak szybko nie wróci.

Po drugiej stronie ulicy był park. Niewielki skrawek zieleni z wyschniętą fontanną i kilkoma drzewami okupowanymi przez szpaki. Na trawniku siedziały rodziny, popijając gazowane napoje. W każdej grupie był dziadek. Norman przystanął i wspierając się na lasce, zaczął im się przyglądać. Wspaniale, że zabrali ze sobą dziadków; patriarchowie rodów w otoczeniu swoich bliskich wyglądali na bardzo szczęśliwych! Cholerni farciarze.

W pobliżu zatrzymała się taksówka. Wysiadła z niej kobieta – cudowna istota koło trzydziestki w jedwabnej tunice i klapkach. Przystanęła i spojrzała na Normana.

Natychmiast doszedł do siebie. Nie ryzykujesz, nie masz. Z pewnym wysiłkiem przełożył bieg i zmienił się z zaniedbanego ojca rodziny w szpakowatego casanovę. Jak uwodzicielsko się uśmiechała! Jakie błyszczące czerwone usta! Zaproszenie z jej strony było bardzo wyraźne.

Poprosi ją, by poszła z nim do Tadź Balmoral na drinka. Otworzył usta, a wtedy ona wszystko zepsuła.

– Potrzebuje pan pomocy? – Podeszła bliżej z zatroskaną miną. – Zgubiłeś się, wujku?

Zanim zrozumiał, upłynęła długa chwila.

– Oczywiście, że nie! – powiedział oburzony i odszedł.

1 Ogrodnik (hindi).

2 O Boże! (hindi).

3 Sok z orzecha arekowego, liści palmy betelowej, przypraw korzennych i niekiedy tytoniu.
Ma działanie psychoaktywne.

4 Pracz, praczka (hindi).

3

Zaspokajanie codziennych potrzeb hinduskiego bóstwa przypomina opiekę nad przykutym do łóżka inwalidą. W południe trzeba mu przygotować gorącą kąpiel, a potem namaścić szafranowym olejkim. Piersi i stopy posągu smarujemy pastą z sandałowca. Ubieramy go w czyste szaty, zdobimy klejnotami i girlandami kwiatów. Kiedy bóstwo jest gotowe, odsłaniamy kurtynę, by pokazać je wyznawcom. Potem przychodzi czas na lunch specjalnie przygotowywany przez bramińskich kucharzy w kuchni świątyni. Stawiamy przed bóstwem kosze z jedzeniem. Na końcu dajemy mu prymkę palmy betelowej i po wszystkim przemywamy usta wodą.

Peter Holt, *In Clive Footsteps*

W hotelu panowała senna atmosfera. Było popołudnie i większość mieszkańców zażywała drzemki. Niektórzy spali wiele godzin, jakby przygotowywali się do snu, z którego kiedyś już się nie obudzą. Nawet służący przysypiali. Pokój Evelyn wychodził na zaplecze. Przez żelazną kratę w oknie widziała *mali* drzemiącego na łóżku ze sznurka. Wokół niego leżały szczeniaki wyglądające jak nieżywe. W cieniu pod murem spał na ziemi zamiatacz, prawdopodobnie „niedotykalny”, którego nie można było odróżnić od sterty szmat. Przyglądając się tym wszystkim istotom, Evelyn czuła się jak intruz. Mimo to obecny pokój podobał się jej o wiele bardziej niż ten pierwszy z widokiem na ogród. Miała dzięki niemu więcej prywatności, luksusu nieosiągalnego dla służby.

Usiadła na łóżku i poruszyła palcami stóp. Pani Cowasjee zrobiła jej pedicure i pomalowała paznokcie na perłowy róż. Evelyn wiedziała, że znajdowanie przyjemności w tak nieważnych rzeczach jest banalne, ale nie mogła zaprzeczyć, że podnosi na duchu. Tęskniła oczywiście za opowieściami Beverly – nawet do niej napisała, ale nie otrzymała odpowiedzi – a pani Cowasjee była jeszcze

bardziej gderliwa niż zazwyczaj i pogardliwym prychnięciem zbywała jej wszystkie nieśmiałe i delikatne pytania o buty i pierwsze spotkanie z mężem.

Evelyn poszła do holu. Jimmy, który spał w fotelu, zerwał się na równe nogi. Pomimo jej zapewnień, że poradzi sobie sama, przyniósł jej z lodówki napój Thums-Up (absolutnie żadnych naturalnych składników), od którego była umiarkowanie uzależniona.

Udała się na werandę, omijając armię mrówek, która maszerowała w zwartym szyku w kierunku hotelu prawdopodobnie w tym celu, żeby go zjeść. Za ledwie wczoraj przeglądała biografię doktora Crippena, którą zostawił jeden z poprzednich gości, i stwierdziła, że kartki obracają się w proch.

Gdy usiadła z napojem na werandzie, w progu pojawił się Jimmy.

- Wszystko w porządku – powiedziała.
- Czy madam jeszcze czegoś sobie życzy?
- Nie, Jimmy, dziękuję.

Nadal stał bez ruchu niczym tajemnicza figura z wosku. Evelyn miała wrażenie, że zawsze i wszędzie spoglądają na nią czyjeś oczy – ludzie chcieli jej służyć, coś sprzedać albo po prostu towarzyszyć na ulicy w nadziei, że będą mogli w czymś pomóc. Hindusi byli niezmiernie gościnni i uprzejmi i chętnie witali turystów w swoim kraju. To z pewnością odróżniało Indie od Anglii, ale było nieco męczące. Chociaż Jimmy był służącym, to nadal w większym lub mniejszym stopniu pozostawał również mężczyzną i nie chciała, żeby oglądał jej nagie nogi – tak żałośnie białe i posiniaczone od najlżejszego uderzenia. Rzecz jasna w Indiach zdarzały się gorsze widoki niż jej żyłaki, ale przecież nadal istniało coś takiego jak duma. Kiedy była młoda, to właśnie nogi stanowiły jej największy atut. Pamiętała chwilę, gdy zaintrygowana określeniem „cudownie zgrabne kostki”, odkryła nagle, że to komplement, i na dodatek skierowany do niej. Nawet teraz, po tych wszystkich latach, pamiętała jeszcze tamten rumieniec zadowolenia. To było na podwieczorku w Horsham, kiedy miała szesnaście lat.

– Eithne przysięga, że widziała kobrę – powiedziała Madge – ale wiesz przecież, jaka z niej ciamajda.

Madge jak zawsze była zadbana i elegancka – lśniąca kaskada włosów, jedwabna bluzka i klapki. Popołudniowy sen jej się nie miał i nigdy nie była rozczochrana ani wymięta. Nawet w okularach Evelyn nie była w stanie dostrzec najmniejszej zmarszczki na jej twarzy. Trudno było uwierzyć, że mają tyle samo lat; wydawało się, że Madge należy do zupełnie innego gatunku. Evelyn podejrzewała, że nie obyło się bez kilku operacji plastycznych. Zastanawiała się, czy dzięki takiemu zatrzymywaniu czasu można się poczuć młodziej. Ale takiego pytania nie mogła zadać nawet Madge.

– Chciałabym się pozbyć tych rajstop – powiedziała Evelyn. – W tym klimacie... cóż...

– Wszystko robi się trochę lepkie – roześmiała się Madge. – Nie bądź taka i ubieraj się jak tubylcy. Masz cudowne stopy. Moje są tak ohydne, że pani C niemal wpadła w szal.

– Też u niej byłaś?

Madge pokiwała głową.

– Wszystkie tam byłyśmy. Robi świetny pedicure. Teraz potrzebujesz tylko jakichś wytwornych sandałów.

– Nie mam nic takiego – powiedziała Evelyn.

– No to dalej. Idziemy do Oberoi. Tam są najlepsze sklepy.

– Ale...

– No już, skarbie. Fajną rzeczą w Indiach jest to, że nigdy nie musisz myśleć o pieniądzach, bo wszystko jest bardzo tanie.

Nie była to do końca prawda, ale Evelyn się poddała. Od śmierci Hugh brakowało jej osoby, która podejmowałaby za nią decyzje.

Hotel Oberoi znajdował się w odległości zaledwie mili, ale Madge zamówiła taksówkę. Było za gorąco, by spacerować, a poza tym nie chciały, żeby ktoś im

się narzucał. Evelyn lubiła taksówki; tutaj nazywano je ambasadorami, ale tak naprawdę były to stare morrissy oxfordy, które przypominały jej o wyprawach nad morze, gdy była małą dziewczynką.

– Jakież to były szczęśliwe czasy.

– Co mówisz? – zapytała Madge.

– Nic, kochanie. – Evelyn ją lubiła, a Norman nazywał Wesołą Wdówką. Madge wiedziała, jak się poruszać po mieście i gdzie znaleźć sklepy Prady i Gucciego. Twierdziła też, że najlepsze butiki są w dużych hotelach.

Wsiadały już do taksówki, kiedy nadbiegła Muriel Donnelly.

– Macie jeszcze jedno wolne miejsce?

Później wszystko nabrało sensu, jednak na razie Evelyn była trochę zaskoczona. Przypuszczała, że po trzech dniach zamknięcia w Marigold Muriel zapragnęła się dokądś wybrać. Tyle że zachowywała się dość osobliwie. Przez całą drogę nie odezwała się ani słowem. Kierowca skręcał gwałtownie, omijając krowy i skutery, a Muriel kurczowo trzymała się dziury, w której kiedyś była klamka, i niewzruszenie wyglądała przez okno. Kiedy mijali grupę Europejczyków, obróciła się i patrzyła na nich tak długo, aż zniknęli jej z oczu.

– Kto zwiedza w taką pogodę? – zapytała Madge.

– Państwo Ainslie – odparła Evelyn. – Pojechali do świątyni byka.

– Czy ta kobieta nie doprowadza cię do szału? Jest cholernie zarozumiała. Ciąga wszędzie tego faceta, żeby się nim chwalić jak główną wygraną na loterii, i strasznie się puszy, bo ona ma męża, a my nie.

– Madge! – upomniała ją Evelyn.

– I przechwała się tym cholernym synalkiem. Czasem chciałabym, żeby się jej przytrafiło coś złego. Wtedy nie miałyby już takiej zadowolonej miny.

Muriel nie włączyła się do rozmowy, bo cały czas patrzyła przez okno. Przejechali przez bramę hotelu Oberoi, minęli szmaragdowe trawniki z palmami i barwnymi łukami tęcz unoszącymi się nad zraszaczami. Muriel mruczała coś

pod nosem.

Madge zapłaciła za taksówkę. Nawet jej banknoty były świeże i szeleszczące w przeciwieństwie do wytłuszczonych szmat, jakie inni ludzie upychali w portfelach. Kiedy wchodziły do środka, ukłonił się im przystojny portier w mundurze z galonami.

– Trochę się różni od naszego drogiego Jimmy’ego – szepnęła Madge.

A Muriel nadal była nieobecna i rozkojarzona. Rozglądała się po holu, jakby szukała kogoś, z kim była umówiona. Hol był ogromny, marmurowy i przyjemnie chłodny. Evelyn czuła, że puder zasycha jej na twarzy. Za nimi weszła kolejna grupa turystów – potężni mężczyźni w krótkich spodenkach, prawdopodobnie Niemcy. Powitała ich hostessa – pełna wdzięku, powabna dziewczyna w błękitnym sari. Ukłoniła się i złożyła dłonie. Druga młoda piękność zakładała im na szyje girlandy i malowała na czołach purpurowe kropki. Muriel dokładnie przyglądała się wszystkim twarzom.

– Chodźmy do butiku z butami – powiedziała Madge i poprowadziła Evelyn w kierunku pasażu handlowego. Na tablicy reklamowej jarzyły się nazwy różnych sklepów: Witamy w Glaxo International, Krishna Room czwarte piętro... Jayanti Wedding Party, Skyline Room... Evelyn podziwiała finezję tego miejsca – równie dobrze mogły być teraz w Houston albo gdziekolwiek indziej. Znalazły się w świecie, który rozciągał się wiele lat świetlnych od ich zniszczonego hotelu i małego brudnego bazaru. Poczwała nagły przypływ lojalności wobec Marigold.

A potem pojawił się człowiek, którego rozpoznała. Pędził przez hol i rozmawiał przez telefon komórkowy.

– Cześć, Sonny! – zawołała Madge.

Mężczyzna zakończył rozmowę, podszedł bliżej i energicznie uściśnął im dłonie.

– Pani Rheinhart, pani Greenslade! Ach, i pani Donnelly!

W tym momencie Evelyn sobie przypomniała: Sonny prowadził firmę emerytalną. Teraz był zdenerwowany i podniecony; rozmawiał z nimi, ale jego oczy bez przerwy błędziły dookoła, jakby był kierownikiem sali, który sprawdza, czy klienci są należycie obsługiwani.

– Wszystko w porządku, moje panie?

– Cóż, nikt jeszcze nie umarł – odpowiedziała Madge, cedząc słowa. – Chciałabym jednak, żebyś przysłał nam więcej facetów. Może i jesteśmy starymi pudłami, ale Norman i Graham to naprawdę lekka przesada! Nie jesteśmy aż tak zdesperowane.

– A cóż ja mogę zrobić, moja droga? – Sonny uniósł ręce w geście rozpaczy. – Jesteście tą silniejszą płcią i przeżyjecie nas wszystkich. A my jesteśmy tylko biednymi samcami.

– Nie gadaj bzdur – powiedziała Madge. – To przecież pieprzone Indie.

– Tak, ale za każdym hinduskim mężczyzną stoi jego matka. – Głos Sonny’ego drżał z emocji. – On jest tylko marionetką, to ona pociąga za sznurki.

– Co za głupoty – oburzyła się Madge. – Tak czy siak, będę musiała sobie znaleźć jakiegoś miłego bogatego maharadzę. – Spojrzała na zaskoczoną Evelyn i wyjaśniła: – Bardzo kochałam mojego męża, skarbie, ale jego już nie ma. A ja nie chcę umierać w samotności.

– Przecież masz nas – powiedziała Evelyn.

Madge zamilkła i posłała jej słaby uśmiech.

– Nie jest pani szczęśliwa w domu seniora? – zapytał Sonny.

– Wolę myśleć, że to hotel – odparła Madge. – Za słowem „hotel” ciągle kryją się możliwości.

Evelyn usłyszała muzykę. Dźwięki płynęły spod palmy, pod którą siedziała harfistka. Przez megafon ktoś prosił, żeby pan Willoughby zgłosił się w recepcji. Sonny się pożegnał, a kiedy odszedł, Evelyn powiedziała:

– Odniosłam wrażenie, że dosyć dobrze go znasz.

– Sonny i Arnold robili wspólne interesy w Londynie – odparła Madge. – Stąd wiem o Marigold. Sonny jest właścicielem wielu nieruchomości, między innymi tego szkaradnego miejsca naprzeciwko naszego hotelu, różnych biur obsługi klienta, no i nowoczesnej technologii. I zna tu wszystkich.

– To prawda? – zapytała ostro Muriel.

– Większość to jego krewni. Takie właśnie są Indie.

Muriel się odwróciła i ruszyła za Sonnym. Evelyn obserwowała, jak dopada go zniecka i zaczyna o coś wypytywać. Sonny pokręcił głową, a może tylko się zakołysał. Jeszcze nie rozumiała, o co chodzi.

– Chodź – powiedziała Madge. – Sklepy czekają.

Sonny pospiesznie wyszedł z hotelu i wsiadł do białego mercedesa, w którym czekał na niego szofer. Muriel podeszła do recepcji – krępa postać w kwiecistej sukience – i zagadała do recepcjonisty. Zachowywała się naprawdę dość dziwnie.

– Co ona wyprawia? – zapytała Evelyn.

Madge podążyła za jej spojrzeniem.

– Może chce sobie podnieść standard – powiedziała ze śmiechem.

Kiedy wróciły, popołudniowe cienie zdążyły się już bardzo wydłużyć. Po chaosie panującym na ulicach po raz pierwszy poczuły się w Marigold jak w domu. Evelyn pomyślała nawet, że być może ułoży sobie tutaj życie wraz z nowymi przyjaciółmi.

A może miało to jakiś związek ze światłem. Ta pora dnia była w Indiach niezwykle piękna, z jakichś powodów nazywano ją „godziną świętej krowy”. Evelyn przypomniały się długie złote popołudnia jej dzieciństwa, które zdawały się nie mieć końca, rozbrzmiewające ptasim śpiewem, kiedy matka wołała, żeby szła spać, a ona udawała, że nie słyszy. A może chodziło o wolność, którą

poczuła, wkładając na bose stopy nowe sandaalki.

W hotelu ktoś grał na pianinie. Ktokolwiek to był, grał niepewnie i czasami gubił nuty.

Kim jest Sylwia? Czymże jest?¹

Evelyn też to kiedyś śpiewała.

Że każdy przed nią klęka?

Na werandzie Eithne Pomeroy, ubrana w żółty dres, pochylała się nad spodeczkiem i nalewała mleka dla zaprzyjaźnionego kota. Graham Turner, wiekowy stary kawaler, zajął stanowisko przy ptaszarni. Evelyn przyjrzała mu się od tyłu – rzednące włosy, opadające ramiona. Często zamierał na długie chwile, całkowicie zatopiony w myślach.

Skoro taki Sylwii czar,

Czy równe są jej łaski?

Wzrok jej to na proch by startł,

To znowu złote blaski...

Evelyn zanuciła melodię. Właściwie nigdy nie wierzyła w ten kawałek. Kiedy chodziła do szkoły, Cecilia Shaw o wyglądzie anioła tak się nad nią znęcała, że zamieniła jej życie w piekło. Nagle ogarnęła ją dzika furia. Nigdy nie żywiła do nikogo – ani do męża, ani do dzieci – uczuć tak gwałtownych jak to wzburzenie sprzed pół wieku wywołane przez osobę, która już pewnie nie żyła.

– Chodź, napijemy się drinka – powiedziała Madge.

Zaprowadziła Evelyn na werandę i zamówiła dzin z tonikiem, zupełnie jak mąż. To była najlepsza chwila dnia. Evelyn nigdy nie piła, ale życie hotelowe ją wyzwoliło. To nie był dom, ale nie było to też duszne więzienie w Leaside. *Za słowem „hotel” ciągle kryją się możliwości.*

Śpieszmy Sylwii hołdy nieść,

Śpiewajmy jak dzień długi...

Pianino oczywiście fałszowało. Ktokolwiek na nim grał, musiał się uczyć w dzieciństwie. Evelyn też się kiedyś uczyła. Wierciła się na stołku i marzyła, by uciec gdzieś w zieleń ogrodu.

Pod stołem zdjęła jeden sandał, bo już ją obcierał. Kiedyś mogła przebywać poza domem przez cały dzień, szaleć i przedzierać się przez zarośla. A teraz wykańczała ją jazda taksówką. Kiedyś biegła po trawie, a jej cień podążał za nią. Teraz była w kraju, w którym cień rzucany przez zamiatacza był tak zanieczyszczony, że Hindusi z wyższych kast musieli go dezynfekować. Powiedziała jej o tym pani Cowasjee. Dlaczego ci mili ludzie byli tacy okrutni? Byli tak źli jak Cecilia, która zadzierała nosa za każdym razem, gdy Evelyn ją mijala. Chociaż zamiatacz należał do najniższej z najniższych kast, nie wydawał się tym zaniepokojony. Pewnie życie było dla niego równie nieistotne i niematerialne jak jego własny cień.

Evelyn obserwowała *mali*. Ogrodnik szedł wolno przez trawnik i zbierał niedopałki wyrzucone przez Normana. Cecilia, jej prześladowczyni, jako jedyna dziewczyna w szkole paliła papierosy. Wtedy wydawało się to ekscytująco nikczemne i niegodziwe. Dojrzała też o wiele wcześniej niż inne dziewczęta. Evelyn i jej koleżanki przyglądały się swoim płaskim klatkom piersiowym i skandowały: *Mam mus, mam mus powiększyć swój biust*. Czy kiedyś staną się kobietami? Czy ktokolwiek zechce trzymać je w ramionach?

Mali wyprostował się z wysiłkiem. Jego plecy były tak samo sztywne jak jej. Ciekawe, co się stało z Cecilią? Pewnie miała mnóstwo kochanków; katolickie dziewczyny były znane z tego, że są szybkie i łatwe. Evelyn miała tylko jednego kochanka: swojego męża.

Podano drinki. Madge podpisała rachunek i usiadła. Evelyn schlebiało, że olśniewająca Madge wybrała właśnie ją. Znowu było jak w szkole, ale tym razem bez bólu.

– Dlaczego tu przyjechałaś? – zapytała Evelyn.

– Bo byłam śmiertelnie znudzona – odparła Madge. – Byłaś kiedyś w Stanmore?

Evelyn pokręciła głową.

– No cóż. – Madge zapaliła papierosa. – Chciałam dostać ostatnią szansę.

– Hindusi chyba mają więcej szans – zauważyła Evelyn.

– Myślę, że nikt nie powinien się poddawać. Kiedyś jakaś kobieta powiedziała Clarkowi Gable’owi, że jest kiepski w łóżku. A on na to: „I właśnie dlatego muszę dużo ćwiczyć”.

Evelyn wybuchnęła śmiechem. Poczula zapach obiadu dobiegający z kuchni.

– Spodobało mi się to, co powiedziałaś o hotelach – zwróciła się do Madge.

– Też nie przepadam za słowem „emerytura” albo, co gorsza, „dom starców”.

Madge wyłowiła paznokciem plasterek cytryny, włożyła go do ust i przyjrzała się pensjonariuszom siedzącym przy stołach.

– Wiesz, złotko, to właściwie jest coś w rodzaju poczekalni. Lepiej nie patrzeć na tablicę odjazdów.

Zapadła cisza. Nawet pianino przestało grać. Evelyn wolałaby, żeby Madge tego nie powiedziała.

Mamy teraz tylko siebie, pomyślała. Nie możemy mówić sobie takich przygnębiających rzeczy. Czy Madge nie zdaje sobie z tego sprawy? Próbowала pomyśleć o czymś innym. Wskazała na ogrodnika, który po przeciwnej stronie trawnika zbierał niedopałki do rąbka swojego *dhoti*, a potem utykał je za paskiem.

– Oni wykonują większość tej niewdzięcznej i nieważnej roboty, prawda? Chodzi mi o tego ogrodnika. Chociaż nie jest taki jak my, sprawia wrażenie, jakby wcale się tym nie przejmował. To chyba musi być coś w rodzaju religii.

– Co masz na myśli?

– Zbieranie petów Normana.

Madge się roześmiała.

– To on je wypalił, głuptasie. Widziałam go na zapleczu.

– Och. – Evelyn zamilkła i zaczęła się zastanawiać, jak zdoła to wszystko sama zrozumieć. Sięgnęła pamięcią do wspomnień, w których Hugh tłumaczył jej sprawy opisane w gazetach, pożyczał swoje okulary i wyjmował z dłoni kwit parkingowy.

Nagle *mali* się odwrócił. Wszyscy spojrzeli w tę samą stronę. W bramie pojawiła się riksza i z klekotem podjechała pod drzwi frontowe, wypuszczając kłęby spalin. Z tylnego siedzenia wygramolili się państwo Ainslie.

Coś było nie tak. Douglas i Jean skierowali się natychmiast do pana Cowasjee, który rozdawał właśnie dzisiejsze menu.

– Zdarzył się mały wypadek – powiedział Douglas, cały czas podtrzymując żonę. – Jean została ugryziona przez małpę.

Ta informacja wywołała ogólne zamieszanie.

– Byliśmy w świątyni byka – odezwała się Jean.

– Karmiła ją bananem – wyjaśnił Douglas.

– Tutaj. – Jean pokazała dyrektorowi rękę. Wyglądała bardzo blado. – Myślę, że powinna to obejrzeć pielęgniarka.

– Powinna dostać zastrzyk przeciwężcowy – stwierdził Douglas.

– Proszę ze mną, madam. Zadzwońię po lekarza. – Pan Cowasjee strzelił palcami. – Jimmy, wezwij doktora. *Jaldi, jaldi!*

– Ale pańska żona z pewnością... – zaczął Douglas.

– Żona nie może robić zastrzyków.

– Ale...

– Doktor Rama to doskonały lekarz – zapewnił pan Cowasjee. – Przyjedzie tutaj migiem.

Weszli do środka.

Muriel poderwała się z miejsca i podeszła pośpiesznie do Evelyn.

– Widzisz? – zawołała. – Widzisz, co się stało?

– Co? – zapytała Evelyn.

Z oczu Muriel posypały się iskry.

– Widzisz? – Wskazała na Madge. – Chciała, żeby pani Ainslie stało się coś złego, i proszę.

Muriel zachowywała się naprawdę dziwacznie! Evelyn pomyślała, że ma nie po kolei w głowie. Ale przecież ona sama też niekiedy czuła, że traci zmysły i przestaje rozumieć, co się dzieje.

Do obiadu zdążyła już o wszystkim zapomnieć. Pałaszowali właśnie zupę (krem z pomidorów), kiedy rozmowa – która nigdy nie była zbyt ożywiona – nagle całkowicie zamarła.

Przez jadalnię przechodził mężczyzna – wysoki, z gęstymi czarnymi włosami, które lśniły w promieniach słońca. Był ubrany w błękitną koszulę i niósł skórzaną torbę. Evelyn rozpoznała go ze zdjęcia. Okazało się, że w rzeczywistości doktor Rama jest jeszcze bardziej oszałamiający, może nawet bardziej niż Omar Sharif w swoich najlepszych latach. W towarzystwie dyrektora hotelu przeszedł obok stolików, uśmiechnął się do pensjonariuszy, a potem zniknął w korytarzu prowadzącym do pokoju państwa Ainslie.

Zapadła cisza, a potem rozległ się dźwięk przypominający trzepot skrzydeł, jakby do jadalni zleciało się stado kur.

– A niech mnie! – rzuciła Madge. – Ten może mi codziennie robić badania.

Ktoś klasnął w dłonie. Evelyn pomyślała, że to brawa, ale to tylko Norman zabił komara.

– Mam cię, gnojku! – zawołał, a potem wytarł rękę w spodnie.

To był dzień bogaty w różne wydarzenia – pedicure, nowe czerwone sandaalki, atak małpy i przystojny doktor. Głowę Evelyn przepełniały jeszcze inne obrazy – mężczyzna myjący swego wołu na stacji benzynowej, chłopiec balansujący wśród ulicznego zgiełku z tacą pełną filiżanek herbaty... i dużo, dużo więcej. Ulice pulsowały życiem, ale przecież nie musiała nigdzie iść. Jakże jej terażniejsze życie różniło się od tego, jakie prowadziła w swojej rodzinnej miejscowości pełnej letnich domków straszących zamkniętymi okiennicami. W dzisiejszych czasach angielskie ulice świeciły pustkami. Evelyn przypuszczała, że ludzie siedzą w domach, gapią się w ekrany komputerów i grają w gry, w których wysadzają w powietrze pałac Westminsterki.

Było już późno, ale nie mogła zasnąć. Widok doktora Ramy wzbudził w niej uczucia, o których dawno zapomniała. Przypomniała sobie zapach Hugh, ostrą woń jego potu; przypomniała sobie też miękkość ciała, gdy leżał nagi tuż obok niej – dokładniej mówiąc, zazwyczaj miał na sobie górę od piżamy. Nigdy nie brała pod uwagę innych mężczyzn, nawet teoretycznie. Nie było na to czasu – dzieci, cotygodniowa wyprawa na żagle, nie wspominając o wielkim ogrodzie. Przypomniała sobie, co powiedział Douglas w samolocie: „W końcu mamy tylko jedno życie, czyż nie?”.

Evelyn usiadła, odsunęła moskitierę i zapaliła światło. W przeciwieństwie do niej pokój miał niejedno życie. Ilu ludzi się przez niego przewinęło? Znalazła mały znak czyjejs bytności – wypalony ślad po papierosie na toalecie. *Poczekalnia*. Z punktu widzenia Hindusów musiało być zupełnie inaczej; z tego, co rozumiała, dla nich życie było serią takich poczekalni. A co dalej?

Wsunęła stopy w pantofle. Na dworze zaszczekał pies. Zza muru, z jałowej ziemi, gdzie ludzie żyli w szokującej nędzy, odpowiedziały mu inne psy. W kwaterze personelu paliła się lampa naftowa; w tym miejscu służący mogli wreszcie zrzucić uniformy i choć przez kilka godzin żyć swoim niezgłębionym, tajemniczym życiem.

Evelyn cicho przeszła korytarzem do salonu, którego mrok rozjaśniało odrobinę światło padające z holu. Usiadła przy pianinie i podniosła wieko. Nie grała od lat i miała sztywne stawy. Nieśmiało przebiegła palcami po klawiaturze, próbując przypomnieć sobie *Sonatę księżycową*. Oczywiście nie miała zamiaru grać, bo nie chciała obudzić innych. Czy gdzieś głęboko w jej palcach kryły się zapomniane dźwięki?

Chwila przeminęła i Evelyn zamknęła wieko fortepianu. Wstała, odryglowała drzwi werandy i wyszła w noc. Powitał ją ciepły wieczór, tak ciepły jak jej krew. Anglia była taka zimna, zwłaszcza dla starych kości! Znad drobnych, nieznanych jej kwiatów rosnących wzdłuż trawnika unosił się silny zapach. Gdzieś zamiauczał kot. Kilka pań z hotelu – Eithne, Stella i Hermione czy jak jej tam (może Harriet?) – dokarmiało tego przybłądę jedzeniem uratowanym z obiadu. Była w tym jakaś ukryta rywalizacja. Każda z nich po swojemu nazwała tego starego łysego kocura, myśląc, że jest jedyna. Bez obaw, reagował na wszystkie imiona.

W pewnej chwili Evelyn zobaczyła światło. Migotało w jej starym pokoju zamieszkiwanym teraz przez Muriel. Podeszła bliżej i zajrzała do środka.

Pokój wyglądał zupełnie inaczej. Przez chwilę w ogóle nie mogła go rozpoznać. Na toaletce stały świece i kadzidelka. W mroku dostrzegła nawet coś w rodzaju kapliczki.

Na łóżku, przy otwartym oknie, siedziała Muriel w koszuli nocnej.

Nagle się odwróciła i zapytała:

– Kto tu jest?

– Zostałam napadnięta, rozumiesz? – powiedziała Muriel. – I obrabowana.

– Słyszałam o tym – przyznała Evelyn. – To musiało być straszne.

– Denerwuję się, cały czas myślę, że oni wrócą. Pozbawili mnie domu

i spokoju duszy, wszystko mi zabrali. Ukradli mi moje życie i sprzedali do telewizji. Ciagle mam koszmary i budzę się w środku nocy z sercem bijącym jak dzwon. Bez przerwy widzę ich twarze, zupełnie jakby tu byli.

- Już dobrze, kochanie – powiedziała Evelyn. – Nie ma ich tutaj.
- Wszędzie ich wypatruję. Dowiedzieli się, gdzie mieszkam.
- Tutaj naprawdę jesteś bezpieczna. To przecież drugi kraniec świata.
- Ci dwaj czarni chłopcy zabili mojego Leonarda.
- Kogo?

Muriel wskazała stojącą na toalecie fotografię oprawioną w ramkę i ozdobioną girlandą z nagietków. Evelyn wstała i przyjrzała się jej w słabym świetle świecy. Na fotografii był kot.

– Szkopy zamordowały mojego Leonarda, a te czarnuchy zabiły mi kota. To była ta sama osoba, rozumiesz? Leonard żył w jego ciele. Zawsze to wiedziałam, a pani Cowasjee to potwierdziła. Nie mogłam go ocalić, bo widziałam te znaki. – Muriel podniosła głos. Była bardzo podniecona. – Ewakuowali mnie stamtąd, rozumiesz?

- Ale kto? Policja?

Muriel ścisnęła Evelyn za ramię.

- Zmusili mnie, żebym wyjechała i zamieszkała na wsi. I dlatego go zabili.
- Myślałam, że mieszkałaś w Londynie.
- To wszystko moja wina. Dlatego musiałam poślubić Paddy’ego.
- Paddy’ego? – Evelyn nie mogła się połapać w tej rozmowie, ale przypuszczała, że to wyłącznie jej wina. – I dlatego tu przyjechałaś? – zapytała. – Ponieważ cię ewakuowali?

- Że co?

- No po tym napadzie.

Muriel przyjrzała się jej badawczo.

– O czym ty mówisz?

Evelyn wzięła głęboki oddech.

– Czy z tego powodu przyjechałaś do Indii? – zapytała, wyraźnie artykułując słowa.

Muriel patrzyła na nią, jakby była upośledzona umysłowo. Evelyn uświadomiła sobie, że w pokoju było kilka kapliczek. Jakieś hinduskie bóstwo z mnóstwem ramion, fotografia księżnej Diany, a nawet mały gipsowy wizerunek Maryi Dziewicy. Muriel najwyraźniej zabezpieczała się z każdej strony.

– Obiecuj, że nikomu nie powiesz! – syknęła Muriel.

– Obiecuję – odparła Evelyn.

Muriel ściszyła głos.

– To wszystko przeznaczenie, rozumiesz? Karma. Ten napad, broszura, którą dał mi lekarz, i to, co usłyszałam o swoim synu.

– O synu?

Evelyn poczuła na ramieniu jeszcze mocniejszy uścisk. Szykują się kolejne siniaki, pomyślała.

– Tylko nie mów o niczym policji! – szepnęła Muriel.

– A co policja ma z tym wspólnego?

– On tu jest.

– Kto?

– Mój Keith – powiedziała Muriel. – Dlatego tu przyjechałam. Bo on jest w Indiach.

– Twój syn jest tutaj?

– O tym mi właśnie powiedzieli sąsiedzi. Że pojechał do Indii w interesach. Przyglądam się wszystkim, żeby sprawdzić, czy to on. Przyglądam się twarzom. Pytałam w tamtym hotelu, bo on zatrzymuje się właśnie w takich miejscach. Keith mnie odnajdzie. Taki właśnie jest. Dowie się, że jego mama jest tutaj,

i w końcu mnie znajdzie.

Było już późno. W pokojach spały mieszkanki Marigold, śniąc, że doktor Rama swoimi czułymi brązowymi palcami unosi rąbki ich koszul. Jean Ainslie pisała e-mail do swoich przyjaciół, a jej mąż próbował zasnąć. Madge, którą wnuk nauczył obsługi komputera, siedziała przed ekranem skąpana w niebieskiej poświacie i sprawdzała, o ile spadła wartość jej akcji. Stella łykała pigułki – na serce, stawy i prozac. W pokoju na tyłach hotelu Graham Turner słuchał *Mad about the boy* Dinah Washington, ścisząc głośność do minimum. Gdzieś w ogrodzie krzyknął ptak. Służący spali, obojętnie gdzie, po prostu spali.

Przez skrzyżowanie przejeżdżały ciężarówki. Obok Marigold biegła Brigade Road, która omijała wielkie hotele i prowadziła do nowej dzielnicy biurowców, gdzie jeszcze nikt z nich nie dotarł, ponieważ był to zupełnie inny świat. Druga droga prowadziła do starego miasta i jego labiryntu ulic, w który zapuszczali się tylko najodważniejsi. Trzecia wiodła do centrum pełnego wiktoriańskich budowli przypominających im o rodzinnym kraju. Czwarta zaś prowadziła na lotnisko. W Anglii lotnisko było po prostu miejscem, z którego się od czasu do czasu korzystało. W Indiach jego obecność stawała się wręcz namacalna. Tam właśnie się zaczęła ich przygoda z tym krajem. Wysiedli z samolotu z biletami powrotnymi oraz wielkim prawdopodobieństwem, że nigdy z nich nie skorzystają. Było to również miejsce, w którym być może kiedyś zjawią się ci, których kochają; przyjadą prosto z kraju, który teraz się wydaje nieskończenie nierzeczywisty i mały.

Namaste!, pisała Jean.

Przepraszam, że nie napisałam do was wcześniej, ale byliśmy z Dougiem bardzo, bardzo zajęci urządzaniem się w naszym nowym domu i zwiedzaniem tej tętniącej życiem metropolii. Chociaż Bangalur

nie ma oczywistego uroku wielu miast, które odwiedziliśmy podczas naszych poprzednich podróży, nie brakuje w nim ciekawych miejsc, a starożytne zabytki – jak żartuje Douggy – można znaleźć nawet w naszym hotelu! A poważnie mówiąc, Marigold jest miłym miejscem, takim zachwycającym „starym brytyjskim Radżem” chlubiącym się nieobliczalną instalacją wodociągową! Nasi współmieszkańcy są w dość zaawansowanym wieku, ale – jak z pewnością wiecie – wierzymy, że wiek jest stanem umysłu, więc jeśli ktoś jest otwarty na nowe doświadczenia, w sercu zawsze pozostanie młody (dostyc tego wykładu!). Większość mieszkańców to kobiety, zatem Doug świetnie się bawi, a ja muszę go trzymać na krótkiej smyczy (żartuję). Jedna czy dwie dorastały w Indiach i dla nich jest to jak powrót do domu. My również się czujemy „jak w domu”, ale wiecie przecież jacy z nas włóczędzy! Zawsze staramy się upodabniać do tubylców, więc zapoznajemy naszych bardziej tradycyjnych współbiedniaków z rozkoszami „dhosa” i „idli”, tym bardziej że ich pojęcie o miejscowej kuchni zaczyna się i kończy na kurczaku tikka, potrawie nieznannej większości Hindusów!

Uczymy się też języka karnataka (kannada) i już potrafimy przeprowadzić prostą konwersację z personelem. Widzimy, że doceniają nasze wysiłki i próby opanowania kilku słów. Jak zapewne wiecie, zawsze wierzyliśmy w szacunek dla innych kultur i chociaż McDonald's wystawił tu swój szkaradny łeb (przepraszam, swoje dwa złote łuki!), Indie w dalszym ciągu są starożytną i wielowarstwową cywilizacją. Między bogatymi a biednymi jest oczywiście głęboka przepaść, ale ćwiczymy dawanie jałmużny żebrakom – kilka rupii może zmienić życie biednej rodziny.

Ogólnie rzecz biorąc, niczego nie żałujemy. Devon to już odległe

wspomnienie i naszym jedynym zmartwieniem jest tęsknota za licznymi przyjaciółmi (ujawnijcie się!) i rzecz jasna za naszymi dziećmi. Amanda awansowała na zastępcę dyrektora, ale w swoim napiętym grafiku nadal znajduje czas na ukochaną salsę (poziom czwarty, brawo, Amanda!) i coroczny festiwal „Baroque Around the Clock”, który organizuje chyba zupełnie sama! Adam odnosi coraz większe sukcesy w BBC (koniecznie obejrzyjcie jego ostatni dokument, szczegóły w załączniku, my uważamy, że jest najlepszy ze wszystkich, jakie do tej pory zrobił – zabawny i skłaniający do myślenia). E-maile są dla nas prawdziwym błogosławieństwem, a Douggy w końcu pokonał swoją technofobię i nie można oderwać go od nowego aparatu cyfrowego. Na zdjęciach scena napadu na miejscowego zaklinacza wężów!

Tymczasem to wszystko i – jak to tutaj mówią – „phir milenge” (do zobaczenia) lub dla wyznawców islamu „khoder hafiz insh’allah (niech Allah ma cię w opiece)!

Pozdrowienia,

Jean i Doug

PS „Idli” to ciasto ryżowe gotowane na parze, a „dhosa” to rodzaj ryżowego naleśnika.

Koniec lekcji!

1 „Kim jest Sylwia?”, Dwaj panowie z Werony, William Szekspir, w przekładzie Stanisława Barańczaka.

2 Szybko, szybko! (hindi).

4

Pamiętaj, że jesteś wszystkim lub niczym. Jeśli jesteś wszystkim, to twoje serce jest tak ogromne, że możesz nim ogarnąć całą ludzkość, nie ma w tobie zazdrości ani ograniczeń. Jesteś w sercu każdej istoty, a każda istota jest w twoim sercu. To jedyne szczęście.

Swami Purna

To jego żona zorganizowała to wszystko. Oczywiście Christopher zamierzał kiedyś odwiedzić matkę, ale to Marcia ustaliła konkretną datę.

– Boże Narodzenie w Indiach! – powiedziała. – Evelyn będzie zachwycona. A dla dzieci to będzie wspaniałe, wprost fantastyczne doświadczenie.

Marcia wzięła więc sprawy w swoje ręce. Ściągnęła z internetu pakiety, które w planie podróży przewidywały Bangalur, i wybrała ekskluzywne biuro podróży specjalizujące się w turystyce kulturowej. „Atrakcje turystyczne południowych Indii” obejmowały Mysuru, świątynie Halebidu i Belur „z ich misternymi rzeźbami przedstawiającymi tańczące postacie, zwierzęta i fryzy”, oraz dwudniowy pobyt w pięciogwiazdkowym hotelu Taj Balmoral w Bangalurze. „Rozległe miasto z wieloma parkami i ogrodami”, przeczytała, „i wyśmienicie prosperujące centrum przemysłowe zwane indyjską Doliną Krzemową”. W ciągu kilku dni wszystko zostało załatwione, łącznie z opcją dodatkową: tygodniem w Colva Beach na Goa, gdzie będą mogli się odprężyć przed powrotem do Stanów.

Christopher odczuwał dziwną mieszaninę bezradności i wdzięczności. Ta kobieta była cholernie skuteczna. Wykonywała odpowiedzialną pracę w wiodącej

firmie brokerskiej, utrzymywała szczupłą sylwetkę dzięki morderczym ćwiczeniom na siłowni, organizowała dzieciom zajęcia, jednocześnie kierowała generalnym remontem mieszkania i negocjowała zakup nieruchomości w Wellfleet na Cape Cod, która miała się stać na starość przystanią dla jej ojca i macochy. Marcia była pod tym względem wzorową córką. Christopher przypisywał to mieszance jej żydowskiej i włoskiej krwi. Pochodziła z dużej, dobrze prosperującej rodziny, w której rzeczą oczywistą było to, że dzieci opiekują się rodzicami.

Z tego powodu Christopher miał rzecz jasna wyrzuty sumienia. Jak również dlatego, że to Marcia płaciła za wakacje; pod tym względem była bardzo hojna. Oczywiście zarabiała więcej niż on. Prawdę powiedziawszy, kiedy się poznali, była jego szefową, i to aż do chwili przeprowadzki do Nowego Jorku, gdzie zmieniła firmę. Jego siostra Theresa nigdy nie lubiła Marcii i uważała, że doprowadza go do ruiny swoimi wymaganiami i kosztownym stylem życia. Christopher bez przekonania wyprowadzał ją z błędu; w końcu mężczyzna ma swoją dumę.

Była listopadowa sobota i Christopher zabrał Clementine do Central Parku. Jego córka miała jedenaście lat, a pozowała na szesnastolatkę. Chciała pójść do salonu piękności i zrobić sobie brwi, ale namówił ją, żeby wypróbowała nowe rolki. Marcia została w domu, żeby pomóc Josephowi w matematyce.

– Kristy wyregulowała sobie brwi – powiedziała Clementine.

– To nie znaczy, że ty też musisz – odparł Christopher. – Zostań jeszcze przez chwilę dzieckiem.

– Co? – Mina Clementine mówiła: *Nie bądź kretynem, tato*. To był zupełnie nowy wyraz twarzy – usta wykrzywione w wyrazie dezaprobaty i współczujący uśmiech.

Szli Madison, mijając sklepy z modnymi ubraniami. Christopher pragnął, żeby córka chwyciła go za rękę, ale ona niedawno przestała to robić.

- Cieszysz się na wyjazd do Indii? – zapytał.
- Faj. Indie są obrzydliwe. – Przechodzili koło Ralpa Laurena. Clementine dostrzegła w szybie swoje odbicie i wciągnęła brzuch.
- Zobacysz przepiękne widoki – powiedział.
- W Indiach jest pełno biedaków. I wszyscy śmierdzą jak Constancia.
- To nie było miłe. Poza tym Constancia jest z Haiti. – Constancia była ich służącą. – No i spotkasz się z babcią Evelyn.
- Mówiłeś, że ona jest stuknięta.
- Nie mówiłem! Nigdy nie używam takich słów.
- Słyszałam, jak rozmawiałeś z mamą.
- Powiedziałem tylko, że jest trochę roztargniona. Ma siedemdziesiąt trzy lata.
- Grubo.
- Nie mów tak, skarbie. – Christopher pomyślał o fortunie, jaką wydają na jej edukację.
- Nie potrafi nawet wysłać e-maila.
- Umiałaby, gdyby spędzała przy komputerze tyle czasu co ty. – Christopher był przekonany, że Clementine spędza czas na jakimś nieodpowiednim czacie prowadzonym prawdopodobnie przez pedofila. Przypomniał sobie wyraz twarzy matki, gdy postawił przed nią laptop. *Christopher, kochanie, już za późno, żebym się nauczyła.*

Clementine zatrzymała się przed Starbucksem.

- Chcę frapuccino.
- Nie teraz. Później.

Clementine jęknęła. Poszli dalej. Czyż nie miało być zabawnie? Supernowoczesne rolki ważyły chyba z tonę. Christopher spędzał życie na taszczeniu dziecięcych gadżetów z jednych zajęć na drugie i czuł się jak juczny

muł. Może córka powinna sama je nieść, czyli zasłużyć na przyjemność i te inne angielskie bzdury. Kłopot w tym, że nie miał odwagi tego zaproponować. Nie wiedziałyby, o czym mówi, i obdarzyła go kpiącym uśmiechem Elvisa.

Córka wytrącała go z równowagi. Ostatnio odnosiła się do niego z pogardą. Prawdę mówiąc, miał wrażenie, że pozostała część rodziny też to robi. Trudno było zachować godność w miejscu, w którym nawet służąca traktowała go protekcjonalnie. Na Haiti mężczyźni bez wątpienia nadal byli mężczyznami. W Christopherze przez lata narastało podejrzenie, że stał się zbędny. Zapłodnił swoją żonę – dla obojga było to późne małżeństwo, a czas uciekał – i czuł, że poza tym ma niewiele do zaoferowania kobiecie, która całą resztę potrafi zrobić sama.

Kiedyś uważał, że to stymulujące. Kiedy się poznali, miał trzydzieści dziewięć lat, pracował w City i mieszkał w nędznym kawalerskim mieszkaniu w Clapham. I miał swoją rutynę – squash we wtorki, pub w piątki. Jeździł kabrioletem – golfem GTI – i uważał się za lwa salonowego. Jednak koledzy zaczęli go jeden po drugim opuszczać, towarzystwo z pubu coraz bardziej się kurczyło ostrzeliwane co rusz snajperskim ogniem płci przeciwnej.

To, że nie mógł znaleźć odpowiedniej dziewczyny, przypisywał swego rodzaju inercji. Zdał sobie z tego sprawę, kiedy Marcia wtargnęła w jego życie wraz ze swoimi kostiumami i zdolnościami organizacyjnymi. Została oddelegowana na pół roku do londyńskiego biura i z jakiegoś powodu od razu się na niego rzuciła. Może jej zegar biologiczny coraz głośniejszy tykał, bo – mówiąc bez ogródek – nie była już młódką. Zbyt ciężko pracowała, wspinając się po szczeblach korporacyjnej drabiny, by myśleć jeszcze o założeniu rodziny. Musiał też przyznać, że na pierwszym spotkaniu nie wydała mu się przesadnie atrakcyjna – blada skóra, ostre rysy i grube brwi, które później odziedziczyła ich córka. Był jednak zupełnie bezsilny i w końcu wciągnęło go pole siłowe jej osobowości. Marcia była prawdziwie rzeńską odmianą dla jego konwencjonalnego

angielskiego wychowania!

Po tygodniu dał za wygraną i skapitulował wobec jej błyszczących oczu i pełnego wigoru seksu. Po miesiącu wprowadziła się do niego i zaczęła robić porządki. *Zanosisz swoje PRANIE do MATKI?* Bardzo dobrze pamiętał jej zdumione, litościwe spojrzenie. Znał je od wielu lat; miał z nim do czynienia zawsze wtedy, gdy inwestycje, które poczynił w imieniu rodziny i matki, okazywały się chybione. Od jedenastego września na rynku panował co prawda kryzys, ale musiał przyznać, że podjął kilka błędnych decyzji. Poza tym wszystko było przecież w porządku. Wygodne życie na Upper East Side i matka w domu spokojnej starości, który zbytnio nie obciążał jej kieszeni i w porównaniu z innymi placówkami w Anglii miał wiele zalet. Jej listy były nawet dość wesołe. Ostatnio pisała coś o nowych sandałach. Świat starych ludzi ograniczał się do ich najbliższego otoczenia; mało istotne, gdzie to otoczenie się znajdowało. Zachowywali się, jakby znowu byli dziećmi, a hotel matki najwyraźniej serwował galaretkę i budyń.

Minęli Metropolitan Opera. Na schodach siedziała starsza kobieta w towarzystwie plastikowych siatek i pustego styropianowego kubka. Była dobrze ubrana i trochę przypominała mu matkę.

Christopher poczuł gwałtowny przyływ poczucia winy. Jak łatwo przekonał samego siebie, że wszystko jest w porządku! Zawsze potrafił się usprawiedliwić. Właściwie, tak mówiąc całkiem szczerze, doprowadził swoją matkę do nędzy. Zasługiwała na spokojną starość na łonie rodziny. A co on zrobił? Wszystko spieprzył. Ulotnił się do Nowego Jorku i zaabsorbowany swoim nieznośnym życiem w ogóle o niej nie myślał.

Nieznajoma kobieta spojrzała mu prosto w oczy. *Coś ty zrobił?* Christopher poszukał po omacku portfela. *Dałam ci życie, a ty mnie porzuciłeś jak worek śmieci.* Obok z dużą prędkością przemknął samochód policyjny z włączoną syreną.

I wtedy uświadomił sobie, że popełnił błąd. W styropianowym kubku były fusy po kawie. Zmęczona dama z plastikowymi torbami odpoczywała tylko po trudach zakupów.

Dzięki Bogu Christopher w porę się zatrzymał. Nikt nic nie zauważył.

Gdy znaleźli się w Central Parku, założył rolki na chude nogi córki. Pokuśtykała niezgrabnie po asfalcie. Zdołała to zrobić, żeby udobruchać swojego starego ojca, jakby ta godzina, którą miała z nim spędzić, była tylko krótką przerwą przed powrotem do jej prawdziwego życia.

– Zuch dziewczyna! Świetnie, Clem! – Usłyszał własny głos, zbyt donośny i natarczywy.

Clementine się zachwiała. Wyciągnął rękę, ale ona chciała robić wszystko sama.

Obok nich przejechali trzej czarni kolesie. Jeden z nich trzymał przenośny magnetofon, z którego dudniła głośna muzyka. Ludzie jeździli na rowerach, biegali i przybierali dziwaczne wschodnie pozy. Marcia pochodziła z Nowego Jorku. Kochał energię tego miasta, jego skrajny brak skrepowania. Rzecz w tym, że on nie potrafił sobie odpuścić i przestać się przejmować. Miał wrażenie, że jest tylko obserwatorem swojego życia, że przygląda się swoim działaniom z dużej odległości. W tym momencie był ojcem, który efektywnie spędzał czas z córką – przesadnie reagował, okazywał za dużo entuzjazmu, a w jego głosie pobrzmiwała fałszywa pogoda ducha. Widział, że jest piękny jesienny dzień – złote liście, dwie wieże San Remo błyszczące w słońcu na tle nieba – ale myślał tylko o tym, jak opisać to później Marcii, by jej udowodnić, że nic nie umknęło jego uwagi.

Jeden z czarnych chłopaków gwałtownie skręcił i zatrzymał się z perfekcyjną gracją. Ten chłopak był po prostu sobą; nie był rozdarty w ten okropny angielski sposób. Gdybym i ja mógł się stopić w jedną całość, pomyślał Christopher. Jego

siostra Theresa, która się pasjonowała hinduizmem, ciągle mówiła o jedności i pozbywaniu się czegoś, żeby osiągnąć wyższy stopień świadomości. Wysłała mu nawet książkę wydrukowaną na czymś, co wyglądało jak papier toaletowy, napisaną przez jakiegoś tam Bhagwana, z zaznaczonymi fragmentami dotyczącymi stresu. Theresa medytowała i uprawiała jogę. Zatem dlaczego była najniezwyklejszą osobą, jaką znał?

– Możemy już iść? – zapytała Clementine.

– Tak szybko?

– Jesteśmy tutaj od wieków.

Usiadła na ławce i zaczęła zdejmować rolki. W tym momencie podjechał do niej ze świstem jeden z czarnych chłopaków i zatrzymał się obok.

– Hej, tak szybko rezygnujesz?

Wyciągnął do niej rękę. Clementine się zaczerwieniła i z wahaniem spojrzała na ojca. Potem złapała wielką czarną dłoń i odjechali.

Christopher patrzył, jak jada ręka w rękę: mała Clementine i wielki mężczyzna. Ona się śmiała, naprawdę się śmiała i pischczała z podniecenia. Chłopak zwolnił, żeby się dostosować do jej tempa. Jego czerwony T-shirt pasował do jej kurtki.

Christopher siedział na ławce i przyglądał się im. A mówiąc dokładniej, przyglądał się sobie – mężczyźnie w średnim wieku, z brzuszkiem, ubranemu w spodnie od dresu poplamione na kolanie sosem winegret; przyglądał się sobie obserwującemu, jak córka odjeżdża z czarnym bogiem i radośnie się śmieje.

5

To, kim jesteśmy dzisiaj, bierze się z naszych myśli o wczoraj, a nasze dzisiejsze myśli budują życie w przyszłości: nasze życie jest dziełem umysłu.

Ścieżka prawdy Buddy

Doktor Rama miał przemożny wpływ na mieszkanki hotelu Marigold. W listopadzie kilka z nich zachorowało. Nie były to jakieś straszne dolegliwości zagrażające życiu, ale najwyraźniej i tak przekraczały możliwości pani Cowasjee, której wiedza medyczna faktycznie była dość ograniczona. Doktor Rama za każdym razem był wzywany do pokoju pacjentki. Kiedy później porównały swoje zapiski, okazało się, że wszystkim zapisał antybiotyki, ale to ani trochę nie zmniejszyło ich podziwu. Przecież antybiotyki leczyły praktycznie wszystko, prawda?

– Doktor Rama to czarodziej – podśpiewywała Stella, popijając pigułki wodą. Była zupełnie sama na świecie. – Prawdę mówiąc, to on jest najlepszym lekarstwem.

– Czy jest ktoś przystojniejszy od przystojnego Hindusa? – zapytała Madge, która regularnie odwiedzała hotelowe bary w poszukiwaniu bogatego maharadzy. Do tej pory znalazła tylko jednego: niestety miał osiemdziesiąt sześć lat i był podobny do Jasera Arafata. Trzeba trzymać jakiś poziom, westchnęła zrezygnowana.

– Norman jest obrażony – powiedziała Evelyn.

– Należało mu się – odparła Madge. – To stary zgred.

Ale Norman nie był już nadętym arogansem. Co prawda niektóre panie okazały się odporne na jego urok, ale inne reagowały rumieńcem na uprzejmości i galanterię, a nawet śmiały się z jego sprośnych żartów, chociaż czasami bez zrozumienia. Madge miała rację – kiedy się osiąga pewien wiek, wszyscy mężczyźni bez wyjątku mają wzięcie. Można było to zauważyć już w Anglii, gdzie każdy niedawno owdowiały facet, bez względu na to, jak bardzo nieapetyczny i zniszczony, był oblegany przez kobiety pragnące się nim zaopiekować. W odwrotną stronę to oczywiście nie działało.

Muriel nie była członkinią fanklubu doktora Ramy. Jej zdaniem nie było w nim nic zabawnego.

– On nie jest prawdziwym lekarzem – powiedziała. – Kiedy miałam palpacje, przyłożył stetoskop odwrotną stroną.

Evelyn przypisywała to rasizmowi. Słowa Muriel świadczyły o tym, że nie ufa obcokrajowcom. Na początku pobytu Evelyn słyszała, jak Muriel narzeka na czarnych, i zastanawiała się, jakim cudem z takimi poglądami trafiła do Indii. Teraz już знаła przyczynę: w Indiach był jej syn. To wszystko miało sens, przynajmniej pewien. Jaka ślepa wiara kazała jej sądzić, że syn znajdzie ją tylko dlatego, że oboje są na tym samym subkontynencie? Muriel nie powiedziała jej zbyt wiele; jedynie to, że Keith jest poszukiwany przez policję za oszustwo, którego nie popełnił – a była absolutnie przekonana, że tego nie zrobił – i poleciał do Indii, by wysledzić współnika, który go zdradził. To wszystko wydawało się bardzo nieprawdopodobne. Muriel zobowiązała ją do dyskrecji i już nigdy więcej nie podejmowała tematu. Evelyn miała nawet wrażenie, że zaczęła jej unikać. Próbowwała nie brać tego osobiście; wiedziała z doświadczenia, że często nienawidzi się tych, których obdarzyło się zaufaniem.

Ironia polegała na tym, że mimo swoich uprzedzeń Muriel przyswoiła więcej hinduskich zachowań niż ktokolwiek z nich. Państwo Ainslie uważali się za wybitnych w tym względzie, lecz to Muriel wchłonęła subkontynentalne

przekonania prosto do krwiobiegu. Regularnie czytała horoskopy wspólnie z panią Cowasjee, z którą się zaprzyjaźniła, a przyszłość przepowiedział jej człowiek z papugą urzędujący na pobliskim bazarze. Z jej pokoju wydobywał się zapach kadzidełek, a Stella przysięgała, że słyszała, jak Muriel wypowiada zaklęcia, chociaż słuchowi Stelli raczej nie można było ufać.

Pewnego dnia pod koniec listopada zorganizowano wycieczkę do odległego o trzydzieści kilometrów Nrityagram Dance Village. Muriel nie chciała wsiąść do zamówionego mikrobusu.

– To niefortunny dzień – oświadczyła. – Pani Dzi-Dzi mi powiedziała.

Miała na myśli panią Cowasjee.

– Dlaczego nazywasz ją panią Dzi-Dzi? – zapytała Evelyn.

– No przecież nie mogę jej nazywać panią Cow¹, prawda?

– Ona czasami ma coś z krowy – zauważyła Stella przyciszonym głosem.

– W Indiach to oznacza zupełnie coś innego, droga Stello – odparła Jean Ainslie. – Tutaj krowy są święte i prawdopodobnie zostałyby to uznane za komplement. – Zwróciła się do Muriel: – Dlaczego ten dzień jest niefortunny?

– A skąd mam wiedzieć! Po prostu tak mi powiedziała. – Muriel zachichotała. – Uważaj, żeby cię znowu małpa nie ugryzła.

Jak się później okazało, mikrobus w drodze powrotnej uległ awarii. Naprawa zajęła trochę czasu (podobno udało się tylko dzięki kawałkowi sznurka podarowanemu przez przydrożnego sprzedawcę kokosów), więc spóźnili się na obiad. Na dodatek Madge zgubiła okulary przeciwsłoneczne.

– Widzicie teraz, co miałam na myśli? – rzuciła triumfalnie Muriel. – A nie mówiłam, że tak się skończy?

Tylko Evelyn wiedziała, dlaczego Muriel wierzy w siły nadprzyrodzone. Modlitwy, zaklęcia, co za różnica? Muriel była gotowa skorzystać z każdej pomocy, żeby tylko odnaleźć syna. Trochę mało prawdopodobne, ale to przecież były Indie, kraj cudów.

Na obiad była zupa, lecz nikt nie potrafił zgadnąć z czego, i do wyboru smażona ryba lub pilaw z baraniny. Przy stole rozmawiano o dzisiejszej wycieczce: czarujących tancerkach, dziurawych drogach i braku klimatyzacji w busie, który z tego powodu zrezygnował z walki o życie. Evelyn nie pojechała na wycieczkę. Dokuczało jej biodro, a poza tym pragnęła się trochę podelektować samotnością, gdyż miała dla siebie praktycznie cały hotel. Napisała listy, a potem zaryzykowała wyprawę na bazar, gdzie dała rupię beznogiemu żebrakowi i kupiła pomarańcze. Nauczyła się nawet, jak się nazywają po hindusku: *santara*.

Teraz siedziała z państwem Ainslie i Olive Cook, gadatliwą kobietą, której mąż pracował kiedyś dla BP i która mieszkała w wielu krajach na całym świecie. Rozmawiali o Hongkongu.

– Nasz syn kręcił tam film dokumentalny o budynkach Normana Fostera – powiedziała Jean. – Był nominowany do nagrody BAFTA.

Państwo Ainslie zawsze sprawiali, że Evelyn czuła się niedowartościowana – ich szczęśliwe małżeństwo, ich syn odnoszący sukcesy w BBC, ich podróże po całym świecie. Pomyślała o swojej wiosce i Festiwalu ściegu krzyżkowego, najważniejszym wydarzeniu roku organizowanym w ratuszu.

– W przyszłym tygodniu przyjeżdża tu jego była szefowa – powiedziała Jean.
– Nazywa się Dorothy Miller i rzekomo jest wielką legendą. Umieramy z niecierpliwości, żeby ją wreszcie poznać, prawda, Douggy?

– Brzmi trochę groźnie – odparł Douglas. – Co to za zupa? Jakies pomysły?

Evelyn pomyślała o swoim synu. Czekala na jego przyjazd z mieszanymi uczuciami. Oczywiście chciała go zobaczyć i spotkać się z wnukami, których bardzo długo nie widziała, ale po prostu nie mogła wyobrazić sobie Christophera w Indiach. A co z tą jego beznadziejną amerykańską żoną? Co ona sobie pomyśli o poplamionych obrusach i upstrzonych muchami jarzeniówkach? Amerykanie są takimi czyściochami. Gdy Evelyn spojrzała na hotel oczami Marcii, uświadomiła sobie, jak bardzo jest obskurny i zaniedbany.

Jimmy drżącymi rękami zabrał jej talerz po zupie.

– Prawdę mówiąc, to *my* powinniśmy opiekować się *nim* – szepnął Douglas.

Co pomyśli Christopher o tych paralitycznych służących i kranach kaszlących brązową wodą? Może wtedy zabierze ją do Nowego Jorku. Gdyby był Hindusem, tak właśnie by zrobił. Ale gdyby był Hindusem, przede wszystkim by nie pozwolił, żeby jego matka znalazła się w takim miejscu.

Właściwie wcale nie chciałam stąd wyjeżdżać, pomyślała. Siedząc przy obiedzie, uświadomiła sobie, że coraz bardziej lubi swoich towarzyszy. Wszyscy jechali na tym samym wózku, wszyscy w taki czy inny sposób zostali opuszczeni przez bliskich i dlatego trzymali się razem. Po dwóch miesiącach byli już jak rodzina; nawet ci, których nieszczególnie lubiła, stali się tak bliscy, że pojęcie sympatii lub jej braku było całkowicie nieistotne. Anglia była daleko i należała do innego życia; teraz Evelyn troszczyła się o tych, którzy mieszkali razem z nią w Marigold. Niektórzy z nich mogą kiedyś zachorować i pójść do szpitala. Inni mogą ulec tęsknocie i wrócić do Wielkiej Brytanii. Ci, którzy są trochę dziwacznicy, z wiekiem jeszcze bardziej zdziwaczeją, z nią włącznie. Ktoś pewnie umrze. Wszyscy umrą.

– Podobały ci się *Sprawy inspektora Morse'a*? – zapytał Douglas.

Evelyn pokiwała głową. Serial przysłał z Anglii siostrzeniec Grahama. Graham nie wyglądał wprawdzie na człowieka, który ma krewnych, ale najwyraźniej miał. Pewnie nikt go nie pytał o zgodę. Ci, którzy nie byli zbyt zmęczeni wycieczką, zamierzali obejrzeć po obiedzie miłego Johna Thawa.

Evelyn zjadła kęs ciasta. Było zdumiewająco kolorowe i przypomniało jej o przyjęciach urodzinowych z dzieciństwa. Ta myśl podniosła ją na duchu. Cokolwiek się dzieje, zawsze można znaleźć pocieszenie w drobnych codziennych rzeczach.

Pauline podała Raviemu faks.

– Tata pisze, że ta kobieta jest kompletnie stuknięta.

– Kto?

– No ta Dorothy Miller. Podobno włóczy się gdzie popadnie i śpiewa rymowanki.

– Twój ojciec uważa, że wszyscy są stuknięci, tylko nie on – odpowiedział Ravi. – Jest bezkonkurencyjny.

– Jesteś pewien, że nie ma demencji? Myślałam, że przed wyjazdem wszyscy muszą przejść badania lekarskie.

To zabrzmiało jak oskarżenie. Pauline nie miała tego na myśli, jednak wszystko, co ostatnio mówiła, brzmiało jak skarga. To wina Ravięgo. Był taki kąśliwy.

– Chcesz przeczytać? – zapytała. – Całkiem zabawny tekst.

Ravi spojrział na faks, ale zauważyła, że było to tylko przelotne spojrzenie. Spróbowała zmienić ton.

– Matka jednej z moich klientek ma alzheimera – powiedziała. – Staruszka zjawiała się na lotnisku z trzema torebkami. Ich sprawdzenie zajęło całe wieki.

Ravi milczał, pogrążony w myślach, potem zaczął wkładać naczynia do zmywarki. Wcześniej wypłukał je tak dokładnie, że ten trud był w zasadzie bezcelowy.

– I miała na sobie pas ciężarowy.

Żadnej odpowiedzi.

Pauline wskazała na faks.

– Czytałeś ten fragment o torcie urodzinowym? O tym, jak kucharz napisał „urodziny” przez „m”?

Ravi zamknął drzwiczki zmywarki i ją uruchomił. Pauline poczuła uderzenie gorąca – menopauza, gniew, a może jedno i drugie.

– Chyba w ogóle cię nie obchodzi, co tam się dzieje. Przynajmniej dopóki

czerpiesz z tego zyski.

– To nieprawda.

– Kiedyś byłeś takim idealistą.

– A co jest nie tak z tym miejscem? – zapytał Ravi. – Powiedz mi. Mówiłaś, że jest czarujące i że czas się tam zatrzymał. Mówiłaś, że sama byś tam zamieszkała, gdybyś była dość stara.

– To nadzwyczajne miejsce – powiedziała Pauline. – Szkoda, że cię tam nie było.

A właściwie wcale nie, pomyślała.

– Od kiedy wróciłaś do domu, zupełnie się zmieniłaś – zauważył Ravi.

– Ten kraj wywarł na mnie ogromny wpływ.

– Wszyscy tak mówią o Indiach.

– Nie jestem wszyscy...

– Wy, Brytyjczycy, jedzcie tam i mówicie to samo: och, jaka bieda, i och, jakie zachody słońca!

– Przestań wrzucać wszystkich do jednego worka.

– Idealizujecie ten kraj, zawsze to robiliście, wszyscy jesteście tacy sami. Bierzecie stamtąd, co chcecie, jak to Brytyjczycy, a potem jedzcie sobie do diabła, a Indie żyją dalej tak, jak żyły.

– To ty wyjechałeś do diabła.

– Bo nie mogłem tego znieść.

– Dlaczego?

Ravi starannie złożył ścierkę do naczyń.

– Nie macie bladego pojęcia, jak tam naprawdę jest. Wracacie z zakupami z bazaru, wygłaszacie jakieś mistyczne banialuki...

– Dlaczego nie mogłeś tego znieść?

– Bo się dusiłem.

Ravi wyszedł z kuchni. Pauline usłyszała wieczorne wiadomości płynące z telewizora w salonie. Z doświadczenia wiedziała, że nie ma sensu dalej prowadzić tej rozmowy.

Poszła na górę. Ich życie stało się ostatnio jedną wielką kłótnią przerywaną tylko pracą i snem. Nieustającą kłótnią z życiem jako takim, pasożytem, który wysysał z nich całą siłę.

Myślała, że to nowa firma tak zmieniła jej męża, ale dzięki Indiom uświadomiła sobie jeszcze coś innego: Ravi w ogóle się nie zmienił, tylko jeszcze bardziej stał się sobą – oschłym, nieobecnym i niezbyt dobrym mężem. Był wolnym mężczyzną, który przez przypadek się ożenił. Może w ten sposób zachowywała się większość żonatych Hindusów, ale ona zdała sobie z tego sprawę dopiero wtedy, gdy pojechała do kraju pełnego jego sobowtórów. Małżeństwo to sprawa, którą trzeba rozstrzygnąć, zanim zaczniesz dalej żyć. Ravi po prostu nie był z nią w ogóle związany. Och, wiedziała, że musiał rozłożyć wokół siebie tarczę ochronną, by sprawnie funkcjonować w szpitalu. Dbanie o obcych ludzi z pewnością było łatwiejsze niż troska o bliskich. Problem w tym, że im bardziej się czuła zaniedbywana, tym mniej była dla niego miła. Wiedziała, że robi się coraz bardziej marudna i urażona, zaczynała nienawidzić samej siebie.

Usiadła na łóżku. Zaskrzypiały sprężyny. Tak bardzo go kiedyś pragnęła! Podniecała ją jego cudzoziemskość, ten powiew nieznanego. Dokładnie pamiętała ich pierwszą randkę. Jedli kolację we francuskiej restauracji, której teraz już dawno nie było. Jego brązowe dłonie leżały na białym obrusie, spod rozpiętego kołnierzyka koszuli wydostawały się gęste czarne włosy. Wyobrażała sobie jego brązowego penisa, teraz bezpiecznie ulokowanego w spodniach. Może dzisiaj się pocałujemy? Czy jego ślina smakuje inaczej? Czy on pachnie inaczej? Może dzisiaj obejmę nogami nagie ciało hinduskiego mężczyzny. Osłabła z pożądania, prawie nie mogła jeść.

Pomyślała, że miłość jest perwersyjna. To, co rozpala, jednocześnie prowadzi

do destrukcji. To, co się wydawało tajemnicze, teraz jest po prostu nieczytelne i mętne. Niezrozumiałe. *Nudne*.

Dzięki Indiom wszystko zrozumiała, one wyjaśniły jej, kim jest Ravi. Potrząsnęły nim i ukazały jak w kalejdoskopie – ułożył się kawałek po kawałku, ale już w innej aranżacji. Widziała go teraz o wiele wyraźniej; rozumiała nawet, dlaczego wyjechał. *Bo się dusił*. Życie w Indiach to jak przebywanie w metrze w godzinach szczytu – ci wszyscy ludzie, ten tłok i zgiełk. Musisz to zatrzymać. Jeśli tego nie zrobisz, zniszczy cię gwar rojnej i bezwładnej rozpacz. A do tego jeszcze jego rodzina; niektórych krewnych miała okazję poznać, gdy odwiedzili ich w Londynie. *Idealizujecie ten kraj*. Na początku zazdrościła mu rodziców, rodzeństwa i kuzynów. Sama pochodziła z małej rodziny, więc faktycznie ich idealizowała. Teraz jednak dostrzegała, że w ich żądaniach było coś przytłaczającego. Nic dziwnego, że Ravi w końcu zwiął.

Najstraszniejsze było jednak to, że gdy w końcu zrozumiała swojego męża, to już jej na nim nie zależało.

Na zewnątrz szalała wichura. Jesień była bardzo gwałtowna. Pauline otworzyła szafę i wyjęła z niej plastikową torbę pełną zdjęć. Wysypała je wszystkie na łóżko.

Niektóre przedstawiały Marigold: bungalow pokryty pnączami i łuszczącą się farbą. Nazywali go bungalowem, chociaż miał tylko dwa piętra. Na jednej z fotografii zobaczyła czyjaś twarz na piętrze. Kto wyglądał wtedy przez okno? Nie zauważyła. Kolejne zdjęcie przedstawiało jej ojca siedzącego na werandzie; po pochyleniu głowy odgadła, że słucha relacji z meczu krykieta. Podczas pobytu w Indiach nawet go polubiła. Okazało się, że to wcale nie takie trudne, gdy w pobliżu nie ma Ravięgo krzywiącego się na widok Normana, który każdego dnia zdawał sprawozdania ze swoich wypróżnień. Miała wrażenie, że w Marigold traktują go o wiele pobłaźliwiej niż w poprzednich domach spokojnej starości; może dlatego, że wśród personelu nie było ładnych kobiet.

A może po prostu Hindusi tolerowali osobliwy styl bycia, zwłaszcza u Brytyjczyków. W końcu już od dawna musieli ich znosić.

Pauline przeglądała zdjęcia. Jedno przedstawiało damę – zapomniała, jak jej na imię – która stała przy sztalugach i malowała obraz. Na drugim były cztery pensjonariuszki siedzące w ogrodzie. Fotografia była odrobinę prześwietlona i niewyraźna. Nie była w stanie stwierdzić, co robią; prawdę mówiąc, chyba nic nie robiły. Nie potrafiła również ich rozpoznać; te kobiety w jasnych letnich sukienkach były równie niematerialne jak duchy. Było ich wówczas tylko kilka, jako pierwsze przybyły do Marigold, ale i tak rozmyły się w jej pamięci, przyćmione życiem płynącym za murami ogrodu.

Popołudniami, kiedy ojciec drzemał, zwiedzała okolicę. Na większości zdjęć były dzieci, które spotykała na ulicach. Krzyczały i przepychały się, bo chciały, żeby je sfotografowała. Na zdjęciach uchwyciła ich uśmiechy i ręce wyciągnięte po słodycze. Ich widok roztopiał jej serce. To uczucie pozbawiało ją siły w nogach i było o wiele głębsze niż namiętność do Ravięgo, którą wiele lat temu poczuła w tamtej francuskiej restauracji. Na indyjskich ulicach przeważali chłopcy. Na kolejnym zdjęciu uciekali przed wodą tryskającą z pękniętej rury. Byli rozpaczliwie biedni, ale jakże różni od ogolonych na łyso rzezimieszków z działki na tyłach Plender Street – dzieci o twarzach mężczyzn, które tłukły boczne lusterka w samochodach. To był zupełnie inny rodzaj ubóstwa. *Bierzecie stamtąd, co chcecie, jak to Brytyjczycy.* Gdyby tylko mogła im wysłać te zdjęcia; to były prawdopodobnie jedyne fotografie, jakie im w życiu zrobiono, dowód ich pożałowania godnej egzystencji. Ale jak miała je wysłać? Nie знаła przecież ich nazwisk i adresów. Mogła najwyżej napisać: *Dwaj chłopcy, kupa śmieci za Paradise Cinema, Bangalur.*

Wiedziała, że kiedyś tam wróci, i to nie tylko z powodu ojca. Odłożyła fotografie i zeszła na dół.

Ravi oglądał jakiś dramat policyjny. Trochę ją to zaskoczyło, bo nigdy nie

oglądał takich filmów. Po ruchu głowy odgadła, że usłyszał, jak weszła. Pomyślała, że jest tak samo nieszczęśliwy jak ona.

– Pojedźmy tam na święta – powiedziała. – Proszę, Ravi.

Powiedz „tak” albo pojedę sama i już nie wrócę.

– Co słyhać u twojej czarującej córki?

– Wszystko w porządku – odparł Norman. – W idealnym porządku. – Pił drinka w towarzystwie Sonny’ego w Gymkhana Club. – Wczoraj dzwoniła, że przyjedzie na święta.

– Przepraszam na chwilę! – Sonny zerwał się z miejsca i pobiegł za mężczyzną, który przechodził przez bar.

Norman widział, jak żywo gestykułuje. Ten facet nie mógł usiedzieć w miejscu. Już dwa razy przerywali rozmowę, bo musiał odebrać telefon.

Sonny wrócił do stolika.

– Proszę, mów dalej.

– Powinieneś się trochę uspokoić, stary – powiedział Norman. – Pamiętaj, że to ja powinienem dostać zawału, a nie ty.

– A co mam zrobić? Nikomu nie mogę ufać, wszystko muszę robić sam. Ludzie, z którymi robię interesy, oszukują mnie i kręcą za moimi plecami...

Sonny gadał dalej, a Norman się zastanawiał, kiedy mógłby poruszyć temat, który zamierzał z nim omówić. Sprawa była bardzo delikatna. Na ścianie wisiała głowa tygrysa, który patrzył przed siebie szklanym wzrokiem i unikał spojrzenia Normana.

– Jakież problemy w hotelu? Musisz mi o wszystkim mówić, Normanie, mój stary druhu. – W oczach Sonny’ego pojawił się błysk. – Jesteś moim szpiegiem.

– Wszystkie mają obsesję na punkcie tego cholernego doktora. Musiałbyś słyszeć, jak do niego ćwierkają. Jakby słońce świeciło mu z dupy.

– Kobiety! – Sonny wzruszył ramionami.

Norman odetchnął głęboko.

– Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać.

– Proszę! Zaczekaj jeszcze chwilę!

Sonny zerwał się na równe nogi i rzucił na grupę mężczyzn, którzy właśnie wychodzili z baru. Norman opadł na krzesło. Gymkhana Club mieścił się w starym przestronnym budynku pełnym palm w doniczkach i martwych zwierząt. Zbudowano go rzecz jasna dla Brytyjczyków, ale teraz nie omijali go również miejscowi. Norman był tutaj kilka razy jako gość Sonny’ego; taki facet jak on mógł się dostać do klubu tylko w ten sposób. W holu wisiały fotografie byłych prezesów, a w ogromnej sali bilardowej lista członków klubu wygrawerowana złotymi literami. Kelnerki z kokardami przemieszczały się płynnie od stolika do stolika, serwując drinki. Norman znał takie miejsca ze swoich licznych podróży w tropiki. Kiedyś uważał, że można w nich znaleźć pocieszenie i spokój, ale teraz był starszy i w takim miejscu czuł się, jakby już nie żył.

Sonny wrócił na miejsce, a Norman zapalił papierosa.

– Jesteś facetem obytym w świecie, stary – powiedział. I prawie należysz do rodziny. Ta myśl zawsze wywoływała u niego wstrząs . – Pewnie trochę się kręcisz po okolicy, co? – Wiedział, że Sonny ma żonę, chociaż nigdy nie słyszał, żeby o niej mówił. – Chodzi o to, że facet czasem trochę tęskni za towarzystwem kobiet, a słyszałem, że kobiety w Bangalurze potrafią być bardzo, bardzo uprzejme. Jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Sonny zaczął się niespokojnie kręcić i rozglądać po sali. Norman się nie poddawał.

– Zastanawiam się, czy mógłbyś mi wskazać odpowiedni kierunek. Wiesz, wprowadzić gdzieś, przedstawić. Coś w tym rodzaju. Bardzo dyskretnie.

– Co? – zapytał Sonny.

– Szukam miłej, doświadczonej kobiety...

– Ale przecież jesteś otoczony kobietami – zachichotał Sonny. – Możesz przeskakiwać z łóżka do łóżka i co noc mieć inną.

Norman odstawił szklanę.

– Chyba żartujesz. One mają już swoje lata.

– Ty też, staruszk.

Norman poprawił się na krześle. Och, ten gość naprawdę nie musiał tego mówić. Czy był kompletnie pozbawiony taktu?

Sonny chciał już wyjść, więc poprosił o rachunek. Norman wziął riksę i pojechał do hotelu. Pojazd podskakiwał na wybojach, wprawiając w ruch dzwoneczki i maskotki zawieszane na sznurkach. Norman skulił się pod plastikowym baldachimem. Rozmowa z Sonnym go upokorzyła. Czy on nie rozumiał, że gdy mężczyzna osiągnie pewien wiek, może mieć problemy intymnej natury? Operacja prostaty wiele nie pomogła, szczerze mówiąc, już od jakiegoś czasu miał kłopoty z hydrauliką. Tylko profesjonalistka mogłaby mu pomóc, jak to już nieraz bywało w przeszłości. Kobieta musiała być oczywiście Nigeryjką, Tajką lub Malajką. Tylko inny kolor skóry mógł sprawić, by jego magiczny talizman znowu zadziałał. Takie kobiety wiedziały, jak zadowolić mężczyznę, bo to było częścią ich kultury.

Minęli Cubbon Park, riksza dalej podskakiwała na wybojach. Kiedy skręcali na rondzie, Norman musiał się złapać poręczy. Na środku stał pomnik królowej Wiktorii upstrzony ptasimi odchodami.

Z takimi kobietami nie było wiele zachodu, mężczyzna nie musiał prowadzić zenujących dyskusji ani spełniać innych wygórowanych żądań.

I przede wszystkim takie kobiety się z niego nie śmiały.

Sonny był wściekły. Jeszcze raz spróbował wybrać numer, ale naturalnie nikt nie

odebrał.

Pochylił się i zagadnął do kierowcy.

– Zgadnij, kogo dzisiaj spotkałem. Tego łajdaka Freddiego. Jestem pewien, że on wie, dokąd zwiął ten skurwysyn PK. Przyglądał mi się cholernie podejrzliwie.

Jechali wzdłuż MG Road, lawirując w korku ulicznym. Jatan Singh był doświadczonym kierowcą; podobnie jak wielu sikhów darzył wszelkie maszyny głębokim uczuciem. Pracował dla Sonny'ego od dwudziestu lat i znał więcej jego sekretów niż ktokolwiek w Bangalurze.

– Myśli, że przede mną ucieknie, *haraami*² – powiedział Sonny. – Ale ja go znajdę, Jatanji, znajdę i żywcem usmażę.

PK, dawny wspólnik Sonny'ego, unikał go od trzech tygodni. W tym czasie był jednak widziany w kilku miejscach. Szwagier Sonny'ego spotkał go na przyjęciu, a ktoś inny widział go na placu budowy poza Defence Colony, gdzie stawał kompleks biurowy. Jednak Sonny podejrzewał, że PK poleciał do Stanów lub Londynu, bo tam prowadził swoje interesy. PK rzecz jasna był oszustem. Dzięki sprytnym łapówkom jego firma bez trudu zdobyła kontrakty na kilka ważnych projektów, w tym na budowę budynku mieszkalnego na działce przy Airport Road, którą kiedyś kupił Sonny. To wszystko było jeszcze do przełknięcia. Problem polegał na tym, że PK zatrudnił jako podwykonawcę firmę budowlaną swojego brata, która fałszowała faktury i używała materiałów gorszej jakości.

– Rozerwę go na strzępy – mruknął Sonny, gdy samochód pędził MG Road. Trzy tygodnie temu wykończony do połowy budynek się zawalił. Kiedy śledztwo wykazało, że w cemencie było za dużo piasku, ten *chootiya*³ rozpląnął się we mgle. – Wciśnij gaz, Jatanji.

Zadzwoił telefon. W słuchawce zabrzmiał znajomy głos.

– Gdzie jesteś, *mera chota beta*⁴? Jesteś tak zajęty, że zapomniałeś o swojej

starej matce, która czeka na ciebie od godziny?

*Hai Raba*⁵! Zupełnie zapomniał, że miał ją zawieźć do optyka.

– Cóż, na pewno masz ważniejsze sprawy na głowie – westchnęła matka. – Powiem Anandowi, żeby wezwał taksówkę.

– Nie, mammo...

– Mogę pójść sama, nogi mnie zanosą.

– Zaczekaj!

– Dzisiaj nie bolą mnie aż tak bardzo. Powiem panu Desai, że miałeś coś innego do roboty.

– Już jadę. Daj mi dziesięć minut! – Sonny wyłączył telefon i zwrócił się do Jatana: – Zawracaj! *Jaldi!*

Opadł na siedzenie. Jakby tego było mało, zapomniał jeszcze odebrać *gulab jamus*⁶ z jej ulubionego sklepu – Darpan's Electric Bakery. Obiecał jej to rano, gdy wychodził z domu.

Poczuł pulsowanie w skroniach. Wyobraził sobie matkę czekającą w progu – ogromną i buchającą zniecierpliwieniem. Gdyby tylko jego żona zdołała ją uspokoić. Ale pewnie tego nie zrobi, bo od tygodnia ze sobą nie rozmawiali. Sonny nie mógł sobie przypomnieć, o co poszło tym razem i, szczerze mówiąc, niewiele go to obchodziło. Bez wątpienia miało to jakiś związek z urządzeniem kuchni.

Po przedłużającym się i bardzo aktywnym okresie kawalerstwa Sonny się ożenił z kobietą, która – według jego przypuszczeń – miała nie sprawiać kłopotów. Była niezbyt ładna, skromna i wdzięczna, że w ogóle znalazła męża. Ale ta jej pozorna ustępliwość skrywała stalową determinację, by postępować według własnego widzimisię i zaspokajać swoje zachcianki. Zazwyczaj osiągała to, udając chorobę, i była w tej technice równie dobra jak jego matka. *Kobiety*. Czy ktoś jest w stanie je zrozumieć? Domyślał się, że Norman Purse jest jego towarzyszem niedoli. Ale niech mnie szlag, jeśli zostanę alfonssem tego faceta.

A co by było, gdyby jakieś plotki dotarły do córki Normana albo Raviego? Sonny znalazłby się w trudnej sytuacji. Poza tym gość był za stary na takie figle. Powinien się cieszyć spokojną emeryturą w tym swoim kurniku.

Mercedes jechał wolno Brigade Road. Ulica była całkowicie zakorkowana. Skrzyżowanie blokowały dwa autobusy i żaden nie chciał zjechać z drogi. Ulicą biegli jacyś mężczyźni, żeby się przyłączyć do awantury. Sonny wyjrzał przez okno i wrzasnął, żeby zjeżdżali z tej cholernej drogi.

Potem osunął się gwałtownie na siedzenie i spojrzał na Karishma Plaza. Ten budynek był jego pierwszą transakcją związaną z nieruchomościami i w chwili synowskiego oddania nazwał go imieniem matki. Ale minęło już dwadzieścia lat i okna zaczynały się pokrywać plamami.

Po przeciwnej stronie ulicy wznosił się porośnięty bugenwillami mur hotelu Marigold, a za nim rosły palmy. Sonny pomyślał o ocienionym ogrodzie i lokatorach, którzy przeżywali jesień życia w jego bezpiecznych zakątkach. W Anglii ludzie pozbywali się rodziców, umieszczając ich właśnie w takich miejscach, a potem zajmowali się własnymi sprawami. To było jak najbardziej do zaakceptowania. Sonny wyobraził sobie, że on też tak zrobił. Poczł się bez troski i wolny, jakby ktoś przeciął jego więzy i pozwolił mu wzlecieć do nieba. Samochody ruszyły, rycząc klaksonami. Pomyślał, jak wściekłyby się jego matka, gdyby zaproponował jej coś takiego. To byłaby nie tylko wściekłość, ale też kompletny brak zrozumienia. Jednak przez chwilę wydawało mu się, że to doskonały pomysł. Mógłby ją odwiedzać raz w tygodniu i przywozić pączki. I nie bałby się wracać do własnego domu.

Bo teraz naprawdę się bał. Byli coraz bliżej, a jego ogarniały duszności i coraz większe poczucie winy, które rosło z każdą minutą. Człł się jak mały chłopiec, on – pięćdziesięciodwuletni mężczyzna.

Nagle uświadomił sobie, że zawsze się tak czuł. Bez względu na to, jak bardzo był zajęty, przemierzając kulę ziemską w tę i z powrotem, w głębi duszy

zawsze pozostawał synem. Och, może wygląda jak mężczyzna, ale pozory mylą.
W końcu to są Indie.

1 Krowa (ang.).

2 Sukinsyn, łajdak (hindi).

3 Idiota, palant, alfons, dupek (hindi).

4 Mój niedobry synu (hindi).

5 O Boże! (hindi).

6 Ciasto przypominające pączki.

6

Człowiek, który poszukuje swojego szczęścia, powinien wyciągnąć tkwiące w nim ostrze – strzałę smutku, pragnień i rozpacz.

Sutta Nipata

- Cześć, mamó. Jestem tutaj.
- Gdzie?
- Tutaj, w Indiach.
- Co?
- Jestem w Indiach!
- Ale gdzie?
- W Uttar Pradeś.
- Uttar co?
- Jestem w Uttar Pradeś!
- Jesteś *tutaj*?
- W aśramie.
- Co takiego?
- Jestem w aśramie! Przyjadę do ciebie na święta.
- Co?
- Przyjadę do ciebie na Gwiazdkę!
- A ja właśnie pakuję prezent dla ciebie.
- Co?

– Chciałam ci go wysłać.

– No to będziesz mogła mi go dać. A poza tym tylko tyle masz mi do powiedzenia?

– Co?

– Mówiłam, że...

– Nie słyszę!

– Myślałam, że się ucieszysz.

– Co?

– Och, nieważne. Zadzwoń do ciebie przed wyjazdem.

Połączenie zostało przerwane, więc Evelyn odłożyła słuchawkę i opadła na łóżko. Naturalnie ucieszyła się, że córka do niej przyjedzie, ale jednocześnie poczuła się wyczerpana. Zdążyła już zapomnieć o zmęczeniu, jakie wiązało się z Theresą. Dlaczego nie powiedziała jej o tym wcześniej? Evelyn wiedziała, że córka kiedyś ją odwiedzi, ale dlaczego jej wcześniej nie uprzedziła? Rzecz jasna znała odpowiedź. Theresa nie funkcjonowała w taki sposób. Poczła gwałtowne bicie serca. Czy córka ma zamiar się tu zatrzymać? Z tego, co wiedziała, w hotelu nie było już miejsc. O Boże, Theresa chyba nie będzie spała w jej pokoju? Evelyn miała podwójne łóżko. Może powinna się go pozbyć i udawać, że nigdy go tutaj nie było.

Czy Theresa przyjeżdża, by załatwić sprawy na linii matka–córka, czy może chce znaleźć duchową pociechę? Evelyn domyślała się, jaka jest odpowiedź. Już od wielu lat wszyscy wiedzieli, że Indie dają Theresie to, czego ona sama nie była w stanie sobie zapewnić.

Matko święta, przecież Christopher przyjedzie w tym samym czasie. Czy Theresa o tym wie? Christopher miał przyjechać z rodziną tuż przed Bożym Narodzeniem, ale na szczęście zatrzymają się w hotelu Taj Balmoral. Boże kochany. Christopher. Theresa. *Marcia*.

Musi zadzwonić do syna i go ostrzec. Nie, oczywiście, że nie ostrzec. Tylko

przekazać wiadomość, że przyjeżdża siostra.

Wielkie nieba! Gdyby tylko potrafiła się modlić! Niestety, była bezwzględnie przekonana, że modlitwy nie działają. Gdyby była Muriel, mogłaby zawierzyć jakiemuś bogu. Może Krysznie, temu z niebieską twarzą, który teraz był jej ulubieńcem; w pokoju Muriel stało nawet jego gipsowe popiersie. A kiedyś złapano ją, jak wykradała biszkopty z kredensu, by ofiarować je swemu bóstwu. Ale z drugiej strony Hindusi wierzyli, że Bóg jest wszędzie. Modlili się do plakatów filmowych i tego typu rzeczy. Po czym dekorowali je kwiatami i po prostu w nie wierzyli.

Evelyn spojrzała na przedmioty, które przywiozła z Anglii – zdjęcia w ramkach, srebrną szczotkę do włosów i akwarelę przedstawiającą West Wittering. Nie mogła obstawić ich biszkoptami, nie była aż tak szalona. W każdym razie to raczej nie działało, bo syn Muriel nadal się nie objawił. Evelyn zapytała ją wczoraj, czy ma jakieś wiadomości od sąsiadów z Chigwell, którzy byli jej jedynym kontaktem. „Nic a nic”, odpowiedziała Muriel. Skoro syn nie wiedział, że matka jest w Indiach, jak, do diabła, mógł ją odnaleźć? Z boską interwencją lub bez niej.

Biedna Muriel, pomyślała Evelyn. Ja przynajmniej mam swoje dzieci.

Ta myśl nie podniosła jej na duchu, chociaż miała taką nadzieję. Spojrzała na Buddę z kamienia mydłanego, którego kupiła Theresie na Gwiazdkę. We wtorek byli w Ośrodku Rzemiosła Najlepszego Gatunku na Mahatma Gandhi Road. Zarządzał nim czarujący dżentelmen, który zaoferował okazyjne ceny znajomym swojego przyjaciela Sonny'ego. Zbliżało się Boże Narodzenie i wszyscy zachowywali się trochę irracjonalnie, kupując mniej lub bardziej przydatne przedmioty z drewna sandałowego i mosiądzu. Zakupy trwały w nieskończoność – jak to zwykle w takich ośrodkach bywa – bo sprzedawca musiał wypełnić formularz w trzech egzemplarzach i dać go do podstemplowania człowiekowi za biurkiem. Ale dzięki temu Evelyn mogła teraz osobiście podarować Buddę córce.

Podniosła słuchawkę. W Nowym Jorku był ranek, więc mogła jeszcze złapać Christophera, zanim wyjdzie do pracy.

Telefon był głuchy.

Wstała i zeszła do holu. Był wczesny wieczór: godzina świętej krowy. Na półpiętrze młody zamiatacz kuczał przy plastikowym wiadrze. Zanurzył szmatę w wodzie, wycisnął ją i zaczął wycierać podłogę, kręcąc pośladkami. Miał nagi tors, więc widać było jego szczupłe łopatki i smukłą szyję. Evelyn poczuła przypływ czułości – czyste, macierzyńskie uczucie, już dawno temu utracone. Chłopak uśmiechnął się do niej, a jego uśmiech był tak olśniewający, że stopił jej serce. To zabawne – był „niedotykalny”, a ona tak bardzo pragnęła go dotknąć, utulić w ramionach i pogłaskać jego cudowną skórę. Był bardzo ciemny. Evelyn uświadomiła sobie, że Hindusi są tak samo wielokolorowi jak Brytyjczycy. Brunatni, oliwkowi, ciemnobrązowi – tyle różnych barw, ile plam było na purpurowym nosie Normana, ciemnej opaleniznie Madge i jej własnej papierowej bladości. Zamiatacz przesunął się do rogu, żeby ustąpić jej miejsca. Uśmiechnął się, pokazując olśniewająco białe zęby. Promieniał życzliwością i przychodziło mu to bez trudu. Jakże łatwo byłoby go kochać: żadnego poczucia winy, żadnych wzajemnych oskarżeń.

Evelyn zeszła do holu, ale nikogo tam nie zastała.

– Czy memsahib napije się sherry?

Evelyn podskoczyła. To był Ayub Khan, starszy posługacz o nieszczęśliwym wyglądzie i twarzy pokrytej bliznami po trądziku lub ospie. W stosunku do niego też poczuła przypływ ciepłych uczuć. Wyglądał żałośnie, ale chciała go dotknąć i sprawić, żeby poczuł się lepiej. Chciała dotykać ich wszystkich.

– Nie, dziękuję, Ayubie.

Mój Boże! Evelyn pomyślała, że ten kraj wpływa na nią w zabawny sposób. Weź się w garść... Łatwiej było oczywiście żywić ciepłe uczucia wobec obcych ludzi wiodących tak godne pożałowania życie. I z pewnością łatwiej byłoby

darzyć miłością ich, a nie te ogromnie skomplikowane istoty, którym dała życie, a których bliski przyjazd przyprawiał ją o taki niepokój.

Miejsce za kontuarem było puste.

– Czy jest tam pan Cowasjee? – zapytała Evelyn. – Telefon się chyba zepsuł.

Ayub Khan pokiwał głową. Kalendarz wiszący na ścianie przedstawiał małe kotki na tle listopada. Evelyn miała co prawda wrażenie, że już zaczął się grudzień, ale w tym kraju człowiek tracił poczucie czasu. Za kilka tygodni przyjedzie jej syn. Musi mu przekazać najnowszą wiadomość, Christopher zawsze lubił być na wszystko przygotowany.

Evelyn spojrzała na szklany stolik stojący przy sofie. Leżały na nim czasopisma – „Reader’s Digest” i „Newsweek” – oraz magazyn lotniczy Air France, nieruszone przez nikogo, od kiedy przyjechała. Obok w popielniczce poniewierał się niedopałek papierosa Madge poplamiony czerwoną szminką. Też leżał tam od wielu dni. Evelyn nie mogła sobie wyobrazić, by ktokolwiek mógł mieć wystarczająco dużo energii, żeby go stamtąd usunąć.

Z zadumy wytrącił ją odgłos kroków. Do holu weszli dziarsko państwo Ainslie, którzy właśnie wrócili z jednej ze swoich wypraw.

– Trudno uwierzyć, że niedługo będą święta – odezwała się wesoło Evelyn. – Takie piękne słońce.

– Mamy kasetę z kolędami King’s College – powiedziała Jean. – Zawsze ich słuchamy, bez względu na to, gdzie jesteśmy.

Evelyn weszła za kontuar, zdjęła kalendarz z haczyka i przewróciła kartkę. Z każdym dniem coraz bardziej czuli się współwłaścicielami hotelu i traktowali go jak dom. Prawdę mówiąc, nie było innego wyjścia, bo prawdziwy właściciel stawał się coraz mniej widoczny. Na zdjęciu z grudniem były małe cocker spaniele.

– Moje dzieci przyjeżdżają na Boże Narodzenie – powiedziała Evelyn. Poczwała nieśmiały rumieniec triumfu – przyjazdy dzieci były przedmiotem

potajemnej rywalizacji między mieszkańcami hotelu.

– To cudownie! – zawołała Jean. – Adam też chciał przyjechać, ale powiedzieliśmy mu, żeby tego nie robił, bo jesteśmy całkiem szczęśliwi. Poza tym jest bardzo zajęty, kręci teraz serial dla BBC.

Evelyn poczuła się nagle bardzo przybita, jakby ktoś odebrał jej całą pewność siebie. W słowach Jean kryła się aluzja, iż życie dzieci Evelyn jest tak nieudane, że nie mają nic lepszego do roboty. O Boże, czy to prawda?

Douglas spojrział na zegarek.

– Słońce już wysoko – powiedział. – Dziewczyny, macie ochotę na jednego głębszego?

Evelyn odmówiła. Wyjaśniła, że musi zadzwonić, ale telefon jest niestety nieczynny. Może z powodu wczorajszej przerwy w dostawie prądu. To, że ten kraj w ogóle funkcjonował, zakrawało na cud, nie wspominając już o tym, iż rozwijał przemysł technologiczny, czego dowodem były lśniące w słońcu biurowce wzbijające się w niebo milę od hotelu.

– A gdzie jest Mino? – zapytał Douglas.

– Myślę, że toczy kolejną wojnę domową – odparła cicho Evelyn. Wcześniej z aneksu dobiegały odgłosy awantury. – To chyba jakaś klątwa. Muszę zadzwonić do syna.

I wtedy przypomniała sobie, co kiedyś usłyszała. Po drugiej stronie ulicy było biuro obsługi klienta.

Państwo Ainslie siedzieli w pokoju i popijali whisky z Olive Cooke. Tak wypadło taniej niż w hotelowym barze, więc Jean, która wierzyła w oszczędzanie, znalazła sklep z alkoholami na Richmond Circus i kupiła butelkę szkockiej. W pokoju czuli się bezpiecznie i mogli poplotkować.

– Zgadnij, kogo widzieliśmy w mieście – powiedziała Jean. – Dorothy.

– Na jednym z tych jej spacerów? – zapytała Olive.

– Wychodziliśmy właśnie z banku, wiesz, z Grindlays Bank na Ladbrough Street. Kręciła się tam i wyglądała dość dziwnie.

– Biedactwo – westchnęła Olive.

Wszyscy akceptowali fakt, że Dorothy Miller, pani z BBC, zachowuje się dość dziwnie. Uznali ją za dziwną, bo wychodziła na samotne spacerki, długo nie wracała, czasem nawet opuszczała posiłki i nigdy nie mówiła, gdzie była. *Po prostu spacerowałam*, odpowiadała. Razem ze swoim artretyzmem.

– Poszliśmy za nią – ciągnęła Jean. – Zatrzymała się przed Mevali Tiffin Rooms i sterczała tam całe wieki, opierając się na lasce.

– Może miała ochotę na filiżankę kawy – zauważył Douglas.

– Nie, ona jest po prostu jakaś dziwna. – Jean napełniła szklankę Olive. Wczoraj spotkaliśmy ją na starym mieście. Jedliśmy tam lunch, zwykłe *thali*¹, ale całkiem dobre. Często kupujemy jedzenie na ulicy, prawda, Doug? To całkowicie bezpieczne. – Jean ściszyła głos. – Jestem pewna, że to wczesne stadium alzheimera.

Mieszkańcy hotelu Marigold, którzy cierpieli na różne dolegliwości związane z wiekiem, byli szczególnie wyczuleni na oznaki bardziej zaawansowanego zniedołężnienia. I doznawali uczucia wstydlivego triumfu, gdy udało im się je dostrzec. To, co opowiadała Stella o rymowankach, w przypadku Dorothy było znakomitym dowodem jej szaleństwa.

– Oni tak się właśnie zachowują – powiedziała Jean. – Nasza przyjaciółka Amy cierpiała na demencję, prawda, Doug? Wychodziła w nocy na ulicę w samej koszuli. W końcu musieli ją zamknąć. Bez przerwy oglądała *ET* na wideo. *ET go home*. To był jej ulubiony fragment.

– Bo właśnie tam próbują się dostać. Do domu – powiedziała Olive.

– Do domu?

Olive pokiwała głową.

- Do domu, który utracili. Może do dzieciństwa, kto wie?
- Zabawne, że to miejsce nazywają domem – zauważyła Jean.
- To nie jest dom, tylko hotel – powiedział ostro Douglas i dopił whisky. – Myślę, że nie powinniśmy mówić o niej w ten sposób.

Douglas lubił Dorothy Miller, chociaż reszta towarzystwa za nią nie przepadała. Częściowo dlatego, że później przyjechała i była outsiderką. Przyjaźnie już zostały nawiązane, a struktury ustalone. Nie byłoby z tym jednak żadnego problemu, gdyby tylko zechciała do kogoś się przyłączyć. Ale ona zachowywała rezerwę i była nieprzystępna. Jadła samotnie, trzymając przed sobą książkę, i nie chciała grać w brydża. Byli też inni samotnicy, na przykład Graham Turner, ale on był smutnym starym kawalerem, nad którym wszyscy się litowali. Natomiast nikt nie litował się nad Dorothy.

A Douglas ją podziwiał. Może trochę dlatego, że pomagała w karierze jego synowi Adamowi. Było w tym jednak coś jeszcze. Otoczony trajkoczącymi kobietami odczuwał prawdziwą ulgę, gdy spotkał kogoś, kto nie lubił czczej gadaniny i nie był powierzchowny. Lubiał pocziwą twarz Dorothy i jej kwadratowe dłonie. Mieszkała w sąsiednim pokoju, więc gdy budził się w nocy, słyszał cichy szmer radia. Przecież ktoś zramolały i zbikowany nie słuchałby wiadomości ze świata.

Douglas spojrział na żonę. Schodziła jej skóra z nosa... Dwa tygodnie wcześniej zawarto umowę z hotelem Meridian, betonowym gmaszyskiem, które wyrosło w pobliżu. Dzięki tej umowie mieszkańcy Marigold za symboliczną opłatą mogli korzystać z basenu. Niektórzy chodzili więc tam popływać i się poopalać, co w przypadku Jean okazało się niemądrą decyzją. Nie tylko się spiekła, ale też dostała okropnej wysypki. Jednak Douglas nie zdołał jej od tego odwieść, bo lubiła sączyć koktajle i popisywać się swoim niemieckim przed załogami samolotów.

Odwrócił wzrok. Nagle ogarnęło go tak przemożne uczucie, że prawie nie

mógł oddychać. Nie myśl o tym, powiedział do siebie. Nawet o tym nie myśl.

Zapadła ciemność. Evelyn przystanęła obok straganu sprzedawcy *paan*. W świetle maszynki spirytusowej połyskiwała sterta liści. Sprzedawca miał deskę do krojenia i małe dzbanki z przecierem, które wyglądały jak słoiczki z klejem. Madge, która zawsze była ze wszystkim na bieżąco, próbowała żuć *paan*, ale zrezygnowała, bo drobiny orzechów wchodziły jej pod mostek.

Za straganami wznosił się odrapany betonowy biurowiec. Nad wejściem widniał napis „Karishma Plaza”, a w oknach paliło się światło. Biuro obsługi klienta było chyba otwarte przez całą noc; podczas swoich nocnych przechadzek po ogrodzie Evelyn zawsze widziała tam jasne okna.

– Madam, chce pani *santara*? – Sprzedawca owoców wyciągnął w jej stronę dwie pomarańcze, trzymał je w dłoniach, jakby chciał nimi żonglować.

Evelyn pokręciła głową, przekroczyła czyjeś okryte ciało i skierowała się do budynku. W holu za kontuarem siedział mężczyzna, więc zapytała o biuro obsługi klienta. Wskazał na górę.

Weszła po schodach, otworzyła wahadłowe drzwi i znalazła się w wielkim biurze poprzedzielanym ściankami działowymi tworzącymi małe kabiny. W każdej kabinie siedział operator ze słuchawkami i mikrofonem. Było ich razem chyba z pięćdziesięciu. I wszyscy mówili jednocześnie.

Evelyn ścisnęła w dłoni kartkę. Miała na niej zapisany nowojorski numer Christophera. Teraz musiała już wszystko zapisywać. Co ciekawe, jedyny numer, jaki pamiętała, należał do fachowca z Chichester.

Minęła minuta i nikt nie zwrócił na nią uwagi, wszyscy byli bardzo zajęci. Evelyn była odrobinę zdziwiona. Mgliście spodziewała się jakiejś lady i klientów czekających na swoją kolej, by skorzystać z telefonu, a przynajmniej czegoś w tym rodzaju.

A potem zauważyła coś ciekawego. Do każdej kabiny przyczepiono kartkę

z nazwiskiem. Mogła przeczytać tylko te, które były najbliżej: Sally Spears, Michael Parker, Mary Johnson. Ale ludzie siedzący w kabinach byli Hindusami, młodymi kobietami i mężczyznami w dżinsach, lecz zdecydowanie Hindusami.

Evelyn zaczęła się przysłuchiwać dziewczynie siedzącej w najbliższej kabinie.

– Dzień dobry – powiedziała dziewczyna. – Mówi Sally Spears. Czy mogę zająć panu chwilę?

Dzień dobry? Przecież była już siódma wieczór. Evelyn zakreśliło się w głowie. Chyba naprawdę wszystko się jej pomieszało. Nic jej nie wychodziło, a wszystko przez to, że Hugh umarł. Przedtem świetnie sobie radziła, a po śmierci męża poczuła się jak Alicja, która przeszła na drugą stronę lustra i znalazła się w świecie, gdzie nic nie miało już sensu.

– Cześć, szuka pani kogoś? – zapytała młoda kobieta i zdjęła słuchawki.

– Chcę zadzwonić do Nowego Jorku – powiedziała Evelyn.

Dziewczyna zmarszczyła brwi. Na ścianie wisiał afisz z napisem: „Nie musisz być szalony, żeby tu pracować, ale to pomaga”.

– Chyba trafiłam w nieodpowiednie miejsce – stwierdziła Evelyn.

– To biuro obsługi klienta – powiedziała dziewczyna. – Nie może pani stąd zadzwonić.

– A czy to nie jest... to znaczy...

– *Ja* mogę dzwonić, ciociu, a ty nie.

Sally wyjaśniła, że ona i jej koledzy dzwonią do firm w Anglii i sprzedają im przez telefon różne towary, głównie polisy na życie i ubezpieczenia od kradzieży.

– To telemarketing – powiedziała. – Pracujemy w nocy z powodu różnicy czasu.

– Mój Boże!

– Szybko! – Sally wciągnęła Evelyn do kabiny. – Szef patrzy, to stary kozioł. – Posadziła Evelyn na krzesło obrotowym i przykucnęła obok. –

Opowiadają nam różne rzeczy o Anglii, ale ja nigdy tam nie byłam. A bardzo chciałabym pojechać.

– Jestem pewna, że kiedyś ci się uda.

– Niech pani mi pomoże! – Sally chwyciła Evelyn za nadgarstek. – Proszę mi opowiedzieć o Anglii.

– Cóż, tam jest zupełnie inaczej niż tu. Dużo chłodniej...

– Chodzi o to, że niektórzy wyczuwają pismo nosem.

– Dlaczego?

– Ponieważ teoretycznie dzwoniemy z Anglii i nie wolno nam się wygadać, że jesteśmy w Bangalurze. Dlatego mamy angielskie nazwiska. Naprawdę mam na imię Surinda.

– Bardzo ładne imię.

– Musimy udawać, że jesteśmy Anglikami. Przychodzi do nas nauczyciel i uczymy się brytyjskiego akcentu. – Dziewczyna ściszyła głos. – Ciociu, opowiedz mi o Enfield.

– O Enfield?

– Niby stamtąd pochodzimy.

Evelyn próbowała zebrać myśli.

– Enfield. Zastanówmy się... – Usiłowała przypomnieć sobie, czy kiedykolwiek tam była. Surinda patrzyła na nią z otwartymi ustami. Była mała i pulchna, ale bardzo ładna. Nosiła koszulkę z napisem FCUK. – Już sobie przypomniałam – powiedziała Evelyn. – Byłam kiedyś w Enfield na wieczorku tanecznym... – I nagle wszystko stało się jasne. Czerwcowy dzień, tak, to na pewno był czerwiec. Miała na sobie sukienkę z białym kołnierzykiem i małymi czerwonymi różyczkami. – To było w hotelu Windsor. Poszłam tam ze swoją przyjaciółką Annabel, która mieszkała w pobliżu w wielkim domu z mnóstwem psów. Bardzo jej zazdrościłam, bo ona ciągle gdzieś wychodziła, a ja nie...

– Wychodziła?

– I tańczyłam z Teddym Ramsbottomem, który walczył na wojnie i był strasznie dzielny. Nadal miał w nodze odłamek szrapnela, ale tańczył przepięknie... – Evelyn zamilkła i pogрузzyła się we wspomnieniach. – Przesiedzieliśmy cały wieczór w ogrodzie i zorientowałam się, że kuleje, dopiero gdy poszedł do samochodu. To było auto jego ojca, austin siódemka. I wtedy widziałam go po raz ostatni.

Zapadła cisza. Zza ścianki działowej dobiegał czyjś głos:

– Panie Bishop, to niezwykle przystępna cena. Poza tym, jeśli zapłaci pan w ciągu czternastu dni, możemy zaoferować zniżkę.

– Czy Enfield leży koło Liverpoolu? – zapytała Surinda.

– Nie, kochanie. Koło Londynu.

– Och, a ja myślałam, że stamtąd pochodzą Bitelsi.

– Nie, tylko Annabel, ale ona w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim wyjechała do Australii.

Evelyn szybko ruszyła w drogę powrotną. Obiad na pewno już podano. Ruch uliczny dudnił kakofonią dźwięków, ale gdy przeszła przez bramę, wszystko ucichło, jakby hotel tworzył własną strefę ciszy.

W holu spotkała Madge i Sonny'ego. Oboje byli elegancko ubrani. Sonny miał na sobie jedwabną kremową tunikę, odrobinę przyciasną.

– Cześć i pa – zawołała Madge ubrana w wyszywaną cekinami bluzkę, która eksponowała jej opalony pomarszczony dekolt. – Idziemy na wesele. Sonny ma mnie przedstawić jednemu maharadży, który ma własny samolot.

– Słyszałem, że pani dzieci przyjeżdżają na święta! – powiedział Sonny. – Pewien mały ptaszek mi powiedział. A więc miałem rację – zachichotał. – Połączenie szybsze niż pociąg i prawie tak samo tanie!

– Właśnie byłam na bardzo ciekawym spotkaniu po drugiej stronie ulicy – odezwała się Evelyn i opowiedziała o biurze obsługi klienta.

– Ach, kierownik tego biura to mój dobry kumpel – wyjaśnił Sonny. – To bardzo popularne miejsce pracy dla absolwentów. Wszyscy są młodzi i pełni energii. Widzi pani, pani Greenslade, to jedyne miejsce, gdzie chłopcy i dziewczęta mogą się spotkać, nie czując na karku oddechu swych krewnych.

– Oni chcą się dowiedzieć czegoś o Anglii – powiedziała Evelyn.

Sonny przypatrywał się jej w milczeniu. Z jadalni dobiegał cichy brzęk talerzy.

– Chodź, Sonny – ponagliła Madge. – Czekam na ciebie już od dwóch godzin. Czy ktoś robi tutaj cokolwiek na czas?

Sonny nadal nie spuszczał wzroku z Evelyn.

– Pani Greenslade, jest pani genialna – powiedział i uklonił się nisko. – Proszę pozwolić, że ucałuję pani stopy.

Po obiedzie Evelyn poszła do ogrodu. Chociaż raz *mali* podlał go gruntownie, więc poczuła zapach mokrej trawy, ziemia oddychała z ulgą. Nadeszła zima i pogoda była wręcz doskonała; chłodne noce idealne dla sercowców i dni tak wspaniałe, jak tamto czerwcowe popołudnie, gdy siedziała z Teddym pod klematisem. Słyszała dobiegający z oddali głos Peggy Lee. Muzyka płynęła z otwartego okna Grahama Turnera, który zajmował jeden z mniejszych i tańszych pokoi na tyłach hotelu. *It was just one of those things...*

Evelyn pomyślała o Teddym, o innym życiu, które wymarzyła sobie tamtego dnia w Enfield. O możliwościach, które przyprawiły ją o zawrót głowy. Zapatrzyła się w ciemność. Przez płataninę gałęzi widziała światła Karishma Plaza. Ci wszyscy chłopcy i dziewczęta... Ich życie obracało się wokół tego miejsca, tam marzyli o własnym Enfield. Ale przecież byli młodzi i wszystko mogło się zdarzyć. Ich młodość sprawiła, że miała ochotę się rozplakać.

– Pst!

Evelyn się odwróciła i zobaczyła Muriel wychylającą się z okna.

– Widziałam dzisiaj świętego człowieka – szepnęła. – Pani Dzi-Dzi mnie do niego zabrała.

– Świętego człowieka?

– Był w tej małej komnacie w świątyni! Tylko nie mów nikomu, bo się będą ze mnie śmiać.

– Jaki on jest?

– Miał szlam na głowie i długie włosy poplątane jak jakiś rastafarianin. W Peckham jest mnóstwo takich. – Muriel wskazała na swoje czoło. – Przykleił mi kciukiem tę kropkę. Widzisz? Nie zmyłam tego. Dałam mu trochę pieniędzy, a on mnie pobłogosławił i powiedział, że Keith niedługo przyjedzie. Miał przenikliwe spojrzenie i zajrzał prosto w moją duszę. Potem powiedział, że Keith wkrótce przyjedzie i odnajdzie swoją mamę.

Przyszli kilka dni później – dwadzieścioro dziewcząt i chłopców z biura obsługi klienta – i wypełnili cały hol. Mieszkańcy hotelu zdążyli się już wcześniej rozlokować, a młodzież zajęła miejsce u ich stóp. Sonny, który zorganizował spotkanie, rozdawał wszystkim pepsi.

Obok Evelyn siedziała Surinda, opierając głowę o fotel.

– Mogłabym spać przez tydzień, ciociu – powiedziała.

– Biedactwo, pracowałaś całą noc. – Evelyn miała ochotę pogłaskać ją po lśniących czarnych włosach, które przypomniały jej o starym labradorze brata, Tobym.

– To naprawdę stresujące – mówiła Surinda. – Kiedy dostanę premię, pójdę na kurs zarządzania hotelem.

– A kiedy dostaniesz tę premię, kochanie?

– Jak sprzedam tysiąc produktów.

– A ile już sprzedałaś?

– Dwadzieścia siedem.

Roześmiały się, a Evelyn poczuła przyływ uczuć macierzyńskich. Tak bardzo pragnęła zaopiekować się tą pulchną dziewczyną. Prawdę mówiąc, czuła się odpowiedzialna za tych wszystkich młodych ludzi, w końcu to ona ich znalazła. My wszyscy tutaj rozpaczliwie pragniemy kogoś kochać, pomyślała, właśnie dlatego dokarmiamy koty.

– Jest tu kilku przystojnych chłopców – szepnęła. – Podoba ci się któryś? Może tamten? – Wskazała na młodego mężczyznę, który siedział na podłodze, podpierając się łokciami.

– Och, to Raul. Niedawno wrócił ze Stanów i myśli, że jest pępkiem świata.

– A jak brzmi jego angielskie imię?

– Ramy Gold.

Evelyn pomyślała przez chwilę.

– Kochanie, ale to nie jest angielskie imię.

– Wymyślił je, patrząc przez okno – powiedziała Surinda. – Zobaczył szyld waszego hotelu.

– Co masz na myśli?

– Marigold. To anagram czy coś w tym rodzaju.

Evelyn wybuchnęła śmiechem. Od lat tak dobrze się nie bawiła. Nachyliła się do Madge, która siedziała obok.

– Ich nazwiska pochodzą od różnych produktów, od pudru Johnson's Baby albo pióra Parkera. – Evelyn była dumna, że poznała tajemnicę, o której nikt inny nie wiedział. – Moja przyjaciółka ma nazwisko po Britney Spears.

– Ale ona nie jest produktem, złotko – odparła Madge. – To piosenkarka.

– Ten jest Beckhamem, a tamten naszym hotelem.

Sonny klasnął w dłonie.

– Proszę o ciszę! Moi drodzy przyjaciele, spotkaliśmy się tutaj, żebyście mogli wypytać naszych znakomitych Brytyjczyków o ich rodzinny kraj, a w szczególności o Enfield. Doceńcie, że zechcieli poświęcić swój czas, by pomóc wam osiągnąć lepsze wyniki w pracy. A więc do dzieła!

Rozpoczęły się rozmowy.

– Pamiętam Enfield – zagrział Norman. – Wdrapywałem się tam na ogrodzenie przy głównej drodze...

– Chodziłam do szkoły w okolicy – powiedziała Olive. – W Wood Green. To całkiem blisko.

– A gdzie jest Enfield? – zapytała Hermione.

– Piłem tam dżin z taką jedną puszczałką – poinformował Norman.

– Chodziłam tam do kina – ciągnęła Olive. – Do Gaumont.

– Czy to w pobliżu Acton? – zapytał ktoś.

– To w Ealing, kochanie.

Wszyscy mówili jednocześnie. To było zupełnie nowe doznanie, ponieważ ktoś był zainteresowany tym, co mieli do powiedzenia. Młodzi ludzie chłonili każde słowo.

– Pamiętam, jak powiedzieli w wiadomościach, że zastrzelono Gandhiego – odezwała się Olive.

– A ja piłam wtedy mleko. – Oczy Stelli zajaśniały radością. – I usłyszałam to w radiu.

– Występowałam w tamtejszym teatrze – powiedziała Dorothy. – Grałam służącą w *Dear Brutus*.

– Byłaś aktorką? – zapytała Madge.

Dorothy przytaknęła.

– Przez kilka lat. To było w Lyon's Corner House przy głównej ulicy.

Pewnego dnia spotkałam tam Nye'a Bevana, jakbym Boga zobaczyła.

– A kto to jest? – zapytał jakiś chłopak.

– To człowiek, który stworzył system opieki zdrowotnej – odrzekła Dorothy.

– Dzięki niemu ludzie nie musieli już umierać na ulicach. Następnego dnia rzuciłam aktorstwo i przyłączyłam się do Partii Pracy.

– Wielka mi rzecz! – zawołał Norman i wypił następną kolejkę whisky.

– Bardzo dobrze znam Enfield – odezwał się Graham Turner i zwrócił na siebie uwagę wszystkich mieszkańców hotelu.

– Dorastałem tam – powiedział.

– Nie wiedziałam – odrzekła Madge.

– Na Maybury Road. Na końcu ulicy był schron. Podczas nalotów przemycałem tam swoją kure.

– Kure?

Graham przytaknął.

– Lubilem ją. – Miał wypieki na policzkach i był ubrany w koszulę i krawat. Nikt nigdy nie widział go bez krawata.

Evelyn rozejrzała się dookoła. Niektórzy młodzi ludzie zasnęli. Nic dziwnego, biedacy pracowali przez całą noc. Pięknie spali. Sen jest taki nieskomplikowany, gdy jest się młodym.

– Moja narzeczona Amy pracowała w Army & Navy Stores – mówił Graham.

– Narzeczona? – Norman osuszył swoją szklanę. – Ja pieprzę.

Łysa głowa Grahama połyskiwała w świetle lampy.

– W czwartki miała wolne popołudnia. Jeździłem wtedy autobusem do Londynu i zabierałem ją na podwieczorek do herbaciarni.

Graham zamilkł.

– I co się z nią stało, mój drogi? – zapytała Madge.

Graham nie odpowiedział, a wszyscy spojrzeli na niego z ciekawością. Evelyn po raz pierwszy zauważyła jego dłonie. Były szczupłe i pokryte plamami.

– Odeszła.

Zapadła cisza. Stella wytarła nos.

– Dlaczego o tym nie wiedziałyśmy? – szepnęła Evelyn do Madge.

– Bo nie pytałyśmy.

Minęło pół godziny. Zasłony w sali telewizyjnej były zaciągnięte i wszyscy oglądali *EastEnders*. Nagrania serialu w nieregularnych odstępach czasu przysyłały wnuki Olive Cooke. Ponieważ odcinki nigdy nie były opisane, oglądali je w przypadkowej kolejności i nawet najbystrzejsi widzowie byli nieco zdezorientowani.

– Dlaczego wyjechała pani z Anglii? – zapytała szeptem Surinda.

– Z różnych powodów, kochanie – odrzekła Evelyn. – Dla niektórych z nas życie w Anglii stało się nie do zniesienia.

– Co ma pani na myśli?

– Różnie. Cóż, wypracowaliśmy sobie pewne świadczenia, ale okazało się, że to nie jest to, czego oczekiwaliśmy. Chodzi o emerytury i tak dalej.

– A dlaczego dzieci się wami nie zaopiekowały?

Evelyn pomyślała przez chwilę.

– W Anglii jest całkiem inaczej.

W telewizji jakaś kobieta uderzyła mężczyznę w głowę i zalała się łzami.

– Tęsknisz za Anglią, ciociu?

– Czasami – odpowiedziała Evelyn. – Najbardziej brakuje mi deszczu.

– To zaczekaj na monsun.

Tęsknię za wzgórzami Sussex, pomyślała Evelyn. Tęsknię za wiatrem wiejącym nad srebrnymi polami jęczmienia. W jej dawnym domu mieszkała teraz

rodzina Harbottle'ów.

– Tęsknię za moim ogrodem – powiedziała. – Może to zabrzmie głupio, ale tęsknię za brudnymi rękami. Uwielbiałam pracować w ogrodzie, uprawiać grządki, sadzić rośliny.

– Chcę pojechać do Anglii – westchnęła Surinda.

– Pewnie chcesz tam pojechać z tego samego powodu, który nas zmusił do wyjazdu – stwierdziła z uśmiechem Evelyn.

– Cicho! – Madge podgłośniła telewizor.

W serialu dwaj ogoleni na łyso mężczyźni obrzucali się wyzwiskami.

– Wielka Brytania już nie należy do nas – szepnęła Evelyn. – Nie rozumiemy jej. Należy teraz do innych ludzi. – Miała nadzieję, że nie zabrzmiało to zbyt rasistowsko. Nie miała zresztą tego na myśli.

Nagle rozległ się rumor. Jakaś dziewczyna poderwała się gwałtownie i przepchnęła przez leżących na podłodze kolegów. Usiadła obok Surindy i odepchnęła ją.

– Wujek Norman mnie obmacuje! – powiedziała.

Surinda zachichotała.

– Posadź koło niego Kamilę – powiedziała, a potem zwróciła się do Evelyn: – Od kiedy nazywa się Karen, jest prawdziwą zdzirą. I każdy może ją mieć.

– Co, nawet Norman? – zapytała Evelyn.

Wszyscy wyszli do ogrodu. Słońce już chyliło się ku zachodowi i młodzi musieli wracać do pracy. Sonny chodził w tę i z powrotem po trawie i rozmawiał przez telefon.

Norman podszedł chwiejnym krokiem do Surindy i złapał ją za ramię.

– Ładna z ciebie dziewczyna – powiedział. – Pozwól, że zabiorę cię jutro do Hideaway Pub na szklaneczkę najlepszego rumu.

Surinda zdjęła jego dłoń ze swojego ramienia.

– Nie, dziękuję – odparła.

Norman wskazał na młodych mężczyzn idących podjazdem.

– Nie ma z nich żadnego pożytku. Większość z nich to homoseksualiści.

– Słucham? – zdziwiła się Surinda.

– Widziałem na ulicy, jak trzymają się za ręce. – Nachylił się ku Surindzie i wydyszał: – Dziewczyno droga, oni grają w innej drużynie.

– Spieprzaj! – krzyknęła Surinda.

– Daj spokój, nie bądź taka wstydliva...

– *Jao, karaab aadmi!*² – rzuciła Surinda.

– Dostyc tego, stary! – pospieszył z pomocą Sonny.

– Odwal się, ty palancie!

– Nie rób z siebie kompletnego idioty...

– Daj mi spokój! – ryknął Norman. – Ty pakistańska gnido!

Sonny szarpnął Normana za ramię. Starszy mężczyzna się potknął, ale Sonny szybko przywrócił go do pionu i pchnął w kierunku werandy.

Zapadła cisza, a potem miłośniczka kotów, Eithne Pomeroy, roześmiała się niespodziewanie, wydając upiorny, niesamowity dźwięk, który zabrzmiał jak przeraźliwy krzyk niewidzialnego ptaka nawołującego w ciemnościach.

Kiedy Evelyn się odwróciła, młoda telefonistka zniknęła już w mroku.

Nie tylko Norman był pijany tego wieczoru. Inni też zdecydowanie za dużo wypili. Eithne zaczęła śpiewać swoim wysokim, skrzeczącym głosem *Rose in the Bud*³:

Rose in the bud, the June air's warm and tender,

Wait not too long and dally not too late...

– Nie, słonko – powiedziała Madge. – Tam idzie *trifle not with fate*⁴.

A wszystko dlatego, że obiad się spóźniał. Było już wpół do dziewiątej, a jeszcze nic nie zapowiadało posiłku. Ktoś widział wprawdzie, jak Minoo przemyka przez hol, a z kuchni dobiegały odgłosy awantury, ale żaden apetyczny zapach curry nie zwiastował obiadu (tego wieczoru miał to być kurczak bhuna). Pensjonariusze siedzieli na werandzie i popijali drinki. Już dawno zdążyli opróżnić miseczki z małymi krakersami, które były towarem w najlepszym razie deficytowym.

Normana nigdzie nie było. Incydent z hinduską dziewczyną wszystkich zjednoczył, nawet Dorothy z BBC się do nich przyłączyła.

– Ten człowiek to prawdziwa zmora – powiedziała.

– Biedna dziewczyna! – westchnęła Evelyn. – Co ona sobie o nas pomyśli?

– Kiepski z niego ambasador naszego kraju, nieprawdaż?

Państwo Ainslie byli na wykładzie o Tagore, więc ominęło ich wydarzenie z Normanem w roli głównej, ale zdążyli już wysłuchać wszystkich szczegółów.

– Jakie to żenujące.

– I takie niebrytyjskie, zupełnie jak...

– A ja powiedziałabym, że dość typowe. – Dorothy odstawiła szklanę z whisky. – Anglicy są beznadziejni w grze wstępnej.

Biesiadników siedzących przy stole przebiegł dreszcz. Eithne zachichotała.

– Dajcie spokój – powiedział Douglas.

– To przez te nasze koszarne szkoły publiczne – zauważyła nieco bełkotliwie Madge. – Dlaczego waszym zdaniem wyszłam za Żyda?

– A ja miałam kiedyś przyjaciela Węgra – powiedziała niewyraźnie Dorothy. – Mówił, że to wszystko z powodu mieszkań własnościowych. Na kontynencie ludzie wynajmują umeblowane domy, a w Anglii faceci chcą wszystko robić sami i zajmują się wyłącznie majsterkowaniem.

– Co ona mówi? – Stella poprawiła aparat słuchowy.

– Nie, to przez szkoły – zaprotestowała Madge. – Pieprzą się tam jeden z drugim już w wieku piętnastu lat...

– Madge! – pisnęła Eithne.

– ...i tak im się to podoba, że przez resztę życia się boją, bo myślą, że są gejami.

– To nieprawda, w szkołach publicznych wcale tak nie jest – powiedziała Jean. – Na przykład nasz syn Adam...

– No właśnie! – odparła Dorothy.

– Słucham?

Dorothy dopiła whisky.

– Przynajmniej jest szczery.

Zapadła cisza. Przy sąsiednim stoliku ktoś głośno się roześmiał.

– Co powiedziałaś? – szepnęła Jean.

– Co ona powiedziała? – Z ucha Stelli wydobył się świst.

Douglas odsunął krzesło i wstał.

– Kochanie – zwrócił się do żony i dotknął jej ramienia. – Chodźmy do pokoju. Zapomniałem okularów.

Jean ani drgnęła. Siedziała w całkowitym bezruchu, z zastygłą twarzą. Douglas chwycił ją za rękę.

– Chodź, staruszko – powiedział. – Pewnie wiesz, gdzie je znaleźć.

Pomógł żonie wstać i zaprowadził ją delikatnie do drzwi werandy. Szła sztywno, jakby lunatykowała.

Kiedy odeszli, Madge się zwróciła do Dorothy:

– Co to miało być?

Dorothy nie odpowiedziała. Siedziała z otwartymi ustami. Biedactwo, pomyślała Madge. Może to prawda, co o niej mówią. To błąkanie się, mówienie

do siebie... Faktycznie sprawia wrażenie postrzelonej.

Przy obiedzie panowała dość dziwna atmosfera. Podano go dopiero po dziewiątej, a do tego czasu wszyscy byli już nieprzytomni z głodu i od alkoholu. Nie było też kurczaka bhuna, przysmaku wszystkich mieszkańców hotelu. Zaserwowano jakieś naprędce przygotowane danie składające się z pieczonego kurczaka polanego pomidorami z puszki.

Na obiedzie nie było Normana ani Douglasa i Jean. Nie było też Grahama Turnera, ale on zawsze był tak niewidzialny, że dopiero po dłuższej chwili zorientowano się, że nie przyszedł. Prawdopodobnie pokonały go własne demony.

– Podobno miał kiedyś narzeczoną, która umarła – powiedziała Olive Cooke, zeskrobując sos z udka kurczaka.

– Nic dziwnego, że wygląda na takiego, cóż... nieużywanego – stwierdziła Madge.

Już prawie uporali się z kurczakiem, gdy przyniesiono ryż. Gdy Jimmy stawiał na stole miskę, Evelyn zapytała szeptem:

– Co się tam dzieje?

– Kłopoty w kuchni, memsahib – powiedział służący i odszedł.

Madge rozejrzała się dookoła.

– Dorothy też nie ma. Zupełnie jak w Dziesięciu Murzynkach.

– Hindusiątkach, złotko – poprawiła Evelyn.

– A więc kto będzie następny?

Dorothy i Douglas siedzieli w ogrodzie ukryci za kępą zarośli. Słyszeli dalekie pobrzękiwanie sztućców. W ptaszarni panowała cisza, bo papużki już dawno poszły spać.

– Strasznie mi przykro – powiedziała Dorothy. – Myślałam, że ona wie.

– Kiedyś o mały włos by się dowiedziała – wyjaśnił Douglas. – Adam zerwał z Hiszpanem o imieniu Marco. To było parę lat temu. Marco zadzwonił, ale nie było nas w domu. Kiedy wróciłem, odsłuchałem wiadomość z sekretarki. – Douglas zamilkł, bo coś zaszeleściło w opadłych liściach. Może to wąż, którego do tej pory nikt nie widział, ale za to wszyscy wyraźnie słyszeli. – Marco powiedział, że nasz syn jest gejem. I nie tylko to, wyjawiał wszystkie pikantne szczegóły. Możesz sobie wyobrazić. Słuchałem tego przez dziesięć minut.

– Dobry Boże!

– Jean nie było wtedy w domu. Wiedziałem, że nie mogę dopuścić, by to usłyszała. Wiedziałem, że to ją zniszczy, ale nie potrafiłem skasować wiadomości. Córka podarowała nam tę sekretarkę i jeszcze nie zdążyłem jej rozpracować. Przewinałem więc taśmę i zadzwoniłem do wszystkich znajomych. Powiedziałem, że Jean jest trochę przygnębiona i ucieszyłaby się, gdyby do niej zadzwonili. – Douglas zamilkł. W ciemności miauczały koty, ponieważ Eithne była zbyt pijana, żeby je nakarmić. – Jean wróciła następnego dnia i znalazła osiem nagranych wiadomości. „Co słyhać, Jean, nie widziałyśmy się od wieków”. I reszta w podobnym stylu. „Myślałam o tobie, może kiedyś wpadniesz”. Była przeszczęśliwa. Wszystkie nowe wiadomości trwały ponad dziesięć minut, więc tamta od Marca została skasowana. Miłość pochłonęła nienawiść. A ona się nie dowiedziała aż do teraz.

– Tak mi przykro – powtórzyła Dorothy.

Za murem zawył pies.

– To by się stało prędzej czy później – powiedział Douglas i wstał. – Lepiej pójdę zobaczyć, jak ona się czuje.

Poklepał Dorothy po ramieniu i odszedł. Dorothy siedziała w ciemności i słuchała chrzęstu jego kroków na żużlu. Wszystko się oczywiście zmieniło, tak jak się zmieniają różne miejsca w naszych marzeniach, ale pod stopami ciągle

miała tę samą ziemię. To było straszne, przerażające. Te wszystkie lata – szkoła, telewizja BBC, mieszkania przy Lancaster Gate i Marylebone Road, ludzie, których spotkała, miejsca, które odwiedziła, i potrawy, które zjadła – siedemdziesiąt cztery lata jej życia; to wszystko odpłynęło, odeszło, chociaż wydawało się, że przeżyła to wszystko zaledwie przed chwilą. A ona znowu tu była, w tym samym miejscu, w którym wszystko się zaczęło.

Jak to jest, gdy ktoś kocha cię tak mocno, żeby przewinąć taśmę, pomyślała.

Douglas zatrzymał się przed drzwiami pokoju. Wyobraził sobie twarz żony opuchniętą od płaczu. Stał w korytarzu i gapił się na tapetę w bambusy. Prawdę mówiąc, był zadowolony, że Jean dowiedziała się prawdy o ich synu. Dzięki temu uwolnił się od ciężaru tajemnicy, który dźwigał samotnie od tylu lat. Osobiście nie miał nic przeciwko temu. Zadziwiało go własne opanowanie. Inni ludzie prawdopodobnie byliby zszokowani. Rozczarowani. Cóż, sprawa się wyjaśniła, pomyślał. Mam tylko nadzieję, że Adam jest szczęśliwy.

I w tym momencie, stojąc w korytarzu, uświadomił sobie, że nie obchodzi go, czy Jean jest zdenerwowana. Nie dbał o to, jak się czuje kobieta, z którą spędził czterdzieści osiem lat. *Nie obchodzi mnie to. Nie interesuje. Właściwie to nawet jej nie lubię.*

Dziwne, ale ta myśl wcale go nie zmartwiła. Poczuł, że te słowa czekały cierpliwie, aż je w końcu dostrzeże. Mgła opadła, a one ujawniły się w pełnej okazałości. I wcale go nie zaskoczyły.

Jednocześnie dziwne i oczywiste. Może już nic nie było w stanie go dotknąć. Może nie było już nic do zdobycia. Ten kraj pomógł mu znaleźć odpowiedź na znużenie duszy. Przygniatający ciężar tego miejsca, ta masa ludzi, którzy byli równie bezsilni i też nie byli w stanie nic zrobić.

Douglas spojrzął na obraz wiszący na ścianie. Było to zdjęcie wodospadu z pękniętą szybą. Gdzieś w Kaszmirze albo innym miejscu ta woda ciągle

płynęła. A więc jego żona była zdenerwowana. To też kiedyś przeminie. Był za stary, żeby ją opuścić. Nie miał siły, żeby odejść, i nie miał siły, żeby znieść jej rozpacz. Życie popłynie dalej, woda będzie omywać skały, ale on był zrezygnowany jak żebrak, który siedział przed hotelem z wyciągniętymi rękami.

Podszedł do drzwi. Może nic nie było ważne, a ta rzecz zwana życiem nie miała żadnego sensu. Może właśnie odkrył wielką prawdę. A może po prostu nie był już w stanie niczego odczuwać, bo poddał się dawno temu.

To wszystko powinno nim wstrząsnąć, ale do diabła z tym. Nacisnął klamkę i wszedł do pokoju.

Była jedenasta i Evelyn powinna się już dawno położyć, ale nadal nie spała. Załadowała gazety do plastikowej torby i wyszła na ulicę.

– Memsahib!

Usłyszała pobrzękiwanie wózka i zobaczyła beznogiego żebraka, który pędził w jej stronę. Pokręciła głową. Miała zajęte ręce i przepychała się między straganami. Mały bazar ciągle tętnił życiem. Czy w tym kraju nikt nigdy nie śpi?

Nie mogła wyrzucić z głowy *Rose in the Bud*, piosenki, którą śpiewała Eithne.

Life is too short and love is all, I'm thinking,

Love comes but once, and then, perhaps, too late⁵.

Kiedy była młoda, uważała, że te słowa to szczyt romantyzmu, ale teraz wiedziała już, iż są błahe i bez znaczenia. Mogła przecież kochać wielu mężczyzn. Niektórzy z nich, teraz pewnie już nieżyjący, mogli uczynić ją równie szczęśliwą, jak Hugh. A kto wie, może nawet szczęśliwszą? Gdyby nie była tak grzeczna i wierna, mogłaby się w kimsz zakochać, będąc już mężatką. Tim, kolega Hugh z zagli, zalecał się do niej, a jej owdowiały przyjaciel Angus w trakcie recitalu

fletowego w Arundel Castle szepnął: „Barkis jest gotów”⁶. Gdyby tylko się nie wzbraniała, mogłaby uznać obu mężczyzn za godnych pożądania, a nawet ekscytujących. A skoro była to już noc wyznań, mogłaby się też przyznać do snucia niegroźnych fantazji na temat mężczyzny, którego widywała na poczcie.

Evelyn weszła do Karishma Plaza i poszła na górę. Jedna z toreb się rozerwała – indyjski plastik był cienki, nietrwały i do niczego – więc włożyła ją pod pachę. W biurze ujrzała rzędy ciemnych głów w kleszczach słuchawek. Michael Parker, Mary Johnson. Siedzieli w swoich kabinach i sprzedawali rzeczy, których nikt nie potrzebował. Ogarnęło ją współczucie. Jak można się czuć, gdy trzeba udawać kogoś innego tylko dlatego, że jest się Hindusem niegodnym zaufania? A oni nawet nie narzekali, można było odnieść wrażenie, że udawanie Brytyjczyków uważają za całkiem naturalne. I z pewnością mieli lepszy akcent niż niektórzy znani jej młodzi ludzie, nawet ci z najbliższej rodziny.

Evelyn zatrzymała się przy kabinie Rahula. Była wyklejona plakatami bollywoodzkich filmów.

– ...jeśli się pan teraz zdeklaruje – mówił Rahul – będziemy mogli zaoferować duży rabat... – Dzisiaj miał włosy postawione na żel. – Nie, sir, dzwonię z Anglii... Tak, z Enfield. Wie pan, gdzie to jest? To bardzo miłe miasto. Mieszkam tu z taką jedną puszczałką.

Boże święty! Evelyn odeszła i zaczęła podsłuchiwać przy następnej kabinie. Mogła przysiąc, że usłyszała słowa: „Tu wojskowy sklep militarny”.

Nigdzie nie było przełożonego, więc Evelyn weszła do kabiny Surindy.

– ...nic nie szkodzi, proszę pani. Dziękuję, że poświęciła mi pani swój czas. – Dziewczyna westchnęła ciężko i zdjęła słuchawki. – Głupia stara baba.

– Przyszłam przeprosić – powiedziała Evelyn.

– Za co, ciociu?

W zasadzie za wszystko, pomyślała Evelyn. Za to, że musisz udawać. Za to, że twoim zdaniem nie ma w tym nic złego.

– Za zachowanie pana Purse’a – powiedziała tylko.
– W porządku, to przecież tylko sprośny staruch.
– Przyniosłam ci trochę angielskich czasopism. Wydaje mi się, że mogliście odnieść mylne wrażenie z naszych opowieści o Wielkiej Brytanii. – Evelyn postawiła torby z gazetami na podłodze. – A dzięki temu będziecie na bieżąco. Niektóre są co prawda trochę nieaktualne, ale to nie ma większego znaczenia. W końcu zawsze podają te same wiadomości, czyż nie? No i krzyżówki są niestety już rozwiązane.

Surinda rozwinęła listek gumy do żucia i poczęstowała Evelyn, ale ta odmówiła.

– Nie, to już nie na moje zęby, kochanie.

Surinda przez chwilę żuła gumę.

– Wasz hotel jest dość nędzny, prawda? – powiedziała wesoło.

– Tak myślisz? Mnie się podoba.

– Czemu?

– Bo czuję się w nim trochę jak w Anglii.

– A ja chcę pracować w Oberoi – ciągnęła Surinda. – Mają tam świetną dyskotekę.

– Dyskoteki są już raczej za mną.

– Jesteś na tyle stara, na ile się czujesz.

– A zatem jestem stara – stwierdziła Evelyn.

Surinda wstała i wskazała na krzesło.

– Siadaj, ciociu.

Jacy oni są mili! Evelyn pomyślała o angielskich chuliganach, którzy wdzierali się bezpardonowo do pociągu, zmuszając ją, by kurczowo przyciskała torebkę do piersi.

– Miałam w Anglii taką przyjaciółkę jak ty – powiedziała. – Młodą kobietę,

która malowała mi paznokcie. Bardzo ją lubiłam, chociaż dla większości ludzi była niewidzialna.

Zza ścianki przedzielającej kabiny dobiegł czyjś głos:

– Panie Potter, przekona się pan, że jesteśmy o wiele lepszym dostawcą energii niż British Gas i możemy obniżyć pańskie kwartalne rachunki aż o trzydzieści procent.

– Chodzi o to, że bardzo długo byłam zamężna – kontynuowała Evelyn. – To wielki szok znaleźć się tak nagle w prawdziwym świecie. Przedtem nie myślisz o tym, że jesteś stara. Jesteście razem przez tyle lat i wydaje się wam, że nic się nie zmieniliście od chwili pierwszego spotkania. Nie zauważacie siwych włosów. – Evelyn zamilkła i popadła w zadumę. – Poza tym bycie z kimś jest, cóż, rozprasające. W taki kojący sposób. Jesteś z kimś i życie się toczy. A gdy go zabraknie, zaczynasz myśleć o śmierci.

– Nie ma sprawy, panie Potter – powiedział ktoś w sąsiedniej kabinie. – Miłego dnia i na razie.

– Kiedy jesteś młoda, masz mnóstwo możliwości – mówiła Evelyn. – A przynajmniej tak ci się wydaje. – Spojrzała na Surinę, która siedziała na podłodze. – Ale ty masz wybór, kochanie? Poślubisz mężczyznę, którego kochasz, czy tego, którego ci wyswatają?

– Pani pewnie myśli, że to coś złego, prawda? – zapytała dziewczyna. – Jakieś dziwactwo?

Evelyn pokręciła głową.

– To prawdopodobnie tak samo dobry sposób jak każdy inny. – Gdyby tylko Christopher jej posłuchał i ożenił się z tą miłą Penny Armstrong-Jones, która go adorowała, ale zniechęcona jego bezwolnością wyszła w końcu za kogoś innego.

Wielkie nieba! Nie zadzwoniła jeszcze do syna, a przecież po to właśnie tu przyszła. Ale tyle się w międzyczasie wydarzyło.

– Dobranoc – odezwała się do stróża, który siedział przed bramą owinięty w koc. Pokiwał w odpowiedzi głową. Ktoś powiedział Evelyn, jak jest „dobranoc” w miejscowym dialekcie, ale wypadło jej to z głowy. Była już prawie północ. Noce były tu piękne i bezchmurne, gwiazdy świeciły tak jasno, że można było ich prawie dotknąć.

*Wnieś swe oczy ku niebu,
Gdy twą duszę ogarnia trwoga,
Kiedy pokusami wabione
Serce i męstwo nie słuchają Boga⁷.*

Pewnego dnia umrę, pomyślała Evelyn. Muszę się nauczyć indyjskich słów, żebym mogła się pożegnać z nowymi przyjaciółmi.

Wysłuchiwała się w cykanie świerszczy. Przed nią majaczyła ciemna bryła hotelu, większość światel była wygaszona. Pomyślała o dramatach, które rozegrały się tu w ostatnich dniach, i o tych, których świadkiem był ten hotel, od kiedy go zbudowano w połowie zeszłego stulecia. Nie, jeszcze sto lat wcześniej. Dobry Boże! To już nie dni przeleciały, lecz całe lata. A nawet *wieki*.

Podjazdem zbliżała się do niej jakaś postać. Dostrzegła połyskiwanie białej koszuli.

– Pani Evelyn! Tak późno, a pani jeszcze na zewnątrz?

To był Mino. Żużel chrząścił pod jego stopami, gdy szedł w jej stronę. Potem przystanął i zaczęli przyglądać się sobie badawczo w ciemności.

– Wyszedł pan, żeby mnie szukać? – zapytała.

Mino był bardzo wzburzony.

– Pani Evelyn, proszę ze mną. – Chwytał ją mocno za ramię i odwrócił z powrotem w stronę bramy. – Pani jedyna mnie zrozumie.

– Co się stało?

Minoo trzymał przed sobą parę butów.

– Poznaje je pani?

Evelyn przyjrzała się dokładnie. To były te same buty, które pokazywał jej w biurze.

– Te buty, madam, przyniosły mi tylko ból.

– Proszę mi mówić Evelyn.

– W tym kraju wyrażamy nasze oddanie, kłaniając się ludziom do stóp. – Minoo zatrzymał się na podjeździe. – *Rygweda*, nasza święta księga, mówi, że dobry Hindus korzy się, mówiąc: „Jestem jak pył na twoich stopach”. – Zamilkł i ciężko westchnął. – Chociaż stopy to najbrudniejsza część ciała! Głowa pierwotnego człowieka dała początek najwyższej kości, a stopy najniższej. To wszystko jest takie pogmatwane!

Z miejsca w ogrodzie, gdzie stali, światła bazaru były ledwie widoczną poświatą. Ponad nimi jasno jarzyły się okna biurowca.

– Trzymam te buty z powodów sentymentalnych – powiedział Minoo. – To moje małe sanktuarium miłości. Ale jestem już na granicy wytrzymałości. Moja żona przysparza mi tyle cierpienia. Dzisiaj zwolniła kucharza.

– A co się stało?

– Sahib Norman był bardzo zdenerwowany. Zabrał butelkę whisky do kuchni i wypił z kucharzem. Fernandez oczywiście się upił. Wie pani, on jest pijakiem. No i chrześcijaninem. Potem zasnął, nie przygotował obiadu i moja żona go wyrzuciła. Zawsze jest zła dla służących, krzyczy na nich i nastawia ich przeciwko sobie. To wszystko, co robi, bo poza tym tylko siedzi na tym swoim wielkim tyłku, czyta gazety i nigdy nie kiwnie nawet palcem. Widzi pani, ja kocham ten hotel, to mój rodzinny dom, a Razia tego nie szanuje. Nie szanuje też mnie, więc czy nasze małżeństwo może być szczęśliwe?

Wielkie nieba! On płakał. Byli teraz przy bramie i Evelyn widziała w światłach przejeżdżających samochodów zalaną łzami twarz Minoo.

– No, no – mruknęła. – Chyba nie jest aż tak źle?

– Gdybym tylko posłuchał matki! – wyrzucił z siebie. – Powinienem się ożenić z kobietą, którą wybrali dla mnie rodzice!

Evelyn ogarnęło nagle takie zmęczenie, że zapragnęła położyć się na ziemi. Kilka metrów dalej spała mała rodzina; dzieci leżały u boku rodziców i wyglądały jak lalki.

– Co ma pan zamiar zrobić z tymi butami? – zapytała.

– Oddam je komuś.

Minoo przeszedł na drugą stronę ulicy. Prawie zderzył się z rowerzystą, który ledwo zdołał go ominąć. Evelyn popędziła za zrozpaczonym dyrektorem.

– Chce pan je oddać? – zapytała, gdy go dogoniła. – Te piękne i drogie buty?

– Podaruję je pierwszej osobie, którą uznam za godną. – Minoo stał na środku skrzyżowania, zanosił się płaczem i rozglądał dookoła błędnym wzrokiem.

I wtedy dostrzegł mężczyznę na wózku. Ruszył ku niemu z wyciągniętymi ramionami, trzymając przed sobą buty.

Evelyn znowu pognęła za nim i złapała go za ramię.

– Nie dawałabym mu tych butów, mój drogi. On nie ma nóg.

1 Danie składające się z ryżu, placków i różnych dodatków w postaci sosów, jogurtu i jarzyn.

2 Odejdź, wstrętny człowieku (hindi).

3 Percy J. Barrow, Pączku róży, czerwcowy wiatr tak ciepły i czuły/Nie zwlekaj zbyt długo i nie kręć nosem...

4 Nie igraj z losem...

5 Życie jest takie krótkie, a miłość to wszystko, o czym marzę, / Miłość przychodzi raz, a potem jest już za późno.

6 Cytat z *Dawida Copperfielda* Charlesa Dickensa funkcjonujący jako idiom.

7 Hymn autorstwa Heinricha Siegmunda Oswald, tłumaczenie na angielski Frances E. Cox.



Część trzecia



1

Ten, kto wolny jest od przywiązań, kto nie unosi się radością, gdy doświadczy szczęścia, ani rozpaczą, gdy dotknie go nieszczęście, ten jest mędrce, który posiadał zrównoważoną i niczym niezmqconą mądrość.

Bhagawadgita

Theresa siedziała w pokoju hotelowym i próbowała czytać. *Ten, który jest w słońcu i ogniu, i w sercu człowieka, ten jest Jednością. Ten, który to wie, jest częścią Jedności.* Pokój kosztował pięćdziesiąt rupii za noc, tanio nawet jak na indyjskie standardy, ale za to z sufitu zwisała tylko jedna słaba żarówka. *W pałacu Brahmy, w naszym własnym ciele, jest małe sanktuarium w kształcie kwiatu lotosu, a w nim możemy znaleźć małą przestrzeń. Ta mała przestrzeń w sercu jest tak ogromna, jak ogromny jest wszechświat.* Theresa czytała w okularach. To był jej ostatni nabytek poczyniony tuż przed wyjazdem w drogerii w Durham. Była świadoma znaczenia tego zakupu – kolejna oznaka wieku średniego, po obwisłych ramionach i rzecz jasna brzuchu. W Indiach zawsze nosiła luźne ubrania, tym razem był to *salwar kamiz*, strój składający się z szarawarów i tuniki, które skromnie zakrywały jej ciało. Nawet w Anglii preferowała hinduskie stroje i teraz rozumiała, że było w tym wiele racji.

Wkrótce miała skończyć pięćdziesiąt lat. Ta myśl ją przerażała. Podczas tej podróży zauważyła, że ludzie nie reagują na jej widok tak jak kiedyś, a mężczyźni już jej nie podrywają. Wszyscy oczywiście pytali, skąd pochodzi i jak ma na imię, ale była to tylko uprzejma ciekawość, z jaką w Indiach spotyka się każdy. Nie czuła już seksualnej presji. Gdy jeździła z miejsca na miejsce,

łoczając się w kolejnym autobusie lub zalewając potem w pociągu, ludzie ustępowali jej miejsca, jakby była starszą panią. Nawet *babu*¹ w aśramie w Benares, który zawsze miał błysk w oku – i prawdę mówiąc, w relacjach z uczniami przekraczał granicę tego błysku – nawet on podczas indywidualnych *satsang*² traktował ją nienagannie i z powagą. W trakcie tych spotkań doznawała oczywiście wielkiego wyzwolenia, prawdziwa wolność polega bowiem na uwolnieniu się z więzów ciała.

Theresę bolał brzuch; już od tygodnia cierpiała z powodu biegunki. Na ulicy wisiał plakat z napisem: SZUKAMY PERFEKCJI W KONKRECIE. Trzeba było mieć żołądek z żelaza, żeby korzystać z mieszczącej się na korytarzu toalety. Wiedziała, że powinna coś zjeść, ale myśl o jedzeniu przyprawiała ją o mdłości. Jedyną potrawą, którą ewentualnie mogła wziąć pod uwagę w dalekiej przyszłości, było gotowane jajko z tostami.

Wyczerpana zdjęła klapki i obejrzała skaleczoną stopę. W świątyni Hanumana, małego króla, który uwalniał ludzi od trosk, nadepnęła na coś ostrego i przecięła sobie skórę. A jeśli dostanę zakażenia i umrę? Samotna w pokoju hotelowym, w kraju, w którym nikogo nie obchodzę? Gdzie nikt z wyjątkiem matki nie wie, jak się nazywam? W sumie nawet matka się nie liczyła, bo myśl o Evelyn mieszkającej w Indiach była tak dziwaczna, że Theresa zwyczajnie nie potrafiła sobie tego wyobrazić, przynajmniej nie do chwili, kiedy zobaczy ją na własne oczy.

Theresa przymknęła oczy i usiadła na łóżku ze skrzyżowanymi nogami.

– Om... – zaintonowała. – Om...

Próbowała ściągnąć energię – od palców u nóg, poprzez przeponę i czakry. *U podstawy kręgosłupa znajduje się kundalini, spiralny wąż siły...* Usiłowała się skoncentrować.

Jednak cały czas powracała do niej ta sama wizja: świeżo wyprasowane, białe prześcieradło na jej łóżku w domu w Old Vicarage. Brzęk tacy i kroki matki,

która przynosiła jej gotowane jajko, tosty i najnowsze wydanie „Bunty”.

– Om... om...

W pokoju było strasznie duszno. Nie mogła otworzyć okna, gdyż hotel stał naprzeciwko dworca autobusowego i hałas był ogłuszający, a od spalin robiło jej się niedobrze.

– Om... om...

Świeżo wyprasowane, białe prześcieradła... czysta toaleta w wielkiej łazience wyłożonej białym dywanem; nowa rolka papieru toaletowego wisząca w zasięgu ręki; kolejne rolki w szafce pełnej puszystych ręczników kąpielowych...
Kąpiel...

Przywiązanie do rzeczy jest iluzją. Przywiązanie jest strachem. Theresa wstała i wróciła do książki. *Dwa ptaki siedzą na drzewie. Jeden zjada dojrzały owoc, a drugi siedzi spokojnie. Zmienia się pora roku i owoce znikają...*

W sąsiednim pokoju rozległ się głuchy łomot, a potem chichot.

Pierwszy ptak latał jak szalony i szukał owoców. Drugi siedział spokojnie i czekał, aż jego przyjaciel uświadomi sobie uludę przywiązania, bólu, smutku, ufności i zależności.

To była jakaś para z Holandii, Theresa widziała, jak przyjechali z plecakami. Mieli niespożytą energię i przez całą ubiegłą noc nie dawali jej spać. A ona musiała się trochę zdrzemnąć, bo wczesnym rankiem miała autobus do Kerali. Ponieważ w Bombaju ukradziono jej zegarek, straciła rachubę czasu. To oczywiście również było wyzwoleniem, ale wiązało się z pewnymi niedogodnościami.

Niezmiennie ja jest wszystkim, co istnieje.

Kobieta za ścianą krzyknęła. Ostatniej nocy Theresa liczyła jej orgazmy – przytłumione okrzyki, skowyt, piski, fale napiętości, które trwały bez końca. Liczyła te wszystkie orgazmy jak owce, ale bez rezultatu. Jak ta kobieta zdołała tego dokonać?

Po podłodze przemknął karaluch. Theresa porzuciła medytację i otworzyła zeszyt.

16 grudnia:

Aśrama w Pattipurnam trochę mnie rozczarowała. Jechałam tam aż dwa dni, żeby odnaleźć Swamiji, ale okazało się, że wyjechał do Niemiec. Jednak w świętej atmosferze tego miejsca wyczuwało się jego obecność, a podróż duchowa nie musi mieć przecież żadnego celu. Dzieliłam pokój z miłą kobietą z Des Moines, która nazywała się Prem. Była w Indiach już od wielu miesięcy i opowiedziała mi o swojej wizycie u Swami Bench w Tamilnadu. Swami siedział na ławce od dwudziestu pięciu lat, w ciszy i z zamkniętymi oczami. Przysiadła się do niego i trwała tam przez wiele godzin. Kiedy wreszcie otworzył oczy, poczuła, że przepętnia ją uczucie przeogromnej radości. Zanim osiągnął stan oświecenia, podobno był listonoszem.

Jest coś dziecinnego w mędrkach, których spotkałam. Emanuje z nich poczucie zdziwienia i słodycz. Mają również wspaniałe poczucie humoru. Jakże się śmialiśmy, gdy podczas darśany³ jeden z uczniów pokazał trzy palce i zapytał: „Mistrzu, ile palców widzisz?”, a Swami odparł z błyskiem w oku, że cztery. Większość czasu spędziliśmy jednak na medytacjach lub po prostu siedzieliśmy cicho i słuchaliśmy wykładu. Przejechałam wiele mil, podróżowałam od jednej aśramy do drugiej, ale jak mówi Sri Baba, podróż nie ma początku ani końca...

Długopis wysechł. Kupiła go po południu na pobliskim bazarze, ale indyjskie długopisy, podobnie jak inne rzeczy, nie działały zbyt długo. Theresa odłożyła zeszyt. Nie było sensu dalej pisać. Dla kogo zresztą miała to robić? Rzeczy, które do niej należały, znikwały jedne po drugich – z wyboru lub na skutek okoliczności. Z tego powodu powinna naturalnie odczuwać ulgę.

Musiła jednak przyznać, że ta podróż okazała się rozczarowaniem. Gdy ostatnim razem wróciła z Indii, odczuwała euforię. Tym razem ten narkotyk nie zadziałał. Zdarzały się wprawdzie chwile, kiedy piękno zapierało jej dech w piersiach. Przypomniła sobie świt w Allahabadzie, sterty śmieci, dymiące ogniska i żebraków powstających z popiołu... niewysłowny wdzięk pośród brudu i nędzy. Takie objawienia można było znaleźć wszędzie, pod warunkiem że miało się oczy, które widzą. Ale połączenie, którego tak żarliwie poszukiwała, nie mogło się dokonać. Tym razem nie zdołała się wznieść ponad swoją frustrację, mękę, rozpacz i beznadzieję. Kilka razy straciła panowanie nad sobą; to poniżające doświadczenie w kraju, w którym ludzie – choć traktowani z wielkim okrucieństwem – do nikogo nie żywią urazy. W tym kraju nie można było brać niczego osobiście, bo to nie miało żadnego sensu.

Może jest już za stara na takie rzeczy. Ale przecież wiek nie ma żadnego znaczenia; w końcu wielu hinduskich mędrców funkcjonowało poza ciałem, a ich obecność tak silnie oddziaływała na wiernych uczniów, jakby siedzieli tuż przy nich. A zatem śmierć jest całkowicie nieistotna. Dlaczego więc czuła się tak śmiertelna ze wzdętym brzuchem i rewolucją w jelitach? Shivabalayogi spędził w jaskini osiem lat, medytując dwadzieścia trzy godziny na dobę, i wracał do rzeczywistości tylko po to, żeby się wykąpać i wypić szklankę mleka. Jego ciało kąsały różne gryzonie, ale mimo to emanował tak wielkim duchowym szczęściem, że tysiące ludzi pragnęły przebywać w jego obecności.

Im dłużej przebywasz w Indiach, tym mniej wiesz.

Theresa dokładnie знаła przyczynę. Wszystkiemu było winne jej dzieciństwo. Przyjechała do Indii, by stać się całością, ale to nie mogło się udać, skoro była totalnie rozbita. Żadne duchowe spoiwo nie mogło jej pomóc, dopóki sama nie nauczy się siebie kochać i czuć się kochana. To samo zauważała u swoich klientów i przede wszystkim właśnie dlatego zajęła się doradztwem. Wiele osób, podobnie jak ona, nie miało poczucia własnej wartości. Każdą z nich

zachęcała, by odwołała się do przeżyć z dzieciństwa i relacji z rodzicami. To było możliwe, ale trzeba było nad tym ciężko popracować.

Zapadł zmrok. Theresa wstała i pokuśtykała do okna, stopa coraz bardziej jej dokuczała. Za oknem, na dworcu autobusowym, tłoczyli się ludzie z bagażami, ludzie taszczący dzieci, ludzie wychodzący z autobusów lub czekający, by do nich wejść. Ruch uliczny zamarł w bezruchu. Klaksony pohukiwały w beznamiętny indyjski sposób – nie było w tym nic osobistego, ot, po prostu zwykły odruch. Theresa też zamierzała jutro ruszyć w drogę. Było miejsce, które musiała odwiedzić, zanim uda się do Bangaluru. Wszystkie jej nadzieje wiązały się z odległą wioską w Kerali. Tam na pewno znajdzie miłość, która ją do tej pory omijała.

Bo tam, w Wallikawu, mieszkała Przytulająca Matka⁴.

¹ Tytuł określający osobę uczoną, urzędnika lub starszego mężczyznę (hindi).

² „Obcowanie z prawdą”, praktyka duchowa (hindi).

³ Obcowanie z guru lub bóstwem, dosłownie „spojrzenie” (hindi).

⁴ Hinduska przywódczyni duchowa znana jako Amma (matka) i uważana przez swoich zwolenników za świętą.

2

Prawdziwa wiara nie żyje wyłącznie w słowach. Żyje w działaniu, w codziennych czynnościach. Dlatego wszystko trzeba robić z wielkim poświęceniem i głębokim namysłem.

doktor Swami R. Armand Giri Purna, *Discourses*

Madge i Evelyn patrzyły na lingam¹.

– To chyba nikt, kogo znamy – powiedziała Madge.

Evelyn się roześmiała. Stella pomajstrowała przy aparacie słuchowym.

– Co ona powiedziała, kochanie?

Lingam sprawiał jak najbardziej imponujące wrażenie – miał ponad metr wysokości i był zrobiony z kamienia wypolerowanego rękami wiernych wyznawców. Evelyn poczuła, że ma miękkie nogi.

– Czy to jest to, co myślę? – zapytała Stella.

– Widywałam już takie, jak byłam mała – powiedziała Eithne. – Rodzice strasznie mnie popędzali, no ale wtedy rzecz jasna nie miałam pojęcia dlaczego.

Miłośniczka kotów, Eithne Pomeroy, wczesne dzieciństwo spędziła w Kalkucie, a potem jej ojca przeniesiono do Wielkiej Brytanii. Chętnie opowiadała o tamtych czasach, ale jej wspomnienia były cokolwiek niejasne i mało precyzyjne. „Włożyć to między bajki”, twierdził sarkastycznie Norman.

Cztery kobiety zwiedzały jakąś świątynię na przedmieściach Bangaluru, ale Evelyn nie była w stanie powtórzyć jej nazwy. „Musisz pojechać, Evelyn”, powiedziała Madge, która zorganizowała wycieczkę, „bo inaczej twoja córka pomyśli, że straszna z ciebie wapniaczka”. Wieści o rychłym przyjeździe Theresy

i jej zainteresowaniu Indiami szybko się rozeszły po hotelu.

Ale Evelyn nie stała się przez to zwiedzanie ani trochę mądrzejsza. Świątynia była małym ciemnym pomieszczeniem, w którym hinduskie rodziny trajkotały w najlepsze, jakby tu w ogóle nie było nic świętego. Ale przecież dla nich Bóg był wszędzie, więc może to miejsce nie było bardziej święte od innych. W niszy siedział słoń ulepiony z jakiejś masy, przystrojony kwiatami. Wyglądał jak figurka, którą można wygrać w wesołym miasteczku, ale niekoniecznie po to, by ją zabrać do domu. Wycieczka była w sumie urocza, ale przewodnik, jak to mają w zwyczaju wszyscy przewodnicy, recytował z pamięci mnóstwo dat i szczegółów technicznych, których słuchały jednym uchem. Dlaczego przewodnicy opowiadają rzeczy, których nikt nie chce słuchać?

Kobiety wyszły na zewnątrz. Świątynia stała na szczycie wzgórza i wspinaczka po schodach niemal je zabiła. Światło było oślepiające; w oddali widziały nowoczesne drapacze chmur połyskujące i migoczące w upalnym powietrzu niczym miraże komercji. Evelyn usiadła z trzaskiem stawów i poprawiła sandały.

– Przynajmniej będziesz mogła powiedzieć córce, że tu byłaś – powiedziała Madge. – A to przecież najważniejsze.

Mała karmiąca młode przyglądała się im z zainteresowaniem. Małeństwo puściło sutek i spojrzało wrogo na Evelyn. Przypomniała sobie, jak sama karmiła piersią dwójkę teraz dorosłych już dzieci, które powoli, lecz nieuchronnie przybywały do niej z krańców świata. Ta myśl wywoływała takie same dziwne doznania jak lingam.

Eithne nachyliła się ku Evelyn i wskazała na Madge, która otworzyła puderniczkę i zaczęła malować usta.

– Wiesz, zapomniałam, jak jej na imię – szepnęła.

– Madge – odpowiedziała cicho Evelyn.

– Och, głupia jestem!

– Nie przejmuj się! – pocieszyła ją Evelyn. – Też ciągle zapominam imiona.

– Następnym razem zapomnę, jak ma na imię moja córka – zaśmiała się słabo Eithne. Jej córka Lucy wyszła za mąż za pilota oblatywacza i mieszkała w Australii. Lucy obiecała, że wkrótce ją odwiedzi, ale oni wszyscy tak mówili, chociaż nigdy nie mieli czasu.

Zeszły ze wzgórza między rzędami straganów.

– O czyjej córce rozmawiacie? – zapytała Stella.

– Weź się w garść, Stello! – powiedziała Madge. – Chodzi o córkę Eithne. Ma na imię Lucy i mieszka w Sydney.

– Jaki Sydney? – zapytała Stella.

– Moja Lucy niedługo przyjedzie – wyjaśniła Eithne. – Mówi, że to będzie niespodzianka.

– Nie pozwalaj jej na takie niespodzianki, złotko, bo dostaniesz zawału – ostrzegła Madge.

Dotarły do samochodu. Przewodnik, szczupły mężczyzna w okularach, ofiarował każdej z nich wizytówkę z napisem: *Dr Gulvinder Gaya, BA (egzamin niezaliczony)*. Evelyn schowała ją do torebki, gdzie dołączyła do rosnącej kolekcji innych wizytówek. Dokądkolwiek poszły, wszyscy wciskali im w ręce te małe kartoniki. Dały mu trzydzieści rupii napiwku – ustaliły to już zawczasu – i odjechały. Madge odważnie zgodziła się usiąść przy kierowcy.

Evelyn siedziała ściśnięta na tylnym siedzeniu, dyskretnie rozdrapując bąble po ukąszeniach komarów. Rozmawiały o obiedzie. W czwartki było zazwyczaj do wyboru biryani² albo bitki.

– Zabiłabym za porządny kawałek cheddara – powiedziała Madge.

Kucharz Fernandez wrócił do pracy dzień po zwolnieniu. Najwyraźniej takie rzeczy były na porządku dziennym. Evelyn nie powiedziała nikomu o wyznaniu Minoo. Minęły już dwa tygodnie, a biedak wyglądał na jeszcze bardziej przygnębitego. Od czasu do czasu widzieli, jak jego żona warczy na służących,

ale z mieszkańcami hotelu prawie już nie rozmawiała i nie robiła pedicure'u. Jean Ainslie też wydawała się trochę milcząca. Nikt nie znał przyczyny, ale jej zachowanie sprawiało, że atmosfera stawała się coraz dziwniejsza. Jakby wszyscy czekali, że coś się wydarzy. Może to z powodu coraz wyższych temperatur, które zapowiadały porę monsunową.

– Spójrzcie! – zawołała Stella, pokazując coś za oknem.

Przejeżdżali akurat przez rzekę. Na brzegu wyrastał las prania rozwieszonego na kilometrach sznurków. Rzędy prześcieradeł połyskiwały w gorącym powietrzu, a małe postacie uderzały ubraniami o kamienne kadzie.

– To *dhobi Ghat*³ – powiedziała Eithne. – Nasze pranie na pewno też tam jest.

– Może zobaczę swoje różowe spodnie – zażartowała Madge.

– Nie! – zawołała Stella. – Nie o to chodzi. Spójrzcie, to Dorothy.

Poleciły kierowcy, żeby się zatrzymał. Obok przejechała ciężarówka, trąbiąc dziko i buchając kłębam dymu. Wszystkie założyły okulary i wyjrzały przez okno. Obok rozwieszonego prania stało kilka chat pokrytych plastikowymi dachami. Parkowała tam czarno-żółta taksówka. Nawet z tej odległości były w stanie stwierdzić, że to Dorothy: błękitne spodnie i biała bluzka. Rozmawiała z jednym z praczy.

Siedziały w samochodzie i gapiły się na nią ze zdziwieniem.

– Do licha, co ona tutaj robi? – zapytała Evelyn.

– Może szuka swoich gaci – odparła Madge.

Dorothy przysła na obiad. Żadna nie zapytała, co robiła w *dhobi ghat*, bo z nią nic nie było proste. Siedziała przy stole z Grahamem i siostrami ze Szkocji, miłymi, lecz nudnymi wdowami z Fife. Dzięki wysiłkom Madge nowa aranżacja stołów sprzyjała nawiązywaniu kontaktów towarzyskich. Zostały tak zestawione,

że przy każdym siedziały cztery osoby, co według Madge sprzyjało konwersacji. Dwie osoby byłyby pod zbyt dużą presją, a ponad cztery, w tym głusi, nie były w stanie się wzajemnie usłyszeć. Madge była weteranką różnych wycieczek i rejsów i znała się na takich rzeczach. To było trochę jak zabawa w krzeselka do wynajęcia – ten, kto przychodził ostatni, miał do wyboru Normana lub Hermione Fox-Harding, kolejną miłośniczkę kotów, która cierpiała na wzdęcia. Cała sztuczka polegała na tym, by wejść całą grupą i bezwzględnie trzymać się razem.

Evelyn siedziała z koleżankami, z którymi była na wycieczce, i zaintrygowana spoglądała na Dorothy. Zaciekawienie zmieniło się w zdumienie, gdy Dorothy zamówiła butelkę wina. Nikt nie pił wina, bo było niebotycznie drogim i rzadkim trunkiem, zupełnie jak za czasów ich młodości. Pili więc miejscowe piwo, indyjski spirytus lub – ci bardziej ekstrawaganczy i rozrzutni – importowany likier. Jimmy przyniósł butelkę, trzymając ją jak pochodnię, i trzeba było mu pomóc z korkociągiem.

– Co jest, staruszko? To chyba nie twoje urodziny? – zagrział Norman, spoglądając łakomie na butelkę.

Dorothy pokręciła głową. Po dłuższej chwili znowu zjawił się Jimmy, niosąc drżącymi rękami tacę z czterema zakurzonymi kieliszkami.

Evelyn z odległości kilku metrów obserwowała twarz Dorothy. Otaczała ją atmosfera tłumionego podniecenia, jakby usłyszała w radiu jakieś rewelacje, o których nikt inny nie miał pojęcia. Dorothy nabiła na widelec kawałek jajka w majonezie, uniosła do ust i za chwilę odłożyła, zatopiona w myślach.

Jeszcze do niedawna Evelyn broniła Dorothy przed krążącymi wśród pensjonariuszy oskarżeniami o brak rozumu. Ekscentryczność, obok cheddara, była jedną z zanikających wartości, z których Brytyjczycy mogli być dumni. Zanim przyjechali do tego hotelu, wielu od lat żyło samotnie, co sprzyjało różnym dziwactwom. Sama Evelyn często rozmawiała na głos z Hugh.

Ale przedwczoraj Evelyn zobaczyła, jak Dorothy rozmawia z ogrodnikiem.

Kiedy podeszła na tyle blisko, by usłyszeć poszczególne słowa, odkryła, że wcale nie mówi po angielsku, był to jakiś trudny do zrozumienia żargon. Nic dziwnego, że *mali* wyglądał na zdezorientowanego i kręcił głową. Potrząsał nią w taki sposób, jakby chciał powiedzieć: *Oczywiście, zgadzam się, jeśli właśnie to chcesz powiedzieć, ty stara stuknięta Angolko*. Wszyscy mamy swoje małe dziwactwa, pomyślała Evelyn. A niektórzy są po prostu dziwniejsi niż inni.

Weźmy na przykład Muriel Donnelly. Ostatnio była jakby bardziej wzburzona i poruszona. Wizyta u świętego człowieka nie przyniosła spodziewanych rezultatów i nadal nie było wiadomości od jej syna. Wiele razy dzwoniła do jego domu w Essex, ale bezskutecznie. Sąsiedzi też nie mieli o nim żadnych informacji. Wszelkie wysiłki Muriel, by wytropić jego żonę i jej dzieci, Jordana i Shannon, również spaliły na panewce. Może żona także uciekła. Muriel nie miała pojęcia. Zresztą nigdy za sobą nie przepadały.

Jednak się nie poddawała i nie ustawała w wysiłkach. Cuda się przecież zdarzają. Bez nadziei straciłaby w końcu całą wolę życia.

Po obiedzie Evelyn usiadła w holu i zaczęła czytać stary egzemplarz „Good Housekeeping”. Z pokoju telewizyjnego dochodziły dźwięki serialu komediowego *Porridge*, który ktoś znalazł w wypożyczalni Khana. W fotelu naprzeciwko drzemała Hermione z zeszytem na kolanach. Spisywała w nim wspomnienia dla swoich wnuków.

Muriel podeszła do Evelyn i szepnęła:

- Wiesz, jutro idę powróżyc sobie z liści.
- Z liści?
- Przepowiedzą mi przyszłość.
- Myślisz, że to dobry pomysł? – zapytała Evelyn.
- Wszystko jest w nich zapisane – odparła Muriel.
- Jak to? Myślałam, że chodzi o to, jaki kształt przybiorą.
- Ale co?

– No, fusy.

– Nie chodzi o fusy, złotko – powiedziała Muriel. – Chodzi o liście palmy. To ja sama je ułożę i może nawet się dowiem, kiedy umrę.

Tymczasem Hermione na dobre zasnęła w fotelu, a pamiętnik wyslizgnął jej się z rąk i spadł na podłogę.

Mówią, że Ammachi jest ucieleśnieniem Bogini, Boskiej Matki Wszechświata. W jej aśramie, w małej rybackiej wiosce nad Morzem Arabskim, zbudowanej w miejscu jej domu rodzinnego, w którym przyszła na świat, tysiące ludzi z całego świata pragną otrzymać jej wyjątkowy darśan, kiedy to Ammachi trzyma w ramionach każdego wyznawcę jak matka obejmująca ramionami swe dziecko.

Theresa siedziała na skale i czytała *From hier to nirvana*. Fale uderzały o brzeg i wracały z sykiem do morza. Ich rytm ją uspokajał. Każda fala była jej świadomością, obmywała ją, a potem wycofywała się, pozostawiając ją oczyszczoną i przepelnioną spokojem.

Prostolinijna, pełna energii, będąca archetypem macierzyństwa Przytulająca Matka osobiście przyjmuje każdą osobę, która do niej przyjdzie – śmieje się razem z nią, złorzeczy, pociesza, a na koniec mocno obejmuje (do uścisku dołącza zazwyczaj czekoladkę lub inne słodczy). Jest znana z tego, że jednej nocy obejmuje ponad piętnaście tysięcy wiernych, obdarzając każdego takim samym promiennym, niewymuszonym uśmiechem. Jej wierni uczniowie oceniają, że do dzisiaj przytuliła około dwudziestu milionów ludzi.

Jakże rzadko Theresę przytulała jej własna matka! Evelyn nie była osobą, która zwracała uwagę na fizyczność, była zbyt delikatna i zbyt angielska. Myśl, że mogłaby uprawiać z ojcem seks, była dla Theresy tak groteskowa, że aż trudna

do wyobrażenia. Kiedy była mała, podkraǳła się do ich sypialni i próbowała wspiąć się na łóżko. Matka bez słowa wzięła ją na ręce i zaniósła z powrotem do pokoju. Wtedy Theresa po raz pierwszy doświadczyła odrzucenia; pierwszy raz z wielu następnych.

Nagle poczuła obrzydliwy smród. Spojrzała w dół. W szczelinie między skałami piętrzyła się sęta odchodów. Wstała, ominęła skały i pokuśtykała na plażę. Rana w stopie pulsowała tępo. Indyjskie plastry były kompletnie bezużyteczne, odpadały po kilku krokach.

Prawdę mówiąc, uściski jej matki wcale nie były prawdziwymi uściskami; ot, krótkie przytulenie do sztywnego ciała, pocałunek w policzek. Te uściski były zdradzieckie, oszukańcze, bo zawsze zapowiadały pożegnanie. Przelotne przytulenie i rodzice wracali wytwornym samochodem do swojego szczęśliwego małżeństwa, pozostawiając Theresę na pastwę szkoły z internatem. Jak mogli odesłać swoje dzieci? Co to była za miłość? Oczywiście zawsze bardziej kochali Christophera, ich ukochanego chłopca. Och, Christopher nigdy nie mógłby zrobić nic złego.

Theresa pokuśtykała z powrotem do wioski. Gdyby tylko mogła znaleźć jakiegoś guru od stóp, który wyleczyłby jej ranę. Gdyby tylko mogła znaleźć jakiegoś guru od brzucha, który wyleczyłby ją z biegunki. Patrząc na bezpośrednie dowody znaczące piasek, domyśliła się, że nie jest jedyną ofiarą tej przypadłości.

Mijała po drodze całe sznury autokarów. Wioska była pełna pielgrzymów, wielu z nich przyjechało z Zachodu.

– Hej, koleżanko, co u ciebie? – Dwie młode Angielki uścisnęły ją serdecznie. – Spotkałyśmy się w Waranasi, pamiętasz? W Pandit’s Chai Shop.

To było wtedy, gdy Theresa miała trudności ze znalezieniem pokoju. W końcu trafiła do betonowej celi na głównej ulicy tuż przy kawiarence internetowej. Siadywała na łóżku i słuchała ruchu ulicznego, który przesuwał się

w żółtym tempie. Słyszała też głosy ludzi przechodzących pod jej oknem.

– Teraz mieszkam w Wembley – powiedziała jedna z dziewczyn. – Ale szukam pokoju w Kensal Rise.

Theresa z reguły unikała rodaków, ale nagle zatęskniła za rozmową, nawet taką ograniczoną do wymiany zwykłych uprzejmości z naćpaną dziewczyną z Londynu, która była od niej o połowę młodsza. Sięgnęła po wilgotną chusteczkę higieniczną, w paczce została tylko jedna. Próbowwała przetrzeć nią ranę, ale chusteczka wyschła.

Nic nie szkodzi, pomyślała Theresa. Jutro ktoś mnie przytuli.

1 W hinduizmie obiekt kultu boga Śiwy obrazowany jako Pierwotne Kosmiczne Jajo, z którego powstaje wszechświat i wszystkie stworzenia, popularnie przedstawiany w postaci fallusa lub jaja.

2 Aromatyczna potrawa z ryżu, kurczaka, z różnymi dodatkami i przyprawami.

3 Pralnia.

3

Ten, kto nie odczuwa podniecenia ani niechęci, kto nie narzeka ani nie pożąda; ten, kto jest poza dobrem i poza złem, ale ma miłość, ten jest mi drogi.

Bhagawadgita

- Spójrz, Jo-Jo, słonie! – Christopher wskazał na coś przez okno jeepa.
 - Już widziałem słonie.
 - Ale tylko spójrz. Tam jest całe stado: mama słonica, tata słoń i małe słoniątko.
 - Tato – odezwała się Clementine.
 - Mamo, jestem zmęczony. – Joseph z kciukiem w buzi przytulił się do matki na tylnym siedzeniu.
 - Na pewno nie jesteś aż taki zmęczony – powiedział Christopher.
 - Przecież wstali o szóstej – odparła jego żona.
 - Spójrzcie, dzieci! Cała rodzina słoni!
 - Strasznie krzyczysz, skarbie – zwróciła mu uwagę Marcia.
 - Ale nigdy przedtem nie widzieli słoni na wolności!
 - Owszem, widzieli.
 - Kiedy?
 - W Kenii, pamiętasz? W Masai Mara.
- Dzieci siedziały przyklejone do Marcii. Clementine, która w tej podróży jakby cofnęła się w rozwoju, równieżssała kciuk. Kierowca, miły i pomocny

mężczyzna o imieniu Hari, zatrzymał samochód.

– Słonie, sahib – powiedział.

Christopher zrobił zdjęcie. Ktoś musiał okazać dobrą wolę, choćby ze względu na Hariego. Słonie wyglądały jak szare głazy leżące pośród zarośli. Christopher ponaglał dzieci, żeby się czymś zainteresowały.

– Tak czy inaczej, zróbcie im zdjęcia – rzucił wesoło. – Będziemy je oglądać, gdy wrócimy do domu.

Nikt nie zareagował. Hari uruchomił jeepa i pojechali. Christopher chciał mu powiedzieć: „Nie obwiniaj mnie. Wiem, że moje dzieci są rozpuszczone, ale prawdę mówiąc, ich koledzy niczym się od nich nie różnią. Nie masz pojęcia, jak to jest”.

Na tylnym siedzeniu dzieci wisały na matce, a ona przytulała je w tak zawłaszczający sposób, jakby należały wyłącznie do niej. Naprawdę niemilosiernie je rozpieszczała. Oczywiście z powodu poczucia winy. Robiła karierę i prawie ich nie widywała, więc pobłażała im we wszystkim. Jak bardzo ten sposób wychowania różnił się od tego, w czym sam dorastał.

Samochód podskakiwał na wybojach. Christopher pragnął, żeby jego żona nie była aż taką zwolenniczką kontaktów fizycznych. Zwłaszcza z synem. To całe przytulanie nie było całkiem zdrowe. Czy w przyszłości nie wywoła to jakichś problemów?

Park Narodowy Mudumalai był dopiero czwartym dniem ich podróży, a dzieci już były znudzone. Zwiedziły różne świątynie i plaże, płynęły łodzią po rozlewiskach Kerali i korzystały z zadziwiająco dobrze zaopatrzonych bufetów w luksusowych hotelach. Pływały w basenach wielkości Piccadilly Circus, otoczonych palmami rojącymi się od papug. Obsługiwali ich lokaje, którzy serwowali wymyślne bezalkoholowe drinki i zbierali mokre ręczniki pozostawione w pokojach. Clementine ożywiła się dopiero wtedy, gdy spotkała kogoś, kto znał Johnny’ego Deppa. Joseph spędzał większość czasu przyklejony

do swojego odtwarzacza CD i powracał do życia tylko wtedy, gdy wysiadały mu baterie.

– Wasz dziadek i ja pojechaliśmy kiedyś na kemping do Dartmoor – powiedział Christopher. – Przeszliśmy wiele kilometrów, mając w kieszeniach tylko jabłko i kawałek sera. Wiezorami bawiliśmy się, grając w okręty.

Clementine spojrzała na niego z odrazą.

– Tato, to strasznie smutne.

– Ależ skąd. Było cudownie. – *Cudownie?* Nigdy w życiu nie używał tego słowa.

Christopher czuł, że nie jest na swoim miejscu. Rodzina nie była dla niego czymś poważnym. Patrzył na anielską twarzyczkę swego siedmioletniego syna, który już wytrącał go z równowagi, podobnie jak uparta córka. Oczywiście martwił się, co szykuje dla nich życie, ale tak naprawdę czuł, że dzieci nie należą do niego. Byli daleko od domu, spędzali razem dwadzieścia cztery godziny na dobę, więc widział z przerażającą jasnością, jacy są naprawdę. Dlaczego nie potrafili być tak szczęśliwi jak inne rodziny?

Jeep podskakiwał na wybojach, mijając kilometry zagajników i zarośli. Krążyły nad nimi jakieś ptaki, ale Hari już się nie zatrzymywał, żeby im je pokazać. Christopher obrócił się do tyłu i uśmiechnął zachęcająco do swojej rodziny. Pozbawiona makijażu twarz Marcii była w świetle poranka chorobliwie blada. Musiał przyznać, że nie wyglądała na swój wiek, ale w tym stanie naprawdę nie była zbyt ładna.

I wtedy nagle spłynęła na niego wizja: zobaczył jedną z wiosek, przez którą przepływali w Kerali – obraz życia tak prostego, tak przejmująco pięknego, że nie mógł o nim zapomnieć. Roześmiane dziecko machające w kierunku łodzi, ubrana w sari kobieta z wdziękiem rzucająca ziarno kurom. *Zatrzymaj ten zapierający dech w piersiach urok.* Każdy skapany w słońcu mały domek, który mijali, był wizją edenu. Był to obraz nieosiągalnego szczęścia, którego

pragnął do łez.

– Kiedy wrócimy do hotelu, mamusiu? – zajęczała Clementine.

– Już niedługo.

– A potem pojedziemy do Utakamandu! – powiedział Christopher. – Zjedziemy ze wzgórza lokomotywą parową i najpierw zwiedzimy wspaniałe świątynie w mieście, które się nazywa Halebidu...

– Mamo, zobacz, jakiś robak mnie ugryzł!

– A potem w Mysuru...

– Popatrz, jak mi spuchło! – zawodziła Clementine.

– Tam jest przepiękny pałac...

– Czy ja umrę? – zapytała Clementine.

– Kochanie, nie rób takiego dramatu – odparł Christopher.

– Ona się tym martwi! – warknęła Marcia i zwróciła się do córki: – Skarbie, posmarujemy to czymś, jak wrócimy do hotelu.

– A później pojedziemy do babci! – ciągnął Christopher. – Do babci Evelyn. Nie może się doczekać, żeby się z wami spotkać.

– Czy ona nosi pieluchę? – parsknął Joseph.

– Nie bądź niemądry – odpowiedział Christopher. – Oczywiście, że nie.

– Ale starzy ludzie noszą pieluchy tak jak dzieci.

– Ty nosiłeś kiedyś pieluchy – powiedział Christopher.

– Obrzydliwe!

– A czy ona da mi jakiś prezent na Gwiazdkę? – zapytała Clementine.

– Jestem pewien, że tak. – Matka była znana ze skąpstwa, ale z pewnością kupi coś dla dzieci. Co prawda w Boże Narodzenie już ich tam nie będzie. Spędzą w Bangalurze tylko dwa dni, a potem pojedą na Goa. Christopher wiedział, że powinni spędzić święta z matką, ale nie byli w stanie dopasować terminów. Jednak będą tam mniej więcej w tym czasie i to się liczy. Poza tym

przyjedzie Theresa, więc chyba nie będzie aż tak źle?

Jednak poczucie winy wzbierało w nim jak fala mdłości. Był do niczego jako ojciec i jako syn. Przymknął oczy.

I wtedy ją ujrzał: kobietę, którą przez ułamek sekundy widział z łodzi. Była ubrana w jasnoniebieskie sari, kuciała przy brzegu i wykręcała pranie. W jej włosach odbijało się słońce. Gdy przepływali obok niej, podniosła głowę i się uśmiechnęła; jej uśmiech był tak olśniewający, że przez tę krótką chwilę rozwiął mgłę. Ten piękny uśmiech, jak promień słońca, sprawił, że stała się jasność.

– Mamo, to jest całe czerwone – poskarżyła się Clementine.

– Fuj! – rzucił Joseph.

Christopher spojrział na kierowcę. Folder gwarantował wykwalifikowanego eksperta od dzikiej flory i fauny, ale mniejsza z tym; w Indiach takie obietnice nie miały najmniejszego znaczenia. Przydzielono im starszego człowieka, który prawie nie znał angielskiego. Christopher spojrział na szczupłe kostki Hariego i jego szare od kurzu stopy. Ciekawe, ile zarabiał? Pewnie mniej tygodniowo, niż kosztował dzin z tonikiem.

Ach, dzin z tonikiem...

Hari wyjechał z rezerwatu dzikich zwierząt. Z szalasów natychmiast wyłonili się chłopcy i podbiegli do jeepa.

– Jak masz na imię? – zapytali.

– Topher – odparł Christopher.

Kiedy był chłopcem, wymyślił dla siebie takie przezwisko. Nigdy się wprawdzie nie przyjęło, bo żaden z kolegów tak go nie nazywał, i cały pomysł rozplynął się bez śladu w nieco upokarzających okolicznościach.

– Topher, Topher! – zawołali chłopcy. – Skąd jesteś?

– Z Anglii. Ale mieszkam w Nowym Jorku.

Christopher popatrzył na małych Hindusów. Nagle poczuł neodpartą chęć,

by oddać własne dzieci i przygarnąć tych roześmianych chłopców.

Dla nich jestem Topherem, pomyślał. Mógłbym zacząć od nowa z kobietą w jasnoniebieskim sari, która się do mnie uśmiechała, zadowolona z faktu, że istnieje.

Cześć! Nazywam się Madhu Sengupta i mam dwadzieścia sześć lat. Jestem pogodna, wykształcona i pochodzę z dobrej rodziny. Mam licencjat z zarządzania systemami informatycznymi, ale mimo tej nowoczesnej powierzchowności w głębi serca jestem wielką tradycjonalistką. Lubię grać w brydża, słuchać muzyki, dyskutować...

– Rahulu, ta wydaje się bardzo miła – szepnęła Evelyn.

Szukam mężczyzny, na którym mogłabym polegać i który mógłby polegać na mnie...

– Daj sobie spokój, kochanie – powiedziała Surinda do twarzy na ekranie telewizora.

– Zamknij się – warknął Rahul.

Mieszkańcy Marigold siedzieli w sali telewizyjnej i oglądali nagrania potencjalnych narzeczonych Rahula, młodego mężczyzny, który pracował w biurze obsługi klienta.

...i który jest w miarę przystojny...

– To cię raczej wyklucza – zarechotała Surinda.

Proszę, załącz swój horoskop.

Rahul usadowił się między nogami Evelyn i Madge, jego włosy błyszcząły w świetle telewizora. Powiedział, że chce się zapoznać z opinią ludzi, których ceni. Wszyscy byli oczarowani jego kredytem zaufania.

Na ekranie pojawiła się kolejna twarz.

Nazywam się Kiran Shrivastav i jestem chrześcijanką. Mam metr

siedemdziesiąt osiem i szukam partnera, który myśli o małżeństwie. Powinien być dobrze sytuowany, z poczuciem humoru. Pracuję jako pomoc dentystyczna i mam dwadzieścia dwa lata...

– Dwadzieścia dwa? – zapięła Surinda. – Chyba w swoich snach, koteczku.

Mówię płynnie w dialekcie kannada, hindi i po angielsku. Preferuję osoby niepalące. Proszę, napisz do mnie e-mail na ten adres.

– Wszystkie są bardzo ładne – powiedziała Evelyn. Tak bardzo pragnęła, żeby któraś z tych kobiet była żoną jej syna.

Na ekranie pojawiła się kolejna twarz.

Jestem rozwódką bez zobowiązań i szukam porządnego mężczyzny w dowolnym wieku, przynależność kastowa bez znaczenia...

– Biedactwo – mruknęła Surinda. – Musi być naprawdę zdesperowana.

– A mnie się podoba następna – wtrącił Rahul. – Oglądałem jej nagranie ze cztery razy...

– Proszę, proszę. – Uśmiechnęła się Surinda.

– A wy, ciocie, co myślicie?

Na ekranie pojawiła się piękna dziewczyna ze skromnie spuszczonej oczami.

Lubię taniec, teatr i jedzenie na mieście – powiedziała. – Jestem uczuciowa, opiekuńcza, ukończyłam...

– Ja ją znam! – zawołała Surinda. – Chodziłyśmy razem do college'u. Rahulu, to straszna zdzira.

– Co ona powiedziała? – zapytała Stella.

– I ma tłusty tyłek!

Evelyn zauważyła stojącego w progu mężczyznę. To Minoo patrzył z daleka na telewizor. Nawet w mroku widziała, że jest zdenerwowany.

Eithne wskazała na ekran.

– Ta jest podobna do mojej Lucy. Trochę ciemniejsza, ale...

– Cicho!

– Mówi, że ma dla mnie niespodziankę na Boże Narodzenie – powiedziała Eithne. – To na pewno chodzi o nią, jestem pewna! Przyjedzie z Australii, żeby mnie odwiedzić.

– Zamknij się w końcu! – krzyknął ktoś. – Usiłujemy znaleźć żonę temu miłemu chłopcu.

Kiedy Evelyn ponownie spojrzała w stronę drzwi, Minoo już tam nie było.

Prezentacja dobiegła końca i starsza publiczność wstała, z trudem prostując kości, które strzelały jak kule z rewolweru.

Evelyn wyszła na zewnątrz. Minoo siedział w ciemności, skulony na schodach werandy. Pochyliła się ostrożnie i usiadła obok niego.

– Wspominasz swoją utraconą pannę młodą? – zapytała.

Potwierdził skinieniem głowy.

– Jak miała na imię?

– Bapsi. – Minoo spojrział na Evelyn. – Nie mogę tak dłużej. Hotel się rozpada i wszystko jest na mojej głowie.

– Naprawdę? – Evelyn rozejrzała się z niepokojem dookoła.

– Nie mogę pracować, nie mogę spać. Czy Bóg zesłał nas na tę ziemię, żebyśmy tak cierpieli?

Evelyn zniżyła głos.

– Zastanawiałeś się kiedyś nad rozwodem? W Anglii ludzie stale to robią. Są w gorącej wodzie kąpani.

– Ja jestem rozwiedziona – odezwała się Madge. – Evelyn i Minoo spojrzeli w jej stronę. – Wtrącam się wam do rozmowy?

– Proszę usiąść, madam – odparł Minoo.

– To była najlepsza rzecz, jaką zrobiłam – powiedziała Madge, siadając na

schodach. – Wtedy właśnie spotkałam Arnolda. Czułam się, jakbym się na nowo narodziła. – Madge spojrzała na Evelyn. – Nie poznałabyś mnie, gdy byłam z Howardem, moim pierwszym mężem. Byłam taką szarą myszką. – Zapaliła papierosa. – Przy Arnoldzie stałam się zupełnie inną osobą. On mnie nieustająco rozśmieszał. Świetnie się razem bawiliśmy, aż do samego końca. Pamiętam, jak kiedyś się pochylił, żeby podnieść coś z podłogi – a strasznie bolały go plecy – i powiedział: „Skoro już jestem na dole, to może chciałabyś coś jeszcze z podłogi?”.

Siedzieli na schodach i patrzyli w ciemność. Na drugim końcu werandy Eithne nawoływała kota:

– Tommy... Tommy?...

– Ja miałam tylko jednego męża – powiedziała Evelyn. – W tamtym czasie wydawał się całkiem odpowiedni.

W ogrodzie rozległ się jeszcze jeden głos:

– Tinker? Tinker?... – Hermione też szukała kota.

– Z tego, co zrozumiałam, macie szansę na drugie życie, ale dopiero jak umrzecie – mówiła Madge. – A niektórzy z nas mogą rozpocząć od nowa, jeszcze kiedy żyją. – Wyciągnęła kolejnego papierosa. – Dzięki temu masz wrażenie, że żyjesz dłużej. To jak wakacje w dwóch ośrodkach.

– Drogie panie, zawsze myślałem, że wierzę w Boga – przyznał Minoo. – Ale teraz mam wątpliwości.

– Szczerze mówiąc, ja też – stwierdziła Evelyn.

– Czy mogłaby mnie pani poczęstować?

Madge podała Minoo papierosa i ogień. Evelyn lubiła zapach dymu. Przypominał jej Hugh, a poza tym odpędzał komary. Siedzieli tak we trójkę, zatopieni we własnych myślach. W ogrodzie nadal rozbrzmiewały słabe głosy. Dołączył do nich trzeci:

– Felix... Felix!

A gdzieś daleko za murem ogrodu głośno trąbiły samochody.

Wtedy na podjeździe pojawiła się jakaś postać. Ciężko było ją rozpoznać; widać było jedynie połysk jej jasnej szaty, przez co wyglądała trochę jak duch.

Zapadła cisza. Przez chwilę wszyscy się wsłuchiwali w chrzęst kroków na żwirze. Postać podeszła bliżej i wtedy się zorientowali, że to kobieta.

– Lucy! – Z drugiego końca werandy rozległ się krzyk i brzęk tłuczonego szkła. To Eithne upuściła talerz z jedzeniem dla kota. – Lucy, kochanie! – Eithne rzuciła się w stronę schodów, na których siedzieli. Odsunęli się, żeby ją przepuścić. – To moja córka! – zawołała zdyszana. Złapała się poręczy i zaczęła schodzić po schodach.

Może się potknęła. Nikt tego dokładnie nie wiedział. Nagle rozległ się trzask drewna. Poręcz się złamała i Eithne ciężko upadła na ziemię. Zerwali się szybko, żeby jej pomóc.

– Eithne, wszystko w porządku?

Evelyn nie patrzyła jednak na poturbowaną koleżankę. Patrzyła na postać, która zbliżała się do nich w ciemności: kobieta w średnim wieku ubrana w hinduski strój.

– Theresa!

– Cześć, mamó.

Evelyn popędziła żwirową ścieżką i wzięła córkę w objęcia – wyszło to trochę niezdarnie, bo na drodze stanął im plecak.

Wypadek Eithne wstrząsnął mieszkańcami hotelu. Została zabrana do szpitala Wiktorii ze złamanym biodrem. Wszyscy byli świadomi, co to oznacza. Jedna rzecz prowadziła do kolejnej: ci, którzy trafiali do szpitala ze złamanym biodrem, rzadko z niego wychodzili.

– To początek końca – stwierdziła Hermione, która nie była znana z taktu.

Państwo Ainslie odwiedzili Eithne następnego dnia. Zrobili wywiad niczym straż przednia, a potem zdali relację ze swoich wrażeń ze szpitala. Przy każdym łóżku siedziały rodziny, serwowano pełny zakres posiłków, a poza tym szpital nie różnił się specjalnie od placówek brytyjskich, włączając w to oczywiście oliwkowe twarze personelu. Córka Eithne została powiadomiona i mimo słabych protestów matki miała przylecieć z Australii następnego dnia.

– Jedna odhaczona, dziewiętnastu do wzięcia – powiedziała Madge do Normana. – Jesteśmy jak homary w akwarium, wiesz, w restauracji. Niedługo ktoś przyjdzie, wskaże palcem i powie: „Wezmę tego”.

Norman lubił Madge. Była atrakcyjną kobietą, w młodości pewnie niejednemu zawróciła w głowie. I też paliła, a nie tak jak te egzaltowane paniusie, z którymi musiał mieszkać. W jednej szalonej chwili pomyślał nawet, żeby się jej zwierzyć. Większość jego współmieszkanek wyglądała tak, jak zwykle wyglądają stare kobiety: nijakie beżowe ubrania i podobne fryzury. Trudno sobie nawet wyobrazić, że kiedyś uprawiały seks. Jednak kilka z nich, w tym Madge, przypominało zwyczajne kobiety, które po prostu trochę się zestarzały. Z nich wszystkich Madge była najlepszym okazem. Na pewno miała spore doświadczenie w sprawach łóżkowych i mogłaby rozproszyć jego obawy związane z pewnym małym problemem. *Ciekawe, czy twój mąż Arnold z czasem odkrył, że ma mniej pary w swojej starej łodydze?* Mimo wszystko Norman nie ufał Madge na tyle, by uwierzyć, że zachowa dla siebie jego tajemnicę. Gdyby wszystko wyszło na jaw, już nigdy nie mógłby chodzić z podniesioną głową.

Postanowił więc, że zasięgnie fachowej porady, i w książce telefonicznej znalazł nazwę odpowiedniej kliniki. „Leczenie impotencji”, głosił niewielki anons. „Przedwczesny wytrysk, choroby przenoszone drogą płciową, testy na HIV. Dyskrecja zapewniona”.

Norman siedział skulony w tuk-tuku, który jechał z kłopotem po Elphinstone

Street. Ulica była zakorkowana. Dzisiaj osiemnasty grudnia, pomyślał, to pamiętny dzień. Przyznanie się do tego, że ma problem, było pierwszym krokiem. Konkretnie działanie, czyli podniesienie słuchawki i umówienie się na wizytę, wymagało prawdziwej odwagi. Musiał to załatwić przed przyjazdem Pauline. Przy niej trudno będzie się gdzieś wymknąć, tym bardziej że była taką obowiązkową córką.

Riksza ominęła łukiem autobus. Od spalin z rury wydechowej łzawiły mu oczy. Dlaczego Pauline wlecze ze sobą tego swojego męża? Pewnie facet chce odwiedzić rodzinny kraj i sprawdzić, jak się mają jego inwestycje. Tym razem nikt nie mógł narzekać na zachowanie Normana. Nikt go też jeszcze nie wyrzucił z Marigold. Oczywiście dlatego, że nie miał tu zbyt wielu pokus.

Pomyślał o Eithne, biednej starowinie, która popadała w zapomnienie w szpitalu. Żałował, iż powiedział jej, że wygląda w swoich okularach jak Rosemary West.

– To twoja znajoma? – zapytała Eithne.

– Nie, to seryjna morderczyni z Gloucester.

– Słucham? – zapytała Eithne, która w najlepszym razie nie była zbyt bystra.

– Fred West i tak dalej – odparł Norman. – Pamiętasz?

Eithne chrząknęła cicho, trochę przestraszona.

Powinna zaskarżyć ten cholerny hotel, ale ich pokolenie nie robiło takich rzeczy. Coś takiego nie przejdzie jej nawet przez myśl. Poza tym, gdyby Sonny nie zadziałał w tej sprawie, a bez wątplenia to zrobił, to miejsce prawdopodobnie nigdy nie przeszłoby żadnej kontroli i nie otrzymało odpowiednich zezwoleń.

Tuk-tuk ominął stłoczone w korku samochody i zatrzymał się przed stertą gruzu. Norman wy dostał się z ciasnego wnętrza pojazdu i wyprostował z jękiem bólu. Przed nim wznosił się odrapany budynek Elphinstone Chambers. Tabliczki przyporządkowane poszczególnym piętrům informowały o mieszczących się tam firmach: „Krawiectwo Ishmaila”, „Materiały na ubrania i koszule”, „Biuro

Podróży Rahmana”. Potem spojrzął w górę. *Trzecie piętro. Klinika Meerhar.*

– Te indyjskie kartki samoprzylepne są beznadziejne – powiedziała Evelyn, podnosząc jedną z podłogi. – Do niczego nie chcą się przykleić.

– Do niczego nie musisz się przyklejać, mamó – odparła Theresa. – Niech się dzieje, co chce.

– Nie bądź niemądra, skarbie. Nic nie zapamiętam, jeśli jakoś sobie nie przypomnę.

– To żart, mamó. W aśramach zawsze dużo się śmialiśmy.

Wyszły z sypialni i ruszyły korytarzem. Theresa jeszcze utykała, ale pani Cowasjee w rzadkiej chwili łaskawości opatrzyła jej stopę. Theresa włożyła kapcie swojej matki: bladoniebieskie, wykończone puchem.

– Na szczęście to tylko stopa – powiedziała Evelyn. – Tak się o ciebie martwiłam. Teraz słyszy się takie historie...

– Wszystko ze mną w porządku – odparła Theresa.

– Muzułmańscy terroryści...

– Ale nie w Indiach.

– Muzułmanie przysparzają tylu problemów, wszystko bombardują, ciągle się modlą...

– Mamó! Nie wszyscy muzułmanie są terrorystami.

– Każdy, kto ma do czynienia z chwałami, wie, na czym polega terroryzm – ciągnęła Evelyn. – Wyrwij jedną łodygę, a na jej miejscu zaraz rozplenią się inne, będą mnożyć się pod ziemią...

– Mamó...

– Zlikwidowanie jednego tylko zachęca następnych. I pojawiają się tam, gdzie się ich zupełnie nie spodziewasz.

– Mamó! Nie bądź głupia.

– Nie powinnaś mówić do mnie w ten sposób – zareagowała ostro Evelyn. – Wyrażasz się jak dwunastolatka.

Evelyn nie mogła nic na to poradzić, była dzisiaj w wybuchowym nastroju. Zdenerwowała się upadkiem Eithne, a własna córka już po dwóch dniach zaczynała ją irytować. Spojrzała na Theresę. W jej włosach pojawiły się srebrne nitki, których wcześniej nie zauważyła. Cera córki bez makijażu wyglądała blado i niezdrowo. Doprawdy, sześć tygodni w Indiach, a ona ani trochę się nie opaliła. I do tego te nieszczęsne kolorowe pizamy! Wyglądały ładnie na Hinduskach, ale Theresa sprawiała wrażenie, jakby właśnie wstała z łóżka, w którym leżała złożona grypa.

– Musisz się wyrwać z tego zakłętego kręgu – powiedziała Evelyn. – Kręcisz się w kółko. Kiedy wreszcie się z tego wyrwiesz, dorośniesz i będziesz szczęśliwa.

– Dobry Boże, mamo! Mówisz jak Hinduska.

– Bo tu mieszkam, pamiętasz?

Theresa chrząknęła. Weszły do holu. W tym momencie Evelyn uświadomiła sobie, że coś się między nimi zmieniło. Nie była już tą samą przestraszoną osobą, która przyjechała tu trzy miesiące temu. Czowała się bardziej wolna – z gołymi nogami i nowymi przyjaciółmi. Coraz bardziej lubiła Surinę i Rahulę, który był mniej zblazowany, niż na to wyglądał. No i byli jeszcze jej przyjaciele z hotelu, którzy stali się jej bliscy prawie jak rodzina. A przede wszystkim zmienił ją ten zaskakujący i urzekający kraj. A córka, którą kochała i która doprowadzała ją do szału, pozostała dokładnie taka sama.

Norman siedział w poczekalni i spoglądał na pozostałych mężczyzn. Było ich ośmiu, wszyscy rzecz jasna to Hindusi. Niektórzy palili. Wszyscy wyglądali tak, jakby siedzieli tu co najmniej od roku. Kiedy Hindusi na coś czekają, roztaczają wokół siebie taką dziwną aurę. Ciekawe, o czym teraz myślą. O bzykanku,

którego konsekwencje ponoszą? O tym, czy było warto? Mógł się założyć, że nie cierpieli z powodu impotencji. Hindusi nigdy nie odpuszczają. Wystarczyło spojrzeć na te chmary dzieci, by uświadomić sobie, że przeciętny mieszkaniec Bangaluru nie ma problemów ze wzwodem. Wszyscy byli też dobrze zaznajomieni ze sztuką kochania. *Kamasutra*, którą Norman czytał z przejęciem w młodości, wymieniała osiem rodzajów śladów paznokci – *osiem* – które można zrobić w trakcie stosunku. Norman tylko raz podrapał kobietę, i to z bólu, kiedy pasek od zegarka zaplątał mu się we włosy łonowe.

Ciekawe, co zrobi lekarz. Może na początek przepisze mu viagrę, żeby sprawdzić, jak zadziała. A może zaordynuje jakiś egzotyczny specyfik ze sproszkowanego rogu nosorożca albo coś w tym rodzaju. W końcu to Indie. Ostatnią deską ratunku jest podobno jakaś pompa, ale z pewnością do tego nie dojdzie.

– Chcesz fajkę? – zapytał siedzącego obok mężczyznę.

Ten pokiwał głową, a potem wziął papierosa.

– Mówisz po angielsku?

Mężczyzna raz jeszcze pokiwał głową w milczeniu.

Wszyscy wyglądali jak urzędnicy bankowi – chudzi i kiepsko opłacani. Atmosfera była gęsta od rozpacz. W domu prawdopodobnie czekało na nich tylko kilka pszennych placków. To naprawdę zabawne, że nie posiadali niczego oprócz jednej rzeczy, za którą Norman oddałby własne zęby, gdyby tylko jeszcze je miał.

Drzwi gabinetu otworzyły się i stanęła w nich pielęgniarka.

– Pan Smith! – zawołała.

Nikt się nie poruszył.

– Pan Smith?

Spojrzała na Normana. Podskoczył ze strachu, bo zapomniał, że podał fałszywe nazwisko.

Ruszył w kierunku gabinetu. Czuł się strasznie, bo miał wrażenie, że wszyscy się na niego gapią. Po raz pierwszy w życiu chciał być brązowy. Czyli *niewidzialny*.

Pielęgniarka otworzyła szerzej drzwi i wpuściła go do środka. Zza biurka podniósł się lekarz w białej marynarce.

Norman stanął jak wryty.

– Dobry Boże – powiedział. – Doktor Rama!

Theresa czuła, że się dusi. Na początku poczuła ulgę, że znalazła matkę w świetnej formie, a nawet kwitnącą. Jak na konwencjonalną Angielkę przystosowała się nadszpiewanie dobrze do nowych warunków. Odmłodziła, przestała nakładać puder na twarz. „I tak się zmywa, więc dałam sobie spokój”, powiedziała. I dzięki temu nawet się opaliła. Ciepły klimat łagodził jej artretyzm i ogólnie wyglądała młodo, zdrowo i świeżo. „Przyglądam się ludziom na ulicy i jestem wdzięczna za to, co mam”, powiedziała. Theresa poczuła wielką ulgę. Już nie musiała się czuć taka winna.

Zdziwiło ją również i to, że spotkanie z matką bardzo ją ucieszyło. Może była to reakcja na samotność i rozczarowanie podróżą (niestety musiała to przyznać). Chciała ją po prostu uściskać.

Ale po dwóch dniach dobry nastrój wyparował. Kłopot z odwiedzaniem ludzi na końcu świata polegał na tym, że kiedy już się tam znalazłeś, musiałeś zostać na dłużej. W jej przypadku aż na dwa tygodnie. Matka doprowadzała ją do szału! Przedziwnie było poczuć, jak na powierzchnię wydostają się dawne zadrażnienia i złość, ale w zupełnie nowym otoczeniu. Jakby ktoś zanucił kołysankę w samym środku rągi. Theresa wiedziała rzecz jasna, że bez względu na to, dokąd człowiek się uda, zawsze zabierze ze sobą swój bagaż, ale mimo wszystko to doznanie nie było przyjemne. Hotel też działał jej na nerwy. Na pierwszy rzut oka wyglądał czarująco, ale w rzeczywistości był groteskowym

miejscem, ograniczoną czasoprzestrzenią dla staruszków. *Czy jest miód do herbaty?* Miejscem, które umacniało wszystkie stereotypy i potwierdzało uprzedzenia. Głównego służącego nazywali Jimmym; na miłość boską, czy nie zdawali sobie sprawy, jakie to upokarzające? Żadne z nich nie nauczyło się ani słowa w hindi czy miejscowym języku kannada. Wszelkie wysiłki Theresy, by zainteresować ich najprostszymi zasadami hinduizmu, spotkały się z obojętnością i brakiem zrozumienia. Ten okropny Norman Purse z czerwonym nosem podśmiewywał się nawet ze słowa „lingam”. To zadziwiające, że Brytyjczycy tak uwielbiają żyć w tym swoim zamkniętym kokonie. Cóż, za nimi przecież całe wieki praktyki.

Wszystko brało się z negacji. Negacja to brytyjskie ustawienie domyślne – zaprzeczało się seksualności, zaprzeczało uczuciowości. Theresa sama musiała nad tym popracować. Dopiero po wielu latach terapii uświadomiła sobie, że nienawidzi brata. Zaprzeczenie budziło oczywiście strach. Theresa widziała go w twarzach tych starych ludzi zniszczonych przez zachodnią kulturę, w której zostali wychowani. Nic dziwnego, że bez przerwy pili dżin z tonikiem.

Dziwnym trafem jedyną osobą, która nadawała na tych samych falach co Theresa, była przedstawicielka klasy pracującej, Muriel Donnelly. Siadywały w jej zachwycająco kiczowatym pokoju i rozmawiały o reinkarnacji. Muriel w żadnym razie nie była intelektualistką, ale Theresa odkryła, że jest to wielka zaleta w przypadku tych, którzy kroczą ścieżką duchową.

– Oni myślą, że zblizkowałam – powiedziała Muriel – ale powinnaś zobaczyć Stellę Englefield. Ta to dopiero jest stuknięta. Dorothy Miller strasznie zadziera nosa, a sama słyszę, jak śpiewa *Here we go round the mulberry bush*¹, kiedy myśli, że nikt nie słyszy.

Opowiedziała Theresie o świętym człowieku, którego odwiedziła na starym mieście. Theresa postanowiła, że również się do niego wybierze, i od żony dyrektora zasięgnęła języka, jak tam trafić. Po dwóch dniach pobytu w Marigold

poczuła, że potrzebuje duchowego kopa.

Bangalur miał niewiele wspólnego z egzotyką: rozwlekłe miasto bez charakteru, zabudowane biurowcami. Pierwszego dnia wynajęła samochód i zabrała matkę na przejażdżkę. Kierowca nalegał, żeby pokazać im nowoczesne budynki należące do firm komputerowych, w tym szklany gmach, który wkrótce zostanie zajęty przez wielką korporację medialną.

– To nasza Dolina Krzemowa – powiedział z dumą. – Na pewno słyszały panie o Rupercie Murdochu? Zakłada tutaj firmę, która będzie tworzyć oprogramowanie dla jego globalnej sieci.

– Tu jest tak samo jak w Milton Keynes – stwierdziła Theresa.

– Cicho, kochanie – upomniała ją matka.

– Przejechałam pół świata, żeby od tego uciec.

Theresa z pewnością nie mogła złożyć wizyty świętemu człowiekowi, paradując w kapciach. Na szczęście rana prawie się zagoiła, więc zdjęła bandaż i włożyła klapki. Dyrektor Marigold znalazł dla niej mały pokój na poddaszu z dwoma łóżkami; najwyraźniej nie było innych wolnych pokoi.

Theresa udrapowała na ramionach *dupatte*² i zeszła na dół. Wszyscy starszycy akurat wlekli się nogą za nogą w kierunku jadalni.

– Zostań i zjedz z nami lunch – powiedziała matka.

– Nie, zobaczymy się później. Cześć, mamuś. – „Mamuś” zabrzmiało dosyć dziecinnie, w końcu Theresa była kobietą w średnim wieku, ale jak zwracać się do matki? Mówić do niej „matko”?

Theresa zastanawiała się właśnie nad tą kwestią, gdy drzwi otworzyły się z hukiem i stanął w nich Norman Purse, czerwony jak burak.

– Zgadnijcie, kogo przed chwilą spotkałem? – warknął. – Waszego cudownego doktora!

– Co masz na myśli, mój drogi? – zapytała Evelyn.

– Ten doktor Rama leczy rzeżączkę! – prychnął Norman. – Od początku wiedziałem, że jest jakiś podejrzany z tymi swoimi ulizanymi włosami.

Wszyscy milczeli.

– Ten facet to szarlatan! – kontynuował Norman. – Prowadzi klinikę chorób wenerycznych na Elphinstone Street.

– A co ty robiłeś w klinice chorób wenerycznych, złotko? – zapytała Madge.

– Przechodziłem tamtędy w drodze do banku. – Norman rzucił jej wyzywające spojrzenie. – Widziałem, jak wychodził z tej kliniki.

Zapadła cisza, a potem wszyscy spojrzeli na Minoo.

– Czy to prawda? – zapytał ktoś.

– Ale się wkurzyły – zachichotała Muriel. – Nic dziwnego, że zapisywał wszystkim antybiotyki.

Lunch dobiegł końca. Wieść o oszustwie doktora Ramy bardzo poruszyła wielu pensjonariuszy, więc niektórzy poszli odpocząć do swoich pokoi, by wszystko przemyśleć lub po prostu się zdrzemnąć. Muriel usiadła na werandzie z Douglasem Ainsliem, który jako mężczyzna nie był podatny na urok doktora i dlatego nie czuł się głęboko zdradzony.

Sprawił jednak wrażenie nieobecnego. W ciągu ostatnich tygodni bardzo się zmienił. Ten żywy, energiczny, opalony ekstrawertyk, z gęstymi siwymi włosami i okularami w złotych oprawkach, nagle jakby się zmniejszył i stracił cały wigor. Siedział beczynnie całymi godzinami i patrzył przed siebie pustym wzrokiem. I nie jeździł już na wycieczki ze swoją żoną. Nikt nie wiedział, co mu jest. Może był na coś chory. Muriel zdusiła śmiech i pomyślała, że trzeba wezwać lekarza.

Ma się rozumieć, że wiadomość o doktorze Ramie nią nie wstrząsnęła. Muriel i tak nigdy nie wierzyła w zagranicznych lekarzy. Była jednak rozczarowana, bo utraciła świeżo zdobyty entuzjazm dla duchowej strony życia w Indiach. Niestety

musiała to przyznać: to osobliwe lekarstwo również nie zadziało. Ostatnia wizyta u wróża przepowiadającego przyszłość z liści palmy także nie przyniosła odpowiedzi na pytania o jej syna; poznała tylko datę swojej śmierci.

To ją kompletnie zaskoczyło. Przepowiadanie z liści nazywało się *nadi*. W przepojonym zapachem kadzidła pomieszczeniu siedział stary człowiek, który najpierw zapytał ją o datę urodzenia, a potem pobrał odcisk kciuka jej lewej dłoni. Później wziął do ręki pęk palmowych liści przewiązanych sznurkiem i wybrał jeden. Liść był pokryty małymi literkami i wyglądał, jakby rozbiegły się po nim robaki. Starzec zaczął czytać.

Niektóre rzeczy się zgadzały: wloty i upadki, utrata ukochanego. Już wcześniej to słyszała, i to wielokrotnie. A potem powiedział jej tamtą rzecz.

Muriel musiała to przyznać: gdy usłyszała datę swojej śmierci, wypadła stamtąd jak szalona. „Umrzesz spokojnie, po krótkiej chorobie”, powiedział. I podał czas i miejsce.

Od myślenia zaczęło ją ścisnąć w żołądku. Na dodatek nikomu o tym nie powiedziała, nawet swojej powiernicy, pani Cowasjee.

Douglas wypił kawę i wyszedł. Muriel została sama. Spojrzała na puste krzesła i pomyślała o ludziach, którzy na nich siadywali. Każdy z nich miał swój palmowy liść. Gdzieś daleko w bramie zadźwięczał dzwonek; jakiś sprzedawca próbował przyciągnąć jej uwagę.

Niektóre krzesła były odsunięte od stołu, tak jak je zostawili biesiadnicy. Niedługo pojawi się Jimmy i je poustawia. Na ścianie siedziała jaszczurka, wyglądała jak broszka. Tkwiła tam bez ruchu od wielu godzin.

Mamy dużo czasu, mamo. Keith obejmował ją ramieniem. Hej, nie płacz. Pocałował ją w policzek. Będę tęsknić za tobą jak cholera, ale tylko pomyśl: przynajmniej nie potraci cię jutro żaden autobus.

Muriel usłyszała kroki. Otarła nos wierzchem dłoni. To była Dorothy. Wysła frontowymi drzwiami i ruszyła w kierunku podjazdu. Mimo że chodziła

o lasce, otaczała ją atmosfera zdecydowania i determinacji, jakby nie miała chwili do stracenia.

Muriel szybko wstała i złapała torebkę. Dorothy znowu się dokądś wybierała, ale tym razem Muriel się dowie, gdzie chodzi ta stara wariatka. Szybko przeszła podjazdem. Miasto już nie było jej straszne; przepowiednia głosiła, że nie przytrafi się jej żaden wypadek. Przez chwilę była zadowolona, że zna swój los.

Dorothy znalazła się na ulicy, przeszła na drugą stronę i zbliżyła do postoju riksz.

– Memsahib! – Wśród kierowców nastąpiło poruszenie. – Tutaj, memsahib!

Dorothy wsiadła do jednego z tuk-tuków i odjechała Brigade Road. Muriel wsiadła do następnego pojazdu i wskazała na rikszę Dorothy, która już zniknęła w tłumie.

– Za nią! – krzyknęła i machnęła ręką, jakby odpędzała muchę. – Za tą rikszą! Szybko!

– Panie Sonny, ja już odchodzę od zmysłów! Nie wiem, co robić! – powiedział Mino do słuchawki. – Rezydenci są bardzo zdenerwowani i raczej nie można ich za to winić, prawda? Myślą, że ich kantujemy. Och, po co wdaliśmy się w to głupie przedsięwzięcie...

– Uspokój się, człowieku! – powiedział Sonny.

– Ta sytuacja doprowadza mnie do szału. Nie ma pan pojęcia...

– Posłuchaj... – zaczął Sonny.

– ...pójdę z tym do władz, o wszystkim opowiedzą i stracę licencję. Co robić?

Sonny wyłączył komórkę. Niech to szlag! Jeszcze tego mu brakowało! Ten drań PK, cholerny dupek, oszukał go na sto tysięcy rupii i zniknął bez śladu. Pewnie przekupił policję, bo nawet najlepszy tajny współpracownik Sonny'ego,

który również był członkiem Klubu Rotariańskiego, przestał odbierać jego telefony. Nie ma wątpliwości, że zbiry PK były odpowiedzialne za pobicie kierownika magazynu, który teraz leżał w szpitalu i odmawiał identyfikacji napastników. Problemy Sonny'ego zaczęły żyć własnym życiem. Musiał się mocno zapożyczyć, żeby pokryć straty, i teraz bank żądał od niego spłaty pożyczki. Kolejne z jego przedsięwzięć również było zagrożone – planowane zezwolenia w tajemniczy sposób zostały cofnięte. W jego rezydencji sprawy też nie układały się pomyślnie i znalazły się w punkcie krytycznym. Żona Sonny'ego zwolniła służącego, który pracował dla jego rodziny od dwudziestu lat. Na dodatek jego kuzyn Ravi dręczył go e-mailami, żądając informacji na temat planów światowej ekspansji firmy Ravison Retirement Homes. Czy ten facet nie potrafił pojąć, że Sonny jest już na granicy wytrzymałości?

Sonny siedział przy biurku i obracał w palcach długopis. Na Brigade Road tętnił ruch uliczny. Biuro Sonny'ego było oddalone o dwie przecznice od hotelu Marigold, który jeszcze kilka miesięcy temu wydawał się spełnieniem jego marzeń. Świat biznesu opierał się na niepewnych podstawach – zbyt chwiejnych, jak się okazało w przypadku projektu związanego z Defence Colony. Akcje na giełdzie gwałtownie spadały, gospodarka się załamywała, a wielkie korporacje – Enron i World.Com – chwiały się w posadach. Jediną rzeczą, której mężczyzna mógł być w życiu pewien, było to, że się zestarzeje i będzie potrzebował czyjejś pomocy. W miarę swoich skromnych możliwości Sonny się starał, żeby ją sobie zapewnić. Pamiętał tę chwilę olśnienia w hotelu Royal Thistle w Bayswater! A teraz to genialne przedsięwzięcie było zagrożone przez tego wścibskiego starego zbrojeńca Normana Purse'a. Jak mógł tak wszystko spieprzyć? Przecież jego córka też zainwestowała w ten biznes! Jak śmiał namieszać w jedynym przedsięwzięciu, które w miarę gładko szło?

Sonny gotował się ze złości. Jeszcze się rozprawi z tym starym *chootiya*. Musi się tylko zastanowić, jak to zrobić.

Wyobraź sobie, że spotykasz nieznajomego. Theresa przypomniała sobie fragment książki o medytacji. Dostrzegasz go i zdumiewa cię jego promienna obecność. Znajdowała się w jakimś zaułku pełnym zardzewiałych części samochodowych. Po drugiej stronie stały stragany zavalone rurami wydechowymi, a obok nich siedzieli mężczyźni, popijali herbatę i przyglądali się jej. Była gdzieś w samym środku starego miasta. W ręce trzymała kartkę z instrukcjami od pani Cowasjee. Jak możesz opisać tę osobę? Co czyni ją tak wyjątkową? Pytasz nieznajomego o imię i dowiadujesz się, że patrzysz na część samej siebie. Podziękuj nieznajomemu i pożegnaj się z nim. Powitaj swoje wewnętrzne piękno.

Theresa zatrzymała się przy rynsztoku. Coś się jeszcze wydarzy. Przytulająca Matka, z którą wiązała tyle nadziei, nie spełniła jej oczekiwań. Na spotkanie z nią czekało wielu wyznawców, ale Theresa jako Europejka, dla której czas był bezcenny, została zaprowadzona na początek kolejki. Ammachi była uśmiechniętą kobietą w średnim wieku. Uścisnęła ją i obdarowała landrynką. Może Theresa była zbyt rozkojarzona z powodu bolącej stopy, ale na tym wszystko się zakończyło i nie poczuła żadnej różnicy. Było dokładnie tak samo jak przedtem.

Na dodatek nie mogła się nikomu zwierzyć, a już na pewno nie matce. *Kochanie, skąd ten pomysł, żeby przytuliła cię jakaś obca kobieta? Przecież ona w ogóle cię nie zna.*

SKRĘĆ W PRAWO NA TARG Z CIUCHAMI. Theresa rozejrzała się po zaułku. Był wąski niczym szczelina między budynkami i strasznie zatłoczony. Nie docierał tam ani jeden promień słońca i cuchnęło ściekami. To są właśnie prawdziwe Indie, pomyślała. Tutaj się czuję jak w domu.

Theresa zgubiła drogę. Przeciskała się teraz przez bazar z przyprawami i ziołami, o którym pani Cowasjee nie wspominała w swoich wskazówkach. Na straganach piętrzyły się w workach kopczyki kolorowych posypek – rdzawych,

żółtych, purpurowych. Wszędzie kłębili się i rozpychali ludzie.

– Bakszysz, memsahib! – Ktoś machnął w jej stronę kikutem nogi.

SKRĘĆ W LEWO NA GANDHI MARKET. Czy to był Gandhi Market? Usłyszała narastający łomot; ktoś niedaleko grał na trąbce. Przez tłum przedzierała się grupa *hidźrów*³, spoglądając pożądliwie na mijanych ludzi. Theresa nie trawiła eunuchów i ich wytapetowanych męskich twarzy. Jeden z nich obscenicznie poruszał językiem. Wyginali się i wili w swoich sari, wędrując zapewne z jednej zabawy na drugą, od błogosławieństwa do przekleństwa, rozchylając bezwstydnie poły szat.

Theresa nie wpadła w panikę. *Jeśli go znajdę, to go znajdę*. Już wcześniej się gubiła w labiryncie zrujnowanych indyjskich ulic, więc wiedziała, że nie ma sensu z tym walczyć.

Nagle poczuła się strasznie samotna. Zatęskniła za tostami z dzieciństwa. Gdyby tylko mogła znowu ułożyć się do snu w swoim łóżku. Oczywiście wiedziała, że już nigdy nie położy się w tamtej pościeli. Jej pokoju dawno nie było, podobnie jak dzieciństwa. Szczęście zagubiło się tak samo jak nirwana – stan, którego nigdy nie zdoła osiągnąć.

Potknęła się przy straganie z garnkami. Zobaczyła, że na końcu zaułek rozgałęzia się w kilku kierunkach.

– Janpath Lane, *kahaan hai*?⁴ – zapytała trzech starszych mężczyzn, którzy przeżuwali *paan*. Pokiwali głowami i wskazali trzy różne kierunki. Jak się nazywa ten *sadhu*?⁵

I wtedy go zobaczyła: ciemnowłosego Europejczyka zlanego potem, który przedzierał się przez tłum.

– Hej, kochanie, jesteś Angielką? – zapytał.

Theresa przytaknęła. Podszedł bliżej, oddychając ciężko, jakby biegł. Było w nim coś podejrzanego – kilkudniowy zarost, ciemne okulary – i jednocześnie coś kociego. Poczuła ciepło rozchodzące się w jej wnętrzu.

– Kurwa, nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię widzę. – Chwycił ją mocno za ramię. – Wiesz, jak się stąd wydostać?

Na trawniku pochylała się jakaś postać i podlewała go wężem ogrodowym. Riksza Muriel jechała powoli, kołysana raz po raz podmuchami mijających ją aut. Pomiedzy wkomponowanymi w krajobraz trawnikami wznosiły się biurowce Motoroli i Meyer Systems, a reszta była jeszcze w budowie. Po kruchych drewnianych rusztowaniach wspinali się robotnicy, podając sobie wiadra. Tutaj był inny świat – Dolina Krzemowa.

Z przodu riksza Dorothy migotała w gorącym powietrzu. Muriel miała wrażenie, że zaraz zniknie jak fatamorgana. Co, do licha, wyprawia ta kobieta?

Muriel chwyciła się poręczy. Siedzący przed nią kierowca owinał głowę brudną szmatą. Był starym człowiekiem, starszym od niej. Siedział zgarbiony na swoim krzeselku i tak oboje jechali w milczeniu. Muriel myślała o placu zabaw na Clapham Common i małej rączce Keitha w swojej dłoni. Cyganka Rose Lee – rzecz jasna nie ta prawdziwa, która już nie żyła – wywróżyła jej, że będzie podróżować. Teraz rozumiała, co miała na myśli. Może ta podróż nigdy się nie skończy. Ten biały duch w łachmanach będzie ją tak woził bez końca rikszą, aż dotrą do dalekiej, nieznannej ziemi leżącej poza miastem. Na pustynię? W góry? Będzie tak jeździł przez wiele lat, aż w końcu doścignie go śmierć, a ona się rozplynie jak miraż. *Umrzesz spokojnie.* A tam będzie na nią czekał Leonard, ciągle młody i przystojny mężczyzna, którego kiedyś kochała. Przestał się starzeć, gdy ona zaczęła, bo istniał poza czasem. Wszyscy tam na nią czekali – jej rodzice, bracia, siostry i jej mąż Paddy. Teraz wiedziała, że ich spotka. Może byli jak to stado szmaragdowozielonych papug, które zerwały się z palmy tak nagle, jakby ktoś strzelił z rewolweru. Muriel patrzyła na ptaki. Kto wie? Jej wiara była rozdygotana jak wnętrzości wstrząsane jazdą chybotliwą rikszą. Tylko jedna rzecz była pewna, ale o niej akurat nie chciała myśleć.

Nagle zauważyła, że minęli pojazd, którym jechała Dorothy, parkował na poboczu.

– Stój! – Muriel złapała kierowcę za ramię. Było kościste i chude. – STOP!

Kierowca zjechał z drogi i stanął.

– Zaczekaj tutaj – powiedziała. – Nie ruszaj się stąd. Rozumiesz?

Pokiwał głową. Muriel wysiadła.

Druga riksza parkowała kilka metrów dalej przy bramie, gdzie stała budka strażnika. Dorothy rozmawiała z człowiekiem, który siedział w środku.

Muriel czuła się bardzo niezręcznie. Wprawdzie Dorothy jej nie zauważyła, ale i tak miała zamiar zawrócić. W razie czego mogła przecież powiedzieć, że się o nią martwi, że wszyscy się o nią martwią, bo znika bez słowa. Wszak mogła się zgubić. Prawdopodobnie już się zgubiła i teraz pyta o drogę do hotelu.

Muriel szła poboczem, a przejeżdżające samochody rozdmuchiwały kurz prosto w jej twarz. Obie z Dorothy były porzucone i odcięte od świata na poboczu tej autostrady, zatłoczone ulice pozostały daleko za nimi.

Napis na bramie głosił: TEXAS INSTRUMENTS HEADQUARTERS BUILDING. W środku dostrzegła ozdobiony rabatkami podjazd prowadzący ku okazałemu budynkowi. Był tak samo stary jak ich hotel, ale ładnie pomalowany: miał białe ściany i zielone okiennice. Na zewnątrz parkowały eleganckie samochody i jeepy podobne do tego, jaki miał Keith. Obok był skrawek pustej ziemi, po której biegały prosiaki, obwąchując plastikowe opakowania.

Dorothy nadal jej nie widziała. Opierała się na lasce, a wolną ręką gestykulowała. *Chowkidar*⁶ był starym mężczyzną w szarym uniformie.

Muriel podeszła bliżej. Dorothy wyglądała na zniecierpliwioną i zdesperowaną. Mówiła w jakimś dziwnym języku, ale uliczny hałas zagłuszał jej słowa. Stary dozorca zmarszczył brwi i popatrzył na nią niepewnie. Mów do niego po angielsku, kotku, ponagliła ją w myślach Muriel.

– *Mai is ghar mey rehti thi*⁷! – Dorothy podniosła głos. – Jestem Dotty⁸! –

krzyknęła.

Muriel stanęła za nią i spojrzała na mężczyznę. Potem dotknęła konspiracyjnie swojej skroni, żeby mu pokazać, że Dorothy ma nie po kolei w głowie.

– Jestem mała Dotty! – wrzasnęła Dorothy.

Nie taka mała, złotko. Całkiem spora.

– Jestem mała Dotty! Dorothy! Nie pamiętasz mnie?

Muriel podeszła jeszcze bliżej i dotknęła jej ramienia.

– Chodź, kochanie. Czas wracać do domu.

Dorothy odwróciła się jak oparzona.

– On mnie nie poznaje! – powiedziała, a jej oczy błyszczały od łez. – To jest mój dom! Kiedyś tu mieszkałam, a jego ojciec był naszym kierowcą. Bawiliśmy się razem, gdy byliśmy mali! – Dorothy była tak zdenerwowana, że sprawiała wrażenie, jakby nie zauważała obecności Muriel. – Nie poznaje mnie! *Mai Mr. Miller ki beti hoo!*

I wtedy dozorca sobie przypomniał. Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Dotty? – zapytał zdławionym głosem i wyszedł ze swojej budki.

Przez chwilę wydawało się, że Dorothy rzuci mu się w ramiona. Zapanowała jednak nad sobą i wyciągnęła rękę. Stary człowiek przywitał się z nią, a potem oboje wybuchnęli płaczem.

Theresa rzuciła się na plecy i przytuliła do Keitha. Ich ciała były śliskie od potu, a pościel zmięta. Leżeli obok siebie i dyszeli jak psy. Nad nimi głośno pracował wentylator zawieszony na suficie.

Po chwili ich oddechy się uspokoiły i wybuchnęli śmiechem.

– No dalej – powiedział. – Chyba coś mówiłaś?

– Mówiłam coś? – Słońce powoli zachodziło i pokój był skąpany w złocistej poświacie.

– Co robiłaś na tym bazarze?

– Och, szukałam *sadhu* – odparła Theresa.

– Sadu?

– Nie! *Sadhu*, świętego człowieka.

– Nie potrzebujesz świętego człowieka – stwierdził Keith. – Możesz wielbić mnie.

Theresa oparła się na łokciu i powiodła palcami po jego klatce piersiowej – był opalony powyżej pasa i blady poniżej.

– Uważasz się za takiego, co?

Keith się uśmiechnął. Dotknęła mokrych włosów okalających jego penis. Miał najpiękniejszego penisa, jakiego w życiu widziała. Wiele członków – czerwonych i groźnych – pulsowało żyłami agresji. Sprawiały wrażenie niezwiązanych ze swoimi nierzadko nieszkodliwymi i łagodnymi właścicielami. A penis Keitha był gładki, beżowy i stanowił naturalną część jego ciała.

Pójście z nim do łóżka też wydało się jej całkiem naturalną rzeczą. Po prostu to zrobiła i już. „Kochanie się” było chyba nieodpowiednim sformułowaniem w przypadku dwojga ludzi, którzy znali się od kilku godzin; z kolei „uprawianie seksu” nie oddawało pełni tak żarliwego doświadczenia. Takiego upojenia.

– Wysłała mnie do niego pewna stara kobieta – powiedziała Theresa. – Taka zabawna staruszka, która mieszka w moim hotelu. Wygląda na ostatnią osobę, która miałaby ochotę spotkać się z *sadhu* albo w ogóle o tym pomyśleć. – Zaczepiła swoją stopę o jego. Chwycił ją między nogi. – A ty dlaczego tam byłaś? – zapytała. – Na tym bazarze?

– To długa historia. Powiedzmy, że ktoś wysłał mnie na spotkanie z pewnym człowiekiem, ale wyczułem, że coś śmierdzi jak szczur.

– Tylko jeden? Widziałam ze sześć.

– To była pułapka. Ktoś mnie wrobił – odparł Keith. – Uświadomiłem to sobie dokładnie w tym momencie, gdy cię zobaczyłem. Nie masz pojęcia, jak się ucieszyłem, bo byłem w niezłych tarapatkach.

– Opowiedz mi o tym. Jestem psychoterapeutką.

– Kochanie, nie potrzebuję psychoterapeuty, tylko płatnego zabójcy.

Theresa zadrżała z emocji.

– Jesteś przestępcą?

– Jestem biznesmenem.

Chyba nie, pomyślała. Jesteś zwierzęciem, w najczystszej, najcudowniejszej postaci.

– Ale zajmujesz się czymś podejrzanym – powiedziała. *Podejrzany*. To słowo przyprawiało ją o drżenie. – Hindusi wierzą, że gdy zrobisz coś złego, zapłacisz za to w następnym życiu.

– Na pewno nie, skarbie. Po prostu pójdziesz do więzienia. – Keith położył się na niej. – Czy ktoś ci mówił, że masz najseksowniejsze usta na świecie? – Pocałował ją głęboko i namiętnie. *Z powagą*. Aż zabrakło jej tchu w piersiach. Przesunął głowę i zaczął ją pieścić językiem między piersiami, potem zszedł jeszcze niżej.

– Nie – zaprotestowała. – Jestem taka gruba.

– Wcale nie, jesteś cudowna. – Polizał jej pępek. – Cudowna kobieta.

– Czuję się taka obwisła.

– Nie gadaj głupot. – Przesunął się między jej udami, położył do góry nogami i zaczął szukać na podłodze papierosów.

Nie znam nawet jego nazwiska, pomyślała Theresa. I wcale nie chcę znać. Chcę po prostu tak leżeć do wieczora i czuć na sobie jego ciężar. Głaskała go po pośladkach, gdy zapalał papierosa. Dym wzbił się w górę.

Od dawna tego nie robiła. Całe sześć lat. Ostatnio z pijanym wiolonczelistą

po jakimś przyjęciu. Jakie to niesamowite, niezwykle, cudowne, że dwa ciała mogą tak do siebie pasować.

– Zawsze chciałam spróbować seksu tantrycznego – powiedziała. – Można się kochać w nieskończoność bez orgazmu.

– To dumny pomysł – uznał Keith i położył się obok niej.

– Uciska się odpowiednie czakry i w ten sposób uwalnia energię bez penetracji. Można to robić całymi godzinami.

– To brzmi jak opowieść o hydrauliku – powiedział. – Czekasz cały dzień i nikt nie przychodzi.

Theresa się roześmiała. To było zupełnie nowe uczucie.

– Interesujesz się tymi wszystkimi rzeczami, co?

Przytaknęła.

– Tylko nie mów, że jesteś wegetarianką.

– Nie jestem.

– Dzięki Bogu chociaż za to.

Theresa wyjęła papierosa z jego dłoni i zaciągnęła się.

– Jestem weganką.

Keith parsknął śmiechem.

– Zabiłbym za kielbasę i frytki.

– Jak długo tu jesteś?

– O wiele za długo. – Zamilkł i się rozmarzył. – I za butelkę rioji.

– Nie wyglądasz na Anglika, którego... cóż, można spotkać w takim miejscu.

– Już ci mówiłem, chodzi o interesy.

Leżeli bez słowa i obserwowali kółka dymu wznoszące się do sufitu. Niemalże nie miała odwagi na niego patrzeć, bo sprawiał, że traciła oddech.

Splótł swoje palce z jej palcami.

– Jestem bardzo szczęśliwa – powiedziała. – To takie proste, prawda?

Na zewnątrz muezin wzywał przez megafon do wieczornej modlitwy. Dźwięk odbijał się echem na całej ulicy. Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje ich hotel. Chyba gdzieś w pobliżu lotniska, w jakiejś małej, brudnej dzielnicy handlowej.

– Ile masz lat? – Chciała dodać *kochanie*, ale nie potrafiła wypowiedzieć tego w naturalny sposób.

– Pięćdziesiąt dwa.

Byli prawie w tym samym wieku, ale do tego rozklekotanego łóżka doprowadziły ich zupełnie inne koleje losu. Nigdy nie była w bliskim związku z takim mężczyzną jak Keith, nie był w jej typie.

Ależ był. Czy miał żonę? Jej życie zawodowe polegało na słuchaniu, ale teraz nie chciała słuchać.

– Włóczę się po aśramach – wyznała.

– A po co to robisz?

– Dobre pytanie – stwierdziła.

Keith położył jej dłoń na swojej piersi i głaskał każdy palec po kolei.

– Przypuszczam, że z powodu rodziny i takich tam rzeczy. Rodzina to skomplikowana sprawa, prawda?

Jeszcze raz uniósł się nad nią i wyciągnął rękę, by zgasić papierosa na talerzyku stojącym na nocnym stoliku. *Nie ruszaj się.*

– Zobacz, co dostałem. – Keith podał jej małą kwadratową kopertę z napisem ZESTAW BIZNESMENA. – Otwórz.

W środku znalazła spinacz do papieru, gumkę recepturkę i mały długopis.

– Przyda ci się – powiedziała. – W interesach.

– Bardzo poręczne.

Roześmiali się. Może to naprawdę było takie proste. Robić interesy za

pomocą spinacza do papieru. Leżeć w łóżku z nieznanym, który ma złamany nos boksera i tatuaż na ramieniu.

– Też podróżuję bez bagażu – powiedziała. – Skradziono mi większość rzeczy. – Promień słońca rozświetlił jego niewielki majątek złożony w rogu pokoju: otwartą walizkę, laptop i jakieś dokumenty. – Marzyłam, żeby się wszystkiego pozbyć, i tak się stało, wiesz?

– A mnie najbardziej brakuje basenu – odparł Keith.

– Masz basen?

– W Chigwell. Ogrzewany przez cały rok. Kosztował majątek. Dzieci wrzucały do niego różne rzeczy, a mnie doprowadzało to do szału.

Dzieci. Theresa na chwilę zamarła.

– Tęsknisz za nimi?

– Nie są moje. Prawdę mówiąc, najbardziej tęsknię za mamą. Wydzwaniam do niej, ale nie odbiera. Powiedziałem Sandrze, żeby się nią zaopiekowała, ale Sandra spieprzyła Bóg wie gdzie. – Keith usiadł gwałtownie, spuścił nogi z łóżka i wstał. – Jestem głodny jak wilk. Chcesz coś zjeść, kochanie?

– Nie mogę. Moja mama będzie się martwić. – O rety, to nie zabrzmiało zbyt elegancko. – Mieszkam razem z nią w hotelu pełnym starych ludzi, to rodzaj domu spokojnej starości.

– Chciałem, żeby moja mama zamieszkała w jednym z takich domów, ale ona jest tak cholernie dumna.

– Chyba powinnam już wracać.

– Rób, jak uważasz. – Keith wciągnął bokserki z nadrukiem w małe lokomotywy. Tylko kobieta kupiłaby coś takiego. Teraz mogła go sobie dokładnie obejrzeć i została wynagrodzona, bo stwierdziła, że Keith ma brzuszek.

– Wolabym zjeść z tobą obiad – powiedziała.

– Wiesz co, skarbie? – Keith zapiął rozporek. – Uratowałaś mi tam życie.

– Naprawdę?

Nagle rzucił się ku niej, ujął jej twarz w dłonie i ucałował najpierw jedno, a potem drugie oko. Później usiadł i włożył buty. Jego rolex połyskiwał w świetle zachodzącego słońca. Theresa sięgnęła po swoje rzeczy.

– Zabieram cię na zakupy – powiedział.

– Co takiego?

– Ta pizama ci nie służy. Jutro pójdziemy coś kupić, dobrze?

– Dobrze, Keith-jak-ci-tam – odparła ze śmiechem Theresa.

Sonny wpadł na pomysł w drodze do domu. Jechali Szóstą Ulicą w dzielnicy mieszkalnej. W jednym z domów odbywało się wesele. Na drzewie wisały światełka choinkowe, a przed domem parkowały samochody.

I właśnie wtedy, gotując się z wściekłości na Normana Purse'a, Sonny doświadczył objawienia. Wpadł na tak zdumiewająco śmiały pomysł, tak cholernie przewrotny, że aż się roześmiał na cały głos.

Jatan Singh odwrócił się od kierownicy, najwyraźniej zaskoczony, że chociaż sprawy mają się tak kiepsko, to Sonny, jadąc na pole bitwy, które kiedyś było jego domem, ma jeszcze ochotę się śmiać.

Sonny niczego mu nie wyjaśnił. Wyjął komórkę i wybrał numer.

Była ósma wieczorem i zrobiło się zupełnie ciemno, a Theresy ciągle nie było. Podano obiad, ale Evelyn nie mogła jeść, bo bardzo się martwiła. Stała w bramie i wyglądała na ulicę.

– Bakszysz, memsahib? – poprosił stary żebrak, któremu Minoo ostatecznie podarował swoje buty tamtej nocy pełnej wyznań i łez.

Evelyn pokręciła głową.

– Nie dzisiaj, kochanie. – *Kochanie?* Co się z nią dzieje? Spojrzała na stopy

starego człowieka. Buty były zakurzone. I za duże, wystawały z nich chude, patykowate łydki. Ileż wysiłku go kosztowało, by utrzymać się przy życiu!

A gdzie się podziewała Theresa? Nie było jej już od wielu godzin. Evelyn żałowała, że pozwoliła córce samej pójść na stare miasto; wszyscy byli zgodni co do tego, że to bardzo niebezpieczne miejsce, zwłaszcza nocą. Może została okradziona. Albo zgwałcona!

Wszystko będzie dobrze, mamo, nie rób afery! Mój Boże, jakaż ona była irytująca. Dobiegała pięćdziesiątki, a zachowywała się jak nastolatka.

Evelyn usłyszała podjeżdżającą riksę i serce jej podskoczyło.

Ale to nie była Theresa. W świetle ulicznej lampy zobaczyła ściśnięte w środku dwie kobiety. Z trudem wydostały się na zewnątrz. Muriel i Dorothy.

Evelyn była odrobinę zdziwiona. Nie sądziła, że jakoś szczególnie się przyjaźnią, miały ze sobą niewiele wspólnego. To przecież Muriel rozgłaszała wszem i wobec, i to z większą satysfakcją niż inni, że Dorothy ma bzika.

Kiedy szły w kierunku bramy, Muriel trzymała Dorothy pod rękę. Zatrzymała się, gdy ujrzała Evelyn. Jej twarz była napięta i blada.

– Tu jest jej dom! – powiedziała, wskazując na Dorothy.

– Wolimy nie nazywać tego miejsca domem, skarbie – zaproponowała Evelyn.
– To po prostu hotel.

– Nie – odparła Muriel. – Bangalur jest jej domem. Mieszkała tu, jak była mała.

Dorothy wskazała na Marigold, światła hotelu migotały wśród drzew.

– W tym budynku była moja szkoła – powiedziała. – Moja pierwsza szkoła. Nazywała się St. Mary.

Norman szybko uporał się z obiadem. Wziął prysznic, ogolił się, włożył świeżą koszulę, a potem skierował się prosto na postój riks. Po drodze minął stojące

w ciemności trzy kobiety – Dorothy, Muriel i Evelyn.

– Dobry wieczór paniom! – zawołał wesoło.

Nie odpowiedziały, bo były zbyt zajęte rozmową. Przeszedł przez bramę, pozdrawiając dozorcę.

Przystanął na ulicy i sprawdził, czy ma prosto zawiązany krawat. Zakołysał się lekko i poprawił chusteczkę w kieszonce marynarki. Miał już przejść na drugą stronę ulicy, kiedy nadjechała riksza i zatrzymała się tuż przy nim. Ktoś wysiadł. To była ta skwaszona istota, córka Evelyn, Theresa.

– Cześć, Norman! – Dobry Boże, ta kobieta się uśmiechnęła. – A dokąd to się wybierasz o tej nocnej porze? – zapytała.

– Aha – westchnął Norman. – Będzie gadanie.

Theresa kokieteryjnie uniosła brwi. Zdziwiony Norman mrugnął do niej porozumiewawczo.

Potem wsiadł do rikszy.

– Zawieź mnie na Gandhi Market, dobry człowieku! – zawołał. – Na stare miasto! Tylko szybko!

Obiad dobiegł końca. Siedziały w czwórkę w pokoju Dorothy i popijały whisky. Evelyn po raz pierwszy była w pokoju prezenterki BBC. Półki były wypełnione książkami, a na ścianie wisiał obraz, podobno autorstwa Howarda Hodgkina, kimkolwiek był. W świetle lampy połyskiwały ślady pociągnięć pędzla.

Informacja, że Dorothy urodziła się w Bangalurze i mieszkała tu do ósmego roku życia, oczywiście szybko się rozeszła. Dopiero tego popołudnia odnalazła swój stary dom, bo miasto tak niesamowicie się zmieniło i zburzono tyle budynków, że prawie nie mogła go rozpoznać. Dom jej dzieciństwa znajdował się poza centrum i teraz zbudowano tam biura międzynarodowych korporacji. W końcu wytropiła go dzięki starej *dhobi-wallah*¹⁰.

– Widziałyśmy cię tam – powiedziała Evelyn. – W tej pralni.

A w hotelu Marigold mieściła się kiedyś jej szkoła. Siedemdziesiąt lat temu bawiła się w ogrodzie i siedziała na podłodze w jadalni, śpiewając *Black Sheep*. Wyjaśniało to oczywiście te wszystkie rymowanki, które nuciła pod nosem. Wszystkim ulżyło, że już dłużej nie muszą jej uważać za staruszkę z demencją. Nadal jednak byli zirytowani faktem, że nie zdradziła im swojego sekretu.

– Dlaczego nam nie powiedziałaś? – zapytała Evelyn.

– Nie znałam was zbyt dobrze – odparła Dorothy.

– Jesteśmy wszystkim, co masz, kochana.

Theresa poruszyła się niespokojnie. *Nie bądź taka nietaktowna, mamo*. Nie odezwała się jednak ani słowem.

– Chodzi o to, że my byśmy cię zrozumiały – wyjaśniła Evelyn.

– Chciałam po prostu mieć pewność – powiedziała Dorothy. – Kiedy dostałam ten folder, pomyślałam, że pamięć płata mi figle.

– Nie widzisz, że jest zmęczona? – zapytała Muriel. Zachowywała się trochę zbyt opiekuńczo; może czuła się winna z powodu swoich wcześniejszych złościwości. – To był ciężki dzień, prawda, kochanie?

Dorothy przytaknęła. Evelyn siedziała na łóżku i miała wrażenie, że jest intruzem. Mieli tutaj tak mało prywatności, tylko azyl swoich sypialni. W tej wspólnej przestrzeni musieli walczyć, żeby zachować intymność. Evelyn odwróciła głowę i spojrzała na obraz. Malarstwo abstrakcyjne nigdy jej nie przekonywało i już nigdy nie przekona, ale te kolory miały w sobie tyle pewności siebie – grube ceglastoczerwone i niebieskie pociągnięcia pędzla. Może nie trzeba było tego rozumieć, tylko po prostu patrzeć.

Dorothy płakała. Theresa się poderwała i objęła ją ramieniem. Evelyn poczuła się tym urażona. Z drugiej strony przypuszczała, że na tym właśnie polega praca jej córki. W końcu psychoterapeuta najlepiej wie, kiedy należy kogoś przytulić.

– Przepraszam – powiedziała Dorothy. – Jutro będzie lepiej.

– Chcesz o tym porozmawiać? – zapytała Theresa.

Dorothy pokręciła głową.

– Jeszcze nie teraz. – I dalej tak siedziała – dorosła, postawna i niezbyt ładna kobieta, wstrząsana płaczem.

Evelyn podała jej chusteczkę.

Domyśliły się, że chce zostać sama, i wyszły na korytarz.

– Co za dzień! – zwróciła się Theresa do matki.

– Co za dzień.

– Jestem wykończona. Idę do łóżka.

– Nie zdążyłam zapytać, czy spotkałaś swojego świętego człowieka – powiedziała Evelyn

– Nie całkiem. – Niespodziewanie Theresa objęła matkę i przytuliła się do niej. – Dobranoc, mamó. – Gdy pokonała połowę schodów, obróciła się i powiedziała: – Prawdę mówiąc, przyjechałam do Indii, bo za tobą tęskniłam.

Rikszarz nie miał najmniejszej ochoty jechać dalej. Prawdopodobnie zaułek był zbyt wąski. Norman zapłacił mu więc i wysiadł. Riksza zawróciła i odjechała z turkotem w chmurze spalin. Norman czuł, jak wali mu serce. Co za przygoda! Ale plotkowałiby w hotelu, gdyby tylko wiedzieli! Teraz stał pośrodku starego miasta, na ulicy cuchnącej kanalizacją i olejkiem sandałowym, i wybierał się, by odwiedzić swoją królową nocy. „Ta kobieta ma na imię Sikra i jest prawdziwą czarodziejką, stary”, powiedział Sonny. „Co za piersi, a jaka cipka! Mówię ci, Norman, taka dupa jak ona ożywi każdego truposza!” Norman szedł lekko chwiejnym krokiem. Przed wyruszeniem w tę podróż wciągnął kilka kolejek koniaku, żeby dodać sobie animuszu. Po obu stronach ulicy majaczyły popadające w ruinę budynki. W oświetlonych herbaciarniach siedzieli beczynnie

groźnie wyglądający mężczyźni i palili papierosy. Gdzieś grało radio. *She is waiting for you, my friend. She is my Christmas present to your esteemed self*¹¹.

Sklepikarze zamykali okiennice, Gandhi Market szykował się do snu. Norman szedł uliczką, która była tak wąska, że kiedy tracił równowagę, obijał się o ściany domów. Zgodnie z instrukcją doszedł do świątyni. Na schodach siedział pies i się wylizywał. „Idź wzdłuż świątyni, aż dojdiesz do niebieskich drzwi. Zapukaj głośno i zapytaj o Sikrę. Powołaj się na mnie, a wtedy zaprowadzą cię schodami do nieba”.

– Skąd pan jest, sir? – wołali głośno mali chłopcy, biegnąc wokół Normana.

– Spieprzajcie! – Pomachał groźnie laską.

Roili się jak muchy, ciągnęli go za spodnie i krzyczeli.

– Prosimy, sir. Z jakiego kraju pan jest?

– Jazda stąd! Do łóżek!

Norman usiłował się skoncentrować. Piersi. Wielkie, ponętne cycki wielkości melonów. Poczł lekkie napięcie w kroczu. Proszę! W tym starym fiucie nadal było życie. Niepotrzebnie tak się martwił. Tyle miesięcy, a nawet lat wątpliwości, a potrzebował tylko jednego: ciemności, obcego kraju, egzotycznego ciała... To jedyna kombinacja, która w mniejszym lub większym stopniu dawała gwarancję, że stary sprzęt znowu zadziała.

Ale jego serce nadal tłukło się niespokojnie między żebrami. Stanął przed niebieskimi drzwiami. Dotknął krawata – był w jak najlepszym porządku – i zapukał elegancko laską.

Dzieci, dzięki Bogu, gdzieś zniknęły. Norman usłyszał ruch za drzwiami. Ktoś odchrząknął i splunął. Drzwi uchyliły się odrobinę i zobaczył w nich wymalowaną twarz.

– Dobry wieczór – powiedział. – Przysłał mnie pan Sonny Rahim. Mówisz po angielsku?

– Okay. – Pokiwała głową.

– Szukam Sikry.

– Okay.

Nic się nie wydarzyło. Nagle Norman doznał wizji i zobaczył swoją córkę.
Do diabła, tato, co ty wyprawiasz?

Drzwi otworzyły się szeroko i wszedł do środka. Korytarz był oświetlony upstrzoną przez muchy jarzeniówką. Poczł zapach perfum i kadzidła. Odziana w sari postać wskazała na schody, a potem zniknęła w jakimś pokoju. Norman usłyszał głosy i drzwi się zamknęły.

Przystanął i wyobraził sobie hotel Marigold, który tak beztriosko opuścił. Wyobraził sobie swój pokój – czasopisma o krykcie na półce, radio nastawione na wiadomości, czekające na nocnym stoliku. Serce biło mu jak szalone. Musiał przyznać, że oczekiwał czegoś trochę bardziej porządnego. Facet nie potrzebuje wprawdzie komitetu powitalnego, ale zazwyczaj miło zobaczyć jakieś hostessy i abażury z falbankami.

Poszedł na górę. Lepiej, żeby dał radę, bo gdy Sonny się dowie, że zawiódł, nigdy nie da mu spokoju. A mężczyzna ma swoją dumę.

Wchodził po skrzypiących drewnianych schodach. Trochę się potykał, bo miał wrażenie, że się chwieją, ale w końcu dotarł na piętro. Drzwi były szeroko otwarte.

Wszedł do pokoju. Ciężko oddychając, próbował odzyskać równowagę. Już lepiej, trochę lepiej. Pokój był skąpany w różowym świetle. Na ścianie wisały zdjęcia Doris Day i Bruce'a Willisa. W wazonie stały plastikowe kwiaty, a na półce kolekcja miniaturowych samochodzików. Było tam też łóżko nakryte aksamitną kołdrą w kolorze moreli i stertą pluszowych zabawek.

Pokój był pusty. Norman musiał przyznać, że to dziwny interes: erotyczny związek z zupełnie obcą osobą, która z jakiegoś powodu nigdy nie spełnia twoich oczekiwań. Po wszystkim zawsze czujesz się trochę zawiedziony,

postkoitalny smutek, ot co. Ale czy jest jakiś inny sposób, by mężczyzna się dowiedział, że w jego żyłach jeszcze płynie gorąca krew? Że jeszcze nie całkiem jest martwy?

Drzwi się otworzyły i stanęła w nich jakaś postać. Była zdumiewająco wysoka i paliła papierosa. Miała mocny makijaż i różowe sari wykończone złotem.

Norman wyciągnął rękę.

– Sikra, jak mniemam?

Uśmiechnęła się i poklepała łóżko. Bez wątpienia była atrakcyjną kobietą; było w niej coś majestatycznego i władczego, ale nie przeszkadzało mu to. W sytuacji takiej jak ta wołał mieć do czynienia z kobietą, która wie, co robi.

– Nazywam się Norman Purse – przedstawił się. – Miło mi cię poznać. Przysłał mnie pan Sonny Rahim.

– *Acha*¹². – Kobieta zgasila papierosa w popielniczce w ksztalcie psa. Zadzwieczaly bransoletki. – Napijesz się czegoś? Może jakiegoś bezalkoholowego drinka? – zapytała, uśmiechając się zachęcająco.

– Dziękuję, kochanie. Już dosyć dzisiaj wypilem. – Norman odchrząknął. – Dużo o tobie slyszalem.

Ponownie poklepała łóżko. Usiadł obok niej, atłas cicho zaszumiał. Sikra pochylila się i rozwiázala mu krawat. Miała duze i sprawne ręce. Potem zdjela z niego marynarkę.

Norman spojrzal na swoje czerwone dłonie, które zlozył na kolanach. Czy powinien ją teraz rozebrać? Czy tak to się tutaj robi? Nie był pewien, jak się postępuje w Indiach w takich sytuacjach, i nie chciał nikogo urazić. Dziewczyn w Bangkoku nie ograniczaly żadne prawa kulturowe.

– Mieszkam na Brigade Road – rzekł. – Wiesz o tym?

Sikra lekko poruszyła głową i zdjela mu krawat.

– Nigdy przedtem nie byłem w Indiach – wyjaśnił. – Chyba się urodziłem

w nieodpowiednich czasach, bo kiedyś nie można było się tak zabawiać. A teraz czuję się niczym jakiś odpadek historii. Ale to oczywiście ciebie nie dotyczy – dodał pośpiesznie.

Sikra się pochyliła.

– Nie robiłem tego od jakiegoś czasu – powiedział. – Prawdę mówiąc, od lat. Prawdopodobnie trochę wyszedłem z wprawy.

Norman nigdy wcześniej nie widział, żeby ktoś miał taki mocny makijaż. Twarz kobiety była wytapetowana tymi wszystkimi rzeczami – pudrem i różem. Nie potrafił sobie wyobrazić pocałunku z kimś takim, ale to prawdopodobnie nie było wymagane. Poczuł, że jego emocje opadają. Próbował jeszcze raz rozbudzić swoją wyobraźnię – sutki ciemne jak czekoladowe guziczki, sari odsłaniające tajemnicę...

– Chcesz teraz seks? – zapytała Sikra. Miała podniecająco chrapliwy głos.

– Chyba będę potrzebował trochę wsparcia. – Norman próbował się roześmiać. W przeciwieństwie do penisa jego serce zdawało się żyć własnym życiem. Kołatało w piersi tak gwałtownie, że aż podskakiwał na łóżku. Sikra rozpięła mu spodnie i włożyła rękę do środka. Norman pogłaskał jej okryte szyfonem udo. Gdzie się rozpina to cholerne sari? Nie mógł dostrzec żadnego zapięcia.

Twarz Sikry zamajaczyła tuż przed jego twarzą. Wysunęła język i zaczęła nim szybko poruszać, wprawiając Normana w lekki popłoch. Jej ręka nadal tkwiła w jego spodniach i głaskała zwiotczałego penisa. Bransoletki dzwoniły coraz szybciej. Ale nic się nie działo.

Sikra gwałtownym ruchem ściągnęła mu spodnie do kostek, potem slipy i pchnęła go z powrotem na łóżko. Fachowym ruchem podciągnęła sari, jakby podwijając rękawy, złapała go za rękę i włożyła ją sobie między nogi.

I wtedy Norman się zorientował. Ta mocna szczeka, niebieski cień pod grubą warstwą pudru! Zamarł z przerażenia. A potem ostry ból przeszył jego pierś.

Dorothy nie mogła spać. Stała w ogrodzie i słuchała koncertu świerszczy. Czy tam, gdzie jest teraz ptaszarnia, stał kiedyś dom Wendy? Przesiadywały w nim całymi godzinami – Dorothy, Nancy Mayhew i Monica Cable – i śpiewały lalkom kołysanki. Jej przyjaciółki z pewnością dorosły i miały własne dzieci, które teraz są w średnim wieku. Odważyły się kochać i być kochane.

Dorothy wiedziała, że wcześniej nie była zbyt uprzejma, ale to wszystko bardzo ją przytłaczało. Minęło wiele lat od czasu, kiedy po raz ostatni publicznie płakała. Wiedziała rzecz jasna, dlaczego wcześniej nie opowiedziała nikomu o swojej przeszłości. Litość, współczucie, nerwowe rozedrganie – udusiłaby się od tego wszystkiego. Ale tajemnica się wydała, więc nie musiała się już niczego obawiać i mogła patrzeć ludziom prosto w oczy. W londyńskim domu, w jej poprzednim życiu, woskowe figury stały na swoich cokołach. Gdy była mała, wierzyła, że nocami budzą się do życia, schodzą z postumentów, wtapiają w tłum i wędrują przez meandry historii.

W poprzednim życiu ona również stała na scenie, ale jej kariera aktorska okazała się porażką. Już wtedy wiedziała dlaczego. Żeby się całkowicie czemuś oddać, trzeba zaufać innym, że cię pochwyć, gdy będziesz upadać. Dzisiaj wieczorem zmierzała donikąd i była już gotowa uznać, że to jest jej przeznaczeniem, gdy nagle poczuła dobroć obcych ludzi.

Podeszła do bramy, gdzie spał dozorca owinięty w wojskowy koc. Kiedy tak stała, coś się w niej otworzyło. Na bazarze było już ciemno. W świetle ulicznych lamp zobaczyła śpiących ludzi; leżeli jak figury woskowe, których nikt nie chce oglądać. W pobliżu, w swoim stałym miejscu, leżał stary żebrak opatulony w szmaty. Wystawały spod nich tylko stopy w zaskakująco eleganckich butach.

Była już trzecia nad ranem, a w Karishma Plaza nadal paliły się światła. Gdy była mała, ten budynek jeszcze nie istniał. Naprzeciwko był zakon St. Mary ocieniony drzewami tamaryndowca. Jej nauczycielka, siostra Ruth, miała małą małpkę. Kiedyś widziała, jak dwie zakonnice siedzą na huśtawce i śmieją się jak

młode dziewczyny. One *były* młodymi dziewczynami.

Przypomniała sobie londyński biurowiec po drugiej stronie Marylebone Road i strażnika kołyszącego się na krześle. On również był Hindusem. Może tak samo jak ona *śnił* o swojej utraconej ojczyźnie.

Dorothy wróciła do hotelu. W krzakach zamiauczał kot, wzywając Eithne, która go opuściła. Było zimno, więc owinęła się szczelniej szlafrokiem. Lilie w doniczkach pachniały odurzająco.

*Spójrz, jaki księżyc! W noc taką jak ta,
Gdy wietrzyk muskał bezszelestnie drzewa –
W taką zapewne noc Troilus stawał
Na murach Troi i słał w głębi duszy
Westchnienia w stronę greckiego obozu,
Gdzie spała jego Cressida¹³.*

Dorothy przystanąła na podjeździe i spojrzała w niebo.

*Spójrz, jak strop niebieski
Upstrzyły gęsto złote lampy gwiazd¹⁴.*

W jednym z okien paliło się światło, rzucając blask na werandę. To był pokój Muriel.

– Norman jeszcze nie wrócił – syknęła Muriel, wyglądając przez okno. – Wieczorem był kompletnie zalany.

Dorothy weszła do jej pokoju i usiadła. Muriel wróciła do łóżka. Miała na sobie bawełnianą koszulę nocną w kwiatki.

– Tutaj jest jak w szkole, nie sądzisz? – zapytała Dorothy. W końcu to kiedyś *była* szkoła.

– On nie żyje. Wiem to – powiedziała Muriel.

– Norman?

– Nie. Mój Keith. Dziś wieczorem na pewno ktoś umarł.

– Nie bądź głupia – oburzyła się Dorothy. – Wielu ludzi dzisiaj umarło, ale twój syn nie jest jednym z nich.

– Ale ja to czuję.

– Jestem pewna, że wszystko z nim w porządku.

Dzisiaj Dorothy zbliżyła się do Muriel, która poznała dom jej dzieciństwa. Potem jeździły razem po mieście i Dorothy pokazała jej kilka miejsc, które pamiętała jak przez mgłę, a które jeszcze nie zostały zburzone – dom Nancy Mayhew, w którym teraz mieścił się Zarząd Autostrad, i bungalow na Cunningham Street, gdzie chodziła na lekcje tańca, a gdzie obecnie była restauracja serwująca steki i owoce morza. Mgła się rozwiła, ukazując krajobraz jej przeszłości. Jak rodzice mogli mnie odesłać na koniec świata? – pomyślała.

– Dzieci trzymają nas przy życiu – oznajmiła Muriel.

– Naprawdę? – zapytała Dorothy. – Nie wiedziałam.

– Dzięki nim dalej istniejesz nawet po śmierci – wyjaśniła Muriel. – Dałam sobie spokój z tymi hinduskimi bzdurami. To nie działa.

– Myślałam, że jedyna rzecz, która trwa, to sztuka – powiedziała Dorothy.

– Wiesz, chciałam opowiedzieć Keithowi o tym, co mi się przydarzyło, ale nigdy tego nie zrobiłam. Przekładałam wszystko na inny czas, a teraz jest już za późno. – Muriel ugniatała palcami narzutę. Jej twarz pozbawiona sztucznych zębów była zapadnięta. – Pozbyli się mnie z powodu Leonarda.

– Leonarda?

– Odesłali mnie do Melton Mowbray – powiedziała Muriel. – To był koniec świata albo jeszcze dalej. Zabrali mi dziecko. Wiesz, miałam dopiero szesnaście lat, więc zabrali mi dziecko i pozbyli się mnie. – Zaczęła płakać. – A kiedy wróciłam, Lenny już nie żył. Był miłością mojego życia, Dotty. Miał takie cudowne włosy. A potem wyszłam za jego brata i urodził się Keith. Paddy był

jego ojcem, ale gdzieś tam żył inny mały chłopiec. Keith go nie poznał, miał na imię Charlie i był dzieckiem miłości. – Muriel podniosła głowę.

To był naprawdę straszny widok. Dorothy rozejrzała się w poszukiwaniu chusteczek, ale żadnych nie znalazła.

– Bardzo mi przykro – powiedziała. – Tak bardzo mi przykro. – Przyszło jej do głowy, że byłby z tego dobry materiał na film dokumentalny.

Muriel otarła policzki narzutą.

– Mnie również odesłali z domu – zwierzyła się Dorothy. – Kiedy miałam sześć lat, nie szesnaście. Rodzice wysłali mnie daleko stąd, do szkoły z internatem w Anglii. To był koniec mojego świata. – W końcu to powiedziała. – Jestem pewna, że zrobili to dla mojego dobra, ale poczułam się całkowicie niechciana. Ukradli mi Indie. A Indie ukradły mi rodziców. Jak ktoś mógłby mnie kochać, skoro nie kochali mnie rodzice, prawda? Och, nie wiem. Całe moje życie to jeden wielki bałagan.

Dorothy zamilkła, żeby złapać oddech. Pomyślała o swoich przyjaciółach, bystrych młodych mężczyznach, z którymi pracowała. Tak wielu z nich umarło na AIDS. Pomyślała o swoim węgierskim kochanku i tych, którzy byli przed nim. Uświadomiła sobie, że nikomu z nich o tym nie mówiła. A teraz zwierza się bezzębnej starej kobiecie z Peckham, której to i tak prawdopodobnie nie interesuje.

Daleko w holu zadzwonił telefon. Nie było nikogo, kto mógłby go odebrać.

Dzwonił i dzwonił, a dwie kobiety siedziały zatopione w swoich myślach. W końcu zamilkł.

¹ Popularna piosenka dla dzieci.

² Rodzaj długiego szala noszonego przez kobiety w Indiach.

³ W Azji osoby trzeciej płci: transseksualiści, obojnacy, kastraci. Zajmują się głównie

żebractwem i prostytutką.

4 Gdzie jest? (hindi).

5 Święty człowiek (hindi).

6 Stróż, dozorca (hindi).

7 Kiedyś mieszkałam w tym domu.

8 Stuknięta lub zdrobnienie od Dorothy.

9 Jestem córką pana Millera (hindi).

10 Pralnia (hindi).

11 Mój przyjacielu, ona tam czeka na ciebie i trwa. Jest moim gwiazdkowym prezentem dla twojego ja.

12 W porządku, okay (hindi).

13 William Szekspir, *Kupiec wenecki*, w przekładzie Stanisława Barańczaka.

14 Tamże.

4

Jeśli twa dusza znajdzie we mnie ukojenie, wtedy dzięki mojej łasce pokonasz wszelkie niebezpieczeństwa; lecz jeśli skupisz wszystkie swe myśli na sobie i nie wsłuchasz się we mnie, wtedy zginiesz.

Bhagawadgita

Śmierć Normana wstrząsnęła mieszkańcami hotelu. Podejrzewali atak serca. Siedzieli w holu pod samotnym świątecznym łańcuchem, nikt nie wieszał już bożonarodzeniowych dekoracji.

– Nie mogę w to uwierzyć – oznajmiła Hermione. – Taka osobowość. Taka witalność. – Hermione regularnie chodziła do kościoła i była dla wszystkich miła.

– Nie rozumiem, co się stało – powiedział ktoś.

– Zgubił się na tym bazarze – odparł ktoś inny.

– Ale co on tam robił?

– Coś kupował, pewnie gwiazdkowe prezenty.

– Ale chyba wszystkie sklepy były już zamknięte?

– Może podczas świąt mają dłużej otwarte, jak w Dickins & Jones.

– Ale na *bazarze*?

– Z pewnością tutaj nie uznają Bożego Narodzenia.

– Ależ uznają, kochanie. Nauczyliśmy ich tego.

– Na miłość boską! – wtrąciła się Madge. – Ten facet poszedł się zabawić, napalony podstarzały kobieciarz.

– Madge!

- Dostał zawału podczas tej roboty.
- Zapadła cisza. Hermione zmieniła pozycję w fotelu.
- Jakiej roboty? – zapytała Stella.
- No tak jak Peter Sellers.
- Naprawdę?
- O czym wy w ogóle mówicie?
- ...ze swoją żoną, tą gwiazdą filmową, jak jej tam...
- Biedna ta jego córka.
- Czyja, złotko?
- Co jej powiemy, jak przyjedzie?
- Jeśli trzeba zrobić coś nieprzyjemnego, to najlepiej jak najszybciej.

Chmury zasnuły niebo, a lekki wietrzyk wdarł się do środka i smagał ich policzki. W końcu był już grudzień. Papierowy łańcuch drżał na wietrze.

- Już wiem! Britt Ekland.

Minoo opowiedział im o wszystkim przy śniadaniu. Ciało Normana zostało przetransportowane do szpitala i tam miało czekać na dalszy rozwój wypadków. Poinformowano też jego córkę, która miała przyjechać wczesnym rankiem następnego dnia. Po co ten pośpiech? – zastanawiał się Douglas. Zięć Normana najwyraźniej zmienił plany, bo postanowił towarzyszyć swojej żonie. Chyba najpierw trzeba umrzeć, żeby ktokolwiek zechciał przyjechać w odwiedziny z drugiego końca świata. Żadne z dzieci Douglasa nie przyjechało na święta; pewnie dlatego, że on i Jean jeszcze żyli.

Douglas miał co do Normana mieszane uczucia, ale jego śmierć głęboko go dotknęła. Już wcześniej czuł się nieswojo. Tamej nocy, wiele tygodni temu, ujął słowami coś, czego nie można było wymazać. Słowo „koszmarny”, którego nigdy wcześniej nie używał, na dobre zagościło w jego myślach. *Ożeniłem się z koszmarną kobietą. Jest zarozumiała i nieskończenie próżna. Myśl, że*

miałbym z nią spędzić resztę życia, jest zbyt koszmarna, by ją rozważać. Dziwne, że wcześniej sobie tego nie uświadamiał. Zawsze byli tak zajęci, zabiegani, a to w drodze do Portugalii, a to na innej wyprawie organizowanej przez stowarzyszenie zajmujące się sztuką. Być może ta myśl czaiła się gdzieś już wcześniej, ale nie miał odwagi stawić jej czoła, bo musiałby uznać, że oto stanął przed problemem rangi bomby atomowej.

Śmierć Normana dowiodła, o ile taki dowód był w ogóle potrzebny, że życie jest krótkie. Gdyby tylko przy spotkaniu ze śmiercią obowiązywały dobre maniere. *Ależ proszę przodem. Nie, nie, to ja proszę przodem.* Prawdę powiedziawszy, w przeszłości niewiele miał z nich pożytku. Prawdę mówiąc, to dobre maniere sprawiły, że poślubił Jean. Och, była pełna życia, atrakcyjna i lubił chodzić z nią do łóżka. Ale jeśli miałby być szczery, musiałby przyznać, iż ożenił się z nią tylko dlatego, że ona tak chciała. Uznała, że powinni wziąć ślub, a on nie chciał zostać uznany za łajdaka. Minęło czterdzieści osiem lat, pozornie jak we śnie. A teraz się zestarzał i wkrótce będzie musiał umrzeć, i to raczej wcześniej niż później. *Proszę przodem! Ależ proszę!* To jak kąpiel w morzu w chłodny dzień. *Idź pierwszy i powiedz mi, jaka jest woda.*

Nie miał wątpliwości, że kobiety w Marigold zazdroszczą im tego małżeństwa. Jakże niewiele wiedziały. Miał ochotę zwierzyć się Evelyn. Ona i Dorothy były jedynymi osobami, które mogły go zrozumieć. Ale to rzecz jasna było niemożliwe. Musiał zabrać swoją tajemnicę do grobu.

Podano lunch, do wyboru kurczak w rodzynekach i ziołach albo smażona ryba. Życie toczyło się dalej; jedni musieli przygotowywać posiłki, a drudzy je zjadać. Służący – bez wątpienia przyzwyczajeni do obecności śmierci – wypełniali swoje obowiązki. Pensjonariusze oczywiście cierpieli z powodu straty, ale Indie ukazały im kruchość i nietrwałość życia w większej skali niż ta, którą do tej pory znali. Olive Cooke przysięgała, że przy Gulshan Crafts przez dwa dni leżało czyjeś

ciało.

Wyszło słońce. Evelyn siedziała na werandzie z wróblem na kolanach. Ptak został uderzony przez wentylator zawieszony na suficie i był nieprzytomny. Czasem tak się zdarzało. Kobiety próbowały ratować ptaki, ale jeszcze żaden nie przeżył.

– Wychodzę, mamó. Do zobaczenia później – powiedziała Theresa, wpadając na werandę.

– Dokąd się wybierasz?

– Na zakupy – odparła z uśmiechem.

Dobry Boże, jej córka miała szminkę na ustach! Bardzo ją to odmieniło. Ostatni raz się umalowała, kiedy obchodzili z Hugh srebrne gody.

Evelyn patrzyła, jak Theresa żwawym krokiem zmierza w kierunku bramy. Podejrzewała, że córka chce jej kupić świąteczny prezent. Miała nadzieję, że nie będzie musiała być uprzejma z tego powodu. Zazwyczaj dawała jej jakąś rzecz z katalogu Greenpeace, którą Evelyn potem dyskretnie przekazywała swojej sprzątacze.

– Jakież oznaki życia? – zapytał Douglas siedzący przy sąsiednim stole.

Evelyn spojrzała na nieruchomego wróbla.

– Jeszcze nie.

– Cóż, nadzieja umiera ostatnia.

Douglas siedział przy stole razem z żoną, która pisała list. Przed nim leżała otwarta książka Willbura Smitha, ale Evelyn wiedziała, że nie czyta. Wszyscy byli nieco rozkojarzeni ostatnimi wiadomościami. Najpierw wprowadziła ich w zakłopotanie świadomość, że mieszkają w dawnej szkole Dorothy. A dzisiaj zdenerwowanie było jeszcze większe. Odpadło już półtorej osoby (pół to Eithne). Kto będzie następny?

A więc Norman dostał zawału – jak to nieco prostacko nazwała Madge – przy tej robocie. Evelyn wiedziała, że to się nazywa *le petit mort*, czyli „mała

śmierć”. Z jej doświadczenia erotycznego, wprawdzie dość ograniczonego, wynikało, że seks jest wydarzeniem raczej towarzyskim, a nie przyprawiającym o śmierć. Zastanawiała się, czy Graham Turner jest prawiczkim. Siedział pod figowcem i coś notował. Wystarczyło na niego spojrzeć, by zgadnąć, że to najprawdopodobniej jest właśnie ten przypadek. Cóż mógł mieć z życia spędzonego w administracji państwowej?

No i była jeszcze jej córka. Theresa również nie miała zbyt wiele szczęścia w tej sferze. Tych kilka romansów, o których wiedziała Evelyn, skończyło się w atmosferze wzajemnych oskarżeń. Theresa strasznie komplikowała sprawy. Chciała wszystko zamieniać w związek, a to słowo zwiastowało kłopoty. Kiedy ludzie zaczynają tak nazywać to, co ich łączy, nagle wszystko zaczyna się psuć. Dlaczego Theresa po prostu nie mogła być szczęśliwa? Życie jest takie krótkie, przerażająco krótkie. *Rwijcie róż pąki, póki młode*¹. Evelyn nauczyła się tego wiersza jeszcze w szkole, ale wtedy nic dla niej nie znaczył. Tutaj, pomimo drobnych awantur i przykrości, czuła, że jest w towarzystwie ludzi, którzy w taki czy inny sposób też podświadomie o tym wiedzą.

Jutro przyjedzie Christopher z rodziną. Wiedziała, że specjalnie zorganizował te wakacje, żeby się z nią spotkać, ale ta perspektywa ją przerażała. Wszystko się zaczęło od nowa, jakby nie było żadnej przerwy... Obwinianie, żal, gniew, frustracja. *Zawsze byliście po stronie Christophera, ty i tata. A ja nigdy nie byłam dla was córką, jakiej pragnęliście*. Na tapecie bez wątpienia znajdzie się szkoła z internatem. Mój Boże, Dorothy została wysłana na drugi koniec świata w wieku sześciu lat i nic jej nie jest. Cóż, być może to nie jest całkiem w porządku, ale przetrwała.

A Theresa była taka niedyskretna. Czy nie wiedziała, na czym polega stosowne zachowanie? „W naszej rodzinie nikt nie wierzył w siłę rozmowy”, powiedziała kiedyś. I od tego czasu niczego się nie nauczyła. Podczas pierwszego wspólnego śniadania próbowała tłumaczyć Jimmy’emu, który właśnie podawał

im płatki, na czym polega zespół Münchhausena. Theresa wierzyła, że służący są ludźmi i powinni we wszystkim uczestniczyć.

– Kiedyś udawałam, że jestem chora – powiedziała do staruszka. – Chciałam zwrócić na siebie uwagę.

– Kochanie, nie sądzę, żeby on coś z tego rozumiał – oznajmiła Evelyn.

– Udawałam, że kuleję.

– Thereso, tutaj nikt nie musi *udawać*, że kuleje.

Musiła przyznać, że córka od wczoraj trochę się ożywiła. Ten uścisk na schodach był pewnym przełomem. Jednak Theresa w dalszym ciągu była kobietą o gwałtownym charakterze i do tego w trudnej sytuacji życiowej. Świadomość, że nie ma już szansy na dziecko, na pewno była dla niej czymś strasznym. Kto się nią zaopiekuje na stare lata?

Kto? Evelyn zignorowała tę myśl. Spojrzała w kierunku ogrodu. Graham Turner odłożył notatnik i wszedł do środka na drzemkę.

Evelyn dotknęła wróbla. Był sztywny, ze strachu albo już nie żył. Bez względu na przyczynę pozwoliła mu jeszcze trochę poleżeć na swoich kolanach.

– Myślę, że on w końcu wypadnie z tego hotelu i zaćwierka, że oszukał nas wszystkich.

Evelyn zakładała, że Douglas mówi do żony, ale Jean spała. Mówił do niej.

¹ Robert Herrick, *Do panien, aby czasu próżno nie trwoniły*, w przekładzie Stanisława Barańczaka.

5

Kiedy człowiek nie jest panem własnej duszy, staje się jej niewolnikiem.

Bhagawadgita

– „Z populacją sięgającą blisko ośmiu milionów mieszkańców Bangalur jest jednym z najprężniej rozwijających się miast Azji” – przeczytał Christopher. – Słuchajcie, dzieci... „Wyznacza nowe kierunki w rozwoju technologicznym i jest prosperującą, nowoczesną metropolią z pubami, klubami i wielkimi sklepami”.

Jechali autobusem z Mysuru. Dzieci siedziały rozparte w fotelach.

– Brzmi obiecująco, nie? – rzucił Christopher. – Pod warunkiem że będziecie się trzymać z dala od świątyń.

– Świątynie są do bani – stwierdziła Clementine.

– Budynki nie są do bani, kochanie – zaprotestował.

Obok niego Marcia popijała wodę z butelki. Pomyślał o jej ustach obejmujących jego penisa. *Ta kobieta tak obciąga, że mogłaby wyssać chrom z haka holowniczego.* Gdzie to usłyszał? Pewnie w jakimś filmie. Jego żona tryskała temperamentem. Szczerze mówiąc, jej wymagania podczas tych wakacji były trochę przytłaczające – obciążanie, rozkładanie nóg, uciskanie jego pośladków, gdy przeżywała swoje spektakularne wielokrotne orgazmy. Po każdym z nich myślał, że już skończyła, ale nie. W drodze był następny. Kiedy on był już miękki i skurczony, ona nadal korzystała z jego ciała. I chyba nie robiło jej różnicy, czy jest w środku czy nie. I czy w ogóle jest. Prawdę mówiąc, mogłaby się ocierać o słup. Zeszłej nocy wezwała go pod prysznic. Kiedy

próbował przycisnąć ją do kafelków, poślizgnął się na mydle i prawie skrzył sobie kark. Wrzasnęła straszliwie, co – ma się rozumieć – bardzo go ucieszyło, ale jednocześnie się przestraszył, że w sąsiednim pokoju obudzą się dzieci. Indie zdawały się bardzo rozstrajać Marcie.

Autobus się zatrzymał i zatrąbił. Za oknem był postój dla ciężarówek, niechlujne, brudne miejsce z kałużami oleju. Na samochodach przywieszono napisy: PROSZĘ TRĄBIĆ i POWODZENIA. Pasażerowie przycisnęli nosy do szyby, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Na zewnątrz kierowcy ciężarówek wylegiwali się na sznurowych łózkach. Wyglądali na bardzo zadowolonych. Leżeli i palili papierosy. Zamknięty szczelnie w autokarze z klimatyzacją Christopher poczuł, że wdziera się w prywatność tych nieznanym ludzi. To miejsce przypominało mu mieszkanie w Clapham; było równie zapyziałe, obskurne i tak samo niewymagające. Nikt tych mężczyzn o nic nie prosił: jechali, spali i palili papierosy, i nie musieli się obawiać, że Marcia przyłapie ich na masturbacji. Nagle Christopher zapragnął otworzyć drzwi i znaleźć się w innym życiu. POWODZENIA! Mógłby wsiąść do pomalowanej na jaskrawy kolor ciężarówki i odjechać. W Ameryce to Marcia prowadziła samochód, ponieważ twierdziła, że Christopher za dużo pije. W Ameryce spieprzył sobie karierę i zrujnował finansowo swoją matkę. W Ameryce jego dzieci traktowały go jak służącego.

Christopher przymknął oczy. Mógł wkroczyć do innego świata i zacząć wszystko od nowa; autokar odjechałby bez niego i nikt by nie zauważył, że zniknął. Byłby jak Jack Nicholson w tym filmie, w którym pracuje przy wydobywaniu ropy naftowej. W nowym życiu miałby dzieci, które śmieją się z jego dowcipów, i piękną żonę, która mówi do niego melodyjnym głosem przepojonym miłością i nazywa go Topher. Która prałaby w rzece jego koszule i prostowała się na dźwięk jego kroków, skrywając twarz przed słońcem. Wreszcie byłby doceniony.

Autobus ruszył. Christopher oglądał krajobraz przesuający się za oknem. Jego stare życie wyparowało, ot tak, po prostu. Wszystkie starocie – narty, maszynka do makaronu, *rzeczy, przedmioty*, wszystko mogło zniknąć na pstryknięcie palcami. Nic nie miało znaczenia, było nieistotne, niematerialne. Pomyślał o molach fruujących w szafie w Sussex. Jedno klaśnięcie i zostanie z nich tylko plama na jego dłoni.

Autokar mknął przed siebie. Marcia przymknęła oczy i znowu znalazła się w świątyni w Halebid. Spacerowali w niej młodzi mężczyźni, przyglądając się architekturze budowli. Młodzi Hindusi, pewnie pracownicy biurowi, w koszulkach z krótkimi rękawami i wypomadowanymi włosami. Weszli do środka i przystanęli.

Marcia leżała na postumencie, jej spódniczka okręciła się w talii. Pod skórą czuła ciepło kamienia. Spójrzcie na mnie, jestem boginią seksu! Miała rozpiętą bluzkę i głaskała sobie pierś. Przesuwała po niej dłonią, gładziła delikatnymi, okrężnymi ruchami; pod palcem wskazującym czuła twardniejący sutek.

Rozłożyła nogi i zaczęła się zaspokajać. Gdy to robiła, patrzyła wyzywająco na młodych mężczyzn.

Stali i gapili się na nią. Ich dłonie powędrowały w kierunku kroczy. Zamykając oczy, słyszała ich wspólny ciężki oddech... sapanie, coraz szybciej i szybciej...

– Mamo, daleko jeszcze?

Marcia otworzyła oczy. Jechali przez przedmieścia jakiegoś miasta, zobaczyła rynsztoki i budynki mieszkalne zwieńczone antenami telewizyjnymi.

– Jeszcze trochę, skarbie – powiedziała.

– Chce mi się pić.

Marcia podała butelkę wody.

– Ale ja chcę colę.

Marcia ponownie przymknęła oczy. Każdej nocy, gdy była w łóżku z mężem, wyobrażała sobie inną twarz. Kiedy obejmowała nogami miękkie, podstarzałe ciało Chrisa, widziała brązową twarz innego mężczyzny. A w jej wnętrzu był wielki brązowy penis, który pompował z taką siłą, że aż krzyczała. Kiedy była w ekstazie, patrzyli na nią obcy mężczyźni, których również zaprosiła do sypialni. Rybacy z Kerali – nadzy, nie licząc przepasek na biodrach – patrzyli na jej rozłożone nogi, na unoszące się i opadające biodra. Zamiatacze – piękni młodzi mężczyźni, szarzy od kurzu, pieszczący się pod swoimi przepaskami.

Wszyscy mężczyźni w Indiach się jej przyglądali. Christopher nawet tego nie zauważył. Cholerny Anglik. Ci mężczyźni jej pożąдали, sprawiali, że chciało jej się żyć. Dawali jej nową Marcie – pociągającą, ekscytująco bladą i wreszcie piękną.

Christopher odtwarzał tę chwilę przez resztę życia. Przez te wszystkie lata, które mu pozostały; aż do dnia śmierci zapisanego na palmowym liściu, o którego istnieniu nie miał pojęcia. Przez resztę długiego życia pamiętał moment, kiedy otworzyły się przed nim drzwi hotelu Taj Balmoral i zaprosiły go do środka. Grała muzyka. Pokłonił mu się odźwierny w turbanie, a potem podeszła jakaś kobieta. Myślał, że jego rodzina jest tuż za nim, ale oni się rozplnęli, jakby ich nigdy nie było.

Kobieta była ubrana w ciemnogrnatowe sari zdobione srebrem. Oczywiście była piękna, ale większość hinduskich kobiet wyglądała olśniewająco. W tej kobiecie było jednak coś jeszcze, jakaś ustepliwa, niewymowna słodycz. Podniosła girlandę kwiatów i kiedy Christopher się pochylił, założyła mu ją na szyję.

– *Namaste* – powiedziała, składając dłonie. Rozdzwoniły się bransoletki. Kobieta pochyliła głowę. *Jesteś moim panem i władcą.*

– *Namaste* – odparł, ale zabrzmiało to idiotycznie.

Pozdrowiła go i zrobiła to najlepiej, jak umiała. Zanurzyła palec w dzbanku, a potem przycisnęła go do jego czoła. Gdy koncentrowała się na tej czynności, wysunęła czubek języka. Potem ich spojrzenia się spotkały, a ona posłała mu olśniewający uśmiech.

– Witamy w Taj Balmoral – powiedziała. – Mamy nadzieję, że będzie pan zadowolony.

Christopher nigdy nie wierzył w miłość od pierwszego wejrzenia, aż do tamtej chwili. Poczł się po prostu zaakceptowany – z całą swoją bezbarwną i nudną bezradnością. Później powiedziała mu, że właśnie kończyła zmianę. Jeszcze pięć minut i wyszłaby na lunch. Christopher – ponownie wyczulony na miłość – wyobraził sobie wszystkie przeszkody, które napotkał w ciągu ostatnich ośmiu dni spędzonych na indyjskich drogach. Kolejne stado kóz, kolejna rozbita ciężarówka, kolejna święta krowa. Jeszcze jeden pieprzony postój i Aisha nigdy nie wkroczyłaby w jego życie z naręczem nagietków, zapachem piżma i oszałamiającą obietnicą szczęścia. W tym wszystkim było tyle delikatności i wrażliwości. Z chaosu Indii wyłonił się cud, który w rezultacie mógł przynieść cierpienie, ale przecież Indie wiedziały wszystko o cierpieniu.

Ravi się uparł, że będzie towarzyszyć Pauline w podróży do Bangaluru.

– Nie możesz jechać tam sama, nie teraz – powiedział.

Pauline podejrzewała, że z chwilą, gdy jej ojciec zniknął z Marigold, hotel stał się dla Raviiego o wiele bardziej atrakcyjny. Nie mogła rzecz jasna mu tego powiedzieć, tym bardziej że ją wspierał. Ravi uważał, że Pauline potrzebuje go w chwili żałoby i smutku.

W rzeczywistości śmierć ojca była dla niej o wiele mniej bolesna, niż się spodziewała. Świat bez niego nie był tym samym miejscem i myśl o tym była dziwnym doznaniem, ale ostatecznie Norman prowadził przyjemne życie

nastawione całkowicie na zaspokajanie własnych potrzeb i umarł w podeszłym wieku, w otoczeniu personelu, który mu dogadzał, i miłych znajomych. Zdarzały się gorsze rzeczy. Pauline była zaskoczona swoim spokojem. Może nieświadomie wchłonęła trochę hinduskiego fatalizmu. Prawdę mówiąc, to Ravi wydawał się bardziej zdenerwowany niż ona. Przypuszczała, że to z powodu poczucia winy.

Sonny również sprawiał wrażenie głęboko poruszonego. Pauline nie mogła tego zrozumieć. Czy ten mały kombinator naprawdę tak lubił jej ojca? Słyszała, że czasem wychodzili razem na drinka, ale mimo to reakcja Sonny'ego wydawała się przesadzona; ten człowiek był naprawdę szczerze przejęty.

Norman został skremowany dzień po ich przyjeździe, a potem w kościele Świętego Patryka odprawiono skromne nabożeństwo. Sonny przez cały czas pociągał nosem i wzdychał. Kiedy wyszli z kościoła, Pauline zwróciła uwagę na płyty nagrobne: młodzi żołnierze, którzy odeszli w kwiecie wieku – Lawrence Lennox, Standish Wilson – oraz ich żony i dzieci.

– Popatrz, dwadzieścia dwa lata i tyfus – powiedziała. – A tu tylko sześć lat. – Pauline objęła pulchne ramiona Sonny'ego. – W porównaniu z nimi mój tata naprawdę dobrze przeżył swoje życie – dodała i pomyślała, że właściwie to *Sonny* powinien pocieszać ją.

Podejrzewała, że prawdziwą przyczyną jego udręki są różne przykre wydarzenia, które ostatnio zaszły w hotelu. Doktor Rama został zwolniony. Rozpadło się małżeństwo dyrektora, a jego żona wyprowadziła się do siostry. Kucharz, zasmucony śmiercią Normana, pogrążył się w upojeniu alkoholowym i nikt nie widział go już od dwóch dni. Pensjonariusze byli chyba nieświadomi tych wszystkich zakulisowych dramatów; posiłki przygotowywał Minoo z młodym kuchcikiem, a pani Cowasjee już wcześniej nie brała udziału w życiu towarzyskim.

– Nie ma lekarza ani pielęgniarki – szepnął Ravi. – Co się stanie, jak ktoś zachoruje?

– Przecież mają ciebie – rzekła Pauline.

Ravi nie odpowiedział. Lady Curzon Street była skąpana w świetle zachodzącego słońca. Wracali z kościoła minibusem, który załatwił Sonny, żeby mieszkańcy hotelu mogli się pożegnać ze zmarłym. Powozy ze stukotem wracały do domów po dniu spędzonym na zwiedzaniu skromnych atrakcji turystycznych Bangaluru. Pauline patrzyła na wychudzone konie i na betonowe budowle oblane wieczornym światłem. Zachody słońca były tu tak piękne, że miała łzy w oczach. Najwyraźniej to Indie, a nie jej ojciec, miały moc, by doprowadzać ją do łez.

Czekało ją teraz sentymentalne zadanie: musiała uporządkować rzeczy ojca. To będzie wyjątkowo dziwne Boże Narodzenie, które spędzi z niemal obcymi ludźmi. Ale z pewnością nie będzie dziwniejsze dla niej niż dla nich.

Evelyn jadła kolację w Taj Balmoral z synem, jego żoną i Theresą. Wnuki na szczęście zostały w łózkach. Evelyn musiała przyznać, że ich zachowanie ją rozczarowało. Dwa słodkie aniołki – Joseph i Clementine – zamieniły się w amerykańskie bachory. Nie mogła wprost uwierzyć, że są z nią spokrewnieni, a po ich spojrzeniach poznawała, że oni czują to samo. Ani słowem nie podziękowali za gwiazdkowe prezenty i nie wykazywali żadnego zainteresowania otoczeniem. Potrafili tylko narzekać, że telewizor nie działa. Dlaczego dzieci, które mają wszystko, są takie niewdzięczne? Dzieci hinduskie, które nie miały prawie nic, były w porównaniu z nimi czarująco uprzejme i grzeczne, nawet gdy prosiły o pieniądze.

Poza tym wizyta okazała się nieoczekiwanym sukcesem. Christopher i Theresa ani razu się nie pokłócili. Zaskakujące, że rzecz, której najbardziej się obawiasz, nagle znika. Trzeba jednak przyznać, że oboje wyglądali na odrobinę nieobecnych i rozkojarzonych, żeby nie powiedzieć – rozmarzonych. Theresa nie okazywała Marcii tradycyjnej wrogości i wyglądała niezwykle atrakcyjnie,

niemal jak wamp. Była ubrana w czerwoną sukienkę na ramiączkach zdobioną cekinami. Jej widok musiał poruszyć niejedno serce w aśramach.

Evelyn opowiedziała o kremacji, nowinkach Dorothy i małżeńskich kłopotach dyrektora.

– Pani Cowasjee spakowała się we wtorek i wyjechała. Ten biedak był strasznie nieszczęśliwy. Tylko ja wiem, co się stało. Rozumiecie, jesteśmy przyjaciółmi. Pokazał mi nawet buty, które miał na sobie podczas ich pierwszego spotkania.

– Zakochał się w innej kobiecie? – zapytał Christopher, odkładając widelec.

Evelyn pokręciła głową.

– Czuł się przez żonę zgnębiony, z maltretowany. Ona jest bardzo apodyktyczną osobą.

– Naprawdę? – zapytał Christopher.

– Niech cię nie zwiodą kobiety w sari – ostrzegła go Evelyn. – Hinduski potrafią być bardzo dominujące. A ten mężczyzna jest wrakiem człowieka. Ta kobieta sprawiła, że czuje się kompletnie niedowartościowany i niepotrzebny.

Zapadła cisza. Christopher skubał krewetkę.

Marcia spojrzała na mężczyznę grającego na sitarze; siedział na podwyższeniu w rogu sali, był młody, ubrany w tradycyjny hinduski strój.

– Czyż nie jest piękny? – zamruczała.

Marcia miała na sobie turkusową bluzkę wyszywaną błyszczącymi ozdobami, które migotały tajemniczym przesłaniem, a jego treść znała tylko ich właścicielka. Może Indie tak korzystnie działają na ich małżeństwo, pomyślała Evelyn. Ostatnim razem stosunki pomiędzy tą dwójką były bardzo napięte. Marcia była kobietą energiczną i nerwową, ale teraz można było odnieść wrażenie, że jej wewnętrzne zasilanie zostało odcięte. Wyglądała na zrelaksowaną, odprężoną, nawet piękną.

Evelyn nigdy nie dowiedziała się dlaczego. Następnego dnia była Wigilia

i wszyscy wyjeżdżali.

– Tylko pomyślcie, Gwiazdka na plaży! – powiedziała.

Jej syn z rodziną wybierał się na Goa.

– Przykro mi, że nie możemy zostać – rzekła Marcia. – Ale taki jest plan podróży.

– Nie przejmuj się, cudownie was widzieć – odparła Evelyn. Zaliczyli już świątynię byka i ogród botaniczny. W ciągu dwóch dni zdołali naprawdę dużo zwiedzić. Gdyby więc pominąć dziwnie mdłą atmosferę – jakby wszyscy lunatykowali i byli nie do końca przytomni – wizytę w Bangalurze można by uznać za sukces. – Bardzo się cieszę, że tu jesteście. Rozpieszczacie mnie. Krewni niektórych moich przyjaciół przylecą dopiero w styczniu, po świętach, które spędzą z najbliższymi. – Zamilkła i się zadumała. Czy dziadkowie to nie *najbliżsi*? – Muriel Donnelly uważa, że jej syn wkrótce się zjawi w Bangalurze. Biedactwo. Tylko to trzyma ją przy życiu. Hermione modli się za nią w każdą niedzielę.

– A gdzie jest jej syn? – zapytała Theresa.

– Bóg jeden wie – powiedziała Evelyn z uśmiechem. – Może właśnie dlatego Hermione się modli. Na razie nie ma jednak odpowiedzi. To chyba jakiś dziwny osobnik.

– Kto? Bóg? – zapytała Theresa.

– Nie, kochanie. Jej syn. I jego podejrzane interesy.

– Jakiego rodzaju?

– Nie mam pojęcia. Muriel też nie.

W głowie Evelyn zaświtało straszliwe podejrzenie. Może Theresa bierze narkotyki. To tłumaczyłoby jej nieobecność. Czasami znikła na całe popołudnia. Potem wracała z roziskrzonym spojrzeniem i zaróżowionymi policzkami. W Bangalurze nie było problemu z dostaniem narkotyków. Evelyn czytała o tym w „The Times of Karnaka”. Niestety, niezawodne źródło

angielskiej prasy skończyło się wraz z Normanem.

W mieście szerzy się zorganizowana przestępczość oraz korupcja na najwyższym poziomie. W rozwijający się prężnie handel narkotykami zaangażowane są miliony rupii.

Evelyn obserwowała córkę. Theresa wytarła talerz kawałkiem chleba, potem włożyła go do ust i spojrzała przed siebie rozmarzonym wzrokiem. Evelyn obejrzała jej ramiona w świetle świec. Były na nich ślady po igle czy po ukąszeniach komarów?

Evelyn miała złe przeczucia. Boże święty. Może dlatego Theresa tak często jeździ do Indii. „Jestem uzależniona od Indii”, powiedziała kiedyś. „Potrzebuję swojej działki”. Evelyn kompletnie się na tym nie znała. Mój Boże.

– A jak twoi młodzi przyjaciele z biura obsługi klienta? – zapytał Christopher.

Evelyn wzięła się w garść.

– Surinda dostała wymówienie w zeszłym tygodniu. Nie miała do tego serca. Ciągle wypytywała ludzi o Anglię i niczego nie sprzedawała. Wielka szkoda.

Może powinna się poradzić lekarza; tego prawdziwego, z Anglii, doktora Raviego Kapoora, a nie tego od chorób wenerycznych. *Ten facet to szarlatan!* Nagle i absurdalnie zatęskniła za Normanem. Surinda również zniknęła z jej życia. Miło było mieć wokół siebie młode twarze. Twarze, które nie były odbiciem jej własnej śmiertelności. Życie ze starymi ludźmi tak postarzało. A właśnie na tym polegała rola rodziny – cóż, może nie tylko na tym – na spotkaniu różnych pokoleń. Straciła jednak swoją przybraną wnuczkę Surindę, a jej własna córka, narkomanka, wkrótce wyjedzie.

Restauracja Lotus znajdowała się na ostatnim piętrze hotelu, pod nimi połyskiwały światła miasta. Dzisiaj Indie wydawały się Evelyn niepokojąco obce. Wysiłki, jakie podejmowała przez ostatnie tygodnie, chcąc dostroić się do tego miejsca, były fałszywe i sztuczne. Chciała się poczuć jak w domu, ponieważ nie

miała innej opcji. A tymczasem ten kraj zmienił jej dzieci w obcych ludzi – w dorosłych z tajemnicami, do których nie miała dostępu. Wystarczyło spojrzeć, jak bawią się serwetkami i uśmiechają do siebie!

Pomyślała, że to jednak całkiem naturalne. Nie potrzeba przecież Indii, żeby dzieci zmieniły się w dorosłych w średnim wieku, którzy mają własne życie. Och, Hugh, pomyślała. Och, Hugh.

– Wesołych świąt, mamó. – Christopher pochylił się nad stołem i podał jej paczkę.

Evelyn otworzyła ją i zobaczyła piękną szatę z jedwabiu w kolorze głębokiej czerwieni ze złotymi lamówkami.

– To sari – powiedział. – Wiem, wiem, ale może chociaż raz ją włożysz na jakąś specjalną okazję.

– Skąd to masz? – zapytała ostro Marcia.

Evelyn przypuszczała, że to Marcia zazwyczaj kupuje prezenty.

– Ze sklepu – odparł Christopher. – To sari *banarasi*.

– Czyli co? – dopytywała się Marcia.

– Sari *banarasi*, na specjalne okazje.

– A skąd ty to wiesz? – Marcia utkwiała w nim twarde spojrzenie.

Christopher odchrząknął.

– Przeczytałem o tym w przewodniku. Kto ma ochotę na pudding?

Evelyn podziękowała za prezent, chociaż nie mogła sobie wyobrazić siebie w sari. Żadna okazja nie była wystarczająco specjalna. Wdowy w Indiach ubierały się na białą, jakby już były duchami. Dobrze, że Christopher nie kupił jej czegoś takiego.

– Jest wspaniały, prawda? – powiedziała Marcia.

Evelyn potwierdziła kiwnięciem głowy.

– To bardzo wspaniałomyślne z jego strony.

Rzecz jasna Marcia nie miała na myśli Christophera. Wpatrywała się w mężczyznę grającego na sitarze.

– Spójrz na jego dłonie – ciągnęła miękko. – Jak trzyma instrument.

Evelyn złożyła papier, w który było zapakowane sari. Jej pokolenie, podobnie jak Hindusi, nigdy niczego nie wyrzucało. Mogło się przecież przydać później.

– I w jaki sposób dotyka strun – dodała Marcia, a potem znowu zamilkła.

Pauline chwyciła męża za rękę i zaprowadziła go do ogrodu.

– Chcę ci coś pokazać – powiedziała.

Było już późno. Minęli kwaterę służących. W jednym oknie paliło się światło. Ktoś chrząknął i splunął. Tutaj, we własnych domach, znajomi posługacze stawali się obcymi ludźmi.

– Dokąd mnie zabierasz? – zapytał szeptem Ravi.

– Za mur.

Świecił księżyc w pełni. Noc była czysta i jasna, w gwiazdach odbijały się światła miasta. Pauline i Ravi przedzierali się ku najdalszemu krańcowi ogrodu, gdzie nie zapuszczał się żaden z gości. Coś poruszyło się w stercie śmieci.

Przed nimi pojawiły się drzwi częściowo zarośnięte pnączami.

– Służący używają tego przejścia, kiedy stąd wychodzą, żeby pozalätwiać jakieś swoje sprawy – szepnęła. – Albo jak wracają do swoich wiosek, kiedy mają wolny dzień. Nie wiem.

Pauline nacisnęła klamkę i drzwi otworzyły się z trzaskiem. Przeszli przez próg i znaleźli się na nieużytkach za hotelem. Cuchnęło odchodami. Ravi podniósł nogę i obejrzał podeszwę buta. Kolczaste zarośla stały nieruchomo w świetle księżyca; na ich gałęziach powiewały plastikowe torebki. Z tyłu znajdowały się szałas, w których mieszkali śmieciarze.

– Zupełnie jak w *Alicji w Krainie Czarów*, prawda? – szepnęła Pauline. – Przejdźcie na drugą stronę lustra do innego świata.

– Co chcesz mi pokazać? – Ravi próbował być uprzejmy. W końcu zaledwie dzisiaj ojciec Pauline został wysłany tam, dokąd po śmierci wędrują ludzie.

– Rodzice Dorothy znali ludzi, którzy tutaj mieszkali – szeptała Pauline. – Dzisiaj mi o tym opowiadała. Wiele lat temu były tu ogród i bungalow. Mieszkał w nim pułkownik Hislop z żoną, a Dorothy piła u nich lemoniadę, gdy dorosli grali w brydża.

Pauline chciała, żeby Ravi poczuł magię tego miejsca. Czy gdzieś w głębi duszy nadal skrywał więź łączącą go z krajem przodków?

– Kochanie, obiecałem Minoo, że przejrzę księgi – powiedział. – Biedak na pewno już się nie może doczekać, żeby się położyć do łóżka.

– Chcę pomagać ludziom – rzekła Pauline. – Ty robisz to przez całe życie, a ja chcę zrobić to teraz. Już nie odnajdę tych dzieci, które kiedyś tu spotkałam i sfotografowałam. Pomyśl, że można by zbudować tu dom dla wszystkich, którzy są samotni. Mogłabym się przydać, Ravi. – Pauline spojrzała na jego piękny, posępny profil. – Starzy i młodzi ludzie mogliby mieszkać razem. Nie sądzisz, że to ma sens? – Wskazała na hotel, który mieli za plecami. – Brakuje im młodych twarzy, tęsknią za nimi. Mogliby ich wielu rzeczy nauczyć. Jedni i drudzy lubią to samo jedzenie i myślą w podobny sposób. Starzy i młodzi mają ze sobą wiele wspólnego. Wiesz, druga młodość, dzieciństwo i te rzeczy. No i mają mnóstwo czasu.

Pauline przystanęła. Wyszło trochę chłodniej, niż zamierzała, ale obecność męża nieco ją deprimowała.

Ravi pochylił się i założył jej kosmyk włosów za ucho.

– To cudowny pomysł, kochanie. Myślę jednak, że zbudują tu centrum handlowe.

Ravi czuł się strasznie. Wiedział, że powinien wykazać się współczuciem, ale to miejsce go przygnębiało. W Indiach zawsze brakowało mu tchu, czuł, że się dusi. Zanim wyszli z pokoju, zadzwonił telefon. To była jego matka: *Dokąd się wybierasz, mój mały Ravi?... Twój ojciec ma bóle w piersiach... A twoja siostra i ten jej niedobry mąż... Twój brat dzwonił z Toronto, rozwód jest zapisany w kartach, tylko kto spłaci jego długi, co z tym wszystkim będzie, ten chłopak rujnuje sobie karierę...* Sonny też się zmienił. Skurczył się, zmałał, nękały go jakieś kłopoty.

A kiedy mieszkałeś za granicą, życie było o wiele prostsze, pozbawione tego duszącego ciężaru. Londyn był taki nierozważny, lekkomyślny i nigdy cię nie oceniał. Przyjaciele, dzięki uprzejmości i kompatybilności, zajmowali należne miejsce w twoim sercu. No i jeszcze był Mozart, który brał cię za rękę i prowadził do nieba.

Ravi próbował wytłumaczyć to Pauline, ale ona była nowa w tym kraju i nie rozumiała, że jest pozbawiony skrupułów i odporny na zmiany. Indie ukradły mu Pauline, a potem ją porzuciły. Chciał chwycić żonę za ramiona i krzyknąć: *Nie widzisz tego? Tu nigdy niczego nie załatwisz!* Ale nie krzyknął i teraz wracali do pokoju, który należał do ojca Pauline i raczej nie był odpowiedni do małżeńskich uciech. Zmieniono oczywiście pościel i zestawiono razem dwa pojedyncze łóżka, ale Norman ciągle tam był. Ludzie nie umierają; ich obecność po śmierci jest równie silna jak przed nią, a może nawet silniejsza, bo wyzwala poczucie winy i odbiera możliwość pojednania.

Weszli na werandę. Drewno było zbutwiałe i trzeszczało pod ich stopami. Brakującą poręcz, którą straciła przy upadku Eithne, zastąpiono liną. Jakże kruchy wydawał się dzisiaj świat. Może ci, którzy mają dzieci, czują się bardziej stabilnie. Skąd miał to wiedzieć?

Rawiego bolało serce. Za niego, za Pauline. W ciemności czaił się smutek, po tylu latach ciągle świeży, przerażająco żywy i gotowy, by rzucić mu się do

gardła.

Frontowe drzwi były zamknięte, chyba zrobiło się bardzo późno. Gdy Ravi naciskał na dzwonek, na podjeździe zjawiała się Evelyn ze swoją córką. Właśnie wracały z kolacji na mieście.

– Chyba wszyscy już poszli spać – powiedział Ravi.

Do drzwi przykuśtykał stary służący Jimmy, mrucząc pod nosem jak odźwierny z *Makbeta*. Ravi obserwował przez szybę, jak obraca klucz w zamku.

– Przenieśliśmy się do baru w Balmoral – oznajmiła Evelyn. – To cudowny hotel.

Mój Boże, ta kobieta była wstawiona. Evelyn zmarszczyła brwi i spojrzała na Raviego.

– Chciałam pana o coś zapytać, ale wyleciało mi z głowy.

– Chodź, mam – powiedziała Theresa i złapała ją za ramię.

Evelyn zwróciła się do Pauline.

– Bardzo mi przykro z powodu twojego ojca – powiedziała. – Był takim wesołym człowiekiem. Zawsze siedział na werandzie ze szklaneczką whisky. Bardzo mi go brakuje.

– Wciąż nie wiem, jak umarł – rzekła Pauline. – Co robił sam na tym bazarze?

Zapadła cisza.

– Nie wiesz? – odezwała się po chwili Evelyn.

– Ale o czym?

– Kupował dla ciebie prezent gwiazdkowy.

Pauline spojrzała na nią z niedowierzaniem.

– Naprawdę?

– Mam go u siebie w pokoju. Zaraz przyniosę – powiedziała Evelyn

i odeszła.

– Boże kochany! – zawołała Pauline. – Nigdy nie kupował mi prezentów. Mama zawsze robiła to za niego.

Czekali w holu, gdzie stała choinka obwieszona zakurzonymi lampionami. Przez te dekoracje pokój wyglądał jeszcze bardziej obskurnie i nędznie. Ravi spojrzał na niedobre fotele i wytarte dywaniki. Musiał przyznać, że hotel trochę go rozczarował. Trudno uwierzyć, że mógłby być początkiem nowego brytyjskiego imperium i wymiany emerytów na światową skalę.

„Nic nie rozumiesz”, powiedziała kiedyś Pauline. „Dla nich hotel jest uroczym miejscem. Lubimy w Indiach wszystko, czego ty nienawidzisz. Pracuję w turystyce, więc znam się na tym. W każdym razie to wszystko przypomina im dom”.

Theresa przysiadła na poręczu sofy. Zdjęła sandał i obejrzała stopę.

– Coś nie tak? – zapytał Ravi.

– Już wszystko w porządku, zagoiło się – odparła Theresa.

Jej paznokcie u stóp były pomalowane purpurowym lakierem. Nie pasowały do jej czerwonej, nieco prowokującej sukienki, ale efekt był inspirujący. Choć Theresa miała ostre rysy, była atrakcyjną kobietą o zdrowym wyglądzie, błyszczących włosach i promiennych oczach. Ravi zastanawiał się, czy stosuje hormonalną terapię zastępczą. Pauline właśnie zaczęła ją przyjmować, ale była tak samo ponura jak zawsze. No, ale w takiej sytuacji trudno się dziwić.

– Znasz człowieka, który nazywa się PK? – zapytała Theresa.

– PK?

– To chyba jakiś tutejszy wpływowy biznesmen, który zna wszystkich.

Ravi pokręcił głową.

– Niestety, mieszkam w Dulwich.

Stary zegar zaczął wybijać północ. Kiedy skończył, wróciła Evelyn z paczką

zawiniętą w świąteczny papier.

– Przechowałam to dla ciebie – powiedziała i wręczyła pakunek Pauline.

Pauline rozwinęła go i wyciągnęła jakąś długą szatę.

– To sari – oznajmiła Evelyn. – Sari *baranasi* na specjalne okazje.

Theresa wzdrygnęła się lekko, ale Evelyn tego nie zauważyła.

– Twój ojciec bardzo cię lubił.

– Naprawdę? – Pauline dotknęła palcami jedwabiu.

Evelyn skinęła głową.

– Dużo o tobie mówił. Był taki szczęśliwy, że zaoferowałaś mu swój dom w Londynie. – Zamilkła na chwilę. – To bardzo wiele dla niego znaczyło.

Pauline pogładziła złote obszycie.

– Cieszę się, że o mnie myślał – powiedziała i uśmiechnęła się do Evelyn. – Nie spodziewałam się.

Ravi spojrzał na sari. Zadziwiający prezent jak na takiego starego faceta. Może źle oceniał swojego teścia. Jak mało wiemy o tym, co się kryje w sercach innych ludzi.

– A więc miałeś pięć żon – powiedziała Theresa.

– Dwie z nich nie były moimi żonami – odparł Keith.

– Ludmiła i Maureen. Zgadza się?

Keith pokiwał głową.

– Z Ludmiłą nie trwało długo. Pochodziła z Władystoku.

– A Shannon i Jordan są dziećmi Sandry?

Ponownie przytaknął.

Wszystko było takie skomplikowane i bolesne. Mimo to Theresa dalej prowadziła swoje dochodzenie i wracała do tematu, tak jak język powraca do bolącego zęba. Myślała o tych wszystkich razach, kiedy Keith kochał się

z innymi kobietami. *Żyj w terażniejszości*, mówiła sobie. Na stoliku stojącym przy łóżku leżał jego rolex. *Pozbądź się przeszłości*. Te wszystkie popołudnia spędzone w jego pokoju hotelowym wykraczały poza czas. Zastanawiała się, czy on czuje to samo.

Keith pociągnął łyk piwa, pochylił się i przycisnął ją wargami. Piła prosto z jego ust.

„Żądza posiadania ma swoje źródło w strachu”, powiedział Swamiji. „Przywiązanie jest iluzją”.

– A co poszło źle?

– Źle?

– Odnoszę wrażenie, że miałeś dużo nieudanych związków. – Rany, gada jak jakaś jędza.

Keith wzruszył ramionami.

– Łatwo przyszło, łatwo poszło.

– To taktyka uników.

– To nie jest taktyka, skarbie.

Boże, może wolałby obejrzeć mecz albo coś w tym rodzaju. Postanowiła, że się nie podda i nie odpuści. Nic nie mogła na to poradzić.

– Chyba masz problem z zaangażowaniem.

– One też bzykały się z innymi facetami. Sandra dymała swojego instruktora fitnessu.

„Dusza otwarta na Boga jest otwarta na zmiany”, powiedział Swamiji, a Keith zdawał się w to wpisywać. A jednak dharna nakazywała akceptować swoje położenie i bezwzględnie godzić się z losem. Theresie kręciło się w głowie. Szczerze mówiąc, im dłużej studiowała hinduizm, tym mniej wiedziała. Ale przecież właśnie o to chodziło.

– Mój problem polega na tym, że moi rodzice byli zbyt szczęśliwi –

stwierdziła.

– Na Boga, kobieto. – Keith położył lodowatą butelkę na jej brzuchu.

Zapiszczała.

– Uważasz, że życie jest proste, prawda? – spytała.

– Proste? – Keith osuszył butelkę. – Nie jest proste, kochanie. Jest kurewsko przewrotne.

Do tej pory zdążyła się już trochę o nim dowiedzieć. Niedużo. „Uwierz, że nie chcesz wiedzieć więcej”, powiedział złowieszczo Keith. Były w to wszystko zaangażowane ogromne pieniądze, handel nieruchomościami i podobne rzeczy. Theresa podejrzewała, że narkotyki również. Bangalur był przesycony korupcją, która sięgała aż poziomu ministerialnego, a Keith tropił pewnego człowieka, który oszukał go na wielką sumę i doniósł na niego na policję. Keith przemierzył cały świat, żeby go odnaleźć; najpierw poleciał do Delhi, a potem ślady zaprowadziły go do Bangaluru. Człowiek, którego ścigał, nazywał się PK i miał powiązania na wysokich szczeblach. I nadal był nieuchwytny.

– Kotku, prawdę mówiąc, jestem już prawie na mecie.

– Ale nie możesz wrócić do Anglii? – zapytała.

– Chyba żartujesz. Od razu by mnie aresztowali.

– A co z twoją mamą? Nie martwisz się o nią?

– Komu to mówisz? – Keith zapalił papierosa.

– Dasz dymka?

Podał jej papierosa.

– Zostawiłem jej wiadomość – powiedział. – Widzisz, mógłbym wyjechać do Hiszpanii. Mam tam przyjaciół, którzy się mną opiekują. Sprowadzę mamę i będziemy mogli tam przeczekać jakiś czas.

Jakże to się różniło od jej dzieciństwa w Sussex! Wyobraziła sobie, jak jej matka ucieka przed policją i wyjeżdża na Costa del Sol, by osiąść tam z bandą

oszustów popijających whisky. Próbowła też wyobrazić sobie siebie. Czy takim ludziom przydałyby się jej umiejętności doradcze?

Związek z mężczyzną, który znajdował się w niebezpieczeństwie, wprowadzał wiele zamieszania. Było trochę jak na wojnie. Keith mógł wyjść z tego pokoju i już nie wrócić. Za rogiem mogły czekać zbiry PK. To tworzyło swego rodzaju elegijną atmosferę wokół najbardziej banalnych wypowiedzi. Teraz ona była wszystkim, co miał.

– Dla większości osób, z którymi pracuję, największym problemem są zaburzenia odżywiania – powiedziała i pomyślała o ludziach, którzy na zewnątrz zbierali śmieci.

Keith wtoczył się na nią.

– Jesteś wspaniałą słuchaczką, dziecinko.

– To moja praca.

– I bosko się pieprzysz.

Objęli się ramionami. Krzyknęła, kiedy w nią wszedł. Kochał się z nią tak czule, jego ciało mówiło to wszystko, czego nigdy sobie nie powiedzieli. Oboje mieli świadomość, że są tylko dwojgiem nieznajomych i że ich znajomość nie potrwa długo. *Łatwo przyszło, łatwo poszło*. Tak powiedziałby Swamiji, gdyby tylko znał te słowa.

Słońce ześlizgiwało się po ścianie. Muezin wzywał wiernych, jakby był ich panem i władcą. *Już czas, panowie, już czas*. Stali pod przysnycem i namydlali się wzajemnie z wielką powagą.

– Co robisz jutro? – zapytała.

Keith wzruszył ramionami. Mokre włosy oklejały mu twarz. Uwielbiam cię, pomyślała.

– Przyjdź na świąteczny obiad. Nie możesz zostać sam.

Keith namydlił jej ramię.

– Nie chcę, żebyś miała przeze mnie kłopoty, skarbie.

– Nie sędzę, żeby grupa brytyjskich pensjonariuszy miała gorącą linię z tutejszą mafią – powiedziała. – Przyjdź, proszę. Ucieszą się, będziesz mógł z nimi poflirtować. Ich rodziny na pewno nie przyjadą, więc się zgódź.

Umył jej twarz z taką ostrożnością, z jaką chłopiec myje swój pierwszy rower.

– A co im powiesz? Że kim jestem?

– Moim chłopakiem. – Theresa się zaczerwieniła. – Jeśli tym właśnie jesteś.

6

Ostatni gasi światło.

wywieszka w sali telewizyjnej hotelu Marigold

Ravi przygotowywał świąteczną kolację. Został do tego zmuszony przez okoliczności. Zatrudniono już wprawdzie nowego kucharza, ale miał zacząć pracę dopiero w przyszłym tygodniu. Przy pomocy kuchcika przez cały ranek siekał, kroił, czyścił i obierał indyka, którego Mino kupił wcześniej na Gandhi Market i przywiózł na tylnym siedzeniu niczym nowego ważnego gościa.

Ravi znajdował w gotowaniu wielką przyjemność. Przygotowywanie obiadu po ciężkim dniu z pacjentami zawsze go uspokajało. Warzywa przynajmniej nie mówiły. Oskubany indyk nie żądał niczego prócz tego, by zamienić go w jakąś pyszną potrawę. Ravi był twórczym i pomysłowym człowiekiem. Jego umiejętności prowadzenia gospodarstwa domowego przewyższały umiejętności Pauline, więc w jakimś innym życiu byłby tradycyjną, staromodną żoną. Znał sekret smażonych ziemniaków: trochę je podgotował, obtoczył w przyprawionej mące, a potem wrzucił na gorący tłuszcz. Kiedy już zaczęły skwierczeć, poczuł coś nieznanego, a może zapomnianego: radość.

– *Garam pani lao*¹ – powiedział do Pramoda, swojego młodego pomocnika.

Chłopak był apatyczny i ospały i Ravi podejrzewał, że ma anemię. Był wegetarianinem i jego krwi przydałaby się odrobina czerwonego mięsa.

Brukselka była nieosiągalna, więc gotowali kapustę. Sekret kapusty polegał

z kolei na tym, by ją zblanszować, a potem obtoczyć w maśle, czosnku i kminku. Według słów Sonny'ego gotowana kapusta śmierdziała jak dom spokojnej starości.

– *Ocha pani*² – powiedział Ravi do chłopca.

Pramod był Tamilem, ale obaj próbowali się dogadać w hindi. Ravi miał przy tym wrażenie, że powrócił do zwinniejszej i bardziej ekspresyjnej wersji samego siebie sprzed lat; do młodego mężczyzny, którym już od dawna nie był. Podwinął rękawy koszuli, był spocony pod pachami. Ponieważ dorastał w Indiach, nigdy nie idealizował ciężkiej fizycznej pracy; nawet człowiek obdarzony sporą wyobraźnią nie mógłby uznać, że życie milionów ciężko harujących ludzi jest godne pozazdroszczenia. W jego rodzinie przynajmniej tak nie uważano. Ale teraz, kiedy podnosił rondel i stawiał go na ogniu, te proste czynności sprawiały mu fizyczną przyjemność. Przypomniawszy sobie, jak kiedyś przechodził przez budowę w Lewisham i słyszał pogwizdywanie robotników.

Do kuchni przykuśtykała Pauline. Była ubrana w sari, które na Gwiazdkę kupił dla niej ojciec. To, że umarł w trakcie zakupów, było aktem zdumiewającej i nietypowej szczodrości. Nagle zrobiło mu się żal Normana. I Pauline też; wyglądała w hinduskim stroju dziwnie – Angielki nie miały pojęcia, jak się w nim poruszać – i blado, bo żywość jego barwy pozbawiła jej twarz kolorów.

– Co tam słyhać? – zapytał Ravi.

– W porządku. Piją specjalne drinki Sonny'ego. – Pauline otworzyła dłoń, na której leżała sterta monet. – Zastanawiam się, czy nie włożyć ich do puddingu.

– Przecież moneta może utknąć komuś w gardle – powiedział Ravi. – A jeśli ktoś udławi się rupią?

– To dopiero optymistyczna wizja życia – odparła kwaśno Pauline.

Ravi zamilkł. Norman nazywał go sztywniakiem. Kiedyś piał triumfalnie, gdy nakrył go w pociągu na czytaniu instrukcji bezpieczeństwa. A Ravi chciał tylko mieć coś do czytania, żeby powstrzymać starego drania od gadania. A teraz

Normana już nie było.

Do diabła z tym. Jeśli ktoś umrze, to umrze. Zawodowy instynkt Ravięgo ulotnił się wraz z parą kuchenną. W końcu byli w Indiach.

– Przepraszam, kochanie – powiedział. – Zrób, jak uważasz.

Pauline rzuciła mu szybkie spojrzenie. Była grubokościstą kobietą i w sari wyglądała dość niezgrabnie, jakby była w coś owinięta, niczym nietrafiony świąteczny prezent. Gęste kasztanowe włosy spięła ciasno spinką w kształcie motyla i przez to jej szczeka wydawała się jeszcze bardziej kwadratowa. Ravi poczuł kolejną falę żalu. W jej wzburzeniu był jakiś dziwny spokój i straszliwy smutek.

– Dobrze się czujesz? – zapytał. Głupie pytanie.

– Dziwnie – powiedziała Pauline. – Jestem teraz sierotą. Przesunęłam się na początek kolejki.

Ravi spojrzał na żonę. Powinien ją objąć, ale trzymał w dłoni nóż. Miał wrażenie, że zawsze ma zajęte ręce. Potrzeba Pauline była naturalna i prosta, ale mimo to żona wydawała mu się tak obca, jakby poznał ją dopiero przed chwilą. Teraz byli w Indiach, czy to w końcu doprowadzi ich do rozstania? A może nauczą się kochać od nowa?

Obiad podano o czwartej. Spędzanie Bożego Narodzenia w trzydziestostopniowym upale było rzecz jasna dość dziwne, ale wszyscy zgodzili się z tym, że wolą upał od angielskiej mżawki – białe święta należały do przeszłości, podobnie jak wiele innych rzeczy. Poza tym wielu pensjonariuszy spędzało już święta za granicą – na Florydzie albo w Portugalii. Jean Ainslie twierdziła, że wraz z Dougiem słuchali kolęd już w siedmiu krajach. Jednak *Good King Wenceslas* w akompaniamencie wrzasków gwarka buszującego w pnączach bugenwilli brzmiał nieco denerwująco.

Niektórzy mieszkańcy Marigold poszli do kościoła. Inni rozmawiali przez

telefon ze swoimi rodzinami; zapanowała swego rodzaju cicha rywalizacja o to, kto jest częściej przywoływany do holu. Kłopotliwa kwestia prezentów została rozwiązana dzięki koszowi na prezenty, który zorganizowała Madge: każdy kupował jakiś drobiazg, a potem wszyscy wybierali na chybił trafił, szperając w mosiężnej spluwaczce.

Teraz siedzieli na werandzie i popijali koktajl z rumu i soku z mango.

– Dobry, ale trochę lepki – powiedziała Evelyn.

– Krzepki? – zapytał Douglas.

– Nie. Lepki. Podejrzewam, że to sok z puszki.

Z kuchni dochodził zapach pieczonego indyka przygotowywanego przez prawdziwego hinduskiego lekarza, nie takiego od seksu. W jadalni zestawiono razem wszystkie stoły, by stworzyć atmosferę bankietu. Były bożonarodzeniowe zabawki z niespodzianką i ozdoby na stół zrobione przez Stellę i Hermione z egzotycznych liści przystrojonych lametą. Przygotowano dwa dodatkowe nakrycia dla tajemniczych gości, co było źródłem wielu spekulacji. Jednym z nich był nowy znajomy Madge. Jej życie towarzyskie z Sonnym przyniosło owoce, aczkolwiek nie w postaci maharadży. Plotka głosiła, że pan nazwisko-niedo-wymówienia jest bogatym wdowcem działającym w branży farmaceutycznej i że Madge spotkała go na przyjęciu zorganizowanym przez Nestlés.

– Nigdy nie jest za późno, żeby spróbować jeszcze raz – szepnął Douglas.

– Nie jestem pewna – odparła Evelyn. – Chyba trzeba więcej czytać.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Myślisz, że to dobra zamiana?

– Nie.

Popatrzyli na siebie w milczeniu.

Kolejnym gościem miał być nowy przyjaciel Theresy. Był chyba jedną z tych zabłąkanych dusz, którym Theresa poświęcała swoje zawodowe życie.

– Przyjechał tu w interesach – powiedziała Evelyn do Madge. – Jego rodzina została w Anglii, a on, biedaczek, jest bardzo samotny.

– W święta powinno się być z rodziną – rzekła gorzko Muriel.

– Przykro mi z powodu twojego syna – zwróciła się do niej Evelyn.

– Myślałam, że *dzisiaj* dostanę od niego jakąś wiadomość.

– Może trzeba zawiadomić policję. Interpol albo coś w tym rodzaju.

– Nie chcę w to mieszać policji. – Muriel usiadła, skulona figurka w fotelu z wikliny, i przymknęła powieki.

Evelyn podejrzewała, że Muriel wie, iż jej syn ma kłopoty. Podążyła jej paluszek serowy.

Prawdę mówiąc, głowę Evelyn zaprzętały zupełnie inne sprawy. Dlaczego rozmawiała z Douglasem w taki sposób? Słowa same wypływały z jej ust. A do tego jeszcze ten tajemniczy przyjaciel Theresy. Czy to on był odpowiedzialny za jej na nowo odkrytą kokieterię i głębokie dekolty? Może winowajcą wcale nie były narkotyki. Theresa i jej znajomy mieli się pojawić w każdej chwili. Jedno spojrzenie i Evelyn wszystko będzie wiedziała.

Niemal równie emocjonująca była wiadomość o Surindzie. Mino zatrudnił ją od nowego roku jako zastępcę dyrektora. Miała zastąpić jego żonę, która – jak niosła wieść – wcale nie była pielęgniarką, ale zwyczajną asystentką podiatry, co tłumaczyło jej zainteresowanie stopami. Wszyscy lubili Surindę i żywili wobec niej opiekuńcze uczucia, podejrzewając, że za arogancją dziewczyny kryje się romantyczna dusza i potajemna miłość do Rahula, który ją zwodził.

Surinda również została zaproszona na przyjęcie. Teraz była w ogrodzie, ubrana w luźne spodnie i bluzkę, która nie pozostawiała zbyt wiele wyobraźni. Marszcząc brwi, wpatrywała się w swój telefon.

– Nie mam cholernego zasięgu – mruknęła, idąc w stronę stolika Evelyn.

– Sonny pewnie ma.

– W tym miejscu jest zakrzywienie czasoprzestrzeni, ciociu. – Surinda

zmarszczyła nos. – Nawet komórki nie działają.

Evelyn wypła do dna.

– I dlatego tak mi się tu podoba, kochanie.

Bez Normana czegoś brakowało, w powietrzu dźwięczała pustka, jakby ktoś wyłączył alarm. Nieobecność innych osób była jednak o wiele bardziej namacalna, bo święta Bożego Narodzenia to najokrutniejszy czas. Ale w Anglii mogło być przecież tak samo. Na szczęście na jeden dzień przyjechała Eithne. Co prawda nie było nikogo z jej najbliższych, ale witano ją jak żołnierza wracającego z frontu. Siedziała na wózku inwalidzkim i wyraźnie cierpiała z powodu dolegliwości swojego wieku. Została przeniesiona do prywatnego domu opieki, ale ciągle miała nadzieję, że w nowym roku powróci do Marigold.

Graham Turner siedział z Dorothy. Coś go do niej ciągnęło, jak jedną nietowarzystką istotę do drugiej, i w ciągu ostatnich tygodni ta dziwna przyjaźń bardzo się rozwinęła. Graham odchrząknął i włożył jej w dłonie jakąś paczkę.

– To mały świąteczny prezent – powiedział.

Dorothy rozpakowała książkę: *Historia Marigold*.

– Przeprowadziłem małe poszukiwanie w bibliotece British Council – ciągnął Graham. – Zawsze się interesowałem tutejszą historią. To powstrzymywało mnie od łobuzowania.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Śmiało – zachęcił Graham.

Dorothy otworzyła książkę i ujrzała odręczne pismo.

– Mój Boże – powiedziała. – Siostra Eileen O'Malley.

– Pamiętasz ją? – zapytał. – Była przełożoną, kiedy chodziłaś do szkoły.

Mam rację?

– Stara Mally – westchnęła Dorothy. – Cóż, nam wydawała się stara, ale

pewnie miała wtedy koło trzydziestki. – Jej spojrzenie powędrowało w dół strony. – O matko, to moja klasa. Dora Hethrington... Monica Cable, moja przyjaciółka. Bobby Miles. – Dorothy zamilkła. – Nie myślałam o nich od sześćdziesięciu lat. Nawet siedemdziesięciu.

Przyłączyła się do nich Evelyn.

– Nancy Pringle – powiedziała Dorothy. – Znęcała się nade mną i często przez nią płakałam.

– W mojej szkole też była taka dziewczynka – wtrąciła Evelyn.

Podjechała Eithne na wózku.

– Spójrz, tu jest twoje nazwisko! – zawołała. – Dorothy Miller.

Dorothy podniosła głowę i zwróciła się do Grahama:

– Nie wiem, jak ci dziękować. – Na jej twarzy malowało się napięcie. – Naprawdę nie wiem, jak ci dziękować...

Thank you for the memory śpiewała Ella z zespołem Duke'a Ellingtona. Graham miał jej nagrania na płycie kompaktowej. Miał też płytę Dinah Washington z tym nagraniem. Siedział teraz w popołudniowym słońcu, popijał koktajl i patrzył na siwą głowę Dorothy pochyloną nad książką.

We said goodbye with a highball

And I got as high as a steeple,

For we were intelligent people,

No tears, no fuss, hooray for us...

Graham pomyślał o swojej kawalerce w Swiss Cottage, o samotnych obiadach w restauracji Cosmo i sznyclu po wiedeńsku z ziemniakami, który zazwyczaj zamawiał. Restauracja, którą prowadzili emigranci z Austrii, już od dawna nie istniała. Pomyślał o minionych świętach, które spędzał w Pinner z rodziną swojej siostry, o samotności i tęsknocie, o bolesnej uldze, jaką

przynosił mu jazz. Ze zdziwieniem uświadomił sobie, że jest szczęśliwy. Po raz pierwszy jestem częścią czegoś, pomyślał. Jestem wśród przyjaciół i wreszcie wszyscy jedziemy na tym samym wózku. Oni mnie dogonili.

Graham spojrzał na swoich towarzyszy siedzących przy stole w rozpinanych swetrach i kwiecistych sukienkach. Eithne była ubrana w elegancką purpurową szmizjerkę. Między stolikami krążył Jimmy i napełniał szklanki. Hermione skromnie zakryła dłonią swoją szklankę. Przez pnącza spływające niczym welon z dachu werandy przeświecało słońce. Nagle serce Grahama przepełniła miłość. Do Dorothy, do wszystkich.

Rozległ się gong. Podnieśli się z trudem. Kolacja była spóźniona, więc zdążyli już wypić po kilka wybornych drinków Sonny'ego.

– Tęsknię za panią Dzi-Dzi – powiedziała Muriel. – Okazuje się, że ci Hindusi, jak już ich poznasz, wcale nie są tacy sami.

Surinda poszła do jadalni razem z Pauline.

– Całkiem dobrze mówię po angielsku – powiedziała – ale twój tata używał zwrotów, których nie rozumiem.

– Jakich zwrotów?

– Na przykład: Hindusi lubią sobie grać na fujarach.

Pauline przystanęła.

– Tak powiedział?

– Czy to oznacza homoseksualistów?

Oczy Pauline wypełniły się łzami.

– Biedny stary głupiec – powiedziała ochryplym głosem. – Bardzo za nim tęsknię.

– Miał na myśli seks?

Pauline pokiwała głową.

– Myślę, że seks go przerażał. I z pewnością bał się kobiet.

Odsunęły się, żeby przepuścić Eithne. Wózek pchała Stella ubrana w żółtą bluzkę z falbankami.

– Z drogi! – zawołała.

Rany boskie, była kompletnie pijana.

Wreszcie przybył gość Madge. Był to łysy dżentelmen niewielkiego wzrostu przyodziany w czarną jedwabną tunikę. Gdy Madge się nachyliła, by szepnąć mu coś do ucha, w jej biżuterii zamigotało słońce. Mężczyzna się roześmiał. Jej mąż też podobno był niski, ale Madge zawsze się powoływała na Toma Cruise'a, który był przykładem atrakcyjnego mężczyzny niewysokiego wzrostu. Madge i jej partner przystanęli w progu jadalni, gotowi do wielkiego wejścia; zawieszony obok nich barometr wskazywał pogodę.

– Gdzie jest moja córka? – zapytała niespokojnie Evelyn. – I jej przyjaciel?

Popędziła przez ogród do bramy, chociaż nie wiedziała, w jaki sposób mogłoby to przyspieszyć przybycie Theresy. Przy bramie stał stary żebrak w butach Minoo. Dla niego ten szczególny dzień nie różnił się od innych. Nadal był tak samo głodny jak wczoraj i równie głodny, jak będzie jutro.

Evelyn poszperała w portmonetce i znalazła banknot pięćorupiowy. Ile to będzie na stare pieniądze? Jeden funt i pięć pensów? W czasach jej dzieciństwa była to całkiem spora kwota. Trzeba przyznać, że nawet większa niż miesięczne kieszonkowe.

Włożyła banknot do puszeki żebraka.

– Wesołych świąt – powiedziała.

Theresa siedziała w rikszy ściśnięta tuż obok Keitha. Pojazd posuwał się wolno wzdłuż ścian ochlapanych na czerwono sokiem *paan*, a potem wzdłuż budynku z napisem PRACA RZĄDU TO DOBRA PRACA. Za każdym razem, gdy

riksza się zatrzymywała, silnik gasł. Kierowca musiał wielokrotnie szarpać za dźwignię, żeby powróciła do życia, krztusząc się w obłokach dymu z rury wydechowej.

– Moją matkę zżera ciekawość – powiedziała. – Ale oczywiście zgodnie z zasadami dobrego zachowania.

Keith zapalił papierosa, jego ręka podskakiwała, gdy przyciskał zapalniczkę. Spędzali razem całe dni, ale rzadko zadawał jej osobiste pytania. Na dłuższą metę ten brak zainteresowania z pewnością uznałaby za irytujący. Podejrzewała jednak, że nie będzie żadnej dłuższej mety. *Podziękuj nieznajomemu i pożegnaj się z nim.*

– Przynajmniej nie będziesz musiał poznawać mojego brata – ciągnęła. – Wyjechał na Goa. Ożenił się z okropną żoną, która zniszczyła mu poczucie własnej wartości, a on jest zbyt słaby, żeby od niej odejść. Zawsze był tchórzem. A może tylko jest leniwy, co zresztą wychodzi na to samo. Kto powiedział, że zło bierze się z bierności?

– Nienawidzę tego pieprzonego kraju – odezwał się Keith.

Theresa wiedziała, że jest przygnębiony. Boże Narodzenie zawsze było najgorszą porą dla jej klientów; prawdę mówiąc, czuła się winna, że zostawiła ich samych. Święta powinno się spędzać z tymi, których się kocha. Mimo że łączyła ich namiętność, podejrzewała, że w przypadku Keitha ona nie należy do tej kategorii. I chociaż czuła jego udo przy swoim, nagle poczuła się bardzo samotna.

Chcę do mamy, pomyślała. Mężczyźni przychodzą i odchodzą, a matka jest zawsze. No, w każdym razie trochę dłużej niż oni.

Ravi w towarzystwie dwóch posługaczy stanął u szczytu stołu i zaczął kroić indyka. Ten widok wywołał burzę oklasków. „Koktajle naprawdę są coraz lepsze”, powiedziała wcześniej Stella. Drinki już czekały na stole: piwo, sherry

(wkład państwa Ainslie) i kilka butelek importowanego francuskiego bordeaux, które zostało zakupione na koszt Sonny'ego.

Troskliwość, jaką Sonny przejawiał w ciągu ostatnich dni, wywoływała prawdziwą konsternację. Od chwili śmierci Normana rzadko przebywał poza terenem hotelu i był dziwnie przygaszony. A przecież była wigilia Bożego Narodzenia. Czy ten człowiek nie miał domu? Niektórzy zauważyli, że nawet stracił na wadze.

Evelyn usiadła obok dwóch pustych krzeseł. Może Theresa jest akurat w jakiejś narkotykowej melinie i się szprycuje, czy cokolwiek oni tam robią, w towarzystwie nieznanego gorszyciela.

– Dzieci, nawet te w średnim wieku, to wielkie zmartwienie – powiedziała do Pauline, która siedziała po drugiej stronie stołu. – Nikt ci tego nie powie, bo to tajemnica.

– Zawsze chciałam mieć dzieci. – Pauline upiła łyk wina. – Ale kiedyś poroniłam i tak się to skończyło.

– Och, kochanie. Tak mi przykro.

– Przeżyliśmy z Ravim ciężkie chwile. – Pauline się zarumieniła. – To przeklęte sari! – zawołała i zrzuciła materiał z ramion.

Sonny postukał w szklankę i wstał. Zapadła cisza.

– Drogie panie i drodzy panowie – powiedział. – Pozwólcie, że przywitam was na waszej pierwszej Wigilii w hotelu Marigold...

– Chcę tu założyć dom dziecka – szepnęła Pauline – ale skąd wziąć pieniądze? Poza tym Ravi się do tego nie pali.

– Przyjaciele, jestem pewien, że waszej uwagi nie uszły pewne problemy, ale które śmiało przedsięwzięcie nie wiąże się z kłopotami? – mówił Sonny. – Muszę wam podziękować za dobroć, życzliwość i cierpliwość. Chcę też poinformować, że z radością zatrudniliśmy nowego kucharza oraz młodą damę, która obejmie stanowisko zastępcy dyrektora. Oboje zaczną pracę w przyszłym tygodniu. –

Sonny chrząknął. – A teraz chwila powagi. Chciałbym, żebyśmy wzniesli toast na cześć dżentelmena, którego nie ma już z nami.

Rozległy się szmery i wszyscy zaczęli pospiesznie napełniać szklanki tym, co było pod ręką.

– Za pana Normana Purse’a, wspaniałego człowieka i mojego dobrego przyjaciela.

Służący zaczęli roznosić talerze z indykiem. Goście trwali w bezruchu, nie wiedząc, czy mogą już jeść. Czy Sonny ma zamiar mówić dalej?

I owszem.

– Szanowni państwo, podziwiam waszą odwagę, ponieważ pokazaliście, że nigdy nie jest za późno na nowe doświadczenia. Otwierając serca na gościnność mojego kraju, udowodniliście, że w dwudziestym pierwszym wieku świat nie ma granic. Jak mawiają mądrzy ludzie, geografia jest teraz historią. – Sonny otarł czoło. – Jestem jednym z menedżerów tego hotelu i z radością patrzę, jak rozkwitacie w naszym słońcu. Niektórzy z was byli tak mili, by przyznać, że nasz kraj podarował im nowe życie.

– Spróbuj to powiedzieć Normanowi – mruknęła Madge.

– Mój kraj przez wieki łączyła z waszym krajem wyjątkowa więź – mówił Sonny. – Tak jak wy witaliście serdecznie mój naród, tak i my powitaliśmy was. Mam nadzieję, że nasze skromne przedsięwzięcie będzie początkiem nowego rynku, koniec z handlem bawełną, czas na ludzi!

– Ale jak? – szepnął Douglas. – Na kilogramy?

– Indie ominęła rewolucja przemysłowa, drodzy przyjaciele. Przeszliśmy od rolnictwa prosto do sektora usług...

– O czym on mówi? – zapytała cicho Evelyn.

– Chyba jest pijany – szepnęła Pauline. – Od śmierci mojego ojca bardzo dziwnie się zachowuje.

– To dla mnie również był trudny rok – ciągnął Sonny – ale nie chciałbym

się teraz nad tym rozwodzić...

– Dzięki Bogu – szepnęła Madge.

– Możemy już zacząć jeść? – syknęła Olive.

– Chciałbym was również poinformować, że zamierzam zwinąć swoje pozostałe interesy i poświęcić się całkowicie temu przedsięwzięciu, ponieważ w moim kraju szanujemy starszych ludzi, szanujemy ich mądrość i oddajemy im miejsce na czele naszych rodzin...

– Dobrze mówi! – wtrącił Douglas.

– Nie porzucamy ich w domach opieki lub na szpitalnych korytarzach – kontynuował Sonny. – To nie jest hinduski sposób...

– Może i nie, ale zakładacie małym dziewczynkom torby foliowe na głowy, żeby się udusiły – szepnęła Theresa, siadając obok matki.

– Kochanie! – krzyknęła Evelyn. – Jak dobrze, że jesteś.

– ...i palicie panny młode, żeby zdobyć ich posag, na przykład jakiś parszywy odtwarzacz. I zmuszacie dzieci do pracy. – Theresa nachyliła się do matki. – Wyjeżdżam z Indii – szepnęła. – A to jest Keith.

Evelyn podała rękę całkiem przystojnemu mężczyźnie; był czarujący w szorstki sposób niczym nieoszlifowany diament, miał bładoniebieskie oczy i nos boksera.

– Nie możesz tu zostać, mamó – szepnęła Theresa.

– Nie mogę? – Evelyn poczuła, że robi jej się gorąco.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała Theresa. – Riksha się zepsuła.

Keith spojrział na Evelyn i uniósł brwi.

– Już wiem, po kim ona ma tę urodę.

– Nie bądź niemądry – wdzięczyła się Theresa. Tak właśnie to wyglądało – *wdzięczyła się*. – Witaj w ośrodku wypoczynkowym w Bangalurze – powiedziała.

Sonny dalej tokował i chyba już nikt nie był w stanie go powstrzymać.

Nagle ktoś przeraźliwie krzyknął.

Z drugiej strony pokoju patrzyła na nich Muriel.

– Keith! – krzyknęła zduszonym głosem. – KEITH!

Stella dotknęła jej ramienia.

– Nie ekscytuj się, skarbie, to tylko przyjaciel Theresy...

Keith spojrzął na Muriel.

– Ja pierdołę! – rzucił.

Odsunął z hukiem krzesło, zerwał się na równe nogi i potykając się o biesiadników, pognał na drugi koniec stołu. Wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę. Na drodze stanął Jimmy z półmiskiem kapusty, ale Keith odsunął go na bok, jakby był wieszakiem na kapelusze.

– Mamo! – Otworzył ramiona i porwał Muriel w objęcia. Przytulił ją mocno, podniósł i zawirował. Wpadli na bambusową biblioteczkę i stracili kilka tomów encyklopedii *Britannica*.

– Mój syn! – zawołała Muriel i zalała się łzami.

Zapadł zmrok. Kolacja trwała już od wielu godzin. Pensjonariusze w papierowych kapeluszach na głowach siedzieli wśród piętrzących się śmieci – lepkich monet wyplutych ze świątecznego puddingu i podartych opakowań po serze. Zawdzięczali go Theresie – kupiła dla każdego porcję serów na bazarze w pobliżu lotniska. Theresa podejrzewała, że ser pochodzi z samolotów i został stamtąd ukradziony przez personel sprzątający, a potem sprzedany straganiarzom.

– Camembert! Cheddar! – krzyczeli z radości biesiadnicy i niepostrzeżenie chowali „na później” pozostałe kawałki.

Muriel siedziała obok syna. Wszyscy pozamieniali się miejscami, aby tych dwoje mogło być razem. Szok Muriel ustąpił miejsca uczuciu oszołomienia

i spełnienia.

– Jakby wszystkie moje święta zdarzyły się dzisiaj – powiedziała.

– W Indiach – rzekła Theresa, nachylając się nad stołem – wcześniej czy później natkniesz się na osobę, którą chcesz spotkać.

– To prawda?

– Nie – powiedziała Theresa. – Ale nie jest to również nieprawda.

Muriel opowiedziała synowi o napadzie, włamaniu, o tym, jak pochowała kota w ogrodzie, a potem spakowała manatki i wyjechała z Peckham do Indii, żeby go odnaleźć.

– To wszystko przeznaczenie – stwierdziła. – Kiedy po raz pierwszy upadłam, od razu spotkałam miłego doktora Kapoora. Powinam też podziękować tym czarnym chłopcom, którzy ukradli mi torebkę, bo dzięki nim jestem tutaj i już nigdy nie wrócę do domu. Nigdy! Ty też *nie możesz* wrócić, więc jest nas dwoje.

Cud spotkania Muriel i jej syna poruszył mieszkańców Marigold. Synowie marnotrawni i córki... porwały ich wymogi dorosłego życia. A oni czuli teraz, że w każdej chwili otworzą się drzwi i w progu staną ich utracone rodziny przywołane magią Indii. Alkohol nadawał wszystkiemu tę spielbergowską promienność, jakby się znaleźli we własnym filmie, czekając na scenę pojednania i napisy końcowe.

– Od kilku tygodni panuje tu takie szaleństwo – szepnęła Madge do swojego przyjaciela, pana Desikachara. – Dorothy powiedziała państwu Ainslie, że ich syn jest gejem, dyrektor wykopał swoją żonę, kucharz zniknął, lekarz zniknął, a stary pijanica Norman zszedł z tego świata w burdelu. Jego córka nie ma o tym pojęcia i myśli, że kupował dla niej prezent świąteczny. A to dopiero początek.

– Myślałem, że to dom *spokojnej* starości – powiedział pan Desikachar.

– Życie zaczyna się po siedemdziesiątce. – Madge się uśmiechnęła, oślepiając go kosztownym efektem pracy swojego dentysty. – Siedemdziesiątka to nowa

czterdziestka, nie wiedział pan?

– Patrząc na panią, pani Rheinart, nietrudno mi w to uwierzyć.

– Proszę mi mówić Madge – powiedziała, dotykając jego kolana.

Po drugiej stronie stołu Douglas zastukał w kieliszek.

– Myślę, że powinniśmy wznieść toast za naszych kucharzy.

Wszyscy wzniesli kieliszki za zdrowie Ravięgo. Ravi wstał, najpierw podziękował swojemu pomocnikowi, Pramodowi, a potem odchrząknął i powiedział:

– Jak już wspomniał Sonny, wszyscy wykazaliście się wielką odwagą, przyjeżdżając do mojego kraju. Większą niż ja.

Pauline cicho kaszlnęła. Siedziała po drugiej stronie stołu w papierowej czapce na głowie.

– Mówi się, że życie rodzinne w Wielkiej Brytanii przeżywa kryzys – ciągnął lekarz. – Ludzie już nie poczuwają się do obowiązku dbania o swoich rodziców. Między innymi z tego powodu założyliśmy tę firmę. Muszę jednak państwu powiedzieć, że ten hotel nie jest przeznaczony wyłącznie dla waszych rodaków.

Ravi skończył mówić i usiadł. Madge nachyliła się do siedzącego obok Douglasa.

– O co tu chodzi? – zapytała cicho.

– Skąd mam wiedzieć! – odparł Douglas. – Może jest pijany.

– Kochanie, ten facet nie pije. Przyjmuje tylko wodę z cytryną.

No tak. Ravi był przecież Hindusem. Bez względu na to, ile o nich wiedziałeś, ciągle pozostawały jakieś nieodkryte pokłady zagadkowości. Gdy pan Desikachar podawał jej ogień, Madge spojrzała na jego rękę. Palce porastały kępki czarnych włosów, a na jednym pysznił się wielki złoty sygnet. Madge była tak spragniona seksu, że aż zaschło jej w gardle. Powinnam przeżyć ostatnią przygodę, pomyślała. Arnold chciałby, żebym była szczęśliwa.

– Masz szczęście – powiedziała do Douglasa.

– Dlaczego?

– Bo nie jesteś sam.

Douglas spojrział na jej paczkę papierosów.

– Mogę jednego? – zapytał.

Zdziwiona Madge podała mu ogień. Douglas siedział i palił w milczeniu. Miał na sobie cytrynowy sweter z wycięciem w szpic, jak Perry Como. Pod bezbarwną powierzchownością zawodowego golfisty Madge wyczuwała jakiś niepokój. Znała mężczyzn i wiedziała, że coś się święci.

Graham Turner z wypiekami na twarzy palił cienkie cygaro.

– Ludzie myślą, że czekamy już tylko na śmierć – powiedział do siedzącej obok Olive Cook. – A ja zamierzam zacząć żyć.

Zdumiona Olive bawiła się tekturowym paskiem strzelającej zabawki, którą mieli wspólnie rozerwać. Niestety zabawka nie zadziałała. Olive naciągnęła pasek w taki sam sposób, w jaki – według jej wyobrażeń – chirurg w Hornchurch naciągnął jej żyłki.

Stella dopiła wino i podniosła się niepewnie.

– Mój Boże – mruknęła Madge.

– *The tinkling piano in the next apartment* – zaśpiewała Stella.

– *Those stumbling words that told you what my heart meant...* – przyłączył się Graham.

Wszyscy spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

– *The fairground's painted swings* – zaśpiewali razem.

– *These foolish things, remind me of you.*

Po chwili przyłączyły się do nich siostry z Fife, które trochę nie trafiły w tonację, a potem wspomógł je przyjemny baryton pana Desikachara.

– *The winds of March that make my heart a dancer,*

The telephone that rings but who's to answer...

I wtedy zapadła ciemność.

– Och, wyłączyli prąd – zawołała Stella.

Minoo wydał jakieś polecenie Jimmy'emu, prawdopodobnie polecił mu, żeby znalazł świece. Słyszeli, jak stary służący, krążąc po pokoju, potyka się o wózek.

Eithne zaśmiała się piskliwie.

– Ale zabawa! Możemy zagrać w „mordercę w ciemności”.

– Znam inną grę – powiedział Keith i zaczął się przepychać do Theresy.

– Och! – pisnęła Stella.

– Przepraszam, pomyliłem osoby – mruknął Keith.

– Kontynuuj – zachichotała Stella. – To było nawet miłe.

– Zagrajmy w zgadywanie stacji londyńskiego metra – zaproponowała Madge. Żar jej papierosa jarzył się w ciemności. – Zgadnijcie nazwę stacji, w której nie ma litery z wyrazu *makrela*.

– To głupie, Madge.

– Co powiedziała?

– Dollis Hill.

– Nie, w tym jest *l*.

– Wiem, co zrobimy – obwieścił Minoo. – Podam wam najśmieszniejsze indyjskie nazwiska. Wielu z nas nosi nazwiska związane z zawodem...

– Euton!

– Tutaj jest *e*...

– Cashmeresweaterwallah³ – powiedział Minoo.

– Poddaję się, Madge.

– Sodawaterbottleopenerwallah⁴ – dodał.

– W porządku – odezwała się Madge. – Skoro naprawdę się poddajecie... To St. John's Wood.

Siedzieli w ciemności i czekali na światło. Ktoś chrząknął, cicho tykał zegar.

Po chwili ktoś zapytał:

– Myślicie, że to tak właśnie jest?

– Ale co?

– *To*. Myślicie, że to jest tak?

– Na miłość boską, Hermione, skończ z tym!

Zapadła cisza.

– Wiem. Moorgate.

– Eithne, już w to nie gramy.

– W każdym razie w tym jest *a* i *r*.

– I *m*...

Pauline poczuła, że ktoś zdejmuje jej z głowy papierowy kapelusik.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Ravi.

Kiwnęła głową.

– A ty?

Może on też kiwnął głową, ale było zbyt ciemno, żeby to stwierdzić.

– Myślałem o tym, co powiedziałaś.

– Czyli?

– O dzieciach – powiedział Ravi. – Naprawdę chcesz to zrobić, mam rację?

Przytaknęła. Ravi pogłaskał ją po głowie.

Z ciemności dobiegł głos Dorothy:

– Za naszym domem był kanał. Pełen czapli... Kiedyś niemal się w nim utopiłam. Często o nim śniłam.

Zamilkła. Na zewnątrz zaskrzypiała weranda.

– Ktoś tam jest – stwierdził Douglas. – Posłuchajcie.

Madge zapaliła zapalniczkę. Jej twarz podświetlona od dołu wyglądała jak trupia czaszka. *Była* trupa czaszką; wszyscy byli.

– Widzisz, kto tam jest?

Usłyszeli, jak otwierają się drzwi werandy.

– Mamo? – powiedział jakiś głos. – Jest tu ktoś?

Pojawił się Jimmy ze świecami, które przez chwilę oświetliły mężczyznę stojącego w progu. To był Christopher. A potem zawiął lekki wiatr, zdmuchnął świece i wszystko pograżyło się w ciemnościach.

– Christopher, to ty? – zapytała Evelyn.

– Co się stało? Czemu siedzicie po ciemku?

– Dlaczego wróciłeś? – Evelyn była zaniepokojona. – Miałeś wypadek?

Ktoś z trzaskiem zapalił zapałkę. Przez chwilę mogli dostrzec dzikie oczy Christophera.

– Dlaczego nie jesteś na Goa? – zapytała Evelyn. – Gdzie są pozostali?

– Au! – krzyknęła z bólu któraś z kobiet, gdy zapałka oparzyła jej palce.

Połknęła ich ciemność.

– Nie mogę teraz rozmawiać, mamo – powiedział drżącym głosem Christopher. – Opowiem ci wszystko przy innej okazji.

– Na litość boską, powiedz jej, o co chodzi – ponagliła go Madge. – Prędzej czy później i tak się o wszystkim dowiemy.

Siedzieli w milczeniu i czekali.

– Zostawiłem żonę – odparł Christopher.

Rozległo się ciche westchnienie brzmiące jak fala spływająca z kamieni.

– Co zrobiłeś? – zapytała Evelyn.

– I dzieci też – rzucił twardo Christopher. – Wczoraj. Autobus odjechał, a ja po prostu zostałem. Na chodniku przed hotelem.

– O cholera! – zawołał Douglas.

– Zupełnie jak w tym filmie. Jaki to był tytuł...

– *Pięć łatwych utworów*, z Jackiem Nicholsonem – odparł Graham.

– Zakochałem się w innej kobiecie – oświadczył Christopher. – I zamierzam z nią zamieszkać.

– A co z Marcją? – spytała Theresa. – I dziećmi?

– Oni już mnie nie potrzebują.

Nagle zapaliło się światło. Christopher nie wyglądał najlepiej, był rozczochrany i zaniedbany.

– Nie możesz tego zrobić – powiedziała jego matka.

– Wiem – odparł. – Ale już zrobiłem. – Christopher spojrzał na gości.

Dopiero teraz zauważyli, że na podłodze stoi jego walizka. Jimmy instynktownie ruszył w jej kierunku, ale nagle się zatrzymał i popatrzył pytająco na dyrektora.

– Mój Boże – jęknęła Theresa. – Ze wszystkich ludzi właśnie ty.

– Siadaj, stary – powiedział Douglas. – Musisz się napić.

Christopher się nie poruszył. Miał na sobie turkusową koszulę z krótkim rękawem i plamami potu pod pachami.

– Kim jest ta kobieta? – zapytała Madge z zainteresowaniem.

– Wita gości w Taj Balmoral – odparł.

– Ach! – zawołał Sonny. – Aisha czy Jana?

– Aisha – powiedział Christopher.

– Dobry wybór. – Sonny pokiwał głową. – To świetna laska.

Graham Turner poluznił krawat.

– A to dopiero!

– Gdzie ona jest? – zapytała Evelyn.

– W ogrodzie.

– Dlaczego?

– Jest nieśmiała.

– Myślałam, że wita ludzi.

Christopher nadal nie był w stanie się poruszyć. Spojrzał na Pauline.

– Czy to jest to sari? – zapytał zaintrygowany.

– Nie, nie jest! – odparła jego matka.

– To sari, które ci dałem? – drążył Christopher.

Pauline zmarszczyła brwi.

– O czym mówicie?

– O niczym. Coś mu się pomieszało. – Evelyn zwróciła się do syna: – Zaproś do nas swoją dziewczynę, kochanie. Na dworze jest zimno.

Christopher podskoczył. Obrócił się i popędził do ogrodu.

– Aisha? – zawołał. – Aisha?

Gdzieś w ciemności zamiauczał kot.

Siedzieli i czekali. Eithne zachichotała.

– Boże drogi. A to taki miły człowiek. Pomagał mi zwijać wełnę.

Douglas dopił swojego drinka.

– Co za dzień! – mruknął. – Czy ktoś ma coś jeszcze do powiedzenia?

– Douggy, to poważna sprawa! – powiedziała Jean. – Ten mężczyzna zostawił swoją rodzinę.

Madge roześmiała się chrapliwym głosem palacza.

– Przynajmniej nikt nie może nas oskarżyć, że zasypiamy.

– Z wyjątkiem Dorothy – powiedziała Pauline. – Ona *zasnęła*.

Dorothy siedziała w fotelu z przekrzywionym papierowym kapeluszem na głowie. Było coś dziwnego w jej bezwładnej pozycji.

Ravi chrząknął, odsunął ze zgrzytem swój fotel i zerwał się na równe nogi.

1 Przynieś gorącej wody (hindi).

2 Dobra woda (hindi).

3 Wytwórca kaszmirowych swetrów.

4 Otwieracz butelek z wodą sodową.

7

Kiedy przybywa Pan twego ciała i kiedy odchodzi, by powędrować dalej, zabiera ciało ze sobą, jak wiatr zabiera zapach miejsca twego snu.

Bhagawadgita

Prochy Dorothy zostały rozsypane w ogrodzie Marigold, w jej utraconym raju, gdzie bawiła się, będąc dzieckiem. Na pogrzeb przyleciał Adam Ainslie, jej protegowany, i jakaś daleka krewna, potwierdzając tym samym tezę Douglasa, że trzeba umrzeć, by ktoś zwrócił na człowieka uwagę i go odwiedził.

– *Zgaśnij, wątłe światło!* – przeczytał Adam.

*Życie jest tylko przechodnim półcieniem,
Nędznym aktorem, który swoją rolę
Przez parę godzin wygrawszy na scenie
W nicość przepada¹...*

Douglas był głęboko poruszony. *Czy to tak właśnie jest?*, zapytał ktoś podczas przerwy w dostawie prądu. Douglas wiedział, że Dorothy miała lekką śmierć, po prostu zasnęła, gdy zgasło światło, ale i tak wpadł w panikę.

– Dobrze się czujesz, tato? – zapytał Adam.

– Znakomicie! – odparł Douglas i wytarł nos.

– Czuję się winny. – Adam usiadł na schodach werandy. – Powinienem ją odwiedzić. W Londynie. Zawsze byłem taki zajęty. A teraz jest już za późno.

Douglas spojrział na żonę. Jean stała na trawniku i rozmawiała z Evelyn. Od czasu do czasu rzucała szybkie spojrzenie na Adama. Wcześniej czy później będą musieli usiąść we trójkę i porozmawiać o jego orientacji seksualnej. Myśl o tej rozmowie – cóż, właściwie o każdej rozmowie – sprawiała, że było mu ciężko na sercu.

Nie mogę z nią być do końca życia.

A więc co robić? Po prostu zniknąć z parkingu jak Jack Nicholson i wsiąść do innego samochodu? Syn Evelyn właśnie tego dokonał.

Wiał zimny wiatr. Evelyn naciągnęła sweter. Był to instynktowny, bardzo dziewczęcy gest. Wyglądała tak krucho i delikatnie, że każdy mocniejszy podmuch mógł ją przewrócić!

– To nas wszystkich całkowicie zaskoczyło – powiedział Douglas. Przypomniawszy sobie samolot i to, jak nadmuchał poduszkę w kształcie rombu i podał ją Evelyn. Już wtedy chciał sprawić, by jej życie stało się łatwiejsze, bo samotna wędrownica nie jest łatwa.

Evelyn, otulona kocem. Ostatnio poszli razem do wypożyczalni wideo Khana. Na skrzyżowaniu jakieś kobiety czekały na autobus – muzułmanki owinięte od stóp do głów w burki. „Bycie starym to jak noszenie takiej burki”, oznajmiła wtedy Evelyn.

Czy mąż powiedział jej kiedyś, że jest piękna? Hugh był chyba energicznym, rozsądnym i rzeczowym człowiekiem. Evelyn mówiła, że był bardzo oddany ich spanielowi.

– Masz, tato. – Adam podał mu chusteczkę i spojrział na niego ze zdziwieniem. – Lubieś ją, prawda?

– Kogo? – zapytał Douglas.

– Dorothy.

– Ach. Oczywiście.

Słońce chyliło się ku zachodowi. O tej porze dnia ogród zmieniał się

w miejsce niezwyklej urody. Douglas spojrział na Evelyn, ciągle cudownie żywą, i na jej długi cień na trawie. Jej włosy już nie były siwe. W świetle zachodzącego słońca błyszcząły jak najczystsze złoto. Zastanawiał się, czy w młodości była blondynką. Siedemdziesiąt cztery lata jej życia były dla niego zagadką, ale tutaj i teraz stała się mu bardzo znajoma i bliska.

I wtedy Adam wziął jabłko i je zjadł. Douglas nie czytał Biblii od czasów szkółki niedzielnej, ale wiedział, że Adam i Ewa zostali wygnani z raju...

Podniósł się, wszedł do pokoju, położył się na łóżku i przycisnął twarz do poduszki.

Później, kiedy Adam i jego matka usiedli, żeby uciąć sobie pogawędkę, Adam powiedział:

- Biedny tata, nie mógł przestać płakać. To do niego zupełnie niepodobne.
- Nie sądziłam, że aż tak lubił Dorothy – oznajmiła Jean.
- Jest niepokieszony.

Następnego dnia Ravi i Pauline polecili do Delhi, by odwiedzić rodzinę. Pauline nigdy się nie dowiedziała, co spowodowało, że jej mąż wygłosił taką mowę podczas tamtej niezwyklej świątecznej kolacji. Coś musiało go mocno poruszyć, ale nie potrafił ująć tego w słowa. I może atmosfera straty sprawiła, że tamtego dnia postanowiła go opuścić.

Ale teraz nie była już tego taka pewna. Wylądowali na lotnisku w Delhi, gdzie trzeba było przesunąć wskazówki zegara odrobinę do przodu. Pauline widziała kolano człowieka, który kuczał za tarczą i poruszał wskazówkami. Czemu nie możemy po prostu być ssakami? – zadumała się. Przecież nimi jesteśmy. Czemu nie możemy po prostu być ciepłym ciałem w łóżku i obejmować ramionami innego ssaka? Świat jest zbyt straszny, by stawiać mu

czoło w samotności.

Ravi dotknął jej ramienia.

– Tam są – szepnął.

Przy barierce stała jego rodzina – rodzice, siostra, jej dwoje dzieci i ciotka Preethi. Ravi pomachał do nich na powitanie.

– No to ruszamy! – mruknął przerażony jak sześciolatek chłopiec.

– Wolalbym, żebyś mi tego nie mówiła, mamó – powiedział Keith.

– Musiałam komuś powiedzieć – odparła Muriel. – Teraz już wiesz, kiedy umrę i ile czasu nam zostało.

– Dziwnie się z tym czuję.

Spacerowali we trójkę po ogrodzie botanicznym – Muriel, Keith i Theresa – chociaż żadne z nich nie było zainteresowane roślinami.

– Nie wierzę w to wszystko – powiedziała Theresa. – W te palmowe liście i tak dalej. Człowiek się czuje przez to taki bezradny.

– Zmieniłaś nastawienie – zauważył Keith.

– Chcę wrócić do domu – odparła Theresa. – Jestem tym wszystkim zmęczona, moi klienci mnie potrzebują, a mama ma Christophera, chociaż tylko sam Bóg raczy wiedzieć, co on tutaj będzie robić. Chodzi o to, że jest maklerem giełdowym albo czymś w tym rodzaju.

– W Bangalurze jest mnóstwo pieniędzy, kochanie – powiedział Keith.

Obok przemknęła małpa z dzieckiem pod pachą, ale nie zwrócili na nią uwagi, bo już zdążyli się przyzwyczaić do małp. Za dwa dni Keith i jego matka wyjeżdżali do Hiszpanii. Keith nosił czapkę baseballową naciągniętą głęboko na oczy i koszulę w ananasy. I już teraz wydawał się Theresie kimś obcym. Przez dwa tygodnie byli nierozłączni, ale teraz on znowu miał się stać niedostępny. Szóstego stycznia zniknie w podziemnym świecie niczym Persefona; w zalany

słońcem podziemnym świecie Costa del Sol, gdzie w tajemniczy i podejrzany sposób wyjdzie znowu na powierzchnię. Nigdy o tobie nie zapomnę, chciała powiedzieć. Kocham cię. Ale jednak nie w taki sposób, jaki Swamiji opisywał w *Szlachetnej ósmiorakiej ścieżce*. W mojej miłości nie ma nic kosmicznego, jest zbyt konkretna. Kocham twoje ramiona, twoją skórę i twój zapach. Kocham cię, gdy jesteś we mnie. Kocham twoje rzęsy pieszczące moje policzki, gdy mrugasz. Kocham, jak mnie rozśmieszasz. Te głupie rzeczy.

Następnego dnia Sonny i Keith popijali whisky w Gymkhana Club.

– Jestem tylko płótką, przyjacielu – powiedział Sonny. – A ten *maderchod* PK to za gruba ryba dla nas obu.

– Co to jest *maderchod*, stary?

– Skurwysyn. – Sonny wypił do dna i pstryknięciem palców przywołał kelnera, żeby zamówić kolejnego drinka.

– Wyjeżdżam – powiedział Keith.

– Muszę ci coś powiedzieć. – Sonny ściszył głos. – Zrobiłem coś strasznego i w następnym życiu za to odpokutuję. Zemsta nie jest słodka, bracie. To bardzo gorzka pigułka do przełknięcia.

– A co zrobiłeś?

– Zabiłem Normana.

– On umarł w czasie seksu, prawda? – spytał Keith, zapalając papierosa. – Przynajmniej takie plotki krążą, staruszk.

– Norman umarł w ramionach *hidźry*.

– Kogo?

– Eunucha.

Keith zakrył usta dłonią.

– To nie jest śmieszne! – warknął Sonny. – Jak mógłbym wybaczyć sobie

coś takiego? Zmienię się dla tych starych Brytyjczyków. Już postanowiłem, że poświęcę się dla ich dobra. Ale jak mogę pomóc jego biednej córce? Jest taka smutna i blada.

Podano drinki. Keith wyjął ze szklanki kostki lodu i odłożył je do popielniczki.

Sonny się zwierzał, ale nie oczekiwał odpowiedzi. Tylko głośno myślał w towarzystwie nowego powiernika, który zdawał się rozumieć jego fatalne położenie, ponieważ sam również znalazł się w tarapatkach. Pewnie jeszcze gorszych, bo przecież on, Sonny, nigdy nie miał nic wspólnego z narkotykową działalnością organizacji PK. Podejrzewał nawet, że Keith Donnelly wie więcej, niż jest gotów ujawnić. Sonny stanowczo nie chciał tego wiedzieć. Nic nie widział, nic nie słyszał.

– Jak mogę pomóc tej biednej kobiecie, która za trzy dni wróci do domu z prochami ojca na pocieszenie?

– Naprawdę chcesz jej pomóc? – Keith spojrzał na niego badawczo.

Sonny kiwnął głową. Jakże proste było jego dzieciństwo, kiedy przesiadał się z jednych kolan na drugie! Usta matki przyciśnięte do jego policzka, zapach jej perfum. Gdyby tylko mógł przewinąć taśmę i znowu być dzieckiem uwielbianym po prostu za to, że jest chłopcem.

– Mam pomysł – powiedział Keith i się uśmiechnął.

Było już późno. Douglas stał w bramie Marigold i patrzył na skrzyżowanie. Były cztery możliwości: lotnisko, miasto, dzielnica biurowa i stare miasto. Nadszedł moment podjęcia decyzji. Poczł ogromne napięcie. W pobliżu stał dozorca i palił papierosa. Douglas rzucił palenie w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym, ale teraz musiał zapalić.

W świetle reflektorów dostrzegł beznogiego żebraka siedzącego na wózku. Evelyn powiedziała, że daje jałmużnę tylko dwóm żebrakom i że w tej sprawie

też trzeba podjąć decyzję. Ona dawała pieniądze żebrakowi bez nóg, bo chociaż młody, był również bezradny. Dawała je też staremu żebrakowi, a robiła to z poczucia solidarności. Okoliczności ich życia nie miały ze sobą oczywiście nic wspólnego, lecz Evelyn twierdziła, że wszystko i tak sprowadza się do tego samego.

Douglas pomyślał o czterdziestu ośmiu latach, które spędził, leżąc u boku żony. Dorothy marzyła o bawołach w kanale płynącym za domem jej dzieciństwa, gdzie wkrótce powstanie pewnie korporacyjny trawnik. Czując obok siebie ciało Jean okryte nocną koszulą, Douglas również marzył. Lata spędzone z żoną gdzieś się rozwiały, jakby ich w ogóle nie było. To przerażające. I jednocześnie radosne. Co było prawdziwe w jego życiu? Czy przez te wszystkie lata, kiedy był adwokatem i mężem, kiedy wychowywał dzieci i wędrował po parku Dartmoor, rozumiał jego sens?

Gdzieś w ciemności cykały świerszcze. A może to były rzekotki, nie miał pojęcia. Nie wiedział nic prócz tego, że one cykały bez końca przez całą noc, a żebracy bez końca czekali.

Czy mógł sprawiać taki ból, skoro prędzej czy później wszyscy umrą? Czy taki totalny egoizm można usprawiedliwić młodością lub lekkomyślnością? Christopher, syn Evelyn, postąpił źle, uciekając z młodą Hinduską i skazując dzieci na życie bez ojca. A on, Douglas, znalazł się w tym samym miejscu, w wieku siedemdziesięciu jeden lat.

Pączku róży, czerwcowy wiatr tak ciepły i czuły...

Przez chwilę Douglas myślał, że ktoś włączył nagranie, ale głos brzmiał zbyt fałszywie.

Nie zwlekaj zbyt długo i nie igraj z losem...

To pewnie Hermione, którą odwiedzały wnuki. Powiedziała im, że spisuje swoje wspomnienia, co zostało przyjęte z uprzejmym brakiem zrozumienia. Nazajutrz spodziewano się przyjazdu kolejnych krewnych, a inni z kolei

wyjeżdżali, w tym syn Douglasa w towarzystwie obrazu Howarda Hodgkina, który Dorothy zapisała mu w testamencie, oraz Pauline i Ravi w towarzystwie prochów Normana. Theresa wracała do Anglii, a Keith zabierał matkę do Hiszpanii, gdzie mieli rozpocząć nowe życie.

Miłość przychodzi raz, a potem jest już za późno.

Douglas usłyszał niewielki aplauz. Szkoda, że nie umiem grać na pianinie, pomyślał.

Nigdy nie jest za późno. Madge w marcu wychodzi za mąż za swojego małego wesołego milionera i przeprowadza się razem z nim do Nowego Jorku. Wszystko jest możliwe.

Serce Douglasa waliło jak u podnieconego nastolatka. Wszedł do hotelu. Z kalendarza nadal wyglądały zeszłoroczne szczeniaki, chociaż był już piąty styczeń. W popielniczce stojącej na biurku poniewierał się niedopałek umazany czerwoną szminką. Zapewne należał do Madge, która nie spędzała już nocy w Marigold. Codziennie nocowała u pana Desikachara – *See you later, alligator* – i pojawiała się tylko w porze lunchu. Było w tym coś wielce nieprzyzwoitego i frywolnego.

In a while, crocodile... Stojąc w pustym holu, Douglas podjął decyzję.

Theresa spałaszowała ze smakiem wegetariańską lasagne. W samolocie zawsze była głodna. Poza tym podano ser opakowany w folię i dwa krakersy. Theresa spojrzała na ser. Jakże wdzięczni byli za niego wszyscy mieszkańcy Marigold, których właśnie opuściła.

Jadłam mięso, pomyślała. Piłam piwo z ust mojego kochanka. Prawie nie rozpoznaję w sobie tej kobiety, która przyleciała tu dwa miesiące temu. Nie rozmówiłam się z matką, nie przeprowadziłam z nią rozmowy, do której zbierałam się od lat, ale z jakiegoś powodu przestało mi na tym zależeć. Jeśli było coś do przebaczenia, przebaczyłam jej. Nie potrzebowałam do tego rad

Swamijego, sama to odkryłam. Moja matka należy do innego pokolenia i brakuje jej słów na określenie mojego niezadowolenia. Ona i jej przyjaciele z Marigold należą do wymierającego gatunku. Ich wspomnienia dotyczą świata, który jest już historią; świata, w którym dzieci nie mają głosu, mężowie opiekują się żonami, a żony dbają o mężów. Świadkowie tej rzeczywistości odchodzą jeden po drugim. Mąż Madge, Arnold, przeżył Oświęcim. Ten świat był jedną z tragedii, które zniknęły na zawsze.

Podeszła stewardesa z wózkiem cateringowym.

– Czy mogę prosić jedno? – zapytała Theresa.

Wzięła małą butelkę, odkręciła, nalała sobie wina do szklanki i znowu się zamyśliła. Tacy ludzie jak ja nie będą tak starzy jak oni. Będziemy musieli coś wymyślić, gdy zaczniemy się starzeć.

A może oni mimo trwałej ondulacji i rozpinanych swetrów też próbują coś z tym zrobić.

Theresa skończyła lasagne i zdjęła folię z sera. Spojrzała na żółty prostokącik cheddara. Prawdę powiedziawszy, opychała się ogromnymi ilościami żółtego sera. Nic dziwnego, że przybierała na wadze.

Nie jesteś gruba, jesteś cudowna.

Theresa wysączyła do końca wino, a potem przymknęła oczy. O co w tym wszystkim chodzi? O co chodzi?

Christopher po miesiącu wrócił do domu. Marcia poleciała do Bangaluru i zabrała go z wynajmowanego mieszkania. Poszło łatwiej, niż oboje się spodziewali: wyłuskała go jak ostrygę z muszli.

Ku jego zdziwieniu Marcia była pełna współczucia, a nawet czuła.

– Skarbie, fantazje powinny zostać tam, gdzie ich miejsce. W twojej głowie.
– Siedziała na łóżku i patrzyła, jak Christopher się pakuje. – W przeciwnym razie

co stałoby się z naszymi marzeniami? Wierz mi, znam się na tym. – Chyba coś zrobiła z włosami.

Na lotnisku samą siłą woli przeniosła ich do klasy biznesowej. Christopher był bezradny. Ostatnie tygodnie zamigotały po raz ostatni i się rozwiały.

– To nie jest twoja historia – powiedziała Marcia. – *My* nią jesteśmy.

Och, to było takie bolesne. Ale z perspektywy czasu wiedział, że temu bólowi, jaki zadał i jakiego doświadczył, przygląda się jak zwykle z dystansu. Nic się tak naprawdę nie zmieniło. Obserwował samego siebie, jak pod wpływem impulsu porywa się na coś ekscytującego, ale w gruncie rzeczy odgrywał tylko rolę człowieka, którym pragnął być.

Siedział na balkonie nowojorskiego mieszkania. Poniżej, na Osiemdziesiątej Drugiej Ulicy, samochody co rusz zamierały na światłach, a potem znowu jechały dalej. Im dłużej trwała zima, tym słońce coraz bardziej chowało się za sąsiednim budynkiem. Marcia przyniosła mu kieliszek chablis.

– Ależ z ciebie głuptas – zanuciła cicho. – Niemądry chłopiec. – A potem pogłaskała go po rzednących włosach.

¹ William Szekspir, *Makbet*, w przekładzie Józefa Paszkowskiego.

8

Kastraci w New Delhi pomagają klientom miejscowej firmy telekomunikacyjnej, zanosząc ich skargi bezpośrednio do siedziby firmy, gdzie organizują strajk okupacyjny, a nawet grożą, że zaczną się obnażać i będą to robić tak długo, aż awarie zostaną usunięte. Od czasu rozpoczęcia kampanii użytkownicy zanotowali wyraźną poprawę jakości usług. „Wydajność personelu znacznie się poprawiła, a usterki są często naprawiane bezzwłocznie”, mówi jeden z urzędników. „Wygrana ostatecznie należy do klientów”.

„Guardian”, 13 lutego 2003

Pod koniec stycznia Ravi i Pauline pojechali do High Wycombe, gdzie Pauline dorastała. Na kolanach piastowała torbę z Safeways, w której spoczywała urna z tym, co zostało po jej ojcu. Zamierzali go pożegnać, ale nie nad Gangesem. Postanowili, że rozrzucają jego prochy nad małym strumieniem w bukowym lesie, gdzie kiedyś lubił spacerować.

Zaparkowali samochód i weszli do lasu. Pauline pamiętała tę ścieżkę; mimo że się zmieniła, była taka, jak ją sobie wymarzyła – drzewa były tylko trochę wyższe, a tam, gdzie kiedyś rosły jeżyny, rozpościerała się polana. Zwykły drewniany znak informował, że idą szlakiem Chilterns Heritage. Ojciec Pauline lubił spacerować tędy z laską, uderzać nią w pokrzywy i chodzić zamaszystym krokiem, a ona i matka musiały szybko pędzić, żeby dotrzymać mu kroku.

Ścieżka zaprowadziła ich nad wodę. Ravi wziął Pauline za rękę, żeby jej pomóc. Dzień był wietrzny; wiatr smagał włosami, które uderzały o jej policzki. Oboje czuli się niezwykle radośni.

– A co się stanie, jeśli wiatr zawieje w złym kierunku? – zapytała. –

I dmuchnie nam tym w twarz?

– Wtedy powiem, że twój ojciec zawsze mnie wkurzał.

Pauline się roześmiała. Była teraz między nimi jakaś lekkość. Może śmierć jej ojca coś odblokowała. Pauline podejrzewała, że było to trochę bardziej skomplikowane – może miało więcej wspólnego z rodziną Ravięgo niż jej, ale nie miała ochoty o to pytać, żeby czar nie prysnął. Nawet kochali się w domu rodziców Ravięgo w Delhi, i to przed obiadem, kiedy ludzie stali przed domem i rozmawiali. Po wszystkim, gdy już siedzieli przy stole, puszczała do siebie oczka, aż ojciec Ravięgo zapytał: „Co to za dowcip? Może nam opowiecie?”.

Szli powoli ścieżką, chwytając się drzew, które rosły po obu stronach. Z ziemi wystawały korzenie. Pauline pamiętała tę drogę, każdy krok. Myślała o ciemnych krzewach rosnących za hotelem Marigold, o zmienionym krajobrazie przeszłości Dorothy i o tym, że Dorothy w końcu odnalazła tam spokój. Myślała o swoich marzeniach, o zmianach i planach, w których wspierał ją Ravi, chociaż w chłodzie angielskiej zimy wydawały się nierealne.

W dole połyskiwał strumień. To była chwila dla jej ojca i powinna się skoncentrować wyłącznie na nim, ale myślała o tym, jak znaleźć kawałek ziemi i czy Sonny jej pomoże, wykorzystując swoje kontakty i umiejętności. Przed wyjazdem z Bangaluru Sonny ogromnie się o nią troszczył, co w jego przypadku było dość niezwykle. Zajął się wszystkimi formalnościami pogrzebowymi i nawet załatwił urnę od przedsiębiorcy pogrzebowego.

Dotarli do strumienia. To gdzieś tutaj – nie była pewna dokładnie gdzie – byli kiedyś we trójkę na pikniku. „Tata przywiózł suszone mięso z Zimbabwe – a może to nadal była Rodezja – które było twarde jak skóra. Bo to *była* skóra”. Pauline przypomniała sobie, jak jej matka siedziała na kocu z podwiniętą do kolan spódnicą, by wygrzać sobie nogi. Czasami bywali szczęśliwi. Mamie wystarczały bardzo skromne przyjemności. Ojciec robił zdjęcia, ale wszystkie przepadły, kiedy spalił się jego dom.

Pauline ukucnęła i podniosła urnę. Była zaskakująco ciężka, ale przecież tak do końca nie wiadomo, czego się spodziewać. Paznokciem odkleiła taśmę samoprzylepną.

– Wszystko w porządku? – zapytał Ravi.

Kiwnęła głową. Zerwała taśmę, zgmiotła ją i schowała do kieszeni żakietu. Wydawało się jednak, że czegoś w tym brakuje. Może powinni zaśpiewać jakąś pieśń albo coś w tym rodzaju?

Popatrzyli na siebie w milczeniu, a potem odkręcili wieko.

W środku, ciasno poupychane, leżały plastikowe woreczki z białym proszkiem.

Pauline patrzyła na nie oniemiała. Przez chwilę myślała, że to jakiś hinduski sposób załatwiania tych spraw. A potem spojrzała na nie jeszcze raz.

– To nie są prochy – powiedziała.

Ravi wyciągnął jeden z woreczków.

– Dobry Boże – szepnął. – Czy to jest to, co myślę?

Kilka dni później przybyła z Indii kolejna urna. Wewnątrz były prochy ojca Pauline. Dołączono do nich kartkę z adresem w Hackney, gdzie można było sprzedać biały proszek. Podpisano *Winny*.

Jaki winny? Przez myśl przemknął Pauline Keith. Wolą podejrzewać raczej jego niż Sonny'ego, ponieważ Keitha znała bardzo krótko. A z obcym człowiekiem wszystko było możliwe. Ale dlaczego ktoś im to robi? I dlaczego czuje się winny? Ani Pauline, ani Ravi nigdy nie znaleźli odpowiedzi na te pytania.

Zakopali woreczki z proszkiem w ogrodzie w Dulwich. Minęły miesiące. Dziwna jest świadomość, że tam leżą, pomyślała Pauline. Ale przecież nie bardziej dziwna niż nasza egzystencja na tej ziemi, jedzenie chipsów czy

szczotkowanie włosów. I nie bardziej dziwna niż dwoje ludzi, którzy usilnie się starają, by spędzić razem życie.

Może ona i Ravi się rozstaną. Może sfinansują sobie nowe życie dzięki dochodom z handlu narkotykami. Pauline wybuduje w Bangalurze dom dziecka na fundamentach z heroiny.

Czyżby?

Woreczki pozostały na swoim miejscu. Nazwijmy to uczciwością moralną lub brakiem odwagi. Tam, na kwiatowej rabacie, zostały pogrzebane ich możliwości. Może ona i Ravi kiedyś całkowicie o nich zapomną. A może pewnego razu wykopie je lis, a oni obudzą się rano i pomyślą, że pada śnieg.

Monsun nadszedł i minął. W ogrodzie hotelu Marigold opadła poranna rosa. Dudek niczym zegarowa kukułka dziobał trawę. Rosa posrebrzała pajęczce sieci rozpięte na bugenwillach. Wkrótce wstaną mieszkańcy hotelu. W ciągu ostatnich miesięcy zaszło parę zmian. Kilku pensjonariuszy wróciło do Anglii. Jean Ainslie przeniosła się do Surrey i zamieszkała z córką. Pojawili się za to nowi goście. Gdzieś w środku zadzwonił budzik.

Na zewnątrz, nieświadomy porannego zgiełku, spał żebrak. Na nogach miał buty Bata z prawdziwej skóry doskonałej jakości, chociaż już nieco podniszczone. Nie był to jednak tamten stary żebrak, który kiedyś leżał w tym samym miejscu. Jego ciało zabrano kilka tygodni wcześniej. Nowy właściciel butów był dużo młodszy.

W Indiach nic się nie marnowało.

Minął kolejny rok... upału, monsunów i promiennych zimowych świtów. Vinod – człowiek, który zrealizował promocyjny film dla Sonny'ego – retuszował zdjęcie w swoim studiu. Wyjął z futerału pędzel i wypróbował go na palcu,

a potem zanurzył w mosiężnej miseczce z wodą. Za oknem na Airport Road przejeżdżały z hukiem samochody. Z każdym rokiem ruch uliczny coraz bardziej się nasilał. Budynek, w którym Vinod miał studio, zostanie wkrótce zburzony, by ustąpić miejsca luksusowym apartamentowcom. Postawiono już nawet parkan z napisem: „Embassy Heights oferuje stabilność, bezpieczeństwo i niepowtarzalną doskonałość konstrukcji, 2 kilometry od lotniska i 7 kilometrów od centrum Bangaluru”.

Inne firmy na jego piętrze opuszczały już swoje siedziby. Wkrótce i Vinod będzie musiał znaleźć nowe studio fotograficzne. Poza tym bolał go ząb. Ale był zbyt wielkim tchórzem, by udać się do chińskiego dentysty, pana Liu, który z pewnością by nalegał, żeby go wyrwać.

W sklepie papierniczym po drugiej stronie ulicy Vinod kupił książkę pod tytułem *Pozytywne myślenie*, w której znalazł ćwiczenia pokazujące, jak odnieść zwycięstwo nad dolegliwościami fizycznymi i stresem codzienności. Jak dotąd, mimo wielu wysiłków, nie zauważył żadnej poprawy.

Jednak czasami zdarzało się coś, co rozpraszało mrok. Na przykład niedawny ślub pana Douglasa Aisnliego i pani Evelyn Greenslade. Fakt, że w tak zaawansowanym wieku można znaleźć szczęście, podniósł Vinoda na duchu; dawał po prostu zwykłą obietnicę, że taka możliwość istnieje.

Pędzel był wykonany z włosia sobola tak cienkiego i delikatnego, że bez okularów prawie nie można było go dostrzec. Vinod pochylił głowę i przyjrzał się fotografii. Była matowa i dlatego mogła pochłaniać wilgoć. Vinod nauczył się pewnej sztuczki, która polegała na tym, że przed obróbką zdjęcia przesuwał pędzlem po pasku kleju na kopercie, dzięki czemu farba przylegała potem do powierzchni.

Zanurzył pędzel w karminowej czerwieni, a następnie wymieszał go jeszcze z odrobiną ochry i szarości. Później przystąpił do pracy nad policzkami – rumieniec, delikatne muśnięcie rózu. Zrobił to ostrożnie i z taką czułością, jakby

dotykał skóry kobiety.

Potem przyciemnił barwnik i nałożył go na jej usta. W końcu wypłukał pędzel i zajął się dżentelmenem. Obrysował linię ust i wypełnił je kolorem. Pan Ainslie się uśmiechał, pokazując zęby, które Vinod już wcześniej wybielił.

Gdzieś na zewnątrz zawyła syrena. Pewnie jakaś ważna osobistość jechała na lotnisko, może jakiś minister z obstawą policyjną. Każdego dnia pędziły tą ulicą tysiące ludzi, by wzbić się w niebo i odlecieć na drugi koniec świata. Synowie Vinoda, którzy kiedyś pozowali do zdjęcia, wierząc się w swoich szkolnych mundurkach, już dawno temu stąd wyjechali. A studio trwało w bezruchu, nie licząc ruchów ręki Vinoda.

Minęło pół godziny. Vinod retuszował zdjęcie i myślał o własnym małżeństwie. Ta fotografia była dowodem na to, że w pewnym sensie reinkarnacja jest możliwa, i to jeszcze w tym życiu, a nie dopiero w przyszłym. Aby to osiągnąć, potrzebna była jednak pewna doza bezwzględności. Tej cechy zdecydowanie mu brakowało. Ale gdyby oceniać po wyglądzie – co było jednym z wymogów jego pracy – tej parze nowożeńców również. Wyglądali na najłagodniejszych i najlepszych z ludzi.

Minęła kolejna godzina. Vinod wypłukał w końcu pędzel, wytarł go i położył na stole.

Udało się. *Shabash*. Brawo. Ujął im sporo lat. By naprawić zniszczenia, których dokonał czas, potrzebny był pewny kunszt artystyczny. Vinod przyglądał się fotografii ze skromnym poczuciem dumy: panna młoda i pan młody siedzący obok siebie na tle spłowiałej tapety w holu Marigold.

Zdarzył się mały cud. Z zarumienionymi policzkami i różowymi ustami starsi państwo znowu byli młodzi.

Tytuł oryginału: *These Foolish Things (The Best Exotic Marigold Hotel)*

Copyright © Deborah Moggach, 2004

All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd.,
Poznań 2016

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Agnieszka Horzowska

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki: Urszula Gireń

Fotografie na okładce

© Photo12/BE&W

© Alamy/BE&W

Wydanie I e-book

(opracowane na podstawie wydania książkowego:

Hotel Marigold, wyd. I, Poznań 2016)

ISBN 978-83-7818-968-8

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

